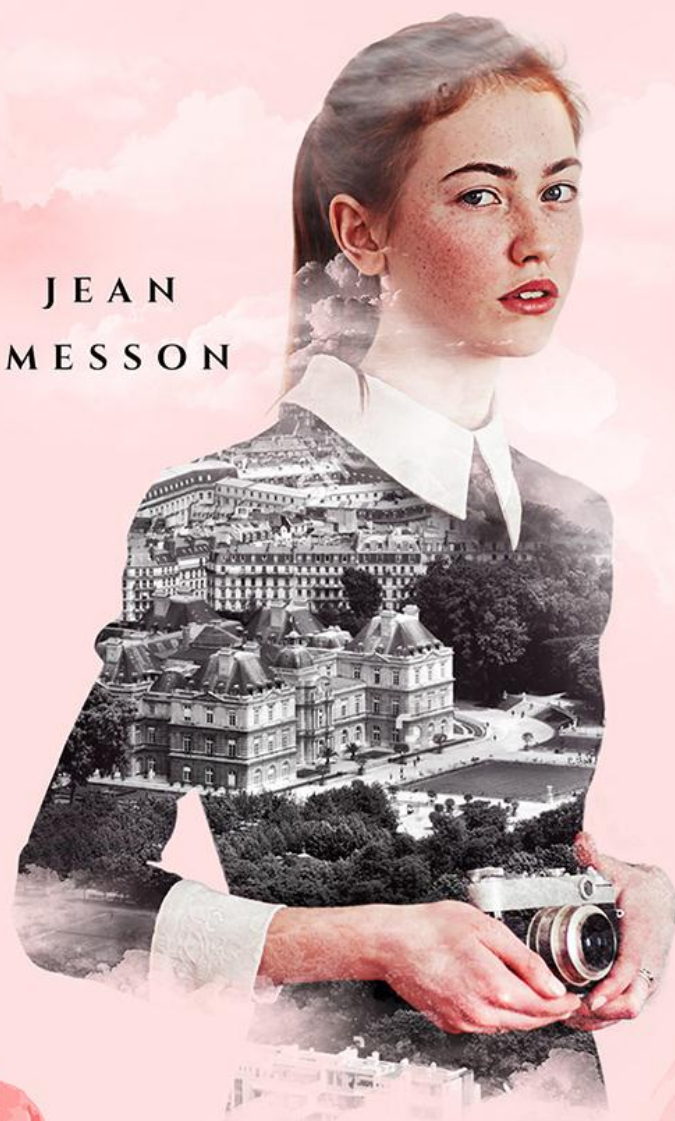


JEAN
D'ORMESSON



WIECZORNY
WIATR



WIECZORNY WIATR

J E A N
D ' O R M E S S O N

Przełożyła JOANNA POLACHOWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna Wprowadzenie Motto Rozdział 1 Rozdział 2
Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Noty
biograficzne o bohaterach Przypisy

Tytuł oryginału: LE VENT DU SOIR Przekład: JOANNA
POLACHOWSKA Redaktor prowadzący: DOROTA KOMAN
Korekta: AGNIESZKA RADTKE, DOROTA KOMAN Projekt okładki:
AGNIESZKA TKACZYK Opracowanie graficzne i typograficzne:
ANNA POL Łamanie Agencja Poligraficzna: SŁAWOMIR ZYCH
Zdjęcia na okładce: © Varvara Kurakina / Thinkstock by Getty Images;
© Aleshyn Andrei / Shutterstock; © Bokstaz / Shutterstock; © Georges
Seguin *Le Vent du soir*

Copyright © 1985 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © for the translation by Joanna Polachowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2016 Warszawa 2016

Wydanie pierwsze ISBN 978-83-65282-24-8 Wydawnictwo
Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c.

Przez długie wieki, właściwie nawet tysiąclecia, świat niewiele się zmienił. Chateaubriand podróżował mniej więcej w podobnym tempie co Cynceron. Morza przepływało się na żaglowcach. Na lądzie królował koń. Do naszego dobiegającego już końca XX wieku można by zastosować różne definicje, w których znalazłby się komunizm, faszyzm, bomba atomowa, szybkość, pigułka antykoncepcyjna, środki masowego przekazu... Może jednak nie byłaby zła definicja najprostsza: to pierwszy wiek, w którym koń przestał odgrywać podstawową rolę w życiu człowieka. Para, elektryczność, samochód, samolot gruntownie zmieniają świat. Kula ziemską się kurczy. Staje się trochę większą wioską. Trylogia *Wieczorny wiatr* to przede wszystkim opowieść o tym zintegrowanym świecie.

Francuska powieść jest często powieścią paryską. Nieraz jej to wyrzucano. Jej akcja toczy się nad Sekwaną, w prawobrzeżnych salonach lub w Dzielnicy Łacińskiej, na Saint-Germain-des-Prés, w Ogrodzie Luksemburskim, na tak drogich Maupassantowi wielkich bulwarach lub w opiewanym przez Aragona parku Buttes-Chaumont. Jeśli nie jest paryska, chętnie bywa prowincjonalna. I tak nazwisko Mauriaca związane jest z południowo-zachodnią Francją, zwłaszcza zaś z Bordeaux, gdzie pod jego piórem ozywają wszelkie namiętności serca, nazwisko Giono – z pełną przygód i sekretów Prowansją, nazwiska Genevoix czy Alain-Fourniera – z Loarą i Sologne. Z tej to czy innej przyczyny francuska powieść jest francuska. Pospieszmy dodać, że powieść rosyjska jest przede wszystkim rosyjska, a Isaac Bashevis Singer z wielką maestrią opisuje głównie Polskę i polskich Żydów przywiązanych do swojego jidysz. Jedną z cudownych właściwości literatury jest to, że wydobywa ona na światło dzienne powszechność rzeczy wyjątkowych i niezwykłych. Morand – może pospołu z Valérym Larbaudem i Kesselem – był pierwszym pisarzem utrzymującym bezpośredni kontakt ze światem. Tylko Ziemia, za to cała Ziemia. A przy tym był kronikarzem świata współczesnego, świata motoryzacji, jazzu, sportu. Od Europy po Czarną Afrykę, od Haiti po Azję opisywał kolejne kontynenty i rozmaite kultury. W cieniu tych pionierów, co przetarli tyle szlaków, pozostała do napisania powieść o zespoleniu tych kultur oraz stopniowym ujednoceniu się świata, w którym wszyscy mieszkają

wszędzie i w którym sławetny koloryt lokalny powoli zaciera się pod naciskiem środków przekazu i komunikacji. To właśnie staraliśmy się przedstawić w tej trylogii, w której czytelnik przenosi się z Polski do Brazylii, z Angoli do Chin, ze Stanów Zjednoczonych do Afryki Południowej, z Niemiec i Rosji do Wenecji i Indii, tak jak przenoszono się niegdyś z Burgundii do Prowansji.

Pod tym względem *Wieczorny wiatr* jest powieścią współczesną. Jest także powieścią klasyczną – właściwie niemal kroniką. Kroniką o zasięgu ogólnoziemskim, z wielką liczbą bohaterów i bogatą akcją. Osią tej akcji, w której historia nieustannie przeplata się z życiem prywatnym, są dwie rodziny. Pierwsza – Romerów – składa się przede wszystkim z czterech braci. Druga – O’Shaughnessych – z czterech sióstr. Zawsze fascynowały mnie rodzeństwa sióstr. Czy może być coś bardziej powieściowego od życia trzech sióstr Heredia, z których jedna poślubiła Pierre’a Louÿsa, a druga Henriego de Régnera, choć ona również kochała Louÿsa? Albo pięciu sióstr Mitford – z których Nancy pisać będzie powieści tak przezabawne, jak *The Pursuit of Love* czy *Love in a Cold Climate*. Czy też trzech sióstr Song, z których pierwsza poślubiła jedną z największych ówczesnych fortun, druga wyszła za mąż za chińskiego rewolucjonistę Sun Jat-sena, a trzecia za jego ucznia i przeciwnika, nacjonalistę Czang Kaj-szeka? Cztery siostry O’Shaughnessy mogą sobie działać na wszelkich frontach faszyzmu lub komunizmu, przyjaźnić się z Churchillem, Stalinem i Rooseveltem, szokować Hollywood lub czarować Hemingwaya czy Scotta Fitzgeralda – a i tak daleko im do panien Mitford, których ojciec każdego ranka sprawdzał w gazetach, jakich znów głupstw narobiły jego córki, czy do sióstr Song. Jak wszystkim wiadomo, jedna z Mitfordówien, która miała na imię Unity, ale kazała się nazywać Walkirią, zadurzyła się bez pamięci w Hitlerze. Biedna Vanessa była tylko kochanką Rudolfa Hessa, co wszelako wystarcza do wyjaśnienia niesamowitej, choć autentycznej historii, która wiosną 1941 roku sprowadziła następcę Hitlera do Szkocji. Najbardziej nieprawdopodobną ze wszystkich powieści przygodowych jest i zawsze będzie samo życie.

Minionych sto pięćdziesiąt lat – od wynalezienia elektryczności po triumf pigułki antykoncepcyjnej i telewizji – obfitowało w zamachy

stanu, zrzędzenia losu i spektakularne wydarzenia. Baliśmy się, oburzali, cierpieli, płakali i śmiali – nigdy nie było nam nudno. Rzecz w tym, że w czasie kiedy świat się kurczył, historia coraz bardziej przyspieszała. Biegła szybciej za sprawą postępu, a przede wszystkim wnikała coraz dalej i głębiej za sprawą samolotów, radia, telewizji. Hegel twierdził, że dziennik jest codzienną modlitwą nowoczesnego człowieka. Różańcem wieści i obrazów na bieżąco defilujących przed szeroko otwartymi oczami naszych współczesnych postmodernistów. W większym może stopniu niż powieścią o unifikacji, niż ogólnoświatową kroniką – *Wieczorny wiatr* jest nieco ambitniejszym i ironicznym, zatrącającym lekko o pastisz komiksem epoki triumfu środków masowego przekazu. W przypadku *Pani Bovary* czy *Kolegów Normandia* czy *Masyw Centralny* wciąż jeszcze pozostają na własnym podwórku. Dzisiaj wszyscy wiedzą o wszystkim, co się dzieje i gdzie się dzieje. Każdy w dowolnej chwili może znaleźć się w dowolnym punkcie kuli ziemskiej. *Wieczorny wiatr* to przede wszystkim kalejdoskop.

Nagle odniosłem wrażenie, że to wszystko jest okropnie abstrakcyjne. Skończmy z tą celebrą. Choć jeszcze dziesięć lat temu mogłoby się to wydać niesłychanym skandalem, zamierzeniem *Wieczornego wiatru* jest nie tyle pouczyć, ile zabawić. Zabawić wojną w Hiszpanii, zabawić Hitlerem, zabawić Stalinem?... W tym jego wyzwanie. Nasze czasy nie były tak wesołe, tak frywolne, tak beztraskie jak pierwsza połowa XVIII wieku czy przeważająca część wieku XIX. Nagromadziło się w nich wiele nieszczęść i zbrodni. Posługując się stylem powieści odcinkowej, próbowałem dać pewne wyobrażenie o przeżyciach naszych rodziców oraz naszych własnych w okresie pomiędzy tymi dwiema tragediami, jakimi były jedna po drugiej dwie wielkie wojny światowe, które kiedyś w ludzkich wspomnieniach zleją się zapewne w jedną.

Próbowałem oderwać myśli moich czytelników od niepewności i kłopotów dnia codziennego, wskrzeszając przed nimi na nowo szczęście i horrory przeszłości, kiedy to po okresie *belle époque* i szalonych lat nastąpiły czasy obozów koncentracyjnych. Słodczyż życia zawsze jest pieśnią przeszłości. Za sprawą najbanalniejszej z tajemnic, przez zwykły fakt upływu czasu, pewien rodzaj melancholijnego uroku

sprawia, że w naszych wspomnieniach owe horrory i szczęście ulegają złagodzeniu i przeobrażeniu. Na kilka godzin, na kilka dni oddaję was w ręce Vanessy i Pandory. Niech swoim skromnym tempem poprowadzą was kilka kroków po magicznych ścieżkach pamięci i wyobraźni, po których wcześniej przemierzaliście galopem wielkie odległości w towarzystwie Juliana i Fabrycego, pięknej Esther i księcia Andrzeja, Emmy, Odetty, Aureliana – jak również Arsène’a Lupina i Fileasa – nie mówiąc o Scarlett!

JEAN D’ORMESSON

Dajcie mi wiatr wieczorny nad łąki równiną
I zapach siana świeżo skoszonego,
Niczym w Bawarii wieczorem po deszczu
Nad brzegiem jeziora Starnberg.
VALERY LARBAUD (przeł. Hanna Igalson-Tygielska)

Wszystkie rzeczy ulotne, wszystkie rzeczy
uchwytne, cały świat wszelkiej rzeczy...
SAINT-JOHN PERSE (przeł. Adam Wodnicki)

Odtąd byłem już tylko niezmiernym
i pogmatwanym snem mojej pamięci.
PIERRE DRIEU LA ROCHELLE

Spraw więc, żeby to była piękna historia
do słuchania w ogrodach Oronte.
MAURICE BARRÈS

Świat i jego historia zataczają koło; to Javier Romero przywiózł mi pewnego wiosennego wieczoru do San Miniato wiadomość o śmierci Pandory. Był przepiękny dzień. Od samego rana, ledwie uchylono okiennice, przestrzeń i czas wypełniła swoista przejrzystość. Za sprawą jednego z tych mechanizmów oczywistych, a zagadkowych bezchmurne niebo niosło obietnicę szczęścia. Nie zdążył zapaść zmrok, a cały szmat mojego życia legł w gruzach. Zjawił się Javier, postawił bagaże, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: „Pandora nie żyje”. Świat się zakołysał. Zerwał się wieczorny wiatr.

Javier przyjechał z Londynu. Siedem czy osiem godzin wcześniej brał udział w pogrzebie. Obecne na nim były oczywiście Atalanta i Vanessa, Javier razem z braćmi i wszyscy, których zdołano w porę zawiadomić, ponieważ mieszkali w Londynie. Reszta, tak jak ja, dowiedziała się o jej odejściu dużo później. Na widok tylu różnych osób, często nawet się nieznających, powiązanych ze sobą jedynie osobą zmarłej, będącej już tylko wspomnieniem, Javierowi wydało się, że czuje mroczną rojność świata, którego ogniskiem i epicentrum może stać się kolejno każdy. Dla wielu z nas sprawy takie jak przyjemność, wesołość, nadzieja, pewna szczególna klarowność dni – a często nocy – wiązały się z Pandorą. I wiele rzeczy wraz z nią umierało. Za pośrednictwem Javiera przysłuchiwałem się modłom za zmarłych w londyńskim kościele, o którym nie wiedziałem nic, nawet tego, pod jakim jest wezwaniem. I poprzez twarze i łzy tych, co ją wspominali, odsłaniała się przeszłość, która dla mnie oraz paru innych była niemal wszystkim, a z której nie zostało prawie nic.

Tego wieczoru długo siedzieliśmy z Javierem na tarasie wielkiego domu, rozmawiając o Pandorze. Rozmawialiśmy? Sam nie wiem. Chyba raczej milczeliśmy. Była bezksiężycowa noc. Nad naszymi głowami jasno świeciły i migotały gwiazdy. Obaj pogrążeni byliśmy we własnych wspomnieniach, równoległych i bliźniaczych. Od czasu do czasu kilka krótkich słów przerzucano między nami pomost. I tak chaotycznie i w nierównym tempie przedzieraliśmy się poprzez gęste pokłady przeszłości. Nasze żywoty na nowo wskrzeszone przecinały się,

rozchodziły, znienacka wplatały się w historię świata. Kiedy zapadła głęboka noc, a może już się nawet kończyła, i Javier poszedł spać, przyniosłem kuferek pełen starych listów, fotografii, map postrzępionych od częstego używania, przewodników po Grecji, Meksyku czy Indiach, pełnych notatek, z powtykanymi między stronice luźnymi kartkami. Na chybił trafił, jak skąpiec sięgający po klejnoty, złote monety czy drogocenne kamienie, wyjąłem plik zdjęć i pakiet listów. Potem poszedłem do sypialni i rzuciłem się na łóżko.

Domieszka rosyjskiej krwi jeszcze nikomu nie wyszła na złe. Jedno z odgałęzień historii, która właśnie dobiegła końca, wiązało się z osobą jeszcze młodego mężczyzny z kruczoczną brodą, w długim, wciętym w talii płaszczu i futrzanej czapie, opierającego się w nonszalanckiej pozie o piękne francuskie biurko z połowy lub końca XVIII wieku: nazywał się on Piotr Wasiliewicz Wroński i właśnie na niego patrzyłem. Jak przystało na wielkiego magnata, liberała rzuconego w wiry rosyjskiego absolutyzmu, miał w swojej rodzinie wszystkich: dziadka ambasadora w Teheranie i Londynie, wuja zabitego przez Francuzów pod Borodino, ojca dekabrystę zesłanego na Syberię, ekscentryczną matkę, o której się bez przerwy mówiło, brata żyjącego z dala od Rosji na zesłaniu politycznym, połączonym z kolejnymi kuracjami w niemieckich uzdrowiskach oraz burzliwymi romansami w cieniu kasyn, gdzie trwoniono fortuny, z anglosaskimi awanturkami i śpiewaczkami operowymi. Jeszcze w sto lat po jego śmierci w sklepach i archiwach Karłowych Warów, wtedy jeszcze nazywanych Carlsbadem, oraz w Baden-Baden natknąć się można było na ślady – ja również je odnalazłem – jego pobytu i amorów.

Ludzkie marzenia i wspomnienia nigdy się nie kończą. Można było cofnąć się o wiele głębiej w niezmierną przeszłość Wrońskiego. Poszukując przodków Piotra Wasiliewicza w moich sporadycznych badaniach historyka amatora i świadka cudzych żywotów, odbywałem podróże wstecz przez historię. Podczas tych wypraw spotykałem cały świat. W gruncie rzeczy uważałem, że niezależnie od punktu wyjścia, choćby nie wiem jak niejasnego, jak skromnego, jak złudnego, u kresu drogi ujrzę przed sobą te same niezmiernie perspektywy. Niekiedy dla zabawy brałem, powiedzmy strażnika z florenckiego muzeum, górnika

z zagłębia Ruhry, prowincjonalną szwaczkę czy bejsbolistę z Los Angeles i wyobrażałem sobie ich losy w czasie i przestrzeni; dość szybko dochodziło się wtedy do wojny trzydziestoletniej, do wypraw krzyżowych, do wielkich kompanii handlowych, do ksiąząt Świętego Cesarstwa, do towarzyszy Krzysztofa Kolumba. Piotr Wasiliewicz stanowił przypadek uprzywilejowany. Wraz z nim pojawiali się zaraz Orłowowie, Naryszkinowie, Wołkońscy, Dołgorucy. Zdawać by się mogło, że w kierunku odwrotnym, zgodnie z biegiem czasu cała historia świętej Rosji i trzeciego Rzymu – czyli Moskwy sprzed Sankt Petersburga – do niego prowadzi. Trwonił ją na przyjęciach, na podróżach do Wenecji i Nicei, na utopijnym spiskowaniu w obronie wolności prasy, na szlachetne i nedorzeczne mrzonki, niczego absolutnie niezmieniające. Ze swoją czarną brodą i aksamitnym spojrzeniem Piotr Wasiliewicz był zapóźnionym zagorzałym romantykiem, dość nawet ujmującym, i zupełnie bezproduktywnym.

Gdzieś w połowie stulecia między Weroną a Mediolanem Wroński spotkał swoje bożyszczce: był nim Verdi. Autor *Traviaty* uosabiał to wszystko, czego biedny Piotr tak bardzo pragnął dla siebie. Odgrywał ogromną rolę w historii swoich czasów, oklaskiwały go tłumy, lgnęły do niego wszystkie serca i był genialny. Tego dnia, kiedy Wroński ujrzał ze swojej podróżnej berlinki wypisane na murach barwy ochry któregoś z wielkich miast włoskich oraz na drewnianej bramie pałacu w Weronie czy Vicenzie pięć liter składających się na nazwisko przyjaciela: VERDI, poczuł lekki zawrót głowy od sławy i dumy, jaka za pośrednictwem tamtego i jemu się udzieliła. Nie wiedział jeszcze, że liberałowie i nacjonaści wykorzystywali litery nazwiska kompozytora do gry słów: *Viva Emmanuele Re d'Italia!* Wziął ów napis za to, czym w istocie też i był, choć tłem jego była polityczna propaganda: za hołd złożony sztuce, sławie i geniuszowi.

„Jestem przyjacielem wielkiego człowieka”, pomyślał Wroński w swoim powozie. I już wtedy był zdecydowany niczego nie odmawiać jedynemu geniuszowi, jakiego w życiu spotkał.

Tej nocy kiepsko spałem. Po mojej głowie harcowali w zapamiętałej sarabandzie Wroński, Pandora, Atalanta, Jessica, Vanessa i czterej bracia Romerowie. Ścigali się przez epoki, płąsali do

upadłego wokół planety. Śladem ich kroków, ich ustami i rękami dokonywały się wojny, krachy, rewolucje, epidemie, przemiany w obyczajach i w modzie. Nazajutrz w Toskanii i Umbrii nadal panowała piękna pogoda. Od czasu do czasu w oddali po niebie przemykały maleńkie obłoki. Przywodziły mi na myśl Wrońskiego i Pandorę pośród oceanu czasu. Javier jeszcze spał. Z butelką szampana poszedłem go obudzić.

– Spodobałoby się to Vanessie – powiedział, otwierając zaspane oczy.

– Za zdrowie Vanessy – rzekłem – jej sióstr i ich kochanków.

Słońce stało już wysoko na niebie, co tak lubiliśmy na Korfu, w Amorgos, w Puerto Vallarta, w Angra dos Reis, w Santa Barbara, w Ravello, na Simi. I wypiliśmy za swoje zdrowie oraz zdrowie wielu innych.

Kilka lat później w Wiedniu Franciszka Józefa i cesarzowej Sissi, niedawno przybyłej ze swej rodzinnej Bawarii, Piotr Wasiliewicz stał się bohaterem przygody, co do której rodzina oraz znajomi nie bardzo wiedzieli, jak się ustosunkować: oburzać się czy cieszyć. U schyłku panowania Napoleona III do sławnej rodziny Naryszkinów z Sankt Petersburga przyjechała w charakterze lektorki i nauczycielki francuskiego pewna młoda Francuzka, córka zrujnowanego szlachetki z Charentes oraz siostrzenicy arcybiskupa, bohaterki przygód, o których może kiedyś wam opowiem. Nazywała się Marie de Cossigny. Była młodzieńką, pełną nieco płochliwego uroku blondynką o zielonych oczach, ciemniejących pod wpływem emocji. Po upływie kilku miesięcy we francuskiej lektorce zakochali się na zabój przedstawiciele dwóch kolejnych pokoleń Naryszkinów, wuj i siostrzeniec. Wuj nie zajmował się niczym. Siostrzeniec był porucznikiem w Priebrażeńskim Pułku. I nastąpiło to, do czego, jak stara Europa długa i szeroka, dochodziło zwykle w owych czasach w rodzinach z tego środowiska: stłumione pogłoski, plotki, skryte poruszenie, zbiorowe emocje, nagły alarm i narada rodzinna. W początkach naszego stulecia Marie, siwowłosa dama w jedwabnych rękawiczkach i z wąską czarną aksamitką na szyi, niekiedy w chwilach wylewności wspominała z uśmiechem i bliska łez – jeszcze i ja miałem okazję być powiernikiem tych szeptem czynionych

wyznań – scenę, która w owym czasie musiała wyglądać dość niewesoło dla młodej bohaterki w roli oskarżonej.

– Mademoiselle – mierzając z oburzeniem palcem w kierunku dziewczyny, mówiła babka, z domu Orłów, leciwa dama, sucha, a zarazem krągła, urodzona za Katarzyny II, promowana do godnej pozazdroszczenia roli prokuratora generalnego – jak mogła pani pozwolić sprowadzić się z prostej drogi własnym instynktom i tak zaniedbać swoje powinności, pani, którą z ufnością przyjęła nasza solidarna niegdyś rodzina?

– Madame – odpowiadała Marie, obrzucając zalęknionym spojrzeniem czerwone obicia ścian obwieszonych obrazami w wielkim salonie Naryszkinów, który nigdy jeszcze nie wydawał jej się równie olbrzymi i majestatyczny – nigdy nie pozwoliłam sprowadzić się z prostej drogi żadnej osobie z pani dostojnego rodu. Nie wiem, jak się mają do mnie instynkty i powinności licznych jego członków. Osobiście nie mam sobie nic do zarzucenia – dodawała dumnie, a zarazem z kokieterią z miejsca zaskarbiając cichą aprobatę wszystkich obecnych mężczyzn. – Jestem, jaka jestem, i sumienie mam czyste.

– Mademoiselle – podejmowała babka – jest pani niebezpieczna dla tej rodziny.

– Madame – odpowiadała na to Marie – a może to ta rodzina jest niebezpieczna dla mnie?

Sprawy zwykle okazują się prostsze, niżby się mogło zdawać, a zarazem bardziej skomplikowane. Korzenie i konsekwencje nawet najbłahszej z nich mogą sięgać nieraz bardzo głęboko. Ale wystarczy znaleźć właściwy klucz, by wszystkie zamki stanęły otworem. Jeśli Marie de Cossigny, lektorka francuskiego w Sankt Petersburgu, rzeczywiście pozostała nieczuła na podwójną presję aż dwóch generacji Naryszkinów, to dlatego że bez reszty zaprzętała ją inna miłość. I to ona właśnie, skrywana, lecz łatwa do odgadnięcia, sekretna, lecz przez to jeszcze bardziej drażniąca, wystarczyła, by rozniecić namiętność wuja i siostrzeńca.

Kim był mężczyzna, który zwycięsko stawiał czoło świetności nazwiska i fortuny Naryszkinów? Ogrodnikiem. Nie bardzo wiadomo, jaką właściwie pozycję zajmował ówże ogrodnik. W końcu Le Nôtre

i Russell Page, i niezrównani Vilmorinowie też na swój sposób byli ogrodnikami. Czy ten od Marie de Cossigny był kimś w rodzaju zarządcy, architekta pejzażu, artysty czy też zwykłym wyrobnikiem? Tak czy inaczej, był mężczyzną przystojnym i hardego ducha. Ciekawiło mnie, co zgotowała mu przyszłość. Socjalista i konspirator – skończył na Syberii jako gruźlik lub skazaniec. Czy Marie de Cossigny, zostawszy Marie Wrońską, dowiedziała się kiedykolwiek o tragicznym losie swojego pierwszego kochanka? Tego też nie wiem; nie miałem śmiałości jej o to zapytać. O historii świata, nawet o historii tych, których znałem, nie wiem prawie nic.

Przypuszczam, że w tym miejscu należałoby odtworzyć bodaj pozór scenerii i opisać Sankt Petersburg z połowy ubiegłego wieku: jego salony, jego aleje, jego bojarów i muzyków, jego mieszczaństwo bogacące się na przemyśle włókienniczym, na handlu cukrem lub zbożem – z którego wywodzić się będą Szczukinowie i Morozowowie, a ich sławne kolekcje dadzą początek muzeum w Leningradzie – jego intelektualistów i artystów, malarzy i pisarzy, jak Turgieniew czy Gogol. Jeszcze w sześćdziesiąt lat później Marie de Cossigny pamiętała będzie, że podobnie jak wielu innych, zwolenników absolutyzmu bądź liberalizmu, słowianofilów bądź sympatyków Zachodu, spotykała ich na rautach u Naryszkinów czy gdzie indziej. Ale te skromne fantazje o wydarzeniach minionych, choć przecież w pewien zagadkowy sposób wciąż obecnych, bo opowiadam wam o nich, a wy mnie słuchacie, niewarte są aż takiego zachodu. Na użytek swój oraz garstki innych wskrzyszam tylko niektóre cienie.

Był koniec wiosny. Słońce stało wysoko na niebie. Pośród rozgrzanych kamieni i drzew oliwnych Toskanii spacerowaliśmy po drodze do Pienzy. Między nas wślizgnęła się trzecia postać – nasza przeszłość. We troje prowadziliśmy rozmowę, wspólnie zagłębiając się w nieistniejące już światy. Podróżowaliśmy do Nowego Jorku, do Niemiec, do Polski, do Brazylii. Do Republiki Weimarskiej, w te cudowne czasy, kiedy argentyńskie peso miało równowartość franka szwajcarskiego, odwiedzaliśmy czarny tydzień na Wall Street i carską Rosję. Wyruszyliśmy w podróż do naszej młodości, która tak dawno już minęła. A za nami ze śmiechem podążały cienie czterech sióstr.

Na początku drugiej połowy XIX wieku, w czasach, kiedy panowanie królowej Wiktorii rozciągało się na niemałą część kuli ziemskiej od Kanady po Indie i Australię, a w przyszłości obejmie również Afrykę Południową i Nową Zelandię, pewnym niewielkim, nowo powstałym w Ameryce Południowej krajem, Paragwajem, rządził despota będący za sprawą swoiście przewrotnego cudu spadkobiercą porywających idei Bolívara, *Libertadora*. Na czele bandy opryszków, zorganizowanych w policję i wojsko, terroryzował ludność i systematycznie ją łupił. W ciągu zaledwie kilku lat zdołał zgromadzić pokaźną fortunę ulokowaną na kontach bankowych, w nieruchomościach, ziemi, dzierżawach i kopalniach na terytorium Paragwaju oraz korzystnie zainwestowaną u paryskich i londyńskich Rothschildów. Od czasu do czasu, przed objęciem władzy i po nim, dyktator odwiedzał Europę, by odetchnąć atmosferą cyganerii, odwiedzić krawców i burdele, wyczałować dłonie światowych dam oraz wygłosić odczyty w Salamance i Heidelbergu na temat pokoju i wolności.

Podczas jednej z wypraw do Paryża ów wielki człowiek o przylizanych włosach, bujnych, podkreconych wąsach, z ostrym jak brzytwa akcentem, o miedzianej cerze odziedziczonej po babce Indiance, uprowadzonej na płaskowyżu przez katalońskiego lichwiarza, zaproszony został mniej lub bardziej oficjalnie przez służby protokolarne, dbające o dobre samopoczucie cudzoziemców, do odwiedzenia Folies-Bergère. Działo się to na dwadzieścia lub trzydzieści lat przed tym, nim Bel-Ami Maupassanta w przerwie między absyntem i grenadyną, między szybkim uściskiem z Clotilde de Marelle i interesowną wizytą u pani Forestier, spotka tam na dziedzińcu Rachel. Paragwajczyk poznał dziewczkę z Maubeuge, jasną blondynkę lekko przykości, piękność w stylu flamandzkim lub, jeśli wolicie, weneckim. Miała na imię Madeleine. Wołano na nią Mado. On przechrzczył ją na Asunción. Spodobali się sobie. I przez Miami, Hawanę i Limę zawiózł ją ze sobą do Paragwaju.

Najpierw umieścił ją w Villarica, później w Encarnación, gdzie miał wielki dom, piękny i stosunkowo dyskretny, z dwoma patiami pełnymi wspaniałych roślin. Nudziła się. Nawiązała kilka miłostek

z przyjaciółmi dyktatora, dość, by rozniecić w nim zazdrość, nie wywołując przy tym gniewu. Po upływie kilku miesięcy sprowadził ją do siebie. Triumfowała. Ale tego było jej jeszcze mało. Mierzyła wyżej. Chciała więcej.

Marie de Cossigny musiała opuścić Sankt Petersburg zawstydzona i przybita. Z nakazu dostojnej wdowy w prześwieatnej rodzinie Naryszkinów z powrotem samoistnie zapanował porządek. Przez jakiś czas wuj i siostrzeniec z tchórzostwem cechującym mężczyzn w sprawach serca pilnie się unikali, a spotkawszy się, robili wszystko, byle o niczym nie mówić. Pewnego wieczoru pięć albo sześć lat później, oparci plecami o kominek czy spacerując po ogrodzie z kieliszkiem koniaku lub wódki w ręku, odbyli długą rozmowę o swojej wspólnej miłości.

Uśmiali się przy tym co nie miara, choć nie bez pewnego wzruszenia. A wychyliwszy osiem lub dziesięć kieliszków na pamiątkę tych dni strasznych a szczęśliwych, padli sobie w ramiona, mamrocząc coś bez ładu i składu.

Marie jechała przez Kijów i Budapeszt do Wiednia. Była to okropna podróż. Historie miłosne nazbyt często kończą się problemami finansowymi. Nim utopili w alkoholu i śmiechu swoją rywalizację, czułe wspominki i wyrzuty sumienia, obaj Naryszkinowie, wuj i siostrzeniec, na wyścigi nalegali, jeden w tajemnicy przed drugim, by Marie zechciała przyjąć od nich sumę wystarczającą na przeżycie kilku najbliższych miesięcy, a nawet lat. Odmówiła. Z powodu pogardy, jaką darzyła seniorkę rodu Naryszkinów, lub może na przekór jej, zgodziła się w końcu przyjąć niewielką sumę, którą ta niemal na siłę wcisnęła jej do torby podróżnej. Najbardziej bolało ją upokorzenie. Gdyby nie jej pozycja, było nie było podrzędna, lektorki francuskiego, perspektywa podwójnego romansu z wujem i siostrzeńcem przedstawiałaby się nader barwnie i zgoła inaczej. Nikt by jej za to nie potępił. Byłaby to komedyjka w guście ubiegłego wieku, czarująca i wesoła idylla, zabawna anegdota, którą można by sobie opowiadać w gronie przyjaciółek, tłumiąc chichoty. Ponieważ była biedna i obca pośród bezgranicznie bogatych Rosjan, pełnych poczucia wyższości z racji zajmowanej pozycji, komedia zamieniła się w dramat. Mniej więcej

w tym samym czasie w ręce Marie wpadła książka, wtedy jeszcze nie tak sławna jak dzisiaj: *Czerwone i czarne*. Przeczytała ją z bijącym sercem, odkrywając między Julianem Sorelem i sobą niemało powinowactw serca i umysłu. „Ach, gdybym była mężczyzną...” – myślała. I oczyma wyobraźni widziała się, jak przeistoczona w nauczyciela, z pistoletem w kieszeni, lub też w porucznika kozaków czy gwardii, z peleryną na ramionach i szpadą u boku, w trakcie niezliczonych przygód pośród rosyjskich śniegów niepostrzeżenie zmieniających się w scenerię Paryża lub Verrières, stawia czoło starej księżnej z domu Orłów i obu Naryszkinom, dziwnym trafem wyposażonym jeden w rysy dojrzałej, choć wciąż jeszcze atrakcyjnej kobiety, drugi – młodej trzpiotki, odgrywającej rolę siostrzenicy.

W Wiedniu panna de Cossigny spotkała przyjaciół rodziny. Pamiętacie, jak przez długie stulecia, po sam koniec XIX wieku, funkcjonował świat tej grupy ludzi, dla których pieniądze nie były wszystkim: tworzył go system cichych, niebywale skomplikowanych i subtelnych powiązań, a przede wszystkim pokrewieństw. Rodzinę Marie i rodzinę Herbignaców z Charentes, od piętnastu lat osiadłych w Wiedniu, łączyła rozgałęziona sieć koneksji rodzinnych i sąsiedzkich. Powitali ją jak własną córkę. Zatrzymała się w ich domu. Zastępowali jej rodzinę. Po tylu przejściach na nowo odkrywała jeśli nie szczęście, to w każdym razie komfort. Wagnanka luksusu z Rosji za panowania Aleksandra II, emigrantka mimo woli w podwójnej monarchii, nadal zdominowanej wspomnieniem po Metternichu, zraniona przez życie i tajone namiętności – Marie de Cossigny naprawdę potrzebowała nieco spokoju i zbytku, ponieważ oczekiwała dziecka.

Jakże ja nienawidziłem kiedyś tego Javiera Romery! Widok jego wysokiej, lekko pochylonej pod wpływem wieku postaci, kroczącej obok mnie wieczorną porą po białej drodze z Pienzy do Montepulciano, znów ożywił we mnie wspomnienie ataków tamtej wściekłości, której już nie czułem. Wszystko, co podobało mi się w nim teraz, jego wygląd, jego poczucie humoru uważałem kiedyś za odrażające. Im bardziej był czarujący, tym mocniej go nienawidziłem. Wspominałem te długie noce w Nowym Jorku czy Buenos Aires, kiedy życzyłem mu śmierci, a niekiedy wręcz główkowałem, jak do niej doprowadzić. Odwrotnie niż

mówi przysłowie, zemstę należy wymierzać, póki jest gorąca, a jeszcze lepiej pałąca; zbyt długo z nią zwlekając, ryzykuje się, że utraci smak. Nie pojmowałem, jak i dlaczego tak namiętnie pragnąłem kiedyś jego ruiny, nieszczęścia, wypadku samochodowego, nieodwołalnego końca. Moja nienawiść umarła; pamiętałem o niej jeszcze, ale już jej nie czułem. Darzyłem go serdecznością tak wielką, że obejmowała ona nawet wspomnienie tej antypatii, której odwrotność cechował urok i spokój. Z rozbawieniem i niedowierzaniem zastanawiałem się nad powodami bez mała zbrodniczego wzburzenia, które przed dwudziestu pięciu laty w Ameryce przyprawiało mnie rankami o bezdenną rozpacz, o dreszcz odrazy, zniecierpliwienia i gniewu.

Znów widziałem, jak stoję przed nim poblądły, z zaciśniętymi szczękami i rozbitą butelką w dłoni, a potem jak szepieni w uścisku niemal miłosnym, pośród krzyków przestraszonych par tarzamy się po opustoszałym nagle parkiecie, na którym jeszcze przed chwilą tańczyli kryminaliści, bankierzy, pseudodyplomaci, wesołe panienki i światowe damy. Ach, oczywiście, jak zawsze to samo: pieniądze, władza, seks... W przypadku nas obu, uwięzionych w okowach własnych sprzeczności, otoczonych trupami naszych wielkich nadziei i bateriami butelek whisky, chodziło o seks. Ale my określaliśmy to inaczej. Nazywaliśmy to miłością.

Do czasów pierwszej wojny światowej, może nawet do drugiej, Ameryka leżała jeszcze bardzo daleko od jedyne go centrum świata, Europy. Ze swoimi imperiami i fetami, ze swoimi potężnymi armiami rwącymi się do konfrontacji, z tradycjami sięgającymi znacznie poza narodziny przemysłu, którym zawdzięczała drugi czy trzeci przyływ natchnienia i nową młodość, Europa chętnie wyobrażała sobie, że obecny stan rzeczy trwać będzie wiecznie. Od czasu do czasu wstrząsały nią rozruchy o zasięgu ogólnym bądź lokalnym i wtedy całe grupy ludności – protestanci, Żydzi, Irlandczycy, Polacy, Węgrzy – wkraczały na drogę rewolty, a niekiedy emigracji.

Gdzieś około połowy XIX wieku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Wroński w Weronie czy Mediolanie przeżywał taką fascynację Verdim, Żydzi z okolic Lublina wiedli niełatwy żywot. Wprawdzie pogromy nie osiągnęły wtedy jeszcze tego stopnia perfekcji,

co w sto lat później, ale prześladowania, choć dopiero raczkujące, ciągle szykany ze strony władz, lekceważenie okazywane przez niemałą część ludności skazywały Żydów na życie w izolacji, którą chcąc nie chcąc spożytkowywali na kultywowanie w nienaruszonej formie swoich zwyczajów, tradycji, stylu życia oraz religii. W liczącym kilkuset mieszkańców miasteczku, sztetlu aszkenazyjczyków, leżącym jakieś sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt wiorst od Lublina, rabin Finkelstein cieszył się opinią uczonego męża i odgrywał rolę patriarchy. Wielki wielbiciel rabiego Loewa, który w przyszłości zainspiruje Jorge Luisa Borgesa, fanatyczny zwolennik rabiego Israela ben Eliezera oraz chasydyzmu, od dwóch stuleci rozprzestrzeniającego się na całą Europę Środkową, Izaak Finkelstein w swojej koszuli bez kołnierzyka, jak zwykle białej i jak zwykle brudnej, w jedynym, jaki posiadał, czarnym chałacie, z pejsami człowieka pobożnego i w nieśmiertelnym, okrągłym, zda się przyrośniętym mu na zawsze do głowy kapeluszu, był uosobieniem dumy i pokory. Nikt tak jak on, z takim sercem, nie recytował kadiszu w starej synagodze. Ślepo posłuszny naukom Tory i Miszny, lektor i wytrawny komentator Talmudu, rabin, którego domu strzegła tradycyjna mezuzah oraz złota moneta przymocowana do pierwszego stopnia schodów, uważał się za człowieka sprawiedliwego i czystego oraz za sługę bożego. Jego dewizą mogłyby być słowa pewnego hiszpańskiego kardynała z końca XV wieku: „Względem skromności nikt mi nie dorówna”. Rabin Finkelstein, żyjący w świecie tłumnie wypełnionym aniołami i duchami, ożywionym przez sefiroty, czerpiący niezawodne oparcie u Najwyższego, którego niewysłowione imię przenikało cały wszechświat, był kimś w rodzaju czystego i uczonego czarodzieja, na którym z takim powodzeniem wzorował się Izaak Bashevis Singer w swoich co najmniej dwóch opowiadaniach, między innymi w *Koronie z piór*.

Rabin Finkelstein posiadał niezwykle liczną rodzinę, przysparzającą mu wielu strapień: miał cztery córki i sześciu synów, nie licząc tych dzieci, które pomarły przedwcześnie bądź nie zdołały sforsować niebezpiecznego progu narodzin. Stół w kuchni Finkelsteinów na rubieżach Polski w połowie XIX wieku stanowił swego rodzaju paradygmat nieśmiertelnej rodziny. Jeszcze w pięćdziesiąt czy

sześćdziesiąt lat później, w przededniu lub nazajutrz po pierwszej wojnie światowej Jeremiasz Finkelstein z rozczuleniem powracał myślą do tego wielkiego drewnianego stołu, nakrytego obrusem, ze świeczkami zapalonymi z okazji świąt Purim, Jom Kippur czy Rosz Haszana, przy którym rabin Finkelstein odmawiał modlitwy za zmarłych i z zamkniętymi oczami śpiewał psalmy. Stół ten był odbiciem i symbolem wszystkich rodzin świata, od uczt Salomona i królowej Saby poczynając, przez gody w Kanie, wielkie pijaństwa wikingów wypływających na Sycylię lub do Anglii, na Labrador i Grenlandię, na *asados* gauczów, którzy na argentyńskich pampach piekli nad ogniskiem barany i jagnięta, kończąc. Ja sam nieraz myślałem o posiłku Finkelsteinów spod Lublina, opisując sceny z rodzinno-książęcego życia starego Sosteniusza de Plessis-Vaudreuila w *My, z łaski Boga*. Obu patriarchów związanych z potomkami – jeden z potomkami proroków Starego Testamentu, drugi parów monarchii – dzielił margines tak niewielki, że trzeba było dopiero wszystkich antysemitycznych fobii, by zamienić go w przepaść, która pochłonie tyle ofiar.

Czwarty syn rabina Finkelsteina miał na imię Jeremiasz. Podobnie jak ojciec, choć w inny sposób, był marzycielem. Zdarzało mu się wejść na wzgórze czy przysiąć w lesie po to tylko, żeby uciąć sobie drzemkę. Ale w snach zwidywały mu się dalekie, obce kraje, niezwykle i niepojęte przygody, bogactwa, walki, namiętności oraz tłumy mężczyzn i kobiet, jakich nigdy nie widziało się w okolicach Lublina ani nawet w samym tym wielkim, pełnym niespodzianek i cudowności mieście.

Przez cały dzień w słońcu, przez całą noc bez Pandory, której nie było już wśród nas, rozmyślałem o przeszłości. Gdzież ona była, ta przeszłość na zawsze minioną, której strzępy daremnie próbowałem ocalić, docierająca do mnie niemal wyłącznie za pośrednictwem książek, opowieści i cudzych wspomnień? Nie spotkałem nigdy Verdiego ani Wrońskiego, ani rodziców Marie de Cossigny, ani obojga Herbignaców, ani Naryszkinów, ani Izaaka Finkelsteina, ani Metternicha, ani Ludwika Filipa, ani paragwajskiego dyktatora. Nie dałbym głowy, że rzeczywiście istnieli. Żyli we mnie takim samym życiem jak Ulisses, Desdemona, Manon Lescaut czy Cyd – życiem wyobrażonym, ja zaś nie wiedziałem o nich nic, znałem tylko krążące o nich legendy. Nawet ci, z którymi się

zetknąłem, byli już starcami, kiedy ich poznałem. Ale o ich młodości opowiadano mi z tyloma szczegółami i tak barwnie, z takim zaangażowaniem wyobrażałem sobie ich życie, że wydawało mi się, iż rozpoznałbym ich, gdyby cudem jakimś nagle się przede mną pojawili. Marie jeszcze jako panna, zielonooka, z jasnymi, grzecznie upiętymi włosami, o wypukłym czole i drobnych stopach; Wroński, niezależnie od wieku zawsze w swojej nieśmiertelnej futrzanej pelisie, z czupryną kędzierzawych włosów, z białymi, szczupłymi dłońmi; dwunasto- czy czternastoletni Jeremiasz Finkelstein o naiwnym spojrzeniu, z rozwichrzonymi włosami, o krótkich, nieskoordynowanych ruchach – nie spotkałem ich nigdy, ale wydawało mi się, że widzę ich niemal równie wyraźnie, jak Javiera kroczącego obok mnie drogą z Pienzy czy żywo i z humorem rozmawiającego ze mną na tarasie w San Miniato.

Cała ta przeszłość, znana czy nieznana, bezsprzecznie istniała. Zastanawianie się nad rzeczywistym istnieniem Metternicha czy Wrońskiego to szkolne ćwiczenie, w pełni usprawiedliwione – tyle że nikt nie uwierzy w jego użyteczność. Świat istnieje i ludzie istnieją, a to, że są nieobecni i że już ich nie widzimy, to za mało, by przestali istnieć. Współcześni Piotrowi Wasiliewiczowi Wiktor Hugo i Karol Marks podążali każdy swoją drogą i fakt, że się nie znali, nie przeszkadzał żadnemu z tej trójki wieść własnego niezależnego życia. Sprawy zaczynają się komplikować dopiero z chwilą śmierci – dokąd trafił Hugo? Dokąd trafił Wroński? – a jeszcze bardziej w przypadku zdumiewającej większości zmarłych anonimowo, o których historia nie pamięta; a już najbardziej, gdy w grę wchodzi sekrety i tajemnice, których nikt nigdy nie poznał. Co stało się z nieznanym sprawcą niewykrytej zbrodni? Co stało się z bezimiennym bohaterem przygód już wyjściowo utajonych i sekretnych? Jeśli nie we wspomnieniu, to gdzieś w przeszłości drzemią ukryte skarby, których całość składa się na naszą historię.

Piotr Wasiliewicz, Marie, Jeremiasz, Pandora i jej siostry żyli nadal – tym szczególnym życiem, jakie kreują wspomnienie i wyobrażenia. O Piotrze Wasiliewiczu, Jeremiaszu w Polsce, młodości Marie wiedziałem tylko tyle, ile opowiedziały mi cztery siostry, Marie, już wtedy sędziwa, oraz paru innych świadków tej zamierzchłej epoki.

Teraz, kiedy Pandora odeszła, a inni są nieobecni lub zabrała ich śmierć, nie zostało już prawie nic z tych opowieści podejmowanych wciąż na nowo i nigdy niekończonych. Odtworzeni na podstawie wspomnień po wspomnieniach, podpierani i uzupełniani wysiłkiem wyobraźni Wrońscy i Finkelsteinowie mającą gdzieś na odległych horyzontach; a ja, który nie wiem o nich prawie nic, wspominam, by mogli żyć dalej.

Sto lat temu, może dwieście, w każdym razie nie więcej niż trzysta, krótko mówiąc w pewnym bliżej nieokreślonym momencie swojej nieznaney historii przodkowie Florindy przybyli, wiadomo, z Afryki. Wystarczyło cofnąć się o pięć czy sześć pokoleń, no, najdalej o siedem czy osiem, a można było mieć pewność, że niemal wszędzie napotka się mężczyzn i kobiety urodzonych i mieszkających kiedyś w Afryce. Ale trudniej już ustalić, czym się tam zajmowali. Czy byli wojownikami, szamanami, myśliwymi, kupcami, rolnikami, może wodzami, a nawet władcami? Horyzont czasu zasnuwała gęsta mgła. Szwajcarskim wieśniakom, drobnej szlachcie francuskiej, angielskim marynarzom, niemieckim bankierom, Żydom z Portugalii i Egiptu zdarza się niekiedy wiedzieć co nieco o swoich pradziadkach i prapradziadkach. Brazylijscy Murzyni nie są aż tak oświeceni. Jedyne, co wiedzą na pewno, to to, że w okresie między XVI i XVIII wiekiem przebyli Atlantyckie wyspy w ładowniach statków z nogami skutymi łańcuchami. Tym sposobem cofają się w przeszłość – o której nie wiedzą zupełnie nic, z wyjątkiem tego, że na pewno była koszmarna – dalej niż wielu europejskich mieszczan.

Florinda posiadała własny tytuł do dumy: była czarnoskórą kobietą z Bahii, z Bahii de Todos os Santos, zwanej także Salvadorem. Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że zabawiam się w tych wspomnieniach w jakieś literackie referencje, ale tak się już składa – i cóż na to poradzę? – że tak jak rabin Finkelstein potrafił zainteresować sobą Singera, tak i krewni Florindy, ona sama oraz jej otoczenie dostarczyły inspiracji pisarzowi Jorge Amadzie, tak zawsze ciekawemu scenerii i ludzi z Bahii, oraz socjologowi Gilbertowi Freyre'owi, autorowi *Panów i niewolników* oraz *Ziemi cukru*. Nietrudno ich zrozumieć. Florinda była bowiem w rzeczy samej zadziwiającym stworzeniem, a w jej osobie w pełni dochodził do głosu wesoły i leniwy duch jej rasy.

Matka Florindy była niewolnicą i Florinda również urodziła się

w niewoli. Widziała, w każdym razie w najbliższym otoczeniu, nędzę, tortury, straszliwy ścisk slumsów i sławetne *pelourinho*, do którego panowie przywiązywali zbuntowanych niewolników. Jeszcze przed ustawą z 1888 roku znoszącą w Brazylii niewolnictwo jej pan, wielki posiadacz ziemski z Nordeste, zaprzyjaźniony z cesarzem, niespodziewanie ją uwolnił – być może wypełniając śluby złożone na wojnie z Paragwajem, gdzie został ciężko ranny. Miała trzydzieści, trzydzieści pięć lat; nikt dobrze nie pamiętał, w którym roku się urodziła. Na co dzień nie odczuła jakoś specjalnie zmiany swojego statusu. Nadal pracowała dla tej samej rodziny, tyle że teraz w zamian za kilka monet wypłacanych jej bardzo nieregularnie. Później, kiedy z uwagi na nieopisane potworności niewolnictwo zostanie zniesione, przytaczać się będzie liczne przykłady gwałtownych zmian, jakie nowy ustrój spowodował w życiu bardziej panów niż niewolników, niejednokrotnie kończących się ruiną, a w każdym razie buntem przeciwko monarchii. Bogaci często znacznie oporniej akceptują utratę przywilejów niż biedni fakt istnienia tychże. Florindzie nie przyszłoby do głowy opuścić ludzi, którzy przez długie lata okazywali jej – na miarę swoich możliwości – tyle dobroci i do których tak się przywiązała, że stanąwszy wobec przyszłości raptem otwierającej przed nią wachlarz zda się nieograniczonych możliwości i wyborów, poczuła niemal lęk przed wolnością. W Bahii opowiadano, że przerażona tą nową kondycją Florinda zaproponowała swojej pani dalszą służbę bez żadnego wynagrodzenia. Do walki klas było jeszcze daleko: musiała to być urocza tropikalna scenka w stylu Greuze'a z domieszką *Chaty wuja Toma* i przyprawiona sosem à la *Paweł i Wirginia*. Tak zaczęła się legenda Florindy.

W sercu podwójnej monarchii cesarstwa austro-węgierskiego – *k und k*, jak mówiono: *kaiserlich und königlich*, cesarsko-królewskiej – Marie de Cossigny z mieszanymi uczuciami lęku i spokoju zastanawiała się nad przyszłością. Nadal bywała z Paulem i Hortense Herbignacami, towarzyszyła im do opery i na pokazy *Spanische Reitschule*, gdzie od dwustu czy trzystu lat jeźdźcy w brązowych mundurach demonstrowali piruety na swoich sławnych lipizanach, piła z przyjaciółmi czekoladę z bitą śmietaną w modnych herbaciarniach, poprzedniczkach słynnego

Sachera, niekiedy nawet brała udział w dworskich balach w Hofburgu, na których podejmowała cudzoziemców cesarzowa Elżbieta, sławna Sissi z bawarskiej krainy jezior i lasów, na kilka lat przed wielkimi katastrofami i swoją śmiercią z ręki włoskiego anarchisty nad Jeziorem Genewskim.

Ówczesna Austria przypominała portret, jaki naszkicował jej Musil w *Człowieku bez właściwości* i Joseph Roth w *Marszu Radetzky'ego*. Wciąż jeszcze opierała się siłom przyszłości, które przeobrażając ją, spowodują jej rozpad. W Pradze Franz Kafka, Austriak, ale też Czech i Żyd, a z imienia również Niemiec, ubogi, wyniszczony gruźlik i geniusz, schwyta i załamie ostatnie promienie gasnącej gwiazdy. W Wiedniu doktor Freud, ostatnie ucieleśnienie wielkich mitów Zachodu, nowoczesna wersja doktora Fausta, zdobywającego praktykę na Don Juanie, wypełni grą światłocieni stoczony przez robactwo przybytek równowagi i milczenia. Następcy kompozytorów i malarzy dworskich: Schönberg i Alban Berg w muzyce, Klimt i Kokoschka w malarstwie obwieszczą narodziny nowego świata w najstarszym ze światów. Austro-Węgry z końca ubiegłego wieku tworzą system zasadzający się na namiętnościach. Maskujący, zamykający usta, zachowawczy. Język niemiecki pokrywa werniksem jedności języki węgierski, czeski, serbski, chorwacki, częściowo rumuński, polski i włoski, spełniając tę samą funkcję, co angielski na obszarach od płaskowyżów Assamu po Rzekę Świętego Wawrzyńca, od Kenii po Tasmanię. Białogóra, wąwozy Macedonii, Dolomity to Przełęcz Chajberskie monarchii dwugłowego orła. Podobnie jak imperializm rosyjski, a później radziecki, arystokracja austriacka ma swoje kolonie pod ręką, tak jak angielska – za morzami. W Wiedniu rządy sprawuje armia, którą uosabia cesarz; w Londynie prym wiedzie Navy, uosabiana przez królową. W pałacach pełnych białych mundurów trwają tańce na przyszłych rewoltach, o których pewne pojęcie i których przedsmak dał już rok 1848. Pogłoski o nich próbuje się zagłuszyć walcami Straussa, ukryć pod piórami dwurożnych kapeluszy, kasków i wachlarzy. Dunaj, główny filar i symbol pozornej jedności, przecinający Europę od niemieckich wyżyn po ujście do Morza Czarnego, unosi w swoim nurcie po trochu wszystko: niemiecką nostalgię, madziarskie horyzonty,

słowiańskie rozterki, łacińskie aspiracje. Cesarski Wiedeń jest jednym z centrów Europy, która leży w epicentrum świata.

Marie mówiła sobie, że mogłaby ewentualnie żyć pośród tej układanki, z dzieckiem czy bez. Z dała od rodzinnych stron Charentes mogłaby być Rosjanką. Wyobrażała sobie siebie jako Niemkę, Węgierkę, Włoszkę, może nawet Serbkę. Właściwie czemu nie? Wyjechałaby do jednego z tych zakątków, które wciąż jeszcze były Austrią, choć przestały już nią być – może do Tyrolu lub któregoś z tych kurortów, gdzie czas raz na zawsze stanął w miejscu? Od Hortense Herbignac, zwanej przez przyjaciół Hachache, jednej z tych kobiet, których główną racją istnienia jest oddawanie przysług innym i zajmowanie się nimi, dopóki swoimi radami i dobrocią kompletnie nie zatrują im życia, zdobyła adres Cyganki, z pomocy której korzystali zabójczo sentymentalni oficerowie w białych mundurach, kiedy trzeba było ratować z opresji kochanki.

– Ale po co ci ten adres? – pytała Hortense, która o niczym nie wiedziała.

– Zawsze może się przydać – odpowiadała Marie, śmiejąc się trochę zbyt głośno nad filiżanką czekolady z wielką ilością bitej śmietany.

– Tobie? – chciała wiedzieć Hortense.

– Niewykluczone, że mnie. Albo innym.

– Ejże! Przecież nikogo tu nie znasz.

– Gdybym nikogo nie знаła, nie byłby mi potrzebny.

– Ale, ale... powiedz mi tylko... – zaczęła Hortense z dziwnym uśmiechem.

– Nie wiem – wyszeptała Marie. – Nie wiem...

– Marie, moje ty biedactwo... – zawołała Hortense, ujmując ją za rękę, a wtedy ona, u kresu sił, wybuchnęła płaczem.

Kiedy tylko Marie – słynąca z apetytu, który nie opuszczał jej nawet w najczarniejszych chwilach – dopiła czekoladę, Hortense przejęła w swoje ręce los nowej przyjaciółki, której odtąd jedynym zadaniem było żyć. Z dzieckiem czy bez, wciąż nie wiedziała. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia: była przy niej Hortense, Hortense się wszystkim zajęła.

Asunci3n do5c szybko udało si3 ponawiazywać znajomości z ministrami, członkami trybunału sprawiedliwosci, obszarnikami, bankierami, wielkimi hurtownikami. Dobywajac z wlasnej, skadinaad calkiem zasobnej sakiewki kilkaset pesos, pozyskala sobie ksi3zy i zakonnice. Uchodzila za hojna i litościwa dla ubogich. Przyzwyczajono si3 do jej obecności w pałacu rządownym na kolacjach w wąskim gronie, na uroczystościach z udziałem pań z towarzystwa, na dobroczynnych wentach na rzecz ofiar katastrof naturalnych, służacych za parawan i alibi w obliczu katastrof społecznych. W niedziel3 u boku kochanka uczestniczyła we mszy w katedrze. Nieraz widywano, jak osłoni3ta szalem obserwuje zza żaluzji publiczne egzekucje. W tym pylistym mieście, gdzie pałace słońce przeplatało si3 z ulewnymi deszczami, szeptano, że to ona decyduje o karze śmierci lub ulaskawieniu. Krążyły słuhy, że Generalísimo, zbawca ojczyzny i dożywotni prezydent, dzieli si3 z nią władz3.

Kolejnym etapem było ściślejsze właczenie si3 Asunci3n z Maubeuge w dzialania rządu. Zachowujac milczenie, wzięła udział w kilku posiedzeniach rady ministrów oraz reprezentowała dyktatora na imprezach ludowych. Wszystko szło jak z płatka. Nauczyła si3 hiszpańskiego, zasmakowała we władzy, a Paragwajczycy byli zachwyceni, że jest blondynką. I została już tylko jedna rzecz, zakłócająca harmonię całości obrazu: cudzoziemcy, a w szczególności dyplomaci akredytowani w Paragwaju, którzy, świadomi wlasnego znaczenia, nie pozwalali sob3 manipulować tak łatwo jak notable, ministrowie, sędziowie czy obszarnicy. Mówiło si3, że konsulowie i sekretarze ambasad otwarcie podkpiwają sob3 z Mado z Villarica, dziewczki z Maubeuge, która dostąpiła takiego Wniebowzięcia^[1]. Podczas kolacyjek w męskim gronie konsul francuski chętnie przytaczał anegdot3, jak to podczas swojego ostatniego urlopu spotkał si3 w Paryżu z pewnym kapitanem dragonów, bywalcem Folies-Bergère. Panowie szybko przeszli do wspominków i rozmowa zesła na Mado z Maubeuge.

– A niech mnie! Z tego, co pamiętam... Ta Mado to dopiero był numer!

– Nie zna pan przypadkiem też i dyktatora Paragwaju? – zadał

ostrożne pytanie konsul.

– Osobiście nie, ale to kompan z pułku.

– Kompan z pułku? – powtórzył konsul z niejakim zdziwieniem, bo pierwsze słyszał, żeby prezydent służył kiedykolwiek w armii francuskiej.

– A tak, byliśmy w jednym korpusie.

Te oraz inne dykteryjki, o których donosili rządowi szpicle, dotarły w końcu do uszu prezydenckiej pary. Nie wywarły korzystnego wrażenia. Dyktator musiał stawić czoło scenie urządzonej przez Asunción, która skarżyła się, że różni dowcipnisie mieszają ją z błotem, a tymczasem jej własny kochanek, jak się okazuje, nie potrafi sobie z nimi poradzić. Zagroziła, że wyjedzie z Paragwaju i wróci do Paryża, gdzie, jak twierdziła, mężczyźni tylko czekają, by udowodnić jej swoją odwagę i przychylność. Nieprzytomny z wściekłości i upokorzenia prezydent postanowił pójść na całego. Pułkownikowi, który był szefem protokołu oraz mistrzem ceremonii, polecił zwołać dyplomatów akredytowanych u Ojca Ojczyzny i powiadomić ich o jego decyzjach.

To chyba właśnie tego wieczoru po śmierci Pandory, wróciwszy z przechadzki po pokrytych kurzem drogach Toskanii w towarzystwie widm i Javiera Romery, wpadłem na pomysł, by napisać coś o czterech siostrach O'Shaughnessy. Od kilku lat nic nowego nie wydałem. I nie bez powodu. Przeogromna masa nowych książek napełniała mnie zniechęceniem, na które jedynym lekarstwem było milczenie. Zmierzamy ku czasom, mówiłem sobie, kiedy pisarzy będzie więcej niż czytelników i kiedy, pośród całej tej powodzi memuarów sportowców i biznesmenów, sporządzanych pod publikę *dossiers*, zręcznie preparowanych książek kucharskich z przeznaczeniem na jesienne weekendy lub pikniki na plaży jedynie kilka niepospolitych umysłów upojonych literaturą oprze się chęci nazywania się pisarzami. Powodowany słabością pozwoliłem sobie na napisanie około setki stron o zmyślonych żywotach, jakie mógłbym prowadzić. I nawet nie musiałem ich niszczyć, jak to robią dobrzy autorzy. Po prostu gdzieś je zapodziałem. Poniewierają się pewnie teraz w szufladzie jakiejś komody lub w starej walizce. Przeciwności losu i kłopoty oddaliły mnie od ojczyzny. Włochy i Toskania mimo nacjonalizmu gospodarczego

i kontroli wymiany walutowej raz jeszcze stały mi się pociechą i azylem. Od czasu do czasu posyłałem do Paryża jakiś artykuł, poza tym jednak wiodłem życie wypełnione lekturą, w którym przeszłość zajmowała więcej miejsca niż przyszłość.

Z dala od zgiełku wielkich miast mój dom w San Miniato, między Montepulciano i Pienzą, był prosty i piękny. Wielkie domostwo barwy ochry, z zielonymi okiennicami, starą bramą pośrodku, do której wiodło kilka stopni, i dwiema przysadzistymi wieżami po obu bokach. Nie było tu morza ani rozległego ogrodu, posągów ani fontann. Ale obok tarasu, na którym spędzałem – pisząc, czyli nie robiąc nic – najpiękniejsze chwile, rosły dwa cyprysy i trochę winorośli. Nie zamierzam opisywać San Miniato ani Pienzy, ani Montepulciano, ani umbryjskiej i toskańskiej prowincji, które były dla mnie przeżywanym wciąż od nowa szczęściem. Jak będziecie mieli ochotę, jedźcie i sami zobaczcie. Do czego gorąco was namawiam. Opisy mnie nudzą. Często je przeskakuję. W książkach interesują mnie przecie wszystkim ludzkie losy oraz ta – jakby to powiedzieć? – ta pewna jakość czasu, której nie są w stanie oddać sami tylko historycy.

Została mi garść wspomnień z własnego życia oraz strzępki opowieści o cudownych czasach, w których żyliśmy. Niekiedy w zimowe wieczory przepowiadałem je sobie, oddając się marzeniom przy kominku lub spacerując po dworze wśród drzew oliwnych. Owe wspomnienia i opowieści, rozproszone i przypadkowe, wyłaniając się raptem spod pokładów przeszłości, tworzyły coś na kształt pełnego luk i kraterów krajobrazu, przenoszącego mnie na chybił trafił na różne kontynenty i w minione lata. Pojawiały się przede mną obrazy z Brazylii i Nowego Jorku, z Włoch Mussoliniego i hitlerowskiej Bawarii, Hongkongu zawieszzonego między dwoma światami, Szkocji zastygłej w bezruchu i Irlandii jak zawsze w ogniu; łączyła je ze sobą sekretna więź mojej wyobraźni. Minął ledwie wiek, może nawet mniej, i oto żyjemy w świecie, w którym nie ma żadnych „gdzie indziej”. Za pośrednictwem nas samych, za pośrednictwem tych, których znamy, za pośrednictwem gazet i obrazów, jednym słowem, za pośrednictwem historii, przeszłość każdego z nas – i nasza przyszłość – wykracza daleko poza miejsce naszego urodzenia i zamieszkania. Na co dzień równie

dobrze możemy żyć w Libanie, w Kongu, w Chinach, na płaskowyżach Boliwii, równinach nad Mekongiem, jak i w Plessis-lez-Vaudreuil czy Saint-Chély-d'Apcher. Magiczny i posępny kalejdoskop pamięci i wyobraźni rekonstruuje okruchy nas samych, i przestrzeń, i czas.

Plessis-Vaudreuilowie, moja rodzina, o której wspominałem tu i ówdzie, odgrywali w moim życiu znaczną, a bywało, że i przytłaczającą rolę. Utrzymywane na dystans przez wszelkie możliwe bastiony tradycji świat i jego historia tylko czekały, by wymierzyć zemstę i dopaść mnie ze wszystkich stron. Docierały do mnie fragmentami, chaotycznie, pod różnymi pretekstami i przy różnych okazjach, aż wreszcie nieoczekiwane nieszczęście powiązało między sobą owe błędne obrazy. Nagle ułożyły się w jedną całość jak na tych dziecinnych obrazkach, na których dostrzega się zniecka ukrytego wśród liści kota lub królika. Śmierć Pandory stawiała w centrum świata – takiego w każdym razie, za jaki ja go uważałem, tego, w którym żyłem – promienny obraz czterech sióstr O'Shaughnessy.

Hortense, rozsądna Hortense, skrywała tajemnicę. Jej mąż, Gustave Herbignac, urodzony w Niort za panowania Ludwika XVIII, już w bardzo młodym wieku wzbogacił się na handlu koniakiem. Interesy zawiodły go do Lizbony, gdzie od Portugalczyków nauczył się, jak sprzedawać porto, i do Londynu, gdzie od Anglików nauczył się, jak je pić. Przez trzydzieści czy czterdzieści lat żył tylko jedną myślą, ale to ona zadecydowała o całym jego życiu: dlaczego katolicycy rycerze imperium austriackiego nie mieliby polubić tego, co od stu lat, a konkretnie od traktatu Methuena, dostarczało takich rozkoszy protestanckim marynarzom imperium brytyjskiego? Za porto poszła whisky, szampan, koniak. Znaczna część tego, co z namaszczeniem i niezamierzoną żartobliwością nazywał handlem spirytualiami, w podwójnej monarchii austro-węgierskiej przechodziła przez jego ręce. Osiedli w Wiedniu u schyłku monarchii lipcowej czy też w początkach Drugiego Cesarstwa Gustave Herbignac był jednym z tych zażywnych mieszczan, wielbicieli *Nędzników* i zagorzałych wrogów Komuny Paryskiej, którzy w późniejszych latach, kierując się przekonaniem oraz troską o interesy, opowiedzieli się za konserwatywną Republiką i zwykle rzadko opuszczali granice kraju ojczystego. On sam uważał, że porywa

się na awanturnicze, graniczące wręcz z lekkomyślnością życie, gdy postanowił osiedlić się w Wiedniu, gdzie w odległości dwudziestu minut drogi kareta od centrum i od Hofburga zajmował wielki, wygodny dom – *gemütlich*, jak sam mówił – w którym zatrudniał węgierskich stangretów i francuskie pokojówki. Interesy sprawiały, że utrzymywał kontakty z całą arystokracją austriacką i węgierską, która – nieco *hochnäsig*, co było innym powiedzonkiem Gustave’a – z rozbawieniem i poczuciem pobłażliwej wyższości uważała go za skrzyżowanie właściciela jakiegoś ogromnego *bistrot* z nowoczesnym wydaniem mieszczanina-dżentelmena. Ze swoim monoklem, czarną, starannie przystrzyżoną bródką, noszącą czasem ślady po wytwornych kolacjach, na których podejmowano go bardziej z powodu urody i wdzięku żony niż jego własnych zasług, w czarnym surducie nie najprzedniejszego kroju, opinającym tęgą sylwetkę, Gustave Herbignac zapraszany był jakby dla podkreślenia kontrastu między nim a jego klientami, szczupłymi, aroganckimi, gładko wygolonymi oficerami w białych obcisłych mundurach. On sam, powodowany snobizmem, idącym u niego w parze z nosem do interesów, nieraz odczuwał pokusę, by upiększyć partykułą swoje nazwisko, które się wprost o to prosiło. Od czasu do czasu, przy wtórze śmiechu żony, w rozkosznych marzeniach widział się jako barona lub wicehrabiego d’Herbignac.

Wśród klienteli Gustave’a Herbignaca obok wielmożów austriackich i węgierskich byli też przemysłowcy, dziennikarze, profesorowie, przybysze z Serbii i Polski. Pewnego dnia w drodze z Niemiec do Rosji, lub na odwrót, zjawił się hrabia Wroński. Za następnego pobytu po kilku odegranych z uczuciem polonezach, kilku wieczornych spacerach po ogrodach cesarskiego Wiednia Piotr Wasiliewicz – łązy, zdarta woalka, drobnomieszczańskie skrupuły damy, ciasteczka w herbaciarniach, słowiańskie zaklęcia nad Dunajem – został kochankiem Hortense.

Zamek Glangowness w Szkocji ma w sobie coś komicznego. Położony wśród wzgórz porośniętych wspaniałymi drzewami reprezentuje gotyk w wydaniu z roku 1830. Zniszczony co najmniej dwukrotnie i odbudowywany niemal kamień po kamieniu, w posiadaniu tej samej rodziny w kolejnych jej wcieleniach od pięciuset czy sześciuset lat, był

dziedziczony niemal wyłącznie w linii żeńskiej. Na zaproszenie jego właścicieli, dalekich krewnych Plessis-Vaudreuilów, wielokrotnie w nim gościłem: dwa razy z dziadkiem, który chętnie tu przyjeżdżał zapolować na lisa lub cietrzewie, ale częściej sam lub z braćmi Romero przed drugą wojną światową i po niej. W czasach, kiedy Wroński spotykał się z Hortense Herbignac w wiedeńskich *Weinstuben*, a Jeremiasz Finkelstein oddawał się marzeniom nie wiedzieć o czym w starych stodołach i młynach w okolicach Lublina, w przepastnych komnatach zamku Glangowness lord i lady Landsdownowie wiedli w najwyższym stopniu konwencjonalne i odcięte od świata życie. Tutejsza egzystencja pod wieloma względami przypominała – w wydaniu może nieco sztywniejszym i bardziej dostatnim – tę, którą znałem z najwcześniejszych lat mojego dzieciństwa w Plessis-lez-Vaudreuil. Podobnie jak Żydzi, jezuici, skrzypkowie i zawodowi rewolucjoniści międzynarodówka starej, zręczliwej i wyniosłej arystokracji funkcjonowała bezbłędnie. Warto byłoby zatrzymać się nieco dłużej przy tym temacie i poświęcić owemu zjawisku mikrosocjologiczne studium, w którym zamiast podążać ścieżkami czasu, zestawiloby się w przestrzeni styl życia starych rodów w krajach, w których rozkwitły, by następnie zmarnieć. Mogłoby się wtedy okazać, że z powodów natury geograficznej, historycznej, psychologicznej, a niewykluczone, że i moralnej, Landsdownowie – którzy zgodnie z obyczajem brytyjskim, z przyczyn niejasnych i kompletnie niezrozumiałych, a typowych dla angielskiej arystokracji, nazywali się także oraz przede wszystkim McNeill – byli bardziej od Plessis-Vaudreuilów otwarci na świat. Matka lorda Landsdowna w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych, oczywiście ubiegłego wieku, była wzbudzającą lęk awanturnicą, w której żyłach płynęła krew maharadzów i braminów. Ślady krwi brytyjskiej można było odkryć jedynie na jej rękach; wielu mniej lub bardziej otwarcie oskarżało ją o zgładzenie z pomocą wiernych sikhów pierwszej żony generała brytyjskiego, którego następnie poślubiła. *How ghastly! How frightful! Revolting! Appaling!* – wykrzykiwała w sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat później miss Evangeline Prism, stara *nanny* Pandory, wtajemniczana z beztroskim chichotem w te rodzinne sensacje. Plessis-Vaudreuilowie przenigdy w świecie nie mogliby się pochwalić

podobnymi przodkami – ani się takowych powstydzic. We wczesnych wiekach średnich, nie powiem, nawet jeszcze w czasach Odrodzenia... Ale żeby w XIX wieku! Jak zarazy unikaliśmy awanturnic i cudzoziemek. Żeniliśmy się z kuzynkami, z bratanicami, z siostrami szwagrów. Z poślubianiem Żydówek, Niemek czy rozwódek musieliśmy czekać aż do końca wieku. Tymczasem jeszcze przed wstąpieniem na tron królowej Wiktorii zdarzali się Brytyjczycy, którzy brali sobie za żony Hinduski.

Przy czym tak się złożyło, że ta Hinduska była bajecznie bogata. Szmaragdy, ziemie, sługi, pałace oraz mnóstwo funtów szterlingów w starym banku w City. To właśnie owe szmaragdy pochodzące ze zbrodni umożliwiły lordowi Landsdownowi, starszemu synowi byłego generała wojsk indyjskich, renowację i utrzymywanie zamku w Glangowness, wniesionego mu w posagu przez młodą Szkotkę, niezbyt urodziwą i biedną jak mysz kościelna, za to znakomicie urodzoną.

Innej różnicy między Plessis-Vaudreuilami i Landsdownami upatrywać można było w milczeniu. My mówiliśmy rzeczy błahe, nieścisle, często niemądre. Ale mimo upodobania do długich chwil ciszy, kiedy to mogliśmy nie myśleć o niczym, jednak rozmawialiśmy. Landsdownowie – nie tak jak mój dziadek, chętnie od czasu do czasu wspominający *ancien régime*, wojsko czy polowania z naganką – milczeli. Prześwietna ta rodzina, używająca raz nazwiska Landsdown, raz McNeill – nie mówiąc już o rozlicznych innych tytułach używanych w sytuacjach ściśle określonych, a zarazem, dla nas przynajmniej, całkowicie niezrozumiałych – zdawała się dysponować skromniejszym zasobem słów potocznych na potrzeby codziennej pogawędki niż nazw własnych na określenie samych siebie. Opowiadano, że pod koniec życia emerytowany generał i zbrodnicza Hinduska, niedowidzący i niemal głusi, zasiadając sztywno i w całkowitym milczeniu na krzesłach z wysokim oparciem po dwóch przeciwległych krańcach olbrzymiego stołu, sprawiali wrażenie istot z zaświatów, przybyłych, by dać temu światu lekcję poprawnych manier.

Sędziwą parę otaczało zewsząd mnóstwo ludzi. W kuchniach i stajniach zamku Glangowness można było spotkać licznych

przedstawiciele dickensowskiej galerii postaci. Niekiedy nawet człowiek wybiegał myślą do Agathy Christie i jej przyszłych bohaterów. Szef służby z siwymi bokobrodami, francuskie pokojówki, stangreci sprowadzani z Bengal, blisko dwumetrowi lokaje, stajenni, najczęściej Irlandczycy, miejscowe kuchciki – wszyscy oni tworzyli dwór, będący zarazem rodziną; Plessis-Vaudreuilowie nie mieli ich odpowiedników. W pomieszczeniach służby królowała niemal taka sama wyniosłość, co w wielkich salonach i jadalni obwieszonych gobelinami i obrazami, które przedstawiały wydające ostatnie tchnienie dziki, zwisające za łapy bażanty oraz dzikie gęsi. W dziwny jednak sposób szła ona w parze ze swoistą prostotą. Wszystko razem składało się na wielkopańskość, której my, w Plessis-lez-Vaudreuil, stanowiliśmy jedynie prowincjalną, katolicką i zubożałą wersję.

Cechą charakterystyczną milczenia Landsdownów – a w pewnej mierze całej angielskiej arystokracji i w gruncie rzeczy większości Anglików – było pochrząkiwanie. Landsdownowie pomrukiwali, pochrapywali, postękiwali, poświstywali i pojękiwali, niemal w milczeniu dobywając z siebie onomatopeje i odgłosy, których znaczenie zrozumiałe było jedynie dla wtajemniczonych. Etnologiczne studia nad arystokracją brytyjską, do których wniosło już swój cenny wkład tylu badaczy i pisarzy, zwłaszcza w dziedzinie ekspresji językowej – by wspomnieć tu słynny podział na *U* i *non-U* – powinny ustalić, czy ów specyficzny kod i owe sygnały dźwiękowe z pogranicza mowy artykułowanej były wspólne dla całej arystokracji brytyjskiej, często uprawiającej tego typu ćwiczenia, czy też zarezerwowane wyłącznie dla gatunku McNeillów i Landsdownów. Ja sam zetknąłem się w okresie międzywojennym czy to bezpośrednio, czy pośrednio z paroma próbkami tych nieprawdopodobnych odgłosów i skłonny jestem uważać, że nikt w świecie z wyjątkiem samych Landsdownów – nawet profesor Higgins o twarzy Rexa Harrisona, który w *Pygmalionie*, inaczej *My Fair Lady*, wtajemnicza w subtelności fleksji i pułapki języka angielskiego pannę Audrey Hepburn z domu Doolittle – nie byłby w stanie zrozumieć owych niewysłowionych poszczekiwań czy tego z rzadka przerywanego milczenia. Nie było rzeczy stosowniejszej, elegantszej, poprawniejszej niż ta nieokreślona granica między językiem

a jego nieobecnością, w jakiej – chwiejni, sztywni, utykający i nieporuszeni – trwali w stanie uporczywej i niepewnej równowagi Landsdownowie.

Za dziesięć dni przypadało święto narodowe Paragwaju. Szef protokołu z niejakim zakłopotaniem powiadomił Ich Ekscelencje, że zostaną z tej okazji podjęci przez prezydenta, któremu towarzyszyć będzie mademoiselle Asunción, wyniesiona do godnej pozazdrosczenia pozycji jego oficjalnej kochanki. Celem uświetnienia owego wywyższenia ustanowiony zostaje specjalny protokół; usilnie uprasza się Ich Ekscelencje, by się do niego zastosowali: prezydent i jego towarzysza zasiadać będą na ustawionych na podwyższeniu, pokrytych czerwonym pluszem tronach; przed jednym i drugim tronem kolejno przedefilują dyplomaci i konsulowie; zgodnie z tradycyjnym protokołem oddadzą pokłon przed głową państwa oraz złożą mu życzenia chwały dla kraju i pomyślności osobistej; następnie przejdą przed tron, na którym zasiadać będzie pierwsza dama kraju, i na znak hołdu ucałują jej stopę.

Oświadczenie szefa protokołu powitało pełne konsternacji milczenie. Trwało kilka sekund, dziesięć, może dwadzieścia: wydały się wiecznością. Po czym nagle podniosła się gwałtowna wrzawa pomruków, okrzyków i zapytań. Toż to rzecz niesłychana, nie do przyjęcia, ultimatum, szantaż, niedopuszczalna prowokacja, bezprecedensowe upokorzenie, wypowiedzenie wojny cywilizowanym narodom.

– Panowie! – powtarzał szef protokołu. – Panowie!...

– *Unbearable!* – zawodził poseł Stanów Zjednoczonych, którego ojciec walczył u boku Washingtona. – To zamach na prawa człowieka i demokrację...

– Niedopuszczalne! – wtórował mu konsul francuski. – Nigdy jeszcze od 1789 roku i proklamacji nieśmiertelnych zasad...

– *Um Gottes Willen!* – czało się konsulowi pruskiemu. – *Unerträglich... Unbeschämt...*

– *Per la Madonna!* – nie posiadał się z oburzenia Włoch.

– Panowie... – powtarzał szef protokołu. – Panowie! Bardzo proszę...

Pierwszym odruchem całego korpusu dyplomatycznego było

odwołać się a to do Foreign Office, a to do Staatskanzlei, a to do Departamentu itp. Ale jak zdobyć na czas niezbędne instrukcje? Podróż tam i z powrotem zajmowała dwa miesiące, tymczasem zostało już tylko dziesięć dni! Poseł hiszpański, magnat zesłany do Ameryki Południowej z niewiadomych powodów, a może po prostu z powodu swojej głupoty i przeciętności, jako pierwszy zdecydował się poświęcić honor na ołtarzu Hispanidad. Owszem, pójdzie, ale łańcuch Złotego Runa, któremu zawdzięczał godność granda i przynależność do jednego z najstarszych rodów Starej Kastylii, zostawi w domu w wyściełanym satyną puzderku.

– To, że u stóp kurwy – *a los pies de la puta*, oznajmił – mnie tam obojętne, ale mój baranek by tego nie zdzierzył.

Konsul francuski przeprowadził szybką kalkulację pod kątem swojej gaży, swojej kariery i swojej rodziny – w tej właśnie kolejności. Pan Duchaussoy de Charmeilles zyskał sobie niemal sławę z powodu depezy, jaką wysłał do swojego ministra w okresie, kiedy był wicekonsulem w Czarnogórze. Syn jego, młodzieniec podówczas niespełna dwudziestoletni, zadurzył się namiętnie w pewnej francuskiej aktorce odbywającej tournée po Bałkanach. By zdobyć środki na sprowadzenie jej do Raguzy i zapewnienie utrzymania chociaż przez kilka dni, sprzedał tureckiemu kupcowi za marne grosze obraz, który był powodem do dumy – właściwie jedynym – francuskiego konsulatu w Cetinje, a przedstawiający wkroczenie marszałka Marmonta do Raguzy, dziś zwanej Dubrownikiem. Zamianie portretu marszałka Francji w wyimaginowanej Raguzie na pobyt z istotą z krwi i kości w prawdziwym mieście, którego fortyfikacje opadały stromo w morze, nie brakowało pikanterii oraz pewnej dozy zdrowego rozsądku. Innego był jednak zdania inspektor wizytujący konsulaty, który, pech chciał, akurat w tym właśnie czasie odwiedził Czarnogórę. Zdenerwowany pan Duchaussoy de Charmeilles zmuszony był wysłać do swojego ministra ową sławetną depezę, która wywołała wielkie rozweselenie w Departamencie, a zaczynała się tymi słowami: „Jego Ekscelencja samej będąc ojcem zrozumie lepiej niż ktokolwiek...”.

W obliczu tego nowego dopustu – teraz już nie syn romansował z gwiazdą kabaretu, ale on sam miał całować nóżki damy z półświatka – pan Duchaussoy de Charmeilles, przez wszystkich swych drogich

kolegów zwany „Samej będąc ojcem”, musiał podjąć szybką decyzję. Uznał, że najlepsze będzie rozwiązanie, które narobi jak najmniej szumu. Mając nadzieję, że w Pałacu Burbońskim, w Closerie des Lilas, gdzie czasami bywał, w małym miasteczku w departamencie Cher, gdzie spędzał wakacje, i już zwłaszcza wśród mieszkającej w Wandei rodziny żony nikt o niczym się nie dowie, postanowił pocałować nogę Mado z Maubeuge, która, było nie było, też przecież na swój sposób przyczyniała się do ekspansji cywilizacji francuskiej.

Włoch, śmiejąc się gromko, nie wahał się długo. Zamierzał uczynić nawet więcej niż to, czego od niego oczekiwano i, muskając stopę przystrzyżonym wąsem, popieścić przy okazji całą nóżkę. Zdradzając swój plan, puszczał oko i nie krył nadziei, że doświadczenie z tym niecodziennym pocałunkiem zdoła przekształcić w namiętny romans.

Konsul pruski poskromił wzburzenie, przywołując w sukurs swoje poczucie dyscypliny. Jego rodzina i on sam walczyli lub mogli byli walczyć pod Lipskiem, Dreznem, Sadową, Sedanem. Uznał, że trzeba umieć zdobyć się na poświęcenie, gdy w grę wchodzi handel zagraniczny Prus oraz prestiż kulturalny Niemiec. Pocałuje tę przeklętą stopę. I, by usprawiedliwić się we własnych oczach oraz wykrzesać z siebie zapał do całego przedsięwzięcia, zacytował dwa piękne wersy Goethego, w których mowa o ulicznikach bliskich wniebowzięcia, choć nie miały nawet na imię Asunción:

*Unsterbliche heben verlorene Kinder
mit feurigen Armen zum Himmel empor.*

Tylko poseł angielski się nie odzywał.

– A pan, sir Reginaldzie? – pytano go. – Cóż pan zamierza?

Ale sir Reginald milczał, szarpiąc obwisłe rude wąsy.

Olinda w Brazylii to przedmieście Recife. Jeszcze i dziś obok Bahii, obok Ouro Preto w Minas Gerais, jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Belo Horizonte, gdzie w stanie niemal nietkniętym zachowała się klasyczna architektura kolonialna, obok przepięknej drogi krzyżowej w Congonhas do Campo, dzieła Alejandinha, kalekiego i genialnego brazylijskiego rzeźbiarza z XVIII wieku, obok szalonej Opery w Manaus w samym sercu Amazonii, obok oczywiście Brasílii – Olinda w opowie przyrody pustoszonej przez susze stanowi jedną z najpiękniejszych

scenerii Brazylii, a niewykluczone, że i całego kontynentu. Żył kiedyś w Olindzie wędrowny handlarz o pięknym, choć na co dzień może nieco zbyt przytłaczającym imieniu: Pericles Augusto. Pericles Augusto, z pochodzenia pół Włoch, pół Portugalczyk, sprzedawał noże, drewniane grzebienie, sorbety z marakui, składane dziecinne zabawki oraz, na specjalne zamówienie, *cacatoès*. Wiele podróżował docierając do Belem, do Bahii, niekiedy nawet do Manaus, wymieniając tu i ówdzie sandały na pióra i koce na barwnie mieniające się kamienie, niekiedy półszlachetne. Kamienie osadzone w naszyjniki sprzedawane były potem na targach miejscowym elegantkom; z piór powstawały wachlarze, trafiające w dłoniach młodych panien nawet na bale u gubernatora w Bahii lub Recife. Czterdziestopięcioletni czy pięćdziesięcioletni Pericles Augusto, o czarnych oczach i sumiastych wąsach, był, jak to się mówi, pięknym mężczyzną; trudno byłoby zliczyć jego przygody ze służącymi w oberżach i kupieckimi żonami. Utrzymywał kontakty z ludźmi najprzeróżniejszego autoramentu; z myśliwymi i rybakami, z Indianami z interioru, z *cangaceiros*, z piratami z *sertão*, z uchodźcami z Cayenne, którzy znaleźli schronienie na północnym wschodzie Brazylii; jedni uważali, że jest szpiclem na usługach policji i rządu, inni, że wprost przeciwnie – lub jednocześnie – dostarcza informacji bandom rzezimieszków grasujących w owym czasie po tych terenach.

Pewnego pięknego poranka, kiedy skończyła się pora deszczowa i słońce przydawało intensywności niebieskim, zielonym i czerwonym barwom domów na wyżynach i nad brzegiem oceanu, Pericles Augusto przebywający przejazdem w Bahii, dokąd przybył drogą morską przed dziesięcioma dniami celem załatwienia jakiegoś podejrzanego interesu z gąbkami – za którym równie dobrze mógł kryć się handel bronią – przechadzał się ze spokojem w sercu i z cygarem w ustach pośród kapiących od złota kościołów i skrzykniętych na oczekaniu orkiestr, w których weseli Murzyni akompaniowali na tamburynach, trąbkach i gitarach przejmującym, a przecież radosnym piosenkom. Pericles Augusto mówił sobie właśnie, że życie może być całkiem znośne, o ile człowiek ma jednocześnie słońce, cygaro i haftowaną koszulę, gdy nagle ujrzał scenę, która z miejsca przykuła jego uwagę. U wylotu uliczki pełnej kafejek i malowniczych sklepików, biegnącej w górę na rozległy

plac, na którym wznosiła się katedra, klębił się orszak czarnoskórych dzieci. Biegały, śmiały się i śpiewały w wirze młodości, w huraganie wesołości.

Powodem i ośrodkiem tego wędrującego zgiełku była rośła i tęga Murzynka ubrana na niebiesko, z ramionami obwieszonymi miedzianymi bransoletami, niosąca na głowie koszyk z bielizną i owocami. Tanecznym krokiem sunęła przed siebie otoczona tłumem wielbicieli, którzy dowcipkowali pod jej adresem, gwizdali i wydawali okrzyki radości. Od czasu do czasu z wdziękiem zaskakującym przy jej masywnych kształtach niebieska Murzynka sięgała płynnym gestem do koszyka po owoce i rozdawała je komu popadło, a wtedy okrzyki i kuksańce przybierały na sile. Walczono o banana, o mango, a chyba jeszcze bardziej o zwrócenie na siebie uwagi bogini. Tym, którzy nie dostali nic, posyłała uśmiech lub przyjaznego kuksańca. Wrzawa rośła. Ona zaś nieporuszona, w palącym słońcu, w rytm muzyki niewidzialnej orkiestry sunęła przed siebie rozkołysanym krokiem, harmonijnym i rytmicznym. Sprawiała wrażenie jakiegoś gigantycznego posągu nagle wprawionego w ruch, Junony zrodzonej z Chama, tropikalnej Wenus osmalonej paleniskiem kuźni, żony Baltazara nareszcie objawionej światu. Ach, czy nie była przypadkiem prapraprawnuczką królowej Saby zesłanej do Bahii? Może nieznanym bóstwem, które zstąpiło z Olimpu, gdzie marmur miał kolor czarny?

– Christi! – zagwizdał przez zęby Pericles Augusto.

I odrzucił cygaro.

Kiedy Jeremiasz Finkelstein skończył szesnaście lat, w jakieś trzy czy cztery lata po jego bar micwie przydarzyła mu się dramatyczna i komiczna przygoda. Jego ojciec rabin pocieszał się tylko tym, że podobną opisywał już Stary Testament i że zdawała się żywcem wzięta z Biblii. Jeremiasz mimo swego imienia był chłopcem żywym i wesołym. Kręcone włosy, wąski nos i żywe oczy przydawały jego fizjonomii uduchowienia, stanowiącego kontrast, skądinąd niepozbawiony uroku, z jego marzycielskim usposobieniem.

W szkole Jeremiasz był najlepszym uczniem w klasie. Nie tylko nie miał sobie równych, gdy szło o królów Judei i córki Lota, lecz także bił wszystkich na głowę z matematyki, geografii, hebrajskiego,

rosyjskiego, niemieckiego, a nawet z hiszpańskiego i portugalskiego. Ojciec wiązał wielkie nadzieje z przyszłością syna w rabinacie. Podczas uroczystości, która odbyła się niedługo przed zakończeniem roku szkolnego z udziałem profesorów, uczniów, rodziców oraz kilku przedstawicieli miejscowej śmietanki towarzyskiej, Jeremiasz był gwiazdą i głównym tematem rozmów. Ceremonię uświetniła obecność licznych dam przybyłych z Lublina. Nagle Jeremiasz znalazł się przed jedną z nich. Nigdy, przez całe swoje życie, nawet na łożu śmierci o tysiące kilometrów od swego rodzinnego miasteczka, nie zapomni dwóch wielkich niebiesko-zielonych piór zdobiących jej kapelusz. W jego wspomnieniach powiewały one ponad gwarem rozmów, zduszonych chichotów i nieco mdłych słodyczy.

– Cóż to, młody przyjacielu, słyszę, że jest pan prymusem?

– Tak, proszę pani.

– Gratuluję. Tak pan lubi się uczyć?

– Nie, proszę pani.

– Nie? Jakie to dziwne w przypadku prymusa! Cóż więc pan woli od nauki?

– Lubię spacerować, proszę pani. I czytać. I nic nie robić.

– Nic nie robić! – Roześmiała się. – Czy takie nicnierobienie pomaga zostać prymusem?

– Bardzo, proszę pani. Nie robiąc prawie nic, można się nauczyć prawie wszystkiego.

Dama z piórami już się nie śmiała. W spojrzeniu jej odmalowało się osobliwe zaciekawienie. Przyglądała się młodzieńcowi z lekkim zdumieniem, mającym w sobie coś pochlebnego.

– No, no! Jeremiaszu... Ma pan na imię Jeremiasz, prawda?

– Tak, proszę pani, Jeremiasz.

– A więc, Jeremiaszu, czy to spacerując i nic nie robiąc nauczył się pan być tak zabawny?

– Nie wiem, czy jestem zabawny, proszę pani – odpowiedział Jeremiasz ze śmiałością, która jego samego zdumiała. – I nie sądzę, żeby można się było tego nauczyć.

Młody Finkelstein poczuł ulgę, kiedy rozdzielił ich chwilowy ścisk. Wykorzystał odzyskaną wolność, by zamienić kilka znacznie

mniej wyczerpujących słów ze swoimi rówieśnikami. Ale dziesięć minut później nie wiedzieć jakim sposobem znów znalazł się przed tą samą damą.

– Skoro pan tak lubi nic nie robić, Jeremiaszu, to może wybrałby się pan któregoś dnia ze mną na spacer?

– Na spacer... – wyjąkał Jeremiasz, oszołomiony tak nieoczekiwaną propozycją.

– Lub na podwieczorek – ciągnęła dama głosem niemal niedosłyszalnym. – Byłaby to dla mnie odmiana po tych wszystkich żonach oficerów i urzędników, które widuję na co dzień.

– Podwieczorek... – powtórzył Jeremiasz.

– O której kończy pan lekcje... no, nie wiem... powiedzmy w czwartek po południu?

– O czwartej, proszę pani.

– Zatem, Jeremiaszu, przyjadę po pana w czwartek o czwartej. Czwarta, w czwartek. Nie zapomni pan? Mój powóz będzie na pana czekał przed piekarnią.

Jeremiasz, kompletnie straciwszy głowę, nie był w stanie wydusić nawet słowa. Dama się oddaliła. Ładnie pachniała. Stał nieruchomo w miejscu. Ale oto pojawiła się przed nim znowu, mówiąc pospiesznie:

– Lepiej nikomu o tym nie wspominać. Do zobaczenia, mój mały Jeremiaszu. Do czwartku.

Następnych kilka dni upłynęło mu w stanie pełnej zachwyty trwogi. Nikomu nie pisał ani słowa. Bał się, i jednocześnie miał nadzieję, że rozchoruje się na anginę, że nastąpi trzęsienie ziemi, wojna, koniec świata. Pośród przerażającego spokoju nastał wreszcie czwartkowy poranek. Jeremiasz podbiegł do okna: pogoda była niebrzydka, na niebie nieliczne chmury zdawały się gonić jedne za drugimi. Pierwsza część dnia minęła błyskawicznie. Poczynając od godziny drugiej, nad niecierpliwością zaczął brać górę fizyczny strach. Aż trzy razy musiał wychodzić z klasy odprowadzany niewybrednymi żartami kolegów. O czwartej z rozpaloną głową, z pustym ciałem poczuł chęć, by wziąć nogi za pas, byle dalej od piekarni. Niemniej postarał się spławić kolegów. Zostawszy sam, przez chwilę stał niepewny i bez ruchu. A potem powolnym krokiem, ze wzrokiem wbitym przed siebie,

niedbale kołysząc trzymanymi w ręce książkami ruszył w stronę piekarni. Początkowo nie zauważył nic ani nikogo. Poczł, jak w jego żołądku – dziwna rzecz – odzywa się straszliwe rozczarowanie, by w jednej chwili ogarnąć go całego. Zaszło mu w ustach, musiał przystanąć, w tym samym stopniu zbity teraz z tropu nieobecnością, co przed kilkoma dniami – obecnością. Rzecz w tym, że przez ten czas wyobraźnia zrobiła swoje.

Stał tak z opuszczonymi rękami, z rozdziawionymi ustami, gdy nagle sto metrów dalej, za skrzyżowaniem, przy którym ukośnie zbiegały się dwie ulice, zauważył powóz z nieruchomym stangretem. Z okna powozu wystawała ręka, która machała, jakby dając mu znak. Podbiegł.

Hortense nigdy nie wspomniałaby o Wrońskim, gdyby nie to, że wzruszyła ją rozterka Marie. Sytuacja przyjaciółki stwarzała między nimi nowe więzy. Chcąc zabawić Marie i oderwać jej myśli od dziecka, które nosiła w łonie, Hortense opowiedziała o swoim kochanku. Był to rodzaj wymiany, na którą złożyły się i litość, i przywiązanie, i obawa, i wstyd, i ciekawość, i chęć podzielenia się z kimś swoją tajemnicą.

– Och, biedna moja Marie! Oczekujesz dziecka, jakże ci współczuję!... i jakże ci zazdroszczę!

– Ależ, Hortense, ty masz kochanka! To przecież cudowne! Przenigdy bym się tego nie domyśliła. Bardzo cię to dręczy? Opowiedz mi o nim.

I tak Wroński powoli wkraczał w życie Marie pospołu z dzieckiem, które nie było jego. Domyśliście się już, co było potem. Hortense opowiedziała kochankowi o przyjaciółce, tak jak wcześniej opowiedziała przyjaciółce o kochanku. Potem spotkali się we troje. Potem we dwoje. Upłynęło niecałe piętnaście dni, a ujrawszy trzy czy cztery razy Marie zbolalą, dzielną, bardziej niż kiedykolwiek urocą, Wroński bez reszty stracił dla niej głowę.

Marie broniła się dzielnie lub też udawała, że się broni. A dzielność ta, świadoma bądź nie, była zarazem zręcznym posunięciem. Nie wchodząc w szczegóły swojej przeszłości miłosnej, nie robiła tajemnicy z obecnej swojej sytuacji. Przy tym dziecko, które nosiła w łonie, przydawało powagi pragnieniom i uczuciom. Z góry wykluczało

wszelkie miłości, dopuszczało wyłącznie poważne zaangażowanie.

– A Hortense? – szeptała Marie.

– Ach, Hortense, Hortense!... Ona się już nie liczy. Kocham tylko panią.

– Drogi przyjacielu – mówiła Marie bliska łez – niechże pan zrozumie, że mówiąc panu nie, nie siebie oszczędzam. Ja bronię pana przed sobą samym.

– Czy to nie pani bardziej potrzebuje obrony przed światem?

– Być może. Nigdy bym jednak nie mogła ani prosić, ani zgodzić się, by poświęcił mi pan swoje życie.

– Czy naprawdę uważa pani, że opromienienie mojego życia pani obecnością byłoby dla mnie poświęceniem?

– Pańskiego życia nic nie obciąża. Moje już do mnie nie należy.

– Więc proszę mi je powierzyć, tak, by to, co już do pani nie należy, mogło stać się nareszcie moją własnością.

Oczywiście, o uczuciu Wrońskiego w dużej mierze zdecydowały uroda oraz niedola Marie. Ale za młodą Francuzką przemawiało coś jeszcze. Piotr Wasiliewicz zawsze bardzo ubolewał, że nie wyróżnia się niczym ani w hazardzie, ani w galanterii, ani w polityce. Czuł sympatię do wszystkich tych zapaleńców, co to bez wahania rzucali się w wir działania lub występku. Miał sobie za złe ten drobnomieszczański wojeryzm, który tak w życiu codziennym, jak w polityce trzymał go zawsze nieco na uboczu tego, co podziwiał. I oto Marie ofiarowywała temu szlachetnemu sercu, tej słabej duszy okazję do zaangażowania się w sprawę niezwykłą.

Nie wiem, czy Wroński dowiedział się kiedykolwiek, kto jest ojcem dziecka Marie. Być może podejrzewał o to kolejno obu Naryszkinów. Jego nienaganne maniery wykluczały jednak wypytywanie Marie o przeszłość. Akceptował tę przeszłość taką, jaka była, w całości. A wcześniejsze romanse Marie to nie jego sprawa. Ustanowiwszy te reguły Piotr Wasiliewicz sam był zdziwiony, i to dość przyjemnie, własną otwartością oraz liberalizmem i nowoczesnością swoich poglądów. Ale było w tym też uczucie bardziej tradycyjne: nie miał nic przeciwko temu, by przytrzeć nosa, choćby i zbiorowo, tym tchórzom Naryszkinom.

Kiedy Marie de Cossigny była w czwartym miesiącu ciąży, hrabia Wroński uwiózł ją jednym z tych wagonów sypialnych, całych w drewnie, które przeszły do legendy. Cel podróży: Wenecja. Ponieważ jedna z jej prawnuczek wiedziała, jaką wagę przywiązuję do tego typu dokumentów, leży oto przede mną brudnopis listu, który Marie wysłała do Hortense zaraz po przyjeździe do hotelu „Danieli”. Zaczyna się od słów: „Znienawidzisz mnie, będziesz mnie przeklinać; mam nadzieję, że któregoś dnia mi wybaczysz...”. Kończy zaś tak: „Wiele ci zawdzięczam. To, że nienawidzisz mnie z powodu szczęścia, które spotkałam dzięki tobie, napawa mnie smutkiem, wyrzutami sumienia, rozpaczą. Ach, jakże pragnę, by nadszedł dzień, kiedy powiesz mi, że nie okupiłam mojego szczęścia twoim nieszczęściem”.

Pandora opowiadała mi – usłyszała tę opowieść od swojej matki – że dziesięć czy piętnaście lat później Hortense odpowiedziała na list Marie. Ale na łożu śmierci Marie kazała odpowiedź Hortense wrzucić w ogień.

Nareszcie nadszedł wielki dzień. Na dziedzińcu pałacu prezydenckiego z karet otoczonych przez jeźdźców dźwigających lance ozdobione proporczykami wysiadały Ich Ekscelencje w strojach galowych. Wyzłoceni od stóp do głów, ze szpadą u boku, z dwurożnym kapeluszem z białymi piórami w ręku dyplomaci, poczerwieniali pod haftami z upokorzenia i upału, znaleźli się w wielkim salonie siedziby prezydenckiej. Przybyli w komplecie, twarze mieli dumne i ponure. Woźny z halabardą wywoływał ich w kolejności ustalonej protokołem. Tradycja zobowiązuje: pierwszym, który wkroczył do sali podwójnie tronowej, był nuncjusz papieski. Przywołany do porządku przez hierarchię, nuncjusz nie miał większych skrupułów. Zresztą przewidziano dla niego specjalne traktowanie: z uwagi na stanowisko darowano mu całowanie stopy; zastąpić je miało namaszczenie bądź przyłożenie ojcowskim gestem dłoni i znak krzyża jeśli nie na podbiciu, co nie było specjalnie wygodne i trochę za bardzo przypominało sakrament zarezerwowany dla najwyższych dostojników kościelnych, to w każdym razie gdzieś w okolicach kostki. Wszystko poszło jak z płatka.

Drugim i trzecim byli posłowie Peru i Meksyku. Byli tylko trochę oburzeni i nie robili ceregieli. Po nich kolej przyszła na Niemca,

Brazylijczyka, Argentyńczyka, przedstawiciela Stanów Zjednoczonych oraz pana Duchaussoya. I tak orszak defilował dalej. Prezydent z uśmiechem kiwał głową, mademoiselle Asunción promieniała. Stopa jej, podawana z rąk do rąk przez gorliwych dyplomatów, nie dotykała ziemi.

Kiedy nadeszła kolej sir Reginalda, posła Jej Królewskiej Mości, zapanowało lekkie poruszenie; nikt nie wiedział, co zamierza uczynić. Sir Reginald skłonił się przed prezydentem i przekazał mu życzenia od królowej. Po czym przeszedł przed Asunción, ledwie skinąwszy głową. I bardzo sztywny, bardzo brytyjski opuścił salę i pałac.

Prezydent nie dał nic po sobie poznać i ceremonia, jakby nigdy nic, trwała dalej. Ale nazajutrz o świcie pół tuzina uzbrojonych policjantów, dopuszczając się pogwałcenia eksterytorialności siedziby dyplomatycznej oraz nietykalności osobistej posła angielskiego, przybyło zaaresztować sir Reginalda. Spędził on cały dzień w obskurnej celi w towarzystwie mordercy, fałszerza i prostytutki, która wydała mu się przyzwoitsza od panny Asunción. Wieczorem o godzinie szóstej, kiedy stolica ożywała po całodziennym upale, posła Jej Królewskiej Mości rozebrano, nagiego jak go Pan Bóg stworzył posadzono okrakiem na ośle twarzą do ogona i powiedziano przez rojne ulice miasta.

Sprawa Jeremiasza Finkelsteina narobiła ogromnego szumu. Przytaczają ją wszystkie raporty z prześladowań antysemitów w Polsce w drugiej połowie XIX wieku. To skomplikowana historia. W pewnym sensie – ale tylko w pewnym sensie, gdyż cała sprawa bardzo szybko miała nabrać wydźwięku politycznego – Jeremiasz i dama z zielono-niebieskimi piórami padli ofiarą uprzedzeń hipokrytów i purytanów, z którego to tytułu trafili na różowo-czarną listę ofiar miłości i społeczeństwa. Dama zapalała nagłym i namiętym uczuciem do Jeremiasza. Jeremiasz odkrywał nieznane lądy i żył w stanie upojenia i uniesienia. Wypisz, wymaluj Romeo i Julia ze szczyptą Colette. Związek kobiety ponadtrzydziestoletniej z chłopcem, który mógłby być jej synem, zawsze i wszędzie traktowany jest z ironią, a czasem wręcz z wrogością. Przed stu laty w Europie Środkowej oznaczał skandal bez precedensu.

Bez precedensu? Niezupełnie. Jak się domyślacie, tego typu

przygoda na prowincji polskiej pod koniec XIX wieku nie mogła ukryć się przed ludzkim wzrokiem. Już samo zachowanie syna, podekscytowanego, roztargnionego, nerwowego, a bywało, że bezprzykładnie zuchwałego, wystarczyło, by obudzić podejrzenia rabina. A sąsiedzi postarali się dostarczyć mu dodatkowych informacji. Widywano Jeremiasza w rozmaitych nieprawdopodobnych miejscach: nocą na ulicach Lublina, na zapleczu kawiarni uczęszczanej przez artystów i cyganerię, w bramie wielkiego domu, z którego wymykał się ukradkiem. Kuzynka rabina ze zdumieniem dostrzegła twarz Jeremiasza w powozie z rosłym stangretem na koźle. Ale przede wszystkim widywano go tu i ówdzie w towarzystwie strojnej w pióra damy, ewidentnie mieszkanki miasta, nieznannej przyjaciółom rodziny, która w dodatku mogłaby być jego matką. Jeremiasz wymyślał kółka śpiewacze, spotkania z kolegami, zawody gimnastyczne. Pewnego wieczoru po kolacji, ledwie modlitwa zdążyła poszybować w niebiosa nabrzmiałe nawałnicą, a najmłodsze dzieci położono do łóżek, rozpętała się burza w formie niezmienionej od czasów tej, jaka w Paryżu wybuchła wokół osoby Damy Kameliowej, w Londynie wokół osoby lady Ann, a w renesansowej Florencji czy w Rzymie wokół postaci sportretowanych przez Stendhala w jego *Kronikach włoskich*.

– To, że rujnujesz sobie zdrowie, że zawalasz naukę, że zachowujesz się w sposób urągający wszystkiemu, czegośmy cię uczyli, to twoja sprawa. Jesteś wystarczająco dorosły, żeby zmarnować sobie życie. Ale tego, że okłamujesz swoją matkę i mnie, tolerować nie będę.

– Ojciec – bełkotał Jeremiasz – zawsze okazywałem ci szacunek...

– Szacunek!... Przez rozwiązłość, przez cudzołóstwo, przez kłamstwo!

– Przecież dobrze wiesz, jak cię szanuję! Dobrze wiesz, że cię kocham!

– Kochasz! Czyż ty w ogóle masz prawo używać tego słowa, które tarzasz w błocie ukradkowych schadzek i grzesznych romansów?

– Ach! – zawołał Jeremiasz, sam już nie wiedząc, jak wybrnąć z sytuacji, w którą rzucił się tak ochoczo i z taką radością. – Gdybyś wiedział, jaki jestem nieszczęśliwy, a zarazem szczęśliwy!

I z jego oczu, jak na zawołanie, niosąc ratunek, popłynęły łzy

niemocy.

Wówczas rabin wziął swoje dziecko w ramiona i głaszcząc je po głowie, rzekł z czułością:

– Mój ty biedny Józefie! Mój biedny mały Józefie!...

Jeremiasz popatrzył na ojca oczami pełnymi łez. Nigdy w życiu nie nazywał się Józef. Twarz jego wyrażała nieme pytanie.

– Tak, mój biedny Józefie! – powtórzył Izaak Finkelstein.

I wzniosłszy w górę pięść ponad ich maleńkim ogródkiem i polami, i drogą do miasta, zawołał:

– A ona, Putyfara z Lublina, niech będzie przeklęta!

Rzeczy, poglądy i uczucia podlegały w Glangowness zmianom równie nieznacznym, co w Plessis-lez-Vaudreuil. Niewyraźne pogłoski docierające z Indii wchłonęło i uczyniło niebyłymi wielkie rodowe milczenie. Polowania na liliowych wrzosowiskach, zamiłowanie do tweedów i whisky, wspomnienia z Trafalgaru czy Przełęczu Chajberskiej zajmowały tu mniej więcej tyleż samo miejsca, co w górnej Sarthe opozycja wobec Republiki, umiłowanie lasów i drogi dziekan Mouchoux. Często padał deszcz. Każdego poranka słońce wносиło element święta i radości. Od czasu do czasu rytm codzienności i zwykłą rutynę egzystencji zakłócało jakieś niezwykle wydarzenie: wizyta królowej, angina dziecka, wejście któregoś z kuzynów do Izby Lordów, idylla pastora z farmerską córką. Ważną rolę odgrywały psy, zające, lisy, jagnięta i konie. Moja daleka kuzynka Sybil, rudowłosa i ciemnooka wnuczka lorda i lady Landsdown, była znakomitą amazonką.

Stała się ona kiedyś pośrednio bohaterką przygody, która poruszyła nie tylko Glangowness, lecz także całe sąsiedztwo w promieniu wielu mil. Gdy była jeszcze małą dziewczynką dosiadającą kucyków w prześmiesznym i uroczym stroju uwiecznionym na dwóch pastelach – trzymam je pośród innych skarbów w moim kuferku – ojciec mimo dezaprobaty całej rodziny, a zwłaszcza babki, podarował jej jeden z legendarnych klejnotów Glangowness, Indian Godolphina. Nie, nie był to żaden z drogocennych kamieni przywiezionych z Indii przez jej babkę. To był koń. Swego czasu zaznał on dni chwały. Nie sięgała tak daleko wstecz jak wyczyny McNeillów na polach bitewnych pod Hastings w wojnie z Wilhelmem Zdobywcą czy u boku Ryszarda Lwie

Serce na Cyprze i w Ziemi Świętej – czy nawet, jak szeptali niektórzy, a głównie sami McNeillowie, na szkockich i bretońskich wrzosowiskach za mitycznych czasów Makbeta i króla Artura. Ale dziesięć czy dwanaście lat wcześniej – na oczach księcia Alberta, na krótko przed jego śmiercią, i księcia Walii, a raz czy dwa razy nawet w obecności Jej Królewskiej Mości, królowej Wiktorii, której towarzyszyła córka, księżna Argyll oraz dandys o bladej twarzy, pogardliwych ustach i oczach mrocznych niczym Ereb, przyszły lord Beaconsfield, znany bardziej pod sławnym nazwiskiem Benjamina Disraeliego – Indian Godolphin przez cztery czy pięć sezonów z rzędu wygrywał najbardziej eleganckie konkursy skoków przez przeszkody oraz liczne inne zawody hipiczne. Kiedy chwala jego młodych lat zaczęła powoli przygasać, umieszczono Indian Godolphina w przytulnym komforcie stajni w Glangowness. To właśnie wtedy mała Sybil za przyzwoleniem ojca zaczęła na nim jeździć.

Po paru latach zdetronizowany król przeszkód i murków spadł o jeszcze jeden szczebel niżej: zaprzężono go do lekkiego powoziku, którym jeżdżono na zakupy oraz na pobliski dworzec po weekendowych gości. Indian Godolphin sprawiał wrażenie pogodzonego z losem, gdy pewnego sobotniego poranka, który przeszedł do historii, chłopiec stajenny jak zwykle zaprzął go, by udać się na stację po emerytowanego generała oraz byłego konsula w Meshed czy w Mazar-i Szarif, przyjeżdżających pociągiem o dwunastej pięćdziesiąt trzy. Dworzec znajdował się jakieś dziesięć, może dwanaście czy piętnaście mil od zamku. Ponieważ stajenny, który poprzedniego dnia wziął ślub w mieście, czuł się trochę przymulony, Sean O'Shaughnessy, młody Irlandczyk zalecający się do Sybil, długo się nie zastanawiając, postanowił go zastąpić. Bryczka wyruszyła z pewnym opóźnieniem. W odległości kilku minut od stacji droga z Glangowness przecina tory kolejowe. Zapowiedziano już przyjazd pociągu i szlaban był opuszczony. Sean z papierosem w ustach, myśląc o niebieskich migdałach, lekko ściągnął wodze, by wyhamować Indian Godolphina dotąd idącego wdzięcznym klusem. A wtedy w głowie emerytowanego wiecznego zwycięzcy coś eksplodowało i raz jeszcze ujrzał całą swoją młodość.

Czy dlatego, że pogoda była piękna i słońce świeciło jak wtedy, gdy był sześciolatkiem? Czy dlatego, że grupa szkockich wieśniaków, ucinających sobie pogaduszki na poboczu drogi, przypomniała mu nagle Royal Enclosure i królową Wiktorię? W biało-czerwonym szlabanie ujrzał nagle przeszkodę wyłaniającą się z zamierzchłej przeszłości i, przechodząc w lekki galop, wziął ją w bezbłędnym stylu, przy wtórze grzmotu niejasno kojarzącego mu się z niegdysiejszymi owacjami. Sean O'Shaughnessy ledwie zdążył wyskoczyć z powozu i przekoziółkować po drodze, gdy ze straszliwym łoskotem nadjechał pociąg.

Doczesne szczątki Indian Godolphina zebrano i pochowano z honorami należnymi ich randze oraz potędze marzeń. Sześć miesięcy później, być może w ramach zadośćuczynienia, Sean O'Shaughnessy ożenił się z Sybil McNeill, wnuczką lorda Landsdowna i zbrodniczej Hinduski.

Pośród tej obfitości świata powoli układała się łamigłówka mojej pamięci. Przez cały krótki tydzień pobytu Javiera, podczas naszych niekończących się rozmów na tarasie w San Miniato, trwających do późna w noc, napływały do mnie różne obrazy, wiązałem między sobą ludzi i zdarzenia, wskrzeszałem na nowo swoją przeszłość. Pojawiała się w nich Marie, Sean, Florinda i Jeremiasz, Indian Godolphin i wszyscy powolni aktorzy tego niewiarygodnego, a przecież jak najprawdziwszego świata, na którym spędziłem dwie trzecie lub trzy czwarte stulecia pisane mi na tym padole.

Teraz pozostawało już tylko obserwować, jak będą się rozwijały – drogą namiętności, przypadku, woli, pragnień, klęsk, szczęścia – konsekwencje owej przeszłości. To właśnie był świat i życie. To było to, co określa się mianem historii. To był skromny i maleńki na moją znikomą miarę, niezrównany, jedyny w swoim rodzaju spektakl – lub sen – farsa, melodramat, do udziału w którym w swej okrutnej dobroci, a niewykluczone, co byłoby już szczytem przemysłowości, że pod swą nieobecność, zawezwał mnie jakiś nieznany bóg.

Pech chciał, że do sekretu ujawnionej miłości doszła jeszcze informacja zasadniczej wagi: otóż Putyfara z Lublina była żoną naczelnika policji, mała, że miasta, ale całego okręgu. W historii Jeremiasza Montekowie byli Żydami, zaś obyczajowość, polityka i historia czyniły z Kapuletów ich odwiecznych wrogów. Nasz Cyd licealista był nie tylko o piętnaście czy dwadzieścia lat młodszy od swojej Chimeny; dzieliły ich ponadto długie wieki nienawiści i prześladowań. Tristan był synem rabina, a król Marek – gliną.

Namiętność między nastolatkiem a kobietą trzydziestoletnią nie mogła ostać się długo pod naporem ataków jednych i drugich, pod naporem plotek, presji społecznej, osobnego i połączonego gniewu męża Putyfary i ojca Jeremiasza-Józefa. Winowajczyni, kiedy tylko opuszczała ramiona młodego kochanka, jedynego ratunku upatrywała w ramionach męża. Była zakochana w dziecku, którego rodzina napawała ją odrazą. Z kolei młodzian nie mógł już dłużej przysparzać takiej zgryzoty własnemu ojcu. Po miłości do głosu doszła nienawiść

i oba te uczucia, miast jedno wyprzeć drugie, pospołu zawładnęły sercami kochanków. Dziesięć razy rozstawali się we łzach. I dziesięć razy na nowo padali sobie w objęcia. A wtedy sprawy zaczęły przybierać poważniejszy obrót.

Na podstawie znaków zrazu niedostrzegalnych, a potem coraz wyraźniejszych, rabin czuł, że jego życie zaczyna się komplikować. Ni stąd, ni zowąd odmawiano mu rutynowych zezwoleń. Pod różnymi błahymi pretekstami wielokrotnie wzywano go na policję. Starzy przyjaciele – katolicy, a nawet Żydzi – odnosili się do niego z niejaką rezerwą. Po oznakach mniej lub bardziej nieuchwytnych przyszła kolej na konkretne groźby. Wielu Żydów z najbliższego otoczenia rabina aresztowano na podstawie oskarżeń od początku do końca sfabrykowanych bądź dawno umorzonych. Ku zgrozie śledzącego te nowiny Jeremiasza sieć wokół jego rodziny zacieśniała się coraz bardziej. Najgorsze było to, że nie wiedział, jaką rolę w tych wszystkich tak dla niego bolesnych szykanach odgrywa kochanka: czy tak jak on jest ich bezsilną i przygnębioną ofiarą, o czym zapewniała, tuląc go w ramionach w trakcie ich sekretnych schadzek; czy też współniczką kierującą się atawistyczną niechęcią do Żydów, chęcią zemsty na klanie, który ją odrzucał i nienawidził jej, powodowaną okrutnym połączeniem szalonej miłości z szaloną nienawiścią? Jeremiaszowi przychodziły do głowy różne okropne myśli, mroząc go, a zarazem przyprawiając o bicie serca: a jeśli bezwiednie, w gorączce namiętności dostarczył kochance jakichś informacji? Wypytywała go przecież bezustannie o jego życie, o znajomych. Mógł osobie wrogiej ludziom mu najbliższym zdradzić nazwiska, informacje, a nawet sekrety, o których istnieniu nie miał pojęcia. Zresztą nawet jeśli były to tylko koszmarnie wizje i fantazjowanie, jeśli wyobrażał sobie najgorsze, jeśli roił sobie różne strachy, to przecież już sam związek Żyda z żoną naczelnika policji był zbrodnią i zagrożeniem. Aż wreszcie uznał, że może i powinien odwrócić całą sytuację na korzyść swoją i swych najbliższych. Zamiast być Józefem winowajcą wobec żony Putyfara, mógłby stać się męskim odpowiednikiem Estery, której wdzięki, tak silnie oddziałujące na Aswerusa, uratowały jego lud przed Amanem. Nie dostarczył jednak swojej społeczności żadnego objawienia. Zamiast odżegnywać od siebie

ciosy, zdawał się je na siebie ściągać. Zamierzał więc położyć kres temu haniebnemu przywiązaniu. Spotykał się z kochanką z niezłomnym postanowieniem, że z nią zerwie – możliwe, że i ona żywiła podobne zamiary. I za każdym razem fizyczna namiętność okazywała się silniejsza.

Ale wreszcie któregoś dnia rodzina rabina Finkelsteina znalazła się na pierwszej linii. Jacyś zapaleńcy obrzucili kamieniami ich okna. Wyglądało to niemal na początek pogromu. Rabina okrężną drogą powiadomiono, że dłużej nie gwarantuje się mu bezpieczeństwa. W głowie Jeremiasza znów odezwały się obsesyjne pytania: czy to on, mąż policjant, Kapulet, król Marek, cień don Gormasa żądny zemsty kierował z ukrycia tymi prześladowaniami, czy też – ale nie! to niemożliwe! – to ona, jego Chimena zdrajczyni, jego zbrodnicza Izolda, jego Julia, której pomieszało zmysły? Pewnego wieczoru, kiedy zgnębiony rabin nie był już w stanie dłużej skrywać lęku, Jeremiasz z pobladłą twarzą wstał i powiedział:

– Ojczy, i ty, matko, myślę, że powinienem was opuścić i wyjechać daleko.

Matka rozplakała się. Ojciec uniósł spuszczoną dotąd głowę, na moment się zawahał, po czym odsunął krzesło, podszedł do syna i objąwszy go, wyszeptał:

– Mój mały! Mój maleńki.

– A wiesz może, jakie były dalsze losy Putyfary z Lublina?

– To ty nie wiesz?

– Nigdy nie wiedziałem.

– No cóż, jej mąż dość szybko awansował, został szefem ochrony, dowodził strażą osobistą cara Mikołaja II i w 1917 roku zastrzelono go w Carskim Siole.

– A niech mnie! A ona?

– Pluton egzekucyjny 16 lipca 1918 roku w piwnicy domu Ipatiewa w Jekaterynburgu razem z rodziną carską i jej służbą.

– O Panie! Tak oto na pierwszą kochankę Jeremiasza padł cień historii... Myślisz, że wiedziała o posunięciach męża przeciwko rabinowi Finkelsteinowi?

– Kto to może wiedzieć? Nie jestem nawet do końca pewny, czy

mąż wiedział o romansie żony z Jeremiaszem Finkelsteinem. Wszystko jest możliwe, a przede wszystkim to, że szykany nie miały nic wspólnego z kochankami z Lublina. W końcu pogromy w Polsce nigdy nie potrzebowały sentymentalnych pretekstów. Można też przyjąć, że naczelnik policji, poinformowany przez własne służby, zapragnął odpłacić żonie pięknym za nadobne, szykanując przyjaciół i rodzinę Jeremiasza. I wreszcie nie można też wykluczyć, choć jest to hipoteza najbardziej okrutna, a zarazem najbardziej interesująca, że wszystko było dziełem kochanki Jeremiasza pragnącej pomścić wrogość okazywaną jej przez rodzinę kochanka i może, kto wie? – rzeczy i uczucia nie zawsze przedstawiają się prosto – przyprawić o zamęt ducha jego samego.

– Lub jeszcze lepiej, by karząc kochanka, ukarać samą siebie?

– Niewykluczone. Może Putyfara z Lublina była osobą znacznie bardziej skomplikowaną, niż nam się wydaje? Może pióra jej kapelusza skrywały te mechanizmy, które tak fascynują powieściopisarzy, sędziów, spowiedników i lekarzy? Obawiam się, że jej tajemnicy próżno by szukać w moich archiwach, że zabrała ją ze sobą do grobu w Jekaterynburgu.

– Zastanawiam się, gdzie i w jaki sposób Jeremiasz Finkelstein dowiedział się o tragicznej śmierci dawnej kochanki...

– Och, w 1918 roku wieści z Rosji docierały późno... Poza tym minęło tyle lat. Jeremiasz był daleko, jego sytuacja się zmieniła, zdobył majątek, stracił żonę, a jego córka przebywała w Londynie wraz z mężem ambasadorem; stał się prawie innym człowiekiem. To my doszukujemy się bezpośredniego związku między wydarzeniami i ich finałem. W prawdziwym życiu wszystko rozciąga się i rozmywa, i kiedy przygoda osiąga wreszcie epilog, bywa i tak, że jej początki, jeśli nie poszły w zapomnienie, to pogrzebane są gdzieś w przeszłości pod lawinami egzystencji. Wyobrażam sobie, że wieść o śmierci pani Putyfary, o ile w ogóle kiedykolwiek dotarła do Jeremiasza, wstrząsnęła nim, może nawet bardzo, ale na podobieństwo promieni dawno zgasłej gwiazdy.

Długo siedzieliśmy w milczeniu. Na tarasie San Miniato dawno zapadła noc. Wstałem.

– Zaczekaj! Jest jeszcze coś, o czym nie wiesz i o czym nie

wiedział również Jeremiasz Finkelstein.

– Nie wiem o tylu rzeczach... Mów.

– Cóż, każdy sekret historii zostanie w końcu zgłębiony przez historyka. Jak wiesz, rewolucja komunistyczna, zanim obróciła się, zwłaszcza od czasów stalinowskich, przeciwko Żydom, miała wśród swoich bojowników wielu Żydów. Dzięki przyjacielowi trafiła w moje ręce lista rewolucjonistów, którzy wchodzili w skład plutonu egzekucyjnego w Jekaterynburgu. Jednym z nich był Finkelstein.

– Finkelstein! Wydaje mi się, że to nazwisko dość pospolite. Niemniej, cóż za zbieg okoliczności!

– Żaden zbieg okoliczności. To był bratanek Jeremiasza, towarzysz Trockiego, zawołany komunista stracony za Stalina. Ostatnim człowiekiem, którego ujrzała przed sobą pani Putyfara, osuwając się pod gradem kul plutonu egzekucyjnego, był krewny jej kochanka z Lublina: właśnie do niej strzelał.

Cristina Isabel urodziła się dokładnie w dziewięć miesięcy od spotkania w Bahii Periclesa Augusta z piękną czarnoskórą Florindą. Sprawy między nimi potoczyły się z prostotą na wpół biblijną, na wpół pogańską.

– Ładnie tańczysz – zagał Pericles Augusto.

– Dziękuję ci, panie. A ty nie tańczysz?

– Niezbyt często.

– To może ze mną?

– Z tobą zawsze.

– Więc tańcz, panie.

– Jak ci na imię, tancerko?

– Florinda, do usług.

Kariatyda z niewysłowioną gracją skłoniła się do samej ziemi.

– Jesteś piękna, Florindo.

– Dziękuję ci, panie. Zatańcz ze mną.

I przy wtórze oklasków orszaku ciemnoskórych urwisów, przy akompaniamencie niewidzialnych orkiestr, które pojawiły się znienacka na rogach ulic i pod portykami kościołów, Florinda i Pericles Augusto w palącym, chylącym się ku zachodowi słońcu, przetańczyli dwie godziny. Wokół nich zebrał się hałaśliwy i barwny tłum, dopingujący

tancerzy klaskaniem, okrzykami i śmiechem. Kiedy Florinda i Pericles Augusto, błyszczący od potu, wyczerpani i słaniający się na nogach, przestali wreszcie tańczyć, otaczało ich ze sto osób.

– Widzisz – powiedział Pericles Augusto – ilu mamy przyjaciół.

– Gdybyśmy byli bogaci – rzekła Florinda – zaprosilibyśmy ich na kolację.

– Gdybyśmy byli bogaci – odrzekł na to Pericles Augusto – wyrzuciłbym ich wszystkich za drzwi, żeby zostać sam na sam tylko z tobą.

– To jest coś – powiedziała Florinda – na co nawet biedni mogą sobie pozwolić.

Ruszyli więc razem przed siebie i doszli nad brzeg oceanu. Pericles Augusto opowiadał o swoim życiu i pracy, o podróżach, o małych miasteczkach Nordeste, nie tak pięknych jak Bahia, o swoich szaleństwach i nadziejach. Florinda mówiła o swoich panach, o nędzy, o *pelourinho*, o swoim nowym życiu po zniesieniu niewolnictwa, o tym dziwnym wrażeniu, swoistym upojeniu, jakim napawa człowieka poczucie wolności.

Wieczorem zaprowadził ją do wielkiej nadmorskiej gospody należącej do Mulata, który dwadzieścia lat przepracował jako kucharz na holenderskim statku, i tam, pośród hałaśliwego tłumu i woni cynamonu, goździków i oliwy *dendê*, jedli *camaraos* i *feijoada*. Kiedy wyszli od Mulata, panowała głęboka noc. Tysiące gwiazd lśniło na firmamencie, na którym zwycięsko jaśniał Krzyż Południa.

– Powinnaś pójść do mnie – powiedział Pericles Augusto. – Spędzilibyśmy razem noc.

– Chętnie – odrzekła Florinda. – Gdybyś mi tego nie zaproponował, sama bym cię poprosiła.

Pericles Augusto mieszkał w zajeździe dla kupców i marynarzy, w pół drogi pomiędzy katedrą a morzem. Miał pokój tylko dla siebie, co było niebywałym luksusem. Nazajutrz była niedziela. Florinda długo spała. Kiedy się obudziła, jeszcze przed otwarciem oczu pomacała ręką: nie było nikogo. Gwałtownie się poderwała. Pericles Augusto zniknął. Oto zwykły finał przelotnej przygody. Raptem poczuła się bardzo samotna i bardzo smutna. Popłakała trochę.

Dziesięć minut później otworzyły się drzwi. Wszedł Pericles Augusto, niosąc mango, banany, dwie filiżanki bardzo gorącej kawy i kawałek chleba. Rzuciła się na niego, rozlała kawę, obsypała go pocałunkami.

– Chodź – powiedziała do niego. – Chodź. Musimy pójść na mszę.

– Na mszę? – zdziwił się Pericles Augusto, którego noga nie powstała w kościele od dobrych dziesięciu lat.

– Na mszę – powtórzyła Florinda.

Zaprowadziła go do kościoła kapiącego od złota i *azulejos*.

– Jeśli to będzie chłopiec – szepnęła, przyklękając przed przeładowanym ozdobami ołtarzem i przytulając się do niego – nazwiemy go Carlos Enrique.

– A jeśli dziewczynka? – zapytał Pericles Augusto, mrużąc oczy.

– Jeśli dziewczynka... – powtórzyła Florinda i na moment się zawahała. – Jeśli dziewczynka, nazwiemy ją Cristina Isabel.

– Kochasz królów i królowe – z uśmiechem stwierdził Pericles Augusto, który był człowiekiem czytany. – A poza tym wiesz, czego chcesz.

– Kocham nie tylko królów i królowe – odpowiedziała szybko Florinda. – Ale wiem, czego chcę.

Urodziła się dziewczynka.

Upłynął z górą miesiąc, nim wieść o poniżeniu brytyjskiego ministra pełnomocnego dotarła do Foreign Office, a potem do premiera Jej Królewskiej Mości. Królowa Wiktorja została ogłędnie uprzedzona:

– Mam do zakomunikowania Waszej Wysokości dość nieprzyjemną wiadomość – zagaił premier, ważąc każde słowo. – Doniesiono mi właśnie...

– Chodzi o księcia Walii? – przerwała mu królowa.

– Ależ nie, nie, Wasza Wysokość, chodzi o sprawę dotyczącą rządu oraz prestiżu Korony.

– No dobrze – rzekła królowa.

I premier przystąpił do relacjonowania władczyni znanych nam już przygód dyktatora Paragwaju, panny Asunción z domu Mado z Maubeuge oraz sir Reginalda na ośle.

Królowa natychmiast wpadła w straszliwy gniew.

– Nie znam sir Reginalda, który jest zapewne dyplomata pośledniejszej rangi. Postąpił jednak wysoce słusznie, nie godząc się na poniżenie honoru brytyjskiego przed jedną z tych francuskich kreatur, a już w szczególności paryskich, w których tak gustuje książę Walii. A jego honor jest moim honorem. Zwołać ministrów.

Szef Foreign Office przedstawił Radzie Ministrów przebieg wydarzeń. Wygłosił mowę pochwalną pod adresem sir Reginalda i z druzgocącą pogardą potraktował prezydencką parę. Jej Królewska Mość kipiała gniewem.

– Zważywszy rzecz całą – oznajmił premier – nie ma mowy o puszczaniu płazem afrontu wyrządzonego Koronie. Pozostaje tylko kwestia środków odwetowych. Widzę trzy możliwe sposoby działania; są to w kolejności...

– Wysłać marynarke! – nie wytrzymała królowa.

Ministrowie popatrzyli po sobie. Zapadła głęboka cisza.

W Wenecji spędzili całą jesień i zimę. Z okna w Danielim – zajmowali ten sam pokój, w którym czterdzieści lat wcześniej mieszkali George Sand i Alfred de Musset – oglądali najświetniejszy i najpiękniejszy z pejzaży miejskich. Na wprost rozciągał się basen Świętego Marka. Z lewej Riva degli Schiavoni prowadziła do Arsenału strzeżonego przez drapieżniki, asymetryczne, że bardziej być nie może: z jednej strony trzy, z drugiej jeden. W dali widać było wysepkę Ormian, do której krewki lord Byron mimo swojej szpotawej stopy i bez wątpienia z jej powodu z uporem próbował dopłynąć wplaw, a jeszcze dalej Lido, z jego pasiastymi namiotami skrywającymi kolacje, sjesty, a często romanse arystokracji plażowiczów. Na wprost przed nimi wysepka San Giorgio, awangarda Giudekki, wznosiła swoją wysoką kampanilę naprzeciw Piazzetty i dwóch kolumn dźwigających posąg świętego Teodora i lwa świętego Marka. Po prawej – Dogana di Mare i kościół della Salute, prześlągalny pomnik upamiętniający wygaśnięcie ostatniej epidemii dżumy, znaczyły początek Canal Grande wraz z jego ciągnącą się aż po pałac Labia nieprawdopodobną procesją cudów i legend, przecięty w pół drogi garbem mostu Rialto.

Wroński spędzał całe godziny na balkonie, marząc, zasłuchany w zgiełk nabrzeża i basenu. Niekiedy wołał do Marie, która z tyłu za nim

czytała lub haftowała:

– Spójrz tylko! Czy to nie piękne? Te światła na ceglanych murach, ten róż pomieszany z błękitem, ta kamienna przyroda... Wydaje się, że to jakiś ogromny ogród pełen drzew, grot, zarośli i kwiatów – a tymczasem to wszystko kamienie i ręka człowieka.

Marie wychylała się do przodu, patrzyła, przytulała się do Wrońskiego. Widok był rzeczywiście bajeczny. Od wyjazdu z Wiednia kroczyła od niespodzianki do niespodzianki, od zachwyty do zachwyty. Przepęłniało ją piękno; miała wrażenie, że wdycha je wraz z powietrzem laguny.

W pewien promienny jesienny poranek Piotr Wasiliewicz i Marie de Cossigny wzięli ślub, którego udzielił im pop w San Giorgio dei Greci, o dwa kroki od Scuola di San Giorgio degli Schiavoni, gdzie Marie bardzo się spodobała legenda o świętym Jerzym, piesek świętego Augustyna oraz mnisi umykający przed lwem świętego Hieronima. Po ceremonii, w czasie której kilku najbliższych przyjaciół Wrońskiego wokół nich tańczyło, a jego świadek trzymał nad głową panny młodej koronę z białych kwiatów, udali się obejrzeć freski Carpaccia.

Popłynęli gondolą wzdłuż Riva degli Schiavoni. Wrócili na piechotę, przez kościół San Zaccaria i jego przepiękny plac. Marie ogarnęło uczucie wielkiego spokoju i pogodnego szczęścia. Żywiła szacunek, wdzięczność, niemal podziw dla Wrońskiego i jego szlachetnych i wielkodusznych przekonań. I brała to za miłość. Piotr Wasiliewicz był oczarowany Marie, jej wdziękiem i odwagą. Opieka nad nią wprawiała go w uniesienie, którego odmawiała mu polityka.

Od czasu do czasu we wciąż jeszcze gorącym październikowym słońcu lub w zimowej mgle chodzili na długie spacerunki po Wenecji, docierali aż do Frari, do San Sebastiano, gdzie blakną i zacierają się sceny biblijne Veronesego, do San Nicoló dei Mendicoli, który w swoim ubóstwie był tym, czym Święty Marek był w chwale swego przepychu. Wracając, często przysiadali na cyplu przed Doganą di Mare. Młoda kobieta opierała głowę na ramieniu męża i razem obserwowali słońce zachodzące nad pałacem Dożów i wyspą San Giorgio. Marie wracała z tych wypraw wyczerpana i urzeczona. Wsparta z pewną już ociężałością na ramieniu Piotra Wasiliewicza, szeptała mu różne czułe

słówka.

Pewnego jesiennego dnia dopłynęli łodzią wraz z czterema gondolierami aż na odludną i opuszczoną wyspę Torcello. Przez godzinę czy dwie błąkali się wokół bazyliki ze wspaniałymi mozaikami i okrągłego kościoła Santa Fosca. Wracając przez lagunę, Marie z nieco afektowaną życzliwością zapytała jednego z marynarzy, dukającego we wszystkich po trochu językach, jak nazywają się drewniane pale, często zgrupowane po trzy, wytyczające na morzu coś w rodzaju kanałów.

– Nazywa się je dalbami – odparł marynarz. – Ale my mówimy raczej *brigole*.

– Na każdym z nich, jak jakaś obowiązkowa dekoracja, siedzi morski ptak.

– To mewy, proszę pani. *Seagull. Möwe*.

– A po włosku?

– *Gabbiano*.

– Po rosyjsku – odezwał się Wroński – czajka.

Zaczynał się wieczorny chłód. Marie, okryta kocem, wtuliła się w ramiona Wrońskiego. Była w szóstym miesiącu ciąży.

Jeremiasz Finkelstein dotarł do Nowego Jorku po niekończącej się podróży, lecz rozłożonej w czasie, usianej wujami i ciotkami, i całą galerią rabinów. Kariolką do Lublina, pociągiem z Lublina do Warszawy, gdzie zaopiekował się nim zaprzyjaźniony z ojcem rabin, i znów pociągiem do Berlina, gdzie spędził ponad rok, pracując jako subiekt w księgarni prowadzonej przez dalekiego kuzyna matki. A potem Paryż i Londyn, gdzie na początku stulecia osiadła część jego rodziny. Młodemu, zagubionemu mężczyźnie, siedemnasto-, wkrótce już osiemnastoletniemu, cała ta zmieniająca się sceneria wydawała się czymś nierealnym. Wciąż jeszcze często i z mieszanymi uczuciami myślał o damie z Lublina. Ale do czułości i żalu coraz częściej dochodziła jakby pewna ulga. Nagle poczuł się wolny. Ponieważ celował w hebrajskim i historii świętej, ojciec oczywiście widział jego przyszłość w rabinacie. Jeremiasz od zawsze wyobrażał sobie, że któregoś dnia zostanie rabinem. Ale spektakl świata, niemal mu jeszcze nieznan, już teraz zaczynał napełniać go szczęściem i swoistym upojeniem. W dzieciństwie Lublin wydawał mu się ogromnym miastem. Był

zachwycony Warszawą. Ujrawszy Berlin, który w owym czasie był tylko stolicą Prus, choć już przymierzał się do odegrania swej mocarstwowej roli, zaniemówił z wrażenia.

W liście pełnym emfazy i niemal niezrozumiałym ojciec Jeremiasza półsłówkami wtajemniczył rabina z Warszawy w przygody syna. Później, dużo później Jeremiasz Finkelstein nieraz żartował sobie ze skrupułów świątobliwego męża:

– Lepiej by zrobił, mówiąc: „Mój syn trochę zanadto używa sobie z żoną gliniarza; spróbuj zorientować się, co się da zrobić”.

Rabin Mosze ben Jehuda z listu rabina Finkelsteina zrozumiał niewiele. Dość jednak, by nie wątpić, iż w grę wchodzi sprawa podejrzana i dość niepokojąca. Przeraziła go jego misja anioła stróża. Niewielkie miał upodobanie do intryg policyjnych, a już zgoła żadnego powołania do leczenia złamanych serc. Od samego początku myślał tylko o jednym: opchnąć młodzieńca komu innemu, tak jak w grze w Czarnego Piotrusia próbuje się upłynnić waleta pikowego któremuś z partnerów. Kuzyn z Berlina nadawał się do tego najlepiej. A w dodatku przedstawiał sobą jeszcze i tę korzyść, że potrzebny był mu w interesie, znakomicie zresztą prosperującym, chłopiec bystry i umiejący czytać po hebrajsku. W niespełna dwa miesiące od przyjazdu do Warszawy Jeremiasz znów siedział w pociągu, zdążając ku nowym przygodom. Z ciężkim sercem opuszczał sztetl, swoją rodzinę, zapłakaną matkę, oszołomionych braci i siostry, niespokojnego i pełnego powagi ojca. W pociągu do Berlina ku własnemu zdumieniu rozpierała go radość.

Brama Brandenburska go olśniła. Unter den Linden zachwyciła. Miasto, nieco uroczyście, poważne jak jego ojciec, wrzące hałaśliwą, choć uporządkowaną aktywnością, bardzo mu się spodobało. W owym czasie berlińscy Żydzi tworzyli liczną i poważaną społeczność. Niewiele narodów – z wyjątkiem może krajów arabskich pod koniec średniowiecza i w XVIII wieku – traktowało ich z taką estymą i życzliwością jak Niemcy w XIX i na początku XX wieku. Jeremiasz szybko zdobył sobie przyjaciół i w kilka miesięcy opanował niemiecki. Wuj, właściciel *Buchhandel Zum Goldenen Buche*, był człowiekiem o nieodpartym uroku, zupełnie niepodobnym do rabinów, z którymi stykał się dotąd Jeremiasz. Wysoki, tęgi, z bujną brodą przetykaną

srebrnymi nitkami, z rzadko kiedy czesanymi włosami, o czarnych błyszczących oczach i donośnym głose, którym bez wahania wygłaszał różne sądy, by w chwilę potem ich żałować, Karl-Hans Liebermann nie wierzył ani w Boga, ani w diabła.

– Aj, waj! – mówił, widząc Jeremiasza późną nocą lub bladym świtem na zapleczu sklepu, w świetle lampy zatopionego w lekturze Tory, Kabały czy Zoharu. – Aj, waj! jak zawsze wypatrujący sefirotów i pojawienia się imienia bożego?... Aj, waj!

I oddalał się z gromkim śmiechem godnym bohaterów Homera czy Rabelais'go.

Nade wszystko w świecie cenił sobie rozkosze życia: lubił śmiać się, jeść i pić, bawić się i świętować. Do tego dochodziła jeszcze opera, za którą przepadał, oczywiście dobre książki i socjalizm. Namiętnie czytywał, nie zawsze je rozumiejąc, dzieła swoich współczesnych i rodaków, z którymi zdarzało mu się stykać podczas różnych spotkań publicznych lub prywatnych – głównie zaś Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, których darzył nabożeństwem, jakie oprócz nich wzbudzali w nim jeszcze tylko Spinoza i Heine. Uczony i wesoły olbrzym bardzo szybko zaczął wywierać głęboki wpływ na Jeremiasza. Przez cały ten rok w Berlinie młodzieniec dniami i nocami czytał książki, które jego ojciec rabin bez wahania kazałby wrzucić w ogień.

Ale tym, co w czasie tego pobytu w Niemczech, tak pracowitego i w gruncie rzeczy tak szczęśliwego, wywarło na nim największe może wrażenie, było odkrycie swojego powodzenia u kobiet. Przez długi czas sądził, że przygoda z panią Putyfarą była wydarzeniem jedynym w swoim rodzaju, właściwie niepojętym, czymś wyjątkowym, niezwykłym, niepowtarzalnym. „Mój *apax*” – mówił, ale tylko sam do siebie i po kryjomu, dumny z odkrycia w jednej z książek tego greckiego terminu, oznaczającego słowa spotykane w całej literaturze tylko jeden raz, przez co ich dokładne znaczenie pozostaje często niejasne.

I oto odkrywał rzecz napęlniającą go lekkim wstydem i niemal trwogą: podoba się kobietom. Początkowo naiwność i skromność nie pozwalały mu dostrzec tego, co dość szybko stało się sprawą oczywistą. Pod byle pretekstem kobiety młodsze i starsze wpadały do sklepu Karla-Hansa, dopominając się o Jeremiasza, jeśli był nieobecny.

Z mieszanymi uczuciami zarozumiałości i pokory sądził, że to dzięki swoim kompetencjom bukinisty stał się tak niezastąpiony. Jednak rozmaite drobne wskazówki sprowadziły go z tego tropu. Kobiety szukały jego towarzystwa, ponieważ im się podobał. Myślał, że skona ze wstydu.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Karl-Hans miał uroczą i bardzo szpetną córkę. Później, dużo później, rozmyślając któregoś dnia o przeszłości, Jeremiasz ze zdziwieniem stwierdził, że nigdy właściwie nie dowiedział się, jak naprawdę miała na imię. Liliana, Elisabeth, Lisbeth, może nawet Lilith? Wszyscy mówili do niej Lili. Miała żółtawą cerę, była masywna, prawie tak wysoka jak ojciec, ciężka i monstrualnie wręcz gruba, bardzo krótkowzroczna, nosiła ogromne okulary i była absolutnie cudowna. Miała czyste i świeże serce. Minęło wiele miesięcy, nim Jeremiasz zorientował się, że Lili jest w nim zakochana.

Jak wszędzie, gdzie silne są wpływy brytyjskie, *breakfast* w Glangowness było obrzędkiem uroczystym i milczącym. Na stole stały Quaker Oats, owsianka, bekon, jajecznica, jajka gotowane lub sadzone, ciasta, owoce, wszelkiego rodzaju galaretki, kiełbaski, szynka z Yorku oraz te ohydne śledzie zwane chyba *kippers*, którymi nieustannie objadają się w powieściach P.G. Wodehouse'a Bertram Wooster i niezrównany Jeeves. Wszystko to popijano herbatą podawaną w wielkich, będących jak nic szczytem elegancji, imbrykach, okrytych filcowymi pokrowcami utrzymującymi ciepło. Tradycja wymagała, by lord Landsdown miał własny imbryk ze specjalną herbatą – ekskluzywny gatunek, o ile dobrze pamiętam lapsang souchong, przygotowywany specjalnym staraniem przez firmę Fortnum & Mason dla trzech czy czterech pokoleń McNeillów, w puszkach opatrzonych w podtytułach owymi porywającymi słowami, które przepowiadałem sobie niczym poemat: *Traditional Smoky Flavoured China Tea*, sposobem parzenia zdolnym przyprowadzić człowieka o zawrót głowy: *This exclusive and delicious tea deserves the very best attention. Warm the teapot, allow the tea to brew for five minutes, then stir and serve*, nie mówiąc już o pełnej wyniosłości reklamie handlowej: *Fortnum & Mason first began trading in 1707. They have served seven reigns of British monarchy and have been honored many times with Royal Warrants of Appointment*. Tyle

przezorności, tyle wskazówek, tyle zdumiewającej dystynkcji – i wszystko właściwie na nic: krążyły słuchy, że imbryk lorda Landsdowna pełen jest whisky.

Ja sam poznałem uroki śniadania na zamku w Glangowness dopiero znacznie później. Lecz czas tutaj płynął tak wolno, a tradycji przestrzegano z taką skrupulatnością, że wyraźnie docierały do mnie echa przeszłości. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić dziadka czterech panien O'Shaughnessy, nieźle się jeszcze trzymającego, choć przytłoczonego brzemieniem lat starca, jako młodego niecierpliwego mężczyznę, który w olbrzymim salonie w Glangowness w zawołanych i ogłędnych słowach rozmawia z teściem o zbrodniczych klejnotach indyjskiej praprababki.

Ale przygody, niebezpieczeństwa, bezwzględne i bolesne decyzje nie stanowiły wyłącznej domeny przeszłości. Młodemu Seanowi O'Shaughnessy'emu nie dość było wyskoczyć z kariolki przed kolejowym szlabanem, który w tak bezbłędnym stylu wziął Indian Godolphin, oraz poślubić córkę Landsdownów. Był Irlandczykiem. I to niezwykle brytyjskim. Już w domu rodzinnym, już niemal w kołysce dowiedział się, czym są dramaty rozdartych narodów.

Ojciec Seana miał na imię Brian. Brian O'Shaughnessy był chrześniakiem Daniela O'Connella. Niewielu francuskich czytelników tych zbiorowych wspomnień zna nazwisko O'Connell, choć wstawiło się ono w historii walk Irlandczyków o wyzwolenie. Daniel O'Connell, adwokat, polityk i działacz katolicki, odgrywał czołową rolę w życiu Irlandii w początkach XIX wieku, póki nie został odsunięty przez młodsze pokolenia, z większym zapałem angażujące się w krwawą walkę. Już nie o to, jak w przeszłości, by uzyskać równe prawa z Anglikami, lecz by się od nich oderwać.

Brian O'Shaughnessy miał młodszego brata, Edmunda. Ów Edmund był chrześniakiem jednego z McNeillów, dość blisko spokrewnionego z naszymi Landsdownami. Ironicznym zrzędzeniem losu żaden z braci nie podzielał zapatrywań swojego ojca chrzestnego: chrześniak irlandzkiego i katolickiego przywódcy był orędownikiem zbliżenia z Londynem; chrześniak szkockiego i protestanckiego magnata czynnie opowiedział się po stronie walki niepodległościowej. Edmund

O'Shaughnessy był jednym z założycieli bractwa Fenian, którzy przez długie lata wojowali z Anglikami, zanim ich samych z kolei wyparły nowe formy walki.

Sean O'Shaughnessy chętnie opowiadał o pewnej niezwyklej nocy w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych, na niedługo przed wielką klęską głodu, która wygnała do Ameryki tylu zdesperowanych Irlandczyków. Po polowaniu na lisa rodzice Briana i Edmunda wydali u siebie w Connemarze, jakieś sto mil na zachód od Dublina, jeden z tych bali, za którymi tak przepada drobna szlachta. Na balu obecni byli wszyscy przedstawiciele miejscowej władzy, ponadto angielski generał, podsekretarz stanu przybyły z Londynu na nie pomnę już jaką inspekcję, najbliższy współpracownik pierwszego lorda admiralicji oraz wielu innych, cywili i wojskowych, blisko związanych z tym, co zwolennicy autonomii zaczęli nazywać władzą okupacyjną. Nagle w pobliżu skromnego baru, zaopatrzonego głównie w piwo i whisky, przy którym stał pan domu, dało się zauważyć pewne poruszenie. Kolejni służący w stanie wielkiego wzburzenia podchodzili do niego, donosząc, że w pobliżu stajni w ramionach pana Edmunda kona jakiś mężczyzna obficie broczący krwią. Rozegrała się wówczas zdumiewająca scena: grupka mężczyzn i kobiet opuściwszy światła i muzykę salonów, w poświacie księżycowej pospieszyła w milczeniu w stronę zabudowań gospodarczych zamku. Nieopodal stajni orszak, zda się żywcem wyjęty z jednego z tych marnych, a tak popularnych w owych czasach malowideł historycznych, nagle zatrzymał się; usłyszeli jęki. Od grupy oddzieliło się dwóch mężczyzn i w ciemnościach, z latarnią czy pochodnią w ręku zbliżyli się do mrocznego kąta, skąd dobiegał odgłos przyspieszonego oddechu, przerywanego krótkimi słowami. I tam w pełgającym świetle ujrzeni Edmunda, na którego kolanach spoczywała głowa młodego, ciemnowłosego mężczyzny. Twarz Edmunda znajdowała się tak blisko twarzy umierającego, że zdawało się, iż całuje jego wargi, z których powoli spływała krew.

W moim kuferku znajdowało się stare, pożółkłe zdjęcie Cristiny Isabel ofiarowane mi przez Pandorę lub jedną z jej sióstr, która z kolei musiała je dostać od jednego z braci Romero. Wykonane na twardym i grubym kartonie, dzięki czemu zapewne przez tyle lat nie pocięło się

ani nie podarło, bardzo różniło się od dzisiejszych fotografii. Przedstawiało, choć bardzo niewyraźnie, dziewczynkę będącą już podlotkiem, bądź też panienkę, która z tymi bujnymi lokami i rozmarzonym spojrzeniem była jeszcze dzieckiem. Rysy miała tak zamazane, że słuszniej byłoby powiedzieć, że się je ledwie rozpoznaje, a właściwie zgaduje. Zdjęcie było nie tyle czarno-białe, ile raczej szaro-brunatne, z tyłu zaś podpisane nieporadnym charakterem pisma samym tylko imieniem, niestety, bez daty: Cristina Isabel. Nie mam pojęcia dlaczego, ale z tego na wpół zblakłego wizerunku i tego imienia na odwrocie tchnęła z siłą swoista woń miłości – minionej, lecz wciąż trwałej.

Wielkie, białe i bogate rody z Rio czy São Paulo, siłą rzeczy żyjące na uboczu, nieustannie spragnione były nowinek z Europy – musiała to być jedna z pierwszych w Brazylii seryjnych fotografii. Trzymając w dłoni twardy przykurzony kartonik, rozmyślałem na tarasie w San Miniato o tym wszystkim, co składało się na jego kontekst techniczny, uczuciowy i historyczny. Zdjęcie nie zostało zrobione przenośnym, rodzinnym i prywatnym aparatem fotograficznym. Prawdopodobnie Pericles Augusto i Florinda w towarzystwie odświętnie wystrojonej małej z wielką pompą udali się na jarmark, gdzie za ogromną maszyną, nieco już sfatygowaną wskutek podróży i byle jak powiązaną sznurkami, królował, budząc zdumienie i zachwyt, a także pewien lęk, wędrowny fotograf. Nietrudno było wyobrazić sobie tę scenę. Może ojciec i matka również pozwolili czarodziejowi nowoczesności? Zachował się jednak tylko wizerunek dziecka. Lub też, kto wie, może seans fotograficzny był zbyt kosztowny, by móc uwiecznić całą rodzinę? Więc wybór padł oczywiście na małą, by reprezentowała cały klan, wtedy jeszcze siłą rzeczy sprowadzony do swego najprostszego wyrazu. Tak samo kilka wieków wcześniej i w zupełnie innej cywilizacji rodzina flamandzkich sukienników czy burgundzkich rajców wyznaczała najstarszego syna lub głowę rodu, by sportretował go któryś z uczniów van Eycka lub Rogera van der Weydena, przebywających akurat przejazdem w mieście.

Na zdjęciu nie znać u Cristiny Isabel niemal żadnych cech czarnej rasy. O ile można się zorientować, miała bez wątpienia smagłą i matową karnację. Nikt by jej nie wziął za Szwedkę, matkę Grety Garbo czy

babkę Ingrid Bergman. Mogłaby jednak być Sycylijką, Prowansalką lub Korsykanką – małą siostrzenicą Mistrala lub cioteczną babką Anny Magnani. Zaskakująco elegancka jest jej sukienka. Z tymi wystającymi spod spódniczki pantalonami i obfitością koronek wygląda jak tropikalna siostra małych grzecznych dziewczynek. Czy to najpiękniejszy strój ze skromnej prawdopodobnie – choć kto wie? może wystawniejszej niż nam się wydaje – garderoby córki Florindy? Czy też sukienka pożyczona od fotografa, stanowiąca część dekoracji na równi z rośliną o mięsistych liściach, której domyślić się można w tle w cieniu parawanu?

Wszystkie te pytania odsyłają rzecz jasna do sprawy zasadniczej: jak w okresie, gdy Cristina Isabel ma dziesięć, dwanaście lat – może dziewięć, może trzynaście, czy to wiadomo, zwłaszcza w tamtych czasach, tamtym klimacie, w takim stroju? – przedstawia się sytuacja jej ojca, Periclesa Augusta? Nie ulega bowiem wątpliwości, że jego pozycja znacznie się zmieniła. Z jednego czy dwóch listów pochodzących z okresu znacznie późniejszego, lecz nawiązujących do dzieciństwa córki – one również, chwała Bogu, wchodzi w skład niewyczerpanych skarbów magicznego kufierka z San Miniato – wnioskuję, że w ciągu mniej więcej dziesięciu lat Pericles Augusto z kategorii wędrownych handlarzy przeszedł do klasy drobnomieszczańskiej.

Pozostaje jeszcze ustalić, co oznacza pojęcie drobnomieszczaństwa w drugiej połowie XIX wieku w Bahii. Z pewnością nie to samo, co pojęcie współczesnej jej drobnej burżuazji z Marsylii czy Tours, z Frankfurtu czy Manchesteru ani nawet z São Paulo czy Rio de Janeiro pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat później, na przykład w czasach Getúlia Vargasa, postępowego dyktatora, w pewnym sensie zwiastuna generała Perona, kiedy to zaczyna przynosić owoce industrializacja kraju, powodując bogacenie się jeśli nie mas, bo te zawsze są biedne i często głodne, zwłaszcza w regionie Nordeste upośledzonym do granic katastrofy, to w każdym razie ograniczonej, lecz coraz liczniejszej grupy rodzin uprzywilejowanych. Rzecz w tym, że Pericles Augusto najpierw się osiedlił, a następnie zabezpieczył. A to dwie podstawowe przesłanki definicji mieszczanina. Osiedlił się w Bahii. Zabezpieczył na przyszłość i jej zmienne koleje. A stabilizację zapewniła mu – co zakrawa na paradoks – Florinda, dawna niewolnica, która odciągnęła go od Olindy,

oszczędzając mu ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce i zapewniając coś stałego, mniej lub bardziej stałego, co przypominało ognisko domowe. Koniec z ryzykownymi podróżami po morzu, w interior czy w górę Amazonki. Teraz inni wędrują, by spotkać się z Periclesem Augustem w czymś w rodzaju biura. Och, tylko nie wyobrażajcie sobie od razu jakiegoś gmachu na rue de la Paix, w West Endzie, a nawet w okolicach Hal, czy choćby dwóch skromnych pokoików z widokiem na port w Bośni bądź Livorno. Biuro Periclesa Augusta w Bahii w ostatnich latach cesarstwa lub w początkach republiki brazylijskiej, niedługo przed lub po ostatecznym zniesieniu niewolnictwa w 1888 roku, przypomina raczej bistro, trafikę ze sprzedażą papierosów, lepiankę w centrum miasta, graciarnię, w której jest wszystko: butelki i rybackie sieci, i instrumenty muzyczne. Nic nie szkodzi. Nie jest już skazany na jarmarki, handel wymienny z Indianami, niebezpieczne wyprawy. Osiadł, urządził się, zaczyna prowadzić interesy. Niewykluczone, że nadal zasadzają się one na handlu bronią – tyle że obecnie na znacznie większą skalę – ale chronią go, jego i rodzinę, przed nędzą i ubóstwem, pozwalając mu spoglądać w przyszłość z tą pogodą ducha, jaką dają jedynie regularne – nie w sensie legalne, tylko: regularnie spływające – pieniądze.

I jest jeszcze Bahia, piękna i wesoła ze swoimi kolorowymi domami i kościołami pełnymi złota, oślepiającym i palącym słońcem, i bliskością oceanu: Cristina Isabel lubi wieczorami spacerować jego brzegiem w towarzystwie matki i ojca. Czasami jakiś kupiec, urzędnik, niekiedy nawet bankier w odpowiedzi na pozdrowienie Periclesa Augusta uchyla kapelusza, posyłając uśmiech dziecku.

Nadia Wrońska miała zaledwie kilka miesięcy, kiedy Piotr Wasiliewicz przedstawił żonie mężczyznę jeszcze w sile wieku, posiadacza brody i geniuszu: był nim Verdi. Marie Wrońskiej nie trzeba było długo prosić, by w czasach Gastona Doumergue'a i Lloyd'a George'a opowiedziała – bo sędziwe damy przyznają się do błędów, do których przynigdy nie przyznałyby się pół wieku wcześniej, tak jakby niemożność ponownego ich popełnienia była jednoznaczna z rozgrzeszeniem – o swoim pierwszym spotkaniu z przyszłym autorem *Requiem*. Scena ta, a potem znaczna część ich wspólnej historii rozgrywa

się w przepięknym domu na Giudekce w Wenecji, tym samym, w którym w przeddzień lub tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej ja z kolei przeżywałem, już nie z Marie Wrońską, ale z jej prawnuczką, niezapomniane dni i czarowne wieczory wciąż jeszcze pełne wspomnień po Wrońskich.

Kiedy Verdi płynąc gondolą z placu Świętego Marka, pałacu Dożów i wyspy San Giorgio, mija od bakburty Giudekkę, a od sterburty Zattere, z lewej strony, prawie naprzeciwko della Salute, a potem Gesuati – w żadnym wypadku nie mylić z Gesuiti – widzi dwa kościoły: Zitelle i Redentore. Jakieś sto metrów przed arcydziełem Palladia, Redentore, biegnie mała mroczna uliczka, którą trzeba pójść wzdłuż kanału do samego końca. Uliczka kończy się zaułkiem i murem, w którym znajdują się drzwi. Dzwoni. Otwiera mu stara ukraińska wieśniaczka, służąca państwa domu, Rosjanina i Francuzki, mruczając w swoim języku coś, czego ten nie rozumie. Verdi mija przedsionek, potem rodzaj loggii. I nagle z prawej i lewej strony widzi przed sobą ogromny ogród. W środku ogrodu stoi różowy dom z małym dziedzińcem od frontu.

Po prawej stronie, z sadu pełnego drzew owocowych, pomarańczowych, cytrynowych, rozciąga się widok na stare domy i kampanilę. Z lewej dwie czy trzy alejki prowadzą pośród kwiatowych rabat nad lagunę: nie tę małą między Giudekką i Zattere, ale wielką lagunę, już właściwie morze, na której odległym krańcu na północy widać Lido, pośrodku Malamocco, w dole zaś tak drogą Goldoniemu Chioggię.

Okna domu wychodzą na obie strony. Jest jednopiętrowy: na piętrze cztery lub pięć sypialni, na parterze duży salon, salonik, biblioteka, jadalnia i kuchnia. W samym sercu kamiennego miasta całość ta wygląda jak wiejskie zacisze, kojarzące się bardziej z dworkiem niż weneckim pałacem. Ma się niemal wrażenie, że to skrawek Toskanii leżący nad laguną; część tego kulturowego objawienia, jakim jest Wenecja zabawy i architektury.

Nie wiem, co w narodowym i estetycznym bożyszczu wskrzeszonej Italii wzbudziło większy zachwyt: sceneria czy pani domu. Przypuszczam, że mimo plumbago i afrykańskich lilii Marie Wrońska

zdecydowanie wzięła górę nad wizją Wenecji sielskiej i florenckiej. Ona zaś momentalnie zdała sobie sprawę, że oto zaczyna się dla niej czas cierpienia i szczęścia. Spokojny błogostan, w jakim żyła u boku Wrońskiego, za chwilę unicestwić miała burza. W niezłomnej wdzięczności, jaką poprzysięgła sobie darzyć Wrońskiego, powstał wyłom; zachwiała nią wszechogarniająca namiętność.

– Wasza Wysokość... – zagaił premier, odkaszlując lekko.

– Co Wasza Wysokość? – przedrzeźniając premiera, przerwała mu wzburzona królowa.

– Jak zapewne wiadomo Waszej Wysokości... – mówił dalej szef Foreign Office, nie bez pewnej odwagi podejmując walkę.

– Kto mnie wreszcie uwolni od moich dyplomatów i tej ich dyplomacji?

– Rzecz nie w dyplomacji, lecz w geografii – odrzekł dotknięty do żywego minister spraw zagranicznych, po czym nagle urwał i poczerwieniał, zatrwożony własnym zuchwalstwem.

– Czy to odległość napędziła panu takiego stracha? Indie też są daleko, a i Kanada, i Afryka nie leżą na przedmieściach Londynu. Zresztą morze to nasze królestwo i to, co oddzielają od nas tysiące mil morskich, nadal jest tuż obok, bo mamy naszą Navy.

– Słusznie... – powiedział premier z przykładną powściągliwością.

– Sir Reginald będzie zdziwiony i zaszczycony, mam nadzieję, i rozczarowany, i głęboko zasmucony, dowiadując się, że w całej Radzie Ministrów Korony Brytyjskiej znalazł tylko jednego orędownika. I że jego obrońcą był nie kto inny, jak sama królowa.

Królewska rozmowa trwała w tym tonie jeszcze czas jakiś. W końcu jednak trzeba było powiadomić królową, że Paragwaj jest jedynym krajem w Ameryce Południowej, który nie ma dostępu do morza.

Rozczarowanie królowej było równie wielkie, jak jej zdumienie i wojowniczość. Paragwaj nie posiadał wybrzeża; tchórzliwie uchylał się od ataku od strony morza. Co robić? Rada deliberowała godzinę, może dwie. W końcu zdecydowała się na zgoła bezprzykładną sankcję: otóż w odwecie za haniebne potraktowanie sir Reginalda Paragwaj zostaje wykreślony z mapy, a jego terytorium podzielone między sąsiadów,

skądinąd skrycie o tym marzących. Jak każdy się może przekonać, na angielskich mapach z drugiej połowy XIX wieku Paragwaju nie ma. Honor brytyjski, połączywszy się w jedno z honorem ministra pełnomocnego, pomścił zniewagę wyrządzoną przez Mado z Maubeuge, rozmyślnie ignorując jej przybraną ojczyznę. Ale historia Asunción na tym się nie kończy. Zważywszy jej konsekwencje przeżywa, i to znacznie, zniknięcie Paragwaju z map Jej Królewskiej Mości.

Miłości kobiet brzydkich są równie wzruszające, co kaprysy bogiń, gwiazd i modelek, którymi karmi nas kino i prasa bulwarowa. Jeremiasz i Lili siłą rzeczy spędzali razem całe dnie w sklepie Karla-Hansa. Rozmawiali. Rozmawiali o przeczytanych książkach, krajach, o których marzyli, o wszystkich tych wielkich nadziejach, jakimi żyją młodzi. Często się zdarzało, że nad Berlinem dawno już zapadła noc, a dwoje przyjaciół wciąż jeszcze siedziało naprzeciw siebie, rozdzieleni lampą niczym mieczem Tristana. Lili trzymała się prosto, z łokciami między książkami i podbródkiem opartym na wysoko splecionych dłoniach. On zachowywał się swobodnie na wpół leżąc na stole, z twarzą wtuloną w zgięte ramię. Niekiedy wyczerpany po długim dniu pracy rozpoczynającym się o brzasku, zasypiał. W takich chwilach Lili siedziała nieruchomo wpatrzona w śpiącego i wsłuchana w ciemnościach w jego regularny oddech. Czasami zimą, kiedy piec zaczynał stygnąć, wstawała bezszelestnie, zsuwała z ramion szal i okrywała nim delikatnie plecy młodzieńca – śniącego może, kto wie, o nieznanym światach.

Wytworzyła się między nimi sympatyczna zażyłość. Była jednak trochę nierówna. Jeremiasz interesował się wszystkim, widywał się z mnóstwem ludzi, miał przyjaciół po trochu wszędzie, upajała go intensywność atmosfery żydowskiego i intelektualnego Berlina u schyłku XIX wieku. Lili odwrotnie, zamykała się w sobie. I coraz bardziej utożsamiała się z Jeremiaszem Finkelsteinem.

Pewnego dnia do sklepu Karla-Hansa weszła młoda, niebrzydka kobieta i zwróciła się do Jeremiasza w sprawie kilku książek. Przez chwilę rozmawiała o tym i o owym, ale głównie o literaturze, po czym wyszła. W pięć czy sześć dni później pojawiła się znowu. I tak wracała regularnie przez całą wiosnę. Są takie osoby, które pojawiają się tylko po to, by wyzwolić pewne reakcje i objawienia. Do księgarni zaglądało

mnóstwo kobiet i młodych dziewcząt. Wiele z nich nawet nie próbowało ukrywać zainteresowania Jeremiaszem. Ale żadna z nich nie drażniła Lili do tego stopnia. Coraz trudniej przychodziło jej ukrywanie swojej niecierpliwości, rozdrażnienia, a wkrótce też i złego humoru. Zdawać by się mogło, że klientka, w gruncie rzeczy anonimowa, widywana przez Jeremiasza wyłącznie na forum publicznym, płaciła za inne, koncentrując na sobie wszystkie tajone cierpienia córki Karla-Hansa. Jeremiaszowi było przykro z powodu zgryzoty Lili.

Postanowił porozmawiać z Karlem-Hansem.

Było tak, jak gdyby umierający Irlandczyk powierzył Edmundowi O'Shaughnessy'emu jakąś misję. Odtąd Edmund uważał się za sukcesora tego nieznanego żołnierza, który oddał życie w walce z brytyjskim najeźdźcą. Stał się wrogiem własnych rodaków, którzy z niewystarczającym zaangażowaniem, jak uważał, stają do odwiecznej walki Celtów z Normanami i katolików z protestantami.

U O'Shaughnessych cały koniec ubiegłego i początek tego wieku pozostaje pod znakiem szalonych przygód ich drogiego buntownika. Przez ponad trzydzieści lat Edmund O'Shaughnessy uczestniczy we wszystkich oscylujących na granicy bandytyzmu akcjach przeciwko brytyjskiemu zwierzchnictwu. Naturalnie trudno jest wypowiadać się z całą pewnością na temat wydarzeń z natury swej konspiracyjnych, niemniej wiele wskazuje, że on jako pierwszy wpadł na pomysł, by przenieść walkę na teren samej Anglii. W czasie, kiedy Brian i jego rodzice bywali na przyjęciach w Windsorze i Buckingham, składali ukłon przed członkami rodziny królewskiej i uchodzili za wiernych i lojalnych poddanych, Edmund fabrykował bomby i napadał na banki, by zasilić kasę irlandzkiego ruchu oporu.

Pod wieloma względami Edmund nadal pozostawał w bliskich stosunkach z rodziną i był typowym O'Shaughnessym. Rosły, bardzo szczupły, o pociągłej twarzy, z mocno cofniętą linią włosów odsłaniającą wysokie czoło, miał w sobie coś bardzo brytyjskiego, a zarazem – istny paradoks – przypominał wyglądem hiszpańskiego mnicha. Pewien rys fanatyzmu szedł u niego w parze z wielką elegancją. Edmund często wyjeżdżał do Ameryki, gdzie próbował pozyskiwać fundusze wśród irlandzkich emigrantów. Podróżował zawsze pierwszą klasą,

w komforcie bliskim luksusowi. Przez tych kilka dni podróży był najweselszym i najbardziej poszukiwanym z kompanów, prawdziwą duszą towarzystwa, wzbudzającym podziw pasażerek swoją garderobą, której wyrafinowanie graniczyło z ekscentrycznością. Ledwie jednak znalazł się w Nowym Jorku, momentalnie przeobrażał się w człowieka interesu – czy też stawał się nim na nowo – niestroniącego od mokrej roboty. Odnawiał kontakty z kompanami z tajnych organizacji irlandzkich, na różne sposoby powiązanych z jednej strony z nowo powstającymi związkami zawodowymi, z drugiej z mafią – nie mówiąc już o policji, w której miał wielu przyjaciół, a może i współników. Zdrajcy, w Ameryce tak samo jak w Irlandii i Anglii, nie zasługiwali w jego oczach na litość. Chodziły słuchy, że co najmniej dziesięć egzekucji na irlandzkich emigrantach przeprowadzonych na ulicach Nowego Jorku, Chicago i San Francisco zarządził osobiście.

W tym samym czasie Brian wstąpił do służby brytyjskiej królowej. Ukończywszy Eton, potem Oksford – podobnie jak jego syn w odpowiednim czasie ukończy Eton, potem Oksford – z wielkim wdziękiem i urokiem został typowym dyplomata brytyjskim. Służył w Indiach, gdzie wśród wielu oficerów i *civil servants* wciąż jeszcze żyło wspomnienie po lordzie Landsdownie; w Maroku, w Wiedniu, gdzie nie omieszkał skorzystać z usług Gustave’a Herbignaca, zaopatrując się w koniak i porto; w Berlinie i Paryżu, gdzie dość blisko zaprzyjaźnił się z moim młodym wtedy jeszcze dziadkiem. Jako chrześniakowi Daniela O’Connella nieobojętny był mu los irlandzkich rodaków, którym tak okrutnie dał się we znaki głód w połowie stulecia oraz brytyjska i protestancka dyskryminacja. Uważał jednak, że z walki należy wyeliminować wszelkie formy przemocy, że jej celem powinna być przede wszystkim asymilacja Irlandczyków z Anglikami, a nie ich rozdział. On, Irlandczyk, miał wrażenie, że służąc Anglii, służy jednocześnie Irlandii, gdyż jako dyplomata, brytyjski ambasador i człowiek blisko związany z Koroną, mimo swych irlandzkich korzeni dostąpił najwyższych zaszczytów imperium brytyjskiego.

Mimo wszystkiego, co ich dzieliło, bracia nadal pozostawali blisko ze sobą zżyci. Od czasu do czasu spotykali się w starym domu w Connemarze na polowaniach na lisy i cietrzewie, w Dublinie, a nawet

w Londynie. I prowadzili wówczas niekończące się rozmowy, podobne do tych, jakie my przy kamiennym stole w Plessis-lez-Vaudreuil prowadziliśmy z dziadkiem w czasach sprawy Dreyfusa. Ale i tu rzucały się w oczy różnice, cała odmienność naszego łacińskiego świata od ich świata anglosaskiego. Nasze dyskusje były sporami adwokatów. Jesteśmy narodem adwokatów, których od czasu do czasu wciąga, głównie za pośrednictwem słowa, rewolucja, wojna, tragedia, epepeja. U Anglików wszechobecne jest pojęcie narodu i imperium. Mają w sobie – dziwne, bo to przecież my jesteśmy Latynami – coś romańskiego. W końcu jedyne śmiertelne ofiary, jakie pociągnęła za sobą sprawa Dreyfusa, to samobójcy, kilku duchowych mięczaków. Tymczasem na długo przed wydarzeniami w naszych odległych Indochinach i naszej pobliskiej Algierii sprawa Irlandii przez dobrych sto lat, tuż pod bokiem Anglii, nieustannie przynosiła wciąż nowe ofiary i zabitych w zamachach lub powieszonych. I na tle tych krwawych zwłok, przemocy i eksplozji Brian i Edmund ucinali sobie przyjazne pogawędki.

– I pomyśleć – wołał Edmund teatralnym tonem – że ty, chrzestny syn O’Connella, tak ślepo wierzysz Anglikom!

– I pomyśleć – replikował Brian – że ty, chrzestny syn McNeilla, kazałbyś strzelać do Anglików i Szkotów!

– Wiesz, co ci powiem? Ci twoi Szkoci powinni zrobić tylko jedno: sprzymierzyć się z Irlandczykami w walce przeciw Anglikom.

– A ja uważam, że tylko jedno powinni mieć na uwadze Irlandczycy: dorównać Anglikom; powinni być jak oni bogaci, potężni, wolni. A najpewniejszym sposobem dojścia do tego jest tylko i wyłącznie zostać Anglikami.

– Irlandczycy mieliby zostać Anglikami! Czy ty wiesz, co mówisz?

– Godzić się na to, żeby Irlandczycy byli wciąż gorsi od Anglików! Czy ty rozumiesz, co robisz?

Stara whisky z powrotem ich godziła.

I tak to na tarasie w San Miniato, którego już prawie nie opuszczam, rozmyślałem o przeszłości świata. Była to przeszłość bardzo fragmentaryczna: przeszłość kilku mężczyzn i kilku kobiet, których historia spłotła się z moją i których pokochałem.

Wszyscy oni stanowili ledwie kroplę w oceanie całości. Owa idea

całości, której ja sam byłem jedynie znikomą cząstką, od zawsze mnie fascynowała. Czasami miałem wrażenie, jakby wokół czterech sióstr O'Shaughnessy i braci Romero tworzyło się coś, co z kolei dość trafnie podsumowywało człowiecze przygody w ciągu tego minionego stulecia.

Ile zdarzeń, talentu, geniuszu, ile wiary i miłości pozostawało na uboczu tej małej grupki, której tropami podążałem w przestrzeni i czasie! Nieraz wyobrażałem sobie, że uzbrojony w teleskop obserwuję w Brytyjskich Indiach zbrodnię z miłości przyszłej lady Landsdown; w brazylijskiej Nordeste uczuciową i społeczną marszrutę wędrownego handlarza; w Berlinie awans młodego, inteligentnego i uroczego Żyda; w Wenecji i Weronie miłosne przygody Francuzki, żony rosyjskiego wielmoży; w Paragwaju historyczne i uczuciowe perypetie pozbawionego skrupułów przeciwnika królowej Wiktorii, a w Szkocji i Irlandii konwencjonalne z pozoru, tradycyjne życie arystokratycznej rodziny spokrewnionej z Plessis-Vaudreuilami. W rzeczywistości teleskop był tylko mikroskopem. Gigantyczna sieć, którą zarzucałem na świat, była tylko śmiesznym wężem, siatką na motyle, naparstkiem Liliputki. Jak niemal wszyscy, którym marzyło się ogarnięcie uniwersum – drogą modlitwy, sztuki, pisania, działalności militarnej czy rewolucyjnej – czułem, jak moje marzenia przeciekają przez palce. Udawało mi się ogarnąć wzrokiem jedynie nieskończenie małe fragmenty czasu i przestrzeni.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była moja oczywista niemożność obsłużenia nawet tej śmiesznie ograniczonej szachownicy, na której rozgrywałem swoją partię. O Marie Wrońskiej czy Jeremiaszu Finkelsteinie nie wiedziałem prawie nic. Mogłem przytoczyć daty ich urodzin i śmierci, imiona tych, z którymi dzielili życie, kilka najważniejszych zdarzeń, dwie lub trzy cechy charakteru, które nie mogły ująć niczyjej uwagi. Ale reszta? materia dni? zapach nocy? owa szczególna jakość czasów, w których żyli? A zależało mi na odtworzeniu tego właśnie: najbardziej nieprawdopodobnych przygód, ale jeszcze bardziej codzienności w całym jej banale. Każdego miesiąca, każdego tygodnia, niemal co godzinę kręci się filmy, wystawia sztuki teatralne, pisze i wydaje książki, często marne, bywa, że znakomite, a ich autorom przyświecają przeróżne ambicje. Jedni opowiadają historie; inni pragną

rozerwać i zabawić; inni zmienić świat; inni żonglować słowami i powodować, by eksplodowały; jeszcze inni – wymyślać nowe dreszczyki i opisywać namiętności, uczucia, idee dotąd niedostrzeżone, stając się w pewien sposób ich odkrywcami i wynalazcami. Mój zamysł był inny: chciałem przypomnieć sobie świat i wszystkie te rzeczy zadziwiające, a jeszcze bardziej rzeczy proste, niekiedy do granic oczywistości – czy jest jednak coś mniej jasnego od oczywistości? – które nieustannie się na nim dokonywały.

Uważałem, że z pomocą sztuki, talentu, geniuszu o mechanizmach serca powiedziano już niemal wszystko. Że efekty zaskoczenia trochę już zwietrzały. Że sumiennie zgłębiono już otchłanie języka. Że w gruncie rzeczy niewiele zostało, jak pisali przed wiekami więksi ode mnie, do wymyślenia i odkrycia. Ale wydawało mi się też, że istnieje coś silniejszego od wyczerpania i zniechęcenia, coś, co dostarcza więcej surowca i energii, niż możemy zużyć, coś, co nieznużenie wytryska i tworzy nowe: historia i upływający czas. Wydawało mi się, że każda epoka powinna pozostawiać wciąż nowe świadectwa tego, czym była; swoich nadziei, dokonań, sukcesów i porażek. I to właśnie próbowałem robić. By nie pozwolić zmarłym umrzeć bezpowrotnie i by choć cząstka ich ciepła przetrwała w naszej pamięci.

Nie było to łatwe. Musiałbym znać strój klientki, wzbudzającej taką zazdrość u Lili Liebermann w księgarni jej ojca; pogodę w Wenecji w dniu ślubu Marie de Cossigny; marki szampana i koniaku importowane do cesarskiego Wiednia przez Gustave'a Herbignaca; dokładne słowa królowej Wiktorii na forum Rady Ministrów, która skreśliła Paragwaj jeśli nie z powierzchni ziemi, to przynajmniej z brytyjskich map. Czy znam odpowiedź na te pytania i na tysiące innych? Oczywiście nie. Od razu się przyznaję: niewykluczone, że więcej wymyślam, niż sobie przypominam. A moje wspomnienia przebyły już tyle dróg, że być może bohaterowie mojej opowieści wcale by się nie rozpoznali w wizerunkach, jakie im kreślę. Już kiedy opisywałem Sosteniusza z Plessis-lez-Vaudreuil, mojego dziadka, u boku którego spędziłem prawie pół wieku, dopóki nie osiadłem w San Miniato, zdarzały mi się pomyłki. Co dopiero mówić o Piotrze Wasiliewiczu czy Periclesie Auguście; odwiedziłem naturalnie ich domy

i zgromadziłem materiały pisane, lecz nigdy ich przecież nie spotkałem – nie bez powodu, zważywszy, że dziś mieliby z górą sto pięćdziesiąt lat! – i znałem ich wyłącznie ze słyszenia. Pamięć to także rodzaj wymyślania.

Niech czytelnik lub czytelniczka wybaczą mi, że ofiarowuję im świat złożony z tak wyrywkowych i niekompletnych wspomnień. Może jednak w którejś z tych przygód i scenerii nagle rozpoznają coś z opowieści przez nich samych zasłyszanych lub też z własnej przeszłości. Może i terażniejszości, którą steruje historia, decydująca o niej i sprawująca nad nią władzę. A może również – dopóki ludzie mimo wszelkich zmian pozostawać będą nadal tacy, jacy byli – i przyszłości.

W kilka tygodni czy miesięcy po ceremonii całowania stopy Asuncióń poślubiła dyktatora. Trochę niezadowolony, że się w końcu zgodził na to, czego tak wcześniej pożądał, prezydent bezzwłocznie skorzystał z nowej sytuacji, by zdradzić prezydentową i znów zacząć się uganiać za damami z Encarnación i Villarica. Asuncióń miała to w nosie. Dawniej żyła uciechami ciała; teraz nagle odkryła, że kocha tylko władzę. Sama popychała małżonka prezydenta w ramiona rywalek, byle tylko zapewnić sobie niepodzielne rządy nad sprawami kraju, wykazującymi rosnącą tendencję do utożsamiania się z jej własnymi interesami.

Prezydent wędrował z łóżka do łóżka, tęskniąc za Europą i jej starymi kabaretami. Władza, strach i pieniądze mają w sobie ładunek erotyczny: napotykał niewiele oporu, aż w końcu cała ta uległość zaczęła go nużyć. Ale pewnego dnia czy nocy trafił na silniejszą od siebie. Była to kobieta nie pierwszej już młodości, choć nadal piękna, jasna szatynka mimo swych meksykańskich czy kubańskich korzeni, słynąca aż po Limę i Santiago de Chile z nieodpartego uroku. Nazywała się Conchita Romero. Była żoną pułkownika Romery, dawnego attaché wojskowego w Paryżu i Londynie, który dopomógł dyktatorowi w początkach jego kariery, a później odsunął się od niego, po czym zginął, spadając z konia i pozostawiając po sobie wdowę, syna jedynaka oraz pokaźną fortunę w plantacjach tytoniu czy bawełny i polach trzciny cukrowej.

Po śmierci męża Conchita Romero żyła z dala od świata w jednej

z najpiękniejszych i najstarszych rezydencji w kraju wraz ze swoim dziesięcio- czy dwunastoletnim synem, którym opiekowali się angielska *nanny* i francuski guwerner. Prezydent spotkał ją na obiedzie wydanym przez hiszpańskiego posła, który tym razem nie zapomniał założyć swojego Złotego Runa, obiadu z udziałem przedstawicieli Niemiec, Włoch i pana Duchaussoya de Charmeilles'go; wykorzystując spadek wpływów brytyjskich, z wielką skwapliwością starali się wkraść w łaski dyktatora i byli jak najbardziej skłonni puścić w niepamięć, metodą dość wygodnego połączenia patriotyzmu z tchórzostwem, doznane upokorzenie, chwała Bogu, zbiorowe.

Dyktator znał już oczywiście Conchitę Romero. Ale na wiele lat stracił ją z oczu. Ponowne jej spotkanie sprawiło mu przyjemność. Wydała mu się piękna, spokojna, dojrzała, daleka i niezwykle podniecająca w tej swojej nieco wyniosłej samotności. Lekceważąc Ich Ekscelencje, anegdoty dyplomatyczne pana Duchaussoya de Charmeilles'go, wspominki z polowań lub przyjęć Hiszpana i Niemca, prezydent ze swą zwykłą swadą, gwiżdżąc na konwenanse, uderzył w konkury do wdowy po pułkowniku. Dyplomaci odkaszliwali, przybierali lekko zakłopotane miny, odchodzili na bok na cygaro. Ich małżonki dąsały się i szeptały za osłoną wachlarzy. Conchita Romero uśmiechała się. Mimochodem wyznała, że uwielbia konfitury, że rozbawiła ją puma w sławnym zoo w Hamburgu, że najpiękniejsze futra można spotkać w Windsorze i Buckingham na ramionach żon piwowarów i baronetów. Następnego poranka dostarczono do jej domu wraz z płomiennym liścikiem sto osiemdziesiąt słoików konfitur z moreli i gorzkich pomarańczy. W miesiąc później maleńka kilkudniowa puma prowadzona na smyczy wkroczyła, budząc sensację, między jej starą porcelaną i wazy z Sèvres. Minęło sześć tygodni i otrzymała futro z białych nerek oraz list zawierający aż nadto czytelne wezwanie do spłaty zobowiązań. Conchita dobrze się orientowała w charakterze i zwyczajach dyktatora. W lot pojęła, że skończył się czas umizgów i całowania rączek.

– Tak wiele panu zawdzięczam...

– Och, nie ma o czym mówić.

– Wprost przeciwnie, chcę to panu powiedzieć, jak również...

- Co takiego, mój chłopcze?
- To dość trudne, panie Karl-Hans...
- Potrzebujesz pieniędzy?
- Ach, nie. Chodzi o to...
- Mówże, do licha!
- Chodzi o Lili.
- O Lili?

Karl-Hans uniósł głowę, na moment się zawahał. Obok przyjemności i socjalizmu Lili była jedną z najważniejszych spraw w jego życiu. Aż dziw było patrzeć, z jaką uwagą i tkliwością ten ojciec-wielkolud opiekował się swoją córką olbrzymką. Z jego szerokiej twarzy Jeremiasz odczytywał targające nim teraz emocje. Uczucia Lili dla młodzieńca nie mogły ujść uwagi ojca. Jeremiasz momentalnie zorientował się, że Karl-Hans szykuje się – przyjaźnie? z niechęcią? – na przyjęcie czegoś w rodzaju oświadczyn czy prośby o jej rękę.

- O Lili?...
- Tak... Wie pan, jak bardzo ją lubię...
- Wydawało mi się, że to zauważyłem – rzekł Liebermann z uśmiechem. – Ona też, jak sądzę, bardzo cię lubi.
- No, właśnie... – powiedział Jeremiasz.
- No więc, w czym problem?
- Tak bardzo bym chciał, żeby była szczęśliwa!
- To zależy przede wszystkim od niej. Trochę ode mnie. Może również od ciebie...
- Tak też sobie mówię. Ode mnie...
- No, więc?
- No, więc – powiedział Jeremiasz, patrząc Karlowi-Hansowi prosto w oczy. – Sądzę, że nigdy nie będę mógł dać Lili szczęścia. Panie Karl-Hans...
- Tak? – rzekł łagodnie Karl-Hans, kładąc dłoń na ramieniu chłopca.
- Panie Karl-Hans – powiedział Jeremiasz – muszę wyjechać. Muszę opuścić Berlin.

To wcale nie takie pewne, że koniec XIX wieku był wspaniałym okresem w dziejach ludzkości; brakuje mu jeśli nie rozmachu

i entuzjazmu, to w każdym razie wielkości i piękna. W porównaniu ze stuleciami szesnastym, siedemnastym i osiemnastym brakuje mu elegancji i wdzięku. Wraz z triumfem burżuazji i narodzinami wielkiego przemysłu pojawia się nowy bóg, kładący się cieniem na wszelkie ludzkie poczynania i sentymenty: pieniądz. Różne niepospolite umysły – jak Nietzsche, Wagner, Karol Marks, Rimbaud, Dostojewski – na rozmaite i niekiedy odmienne sposoby buntują się przeciwko nieznanym zagrożeniom, jakich domyślają się w przyszłości. Wyzyskowi najsłabszych towarzyszy obłudny moralizm na pokaz. Święci triumfy hipokryzja. Milowymi krokami postępuje konformizm umysłów. Przygoda, urok, moralna niezależność toczą boje na tyłach. Świat ogarnia swoista szarżyzna.

Jednocześnie ma się wrażenie, że na kuli ziemskiej zagościł nareszcie pokój. Między Sewastopolem, Sadową, amerykańską wojną secesyjną, wojną 1870 roku i kataklizmem pierwszej wojny światowej rozciąga się półwiecze – przerywane konfliktami kolonialnymi i ukrytymi dążeniami odwetowymi – kiedy działa grzmia słabiej. Rzecz w tym, że w narody wstąpiła nadzieja. Wzorem Wiktora Hugo czy Tołstoja wyobrażają sobie, że już niebawem nad światem wzejdzie jutrzienka. Socjalizm, związany z techniką i przemysłem, ich brat bliźniaczy, a zarazem wróg, wyraża aspiracje najlepszych. Stanowi on, jak mówi sławne powiedzenie, zaręczyny ludzkości ze szczęściem. Z tych czarodziejskich rojeń świat ocknie się dopiero w obliczu zbiorowych mogił i obozów koncentracyjnych narodowego socjalizmu i socjalizmu komunistycznego. U schyłku XIX wieku najgorsze trwa jeszcze w ukryciu. Człowiek zdaje się być zdolny do wszystkiego – w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Świat się otwiera. Kolonializm, z jednej strony będący spadkobiercą niewolnictwa i handlu Murzynami, z drugiej uosabia wiarę uprzywilejowanych w powszechny postęp; oni będą najpierw jego szafarzami, a potem beneficjentami. Nauka i technika objawiają tylko jedno oblicze: szczęścia i wolności. Masowe bezrobocie, inflacja, dewastacja lasów i wód, naukowe metody ostatecznej katastrofy – to wszystko ukryte jest jeszcze w przyszłości. Nadchodzą czasy, gdy podróż dookoła świata trwać będzie zaledwie tyle, ile Cezarowi lub

Napoleonowi, Leonardowi da Vinci czy Chateaubriandowi zajmowało przebycie Alp. Życie, przez długi czas tak okropnie trudne, oglądane z dystansu wydaje się łatwiejsze. Nędzę wsi w szybkim tempie zastępuje nędza miasta.

Podróż do Ameryki przestała być wyczynem. Imperium brytyjskie, zanim zacznie się chylić ku upadkowi, rozciąga się na cały świat. Ambicje przerastają granice prowincji i stolic, obejmują narody, kontynenty, planetę. Powstają fortuny na skalę światową. Wydarzenia w Londynie, Paryżu, Berlinie, wkrótce też w Tokio i Pekinie, i oczywiście w Nowym Jorku, mają swe konsekwencje i znajdują odzew na najdalszych krańcach Afryki i Azji. Prasa, telegraf, maszyna parowa i podróże zamieniają świat w jeden kraj, który następnie kino, radio i telewizja zamieniają w małą wioskę. W Ameryce ludzie układają sobie życie tak jak w Paryżu, Madrycie, Londynie układali je sobie niegdyś Rastignac, Julian Sorel, Goya, opromieniony chwałą Wellington czy młody Disraeli.

W przededniu Sedanu i imperialnego triumfu Prus podróż przez Atlantyk mniej się dała Jeremiaszowi Finkelsteinowi we znaki niż jego wyjazd z Lublina do Warszawy i Berlina.

Piotr Wasiliewicz z kamienną twarzą, bez słowa wymówki, może nawet w pewien sposób kontent, obserwował obopólną namiętność ogarniającą jego żonę i geniusza, którego podziwiał, wręcz wielbił. Wiem, że wielu, w tym nawet własna jego rodzina i potomkowie, gardziło nim z powodu tej bierności, uważając ją za świadome przemykanie oczu oraz współnictwo. Wydaje mi się jednak, że sprawy, uczucia i reakcje jednych i drugich nie przedstawiały się aż tak prosto. Przede wszystkim jest całkiem oczywiste, że Piotr Wasiliewicz nie czerpał żadnych korzyści osobistych z romansu żony. Nawet tego snobistycznego upojenia, tego zarażenia sławą, o którym z taką niefrasobliwością mówili różni powierzchowni historycy i muzykolodzy bardziej uczeni niż wnikliwi. We wzajemnych stosunkach tych trojga ludzi, wyższych ponad małostkę i kłamstwa, wszystko było poważne i podniosłe. Giuseppe Verdi nigdy jeszcze od śmierci żony, Margherity Barezzi, nie był tak szczęśliwy. Marie nie znała dotąd i nigdy już nie zazna równie gwałtownej namiętności, jak ta, którą darzyła tego

wyjątkowego mężczyznę, który odcisnął niezatarte piętno w sztuce i życiu publicznym swojej epoki. Wroński zaś, w żadnym wypadku niesprawiający wrażenia wyszydzanego, śmiesznego czy ślepego męża, jest uosobieniem dobroci i mądrości. Ma w sobie pewne cechy księcia Myszkina z Dostojewskiego. Odnosi się wrażenie, że spragniony szczęścia Marie czuwa nad nią nawet wtedy, gdy namiętność oddala od niego młodą, olśnioną kobietę. Olśnioną przez geniusza, który wcześniej olśnił jego samego. Trudno przypuszczać, że Piotr Wasiliewicz był nieświadom romansu żony z kompozytorem. Ale też nie wolno zakładać, że ją do tego zachęcał. Pogodził się z sytuacją, gdyż nie sposób było stawić opór burzy, która i jego porwała.

Mieszkańcy Mediolanu, Werony i Wenecji, poprzednicy pokolenia obecnie dożywającego swoich dni, dobrze pamiętali trójkąt Verdi–Marie–Wroński. Jeśli wpływ Marie Wrońskiej na Verdiego jest słabiej udokumentowany, a na pewno mniej znany niż wpływ jego oficjalnej kochanki, a potem drugiej żony, Giuseppiny Streponi, to dlatego, że nigdy nie afiszowali się ze swoim romansem. Rozgrywał się on na forum publicznym, lecz dyskretnie, bez rozgłosu, z godnością wymuszającą szacunek na najbardziej nawet nieżyczliwych. Kilka lat później w dzienniku Giuseppiny znalazł się zapis, który jak dotąd nie zwrócił wystarczającej uwagi historyków muzyki i biografów Verdiego, skądinąd tak zawsze czujnych; rozpatrują owe trzy poniższe zdania w oderwaniu, nie widząc między nimi związku: „Być może najsmutniejszy moment mojego życia. Zjawiała się dziś hrabina Wrońska, piękna, jak zawsze. Wszystko wokół takie ponure, ponure, ponure”. Czy Piotr Wasiliewicz również cierpiał, choć tego nie okazywał? Nasuwa się też pytanie, czy Marie Wrońska nie cierpiała jeszcze bardziej, zdradziwszy, niemal wbrew sobie, zaufanie i oddanie mężczyzny kurtuazyjnego, dobrego, o niewyczerpanej szczodrości serca, któremu wszystko zawdzięczała. Co czuła, jadąc w Wielkim Tygodniu powozem, tak dobrze znanym wielbicielom Verdiego, i siedząc między mężem a kochankiem? Czy kiedy odbywała z Verdim te same co niegdyś w towarzystwie Wrońskiego spaceru po Wenecji, miłosne odurzenie wystarczało, by zatrzeć pamięć o tamtych? Po przeczytaniu sporej liczby listów Marie i jej kochanka, po wysłuchaniu ilu tylko mogłem opowieści

ludzi, którzy bywali u Marie Wrońskiej w Wenecji, po rozmowach z samą hrabiną Wrońską w ostatnich latach jej życia, kiedy byłem jeszcze bardzo młody, ona zaś już bardzo sędziwa – tak, zastanawiam się, które z nich cierpiało najbardziej z powodu tej czarodziejskiej miłości: Giuseppina, Marie czy Wroński?

Któregoś dnia listy Marie Wrońskiej do Verdiego i Verdiego do Marie Wrońskiej zostaną opublikowane. Powodowane dość dziwnymi skrupułami cztery siostry O'Shaughnessy, raz przynajmniej zgodne, konsekwentnie odmawiały zgody na ich publikację za ich życia. Udostępniły mi natomiast kilka fragmentów tej korespondencji. Znaleźć w nich można, bezładnie wymieszane w uroczym melanzu francuskiego z włoskim nieznaną opinie Verdiego o Mazzinim, o Manzoni, o Leopardim, zwierzenia dotyczące narodzin dzieł już powstałych, jak *Nabucco* czy *Rigoletto*, a także przyszłych projektów, zrealizowanych bądź nie, rozważania na temat polityki, parlamentu, jedności Włoch oraz czułe i płomienne zapewnienia o uczuciu. Marie ze wzruszającą prostotą i pokorą mówi o miłości, przed którą nawet nie próbowała się bronić.

Verdi do Marie Wrońskiej: „Obraz Pani włosów w wietrze laguny wyrzył się w moim sercu. Ach, jakże bym pragnął zostać z Panią w tym domu nad wodą! Po wszystkich niedolach, jakie mnie spotkały, sądziłem, że jedyną moją miłością będą już tylko muzyka i Włochy. Zaludniła Pani cały obszar mojego serca, na zawsze, jak sądziłem, opustoszały. Pozwól mi, Pani, we wspomnieniu i nadziei wesprzeć moje życie o Twoje”.

Marie Wrońska do Verdiego: „Przyjacielu, nie potrafię oprzeć się ani Pańskiej obecności, ani nieobecności. Pierwsza mnie parzy, druga mrozi. Czasami mówię sobie, że lepiej byłoby, gdyby pozostał Pan dla mnie na zawsze niedostępną legendą. A potem błogosławię niebios, które postawiły mnie na Pańskiej drodze. A potem wyrzucam sobie, że je błogosławię. A potem poddaję się ich woli, która dla mnie równoznaczna jest z Pańską wolą”.

Verdi do Marie: „Musisz uwierzyć, Pani, w szczęście, które Ci zawdzięczam. Myśl o tym, że mógłbym Cię utracić, zabija mnie. Myśl o tym, że znów Cię ujrzę, przywraca mnie do życia. Budzisz, Pani, we mnie nieustanną chęć mówienia Ci o różach”.

Marie do Verdiego: „Możesz mi, Panie, powiedzieć wszystko, tylko nie to, że Cię nie kocham. Często przerażona jestem, ile miejsca zająłeś w moim sercu i życiu. Sam wiesz, jak wiele zawdzięczam Piotrowi Wasiliewiczowi. Darzę go wdzięcznością, przywiązaniem, szacunkiem. Tego, co czuję do Ciebie, Panie, wyrazić się nie da. Słowa nie są w stanie powiedzieć wszystkiego. Być może Ty byś to, Panie, potrafił, dzięki swojemu sercu i swojemu geniuszowi, dzięki swojej muzyce, która oddziałuje na mnie z siłą tak wielką, że nieraz muszę odmawiać sobie jej słuchania”.

Verdi do Marie: „Powiedz, Pani, Wrońskiemu... lub raczej nie, nic mu nie mów. To nie on, lecz Ty powinnaś wiedzieć, że gdyby nie Ty, byłbym dumny i szczęśliwy, mając go za przyjaciela”.

Marie do Verdiego: „Wroński. Znasz, Panie, owo pełne egzaltacji uczucie, jakim Cię darzy. Niekiedy, widząc was razem, z zawstydzieniem muszę tłumić w sobie coś mrocznego, przypominającego zazdrość”.

Paradoksalnie, choć nietrudno to zrozumieć, opór Conchity Romero nie przysporzył jej bynajmniej sympatii ze strony małżonki wielbiciela. Asunción rządziła. Nie przejmowała się wyskokami kochanka, który nareszcie został jej mężem. Wiemy już, że ponieważ absorbowały go gdzie indziej i trzymały z dala od władzy, nawet go do nich zachęcała. Istniało jednak ryzyko, że nieszczęśliwy związek może się okazać trwalszy od łatwego zwycięstwa. Nie ustępując od razu, któraś z tych „kurew” czy „plantatorskich dziwek”, jak je Asunción z typowym dla siebie brakiem logiki nazywała, mogła stopniowo wkraść się do serca prezydenta. Odrzucając dyktatora, Conchita Romero napytała sobie dwóch wrogów: najpierw prezydenta, a potem Asunción.

Do politycznych i publicznych racji dochodziły też bardziej prywatne i sentymentalne względy. Mado z Maubeuge złościło, że mężczyźnie, któremu się oddała, jakaś inna kobieta może się opierać.

„Za kogo ona się ma?” – zapytała kiedyś w chwili wylewności pana Duchaussoy de Charmeilles, który nie bardzo wiedząc, jak się ustosunkować do tej interpelacji, daremnie szukał stosownej odpowiedzi w precedensach dyplomatycznych.

W wąskich kręgach społeczności hiszpańskiej Paragwaju pod koniec XIX wieku plotki szybko się rozchodziły. Już wkrótce Conchita

dowiedziała się o narastającej wobec niej podwójnej wrogości. Jeśli nawet sama nie od razu zorientowała się w czyhających na nią niebezpieczeństwach, to dwuznaczne wypowiedzi pułkownika, prezydenckiego człowieka od poufnych misji i brudnej roboty – nie mylić z pułkownikiem, szefem protokołu, którego już widzieliśmy w akcji – wystarczyły, by przejrzała na oczy.

– A czy zastanawiała się pani, madame – z rozmarzoną miną rzekł do niej szacowny wojskowy przy okazji jakiegoś z pozoru przypadkowego spotkania – nad korzyściami, jakie mogłoby przynieść pani synowi czynne poparcie prezydenta?

Pułkownik powiedział o jedno zdanie za dużo: nie należało mieszać w tę sprawę Aureliana. Jeśli powolność Conchity mogła przynieść dziecku „czynne poparcie” dyktatora, to czy odmowa nie niosła ryzyka rozbudzenia w nim nie mniej czynnej urazy? Conchita Romero momentalnie podjęła decyzję. Zasięgnęła porady u swojego spowiednika. A następnie, jako że zaraz po honorze i Bogu idą pieniądze, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin uregulowała różne sprawy oraz dokonała pewnych, jak się okazało dość trafnych, posunięć finansowych. I razem z synem opuściła kraj.

Marie Wrońska z Wenecji do Giuseppe Verdiego w Mediolanie:
Drogi przyjacielu!

Bywa, że wielkie szczęście pociąga za sobą wielki zamęt. Czuję wielki zamęt, który jest wielkim szczęściem. Mam nadzieję, że to, co dla mnie jest szczęściem, będzie szczęściem również dla Pana. Oczekuję dziecka. Pańskiego dziecka.

Z mojego okna widzę tę lagunę, którą tak bardzo kochasz, Panie. Ale to Ciebie widzę, to Twoje słowa słyszę, to Twoje dłonie czuję na moich ramionach i włosach. Ofiarowałeś mi rzecz najlepszą i najpiękniejszą, jaką mężczyzna może ofiarować kobiecie. Rzucam Ci się do stóp w podzięce. Odtąd nigdy mnie już, Panie, nie opuścisz. Jesteś we mnie i należysz do mnie, tak jak ja należę do Ciebie od dnia, kiedy ujrzałam Cię po raz pierwszy.

Naród cały wielbi Cię i kocha. Ja również wielbię Cię i Kocham. Dziecko, które noszę w swoim łonie, wychowane zostanie w kulcie dla Ciebie. Miłość, którą już teraz je darzę, jest tylko odbiciem mojej miłości

do Ciebie. Stanie się jej dowodem i świadectwem. Mam nadzieję, że będzie do Ciebie podobne.

Nie wiem, z jakimi uczuciami czytać będziesz ten list. Próbuję sobie to wyobrazić i nie potrafię. Okażesz radość, niecierpliwość, znużenie, obojętność? To nasze dziecko, Giuseppe, noszę w moim łonie. Wierzę, że pokochasz je tak, jak ja je Kocham, i tak jak Kocham Ciebie.

Dwukrotnie prosiłeś mnie, bym rozpoczęła z Tobą wspólne życie. Odpowiedziałam Ci, że to niemożliwe; że nie mogę opuścić Piotra Wasiliewicza, któremu zawdzięczam więcej niż życie. Nie wiem, z jakimi uczuciami powitasz narodziny naszego dziecka. Wiesz przecież – prawda? – jak głęboką żywię nadzieję, że jeszcze bardziej Cię do mnie zbliży. Lecz pośród tego przepelniającego mnie wszechogarniającego szczęścia pomyślałam o Wrońskim. On przygarnął moje pierwsze dziecko i dał mu nazwisko. Nie odbiorę mu drugiego. Nie wiem, co Ty, Panie, pomyślisz o mojej decyzji lub co by inni – gdyby się dowiedzieli, co między nami zaszło – o niej pomyśleli. Aby wydać sprawiedliwy wyrok, trzeba by dokładnie znać łączące nas troje więzy, wiedzieć, co czuję do Ciebie i co czuję do męża, znać uczucia mojego męża do nas obojga. Wierzę, przyjacielu, że przeszłość nie odstępowała nas nigdy i że trzeba spłacić wszystkie długi, które zaciągnęliśmy. Och, Giuseppe! Z jaką radością zostałabym z Panem! Z jaką rozkoszą byłabym Pańską żoną! Ale noszę nazwisko, które dał mi Wroński, nazwisko, które dał też mojej córce. Wyobrażam sobie, jak surowo osądziłoby mnie ludzie, świat zewnętrzny za to, co uczyniłam Piotrowi Wasiliewiczowi. To moja sprawa i jego. Wiem także z całą pewnością, że największą przykrością, jaką mogłabym mu wyrządzić, byłoby odebrać mu dziecko – moje i Pana. Giuseppe, najdroższy, czy choć Ty mnie zrozumiesz? Ach, tak bardzo bym chciała, żebyś był, Panie, dość wielki, dość dobry, dość szczodry, by... Ale wiem, jaki jesteś.

Ronię kilka łez, pisząc do pana. To łzy szczęścia. Towarzyszy mu smutek, że nie jestem w Pańskich ramionach. Wiesz – czy o tym wiesz? – że chciałabym żyć w nich i umrzeć. Całuję

MARIE

Odpowiedź Verdiego nie zachowała się.

Historia jest jak krajobraz przemierzany samochodem lub samolotem. Możecie jechać bardzo szybko, w ciągu kilku godzin przebyć kontynent z jednego krańca na drugi, domyślając się przed oczami włoskiego buta, przylądka Florydy, niegościnnych i wspaniałych masywów pustyni, Alp, Himalajów. Możecie też co krok się zatrzymywać, zapuszczać się w biegnące na prawo i na lewo drogi, włączyć się po polach, łąkach, lasach, miastach. Od czterolistnej koniczyny, która przyciąga wasz wzrok wśród trawy, czy stołu w kuchni, przy którym spożywacie posiłki, po całą kulę ziemską i dalej poza nią, wszędzie istnieje ciągłość. Możecie dowolnie regulować szybkość, możecie zatrzymywać się na każdym z pięter gmachu przestrzeni i czasu. Wydarzenia i ludzie, widoki, stulecia i oceany mogą przesuwać się z wielką szybkością przed waszymi oczami. Ale możecie też wgłębiać się w najdrobniejsze szczegóły, w najbardziej tajemnicze i utajone zakamarki dolin i serc. Wszystko jest kwestią gradacji. Czasami mam wrażenie, że pojęcie progę czy gradacji to jedna z ukrytych myśli przewodnich metafizyki.

A może trochę już znużeni naszym zaprzęgiem w tyle koni wolelibyście ruszyć nieco szybciej, ze złączonymi stopami poskakać przez kraje i lata? Oto młody Jeremiasz Finkelstein przybywa do Nowego Jorku. Nie pierwszą klasą, w której paradują ludzie interesu, dyplomaci, dostojnicy kościoła, arystokraci bez grosza, choć co nieco tam im jeszcze zostało, gwiazdy teatru lub kabaretu, sławni muzycy, znakomitości medycyny oraz Edmund O'Shaughnessy. Jeremiasz odbywa podróż na pokładzie dla emigrantów. Zdrowie mu dopisuje, bo jest młody. Nowy Jork nie stał się jeszcze mitem XX wieku, ziemią obiecaną ludzi ambitnych. Jego sławna *skyline* nie odcina się jeszcze profilem swoich wieżowców od horyzontu przeszłości. Panią świata nadal pozostaje Europa; Nowy Jork jest bardziej azylem dla zagubionych aniżeli rajem. Ale to wielkie, pełne obietnic i złudzeń miasto wybrzeża jest gościnne i wchłania wszystkich odtrąconych przez Europę, którzy przyjeżdżają szukać szczęścia na nowej i wolnej ziemi. Stojąc na rufie pośród innych Żydów, Włochów, Irlandczyków, kryminalistów i przyszłych geniuszy, Jeremiasz marzy, spoglądając na nabrzeże, gdzie już wkrótce stanie Statua Wolności. Ludzie pakują się mimo woli wciąż

w te same sytuacje. A charakter, temperament, przeznaczenie to nic innego, jak tylko suma owych sytuacji. Czy to sytuacje decydują o przeznaczeniu, czy może charakter stwarza sytuacje? Każdy rozstrzygnie po swojemu. Jeremiasz całe życie będzie uciekał przed kobietami. Z uśmiechem na ustach stawia stopę na nabrzeżu.

Zaledwie w rok po urodzeniu Nadii Marie Wrońska w domu na Giudekce znów oczekuje dziecka. Verdi święci triumf w Mediolanie. Piotra Wasiliewicza w Wenecji, we Włoszech, w Szwajcarii i Niemczech, w Europie, po której krąży tam i z powrotem, odwiedzając komitety rewolucyjne, pałace i salony, nie odstępuje nieuleczalna melancholia i wrodzona niemożność osiągnięcia sukcesu w czymkolwiek. Jego znękanе serce wciąż darzy Verdiego uwielbieniem, a żonę – czułością.

Cristina Isabel pod gorącym słońcem Bahii wyrasta na uroczą dziewczynkę. Większość czasu wolnego od nauki spędza na rozległych piaszczystych plażach oceanu. Nie brak jej ani pantofelków, ani sukienek. Wczesnym rankiem lub wieczorami, gdy w przytłaczający upał wkrada się odrobina chłodu, jeździ konno. Interesy jej ojca Periclesa Augusta idą coraz lepiej. Florindzie daleko jeszcze do dorównania swoim dawnym panom, ale pokolenie dzieci jeśli nie zasypie, to w każdym razie zmniejszy – lub też zacznie zmniejszać – nieprzebytą przepaść dzielącą wielkich właścicieli ziemskich od wzbogaconych kupców, którzy dążą do odegrania w Ameryce Południowej tej samej, dla nich niemal niedosiężnej, roli co mieszczaństwo europejskie.

Po niesłychanych, nieraz ocierających się wręcz o przygodę podróżach Conchita Romero osiedliła się w Argentynie nad jeziorem Nahuel Huapi w pobliżu miasteczka Bariloche. To tak jakby na końcu świata. Trzeba wielu długich dni, by dostać się stąd do Buenos Aires. Jej *estancia* nazywa się Arroyo Verde – Zielony Strumień. Udało jej się zlikwidować wszystkie interesy w Paragwaju i uzyskać najkorzystniejszą z możliwych cenę za pozostawione przez męża plantacje i lasy. Tam zaś, wśród Indian Guarani, Asunción nareszcie odetchnęła.

Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Prezydent był wściekły. Nawet jeśli zdobycz była tylko przynętą, polowanie go bawiło. Najpierw wydał

rozkazy, żeby... a potem – bo właściwie niby po co? – odwołał je. Obecnie pociesza go siostra konsula pruskiego, typ jasnowłosej Walkirii o nieustraszonym spojrzeniu. Przedstawiciel króla Wilhelma śledzi tę intrygę z uwagą, podyktowaną tak względami rodzinnymi, jak dyplomatycznymi. Jego drodzy koledzy zaś – z pewnym niepokojem, a zarazem podziwem dla tej nowej a odwiecznej broni, we władaniu którą siła bierze górę nad finezją. Aureliano Romero jest roslým chłopcem o czarnych oczach i czarnych włosach rozdzielonych przedziałkiem. W jego wieku szybko akceptuje się zmiany. Wystarczyło kilka miesięcy, by stał się bardziej argentyński od Argentyńczyka.

Na zamku Glangowness jak zwykle nic się nie dzieje. Ale Irlandia i Indie, i brytyjska Kolumbia czy Saskatchewan, i Afryka Południowa, i sprawa Faszody, i Marynarka Królewska na wszystkich morzach, i Egipt, i osoba królowej obecne są na śniadaniach pospołu z owsianką i śledziami. Następują po sobie kolejne pokolenia. Młodzi państwo Landsdownowie z czasów indyjskiej przodkini sami są teraz parą oschłych starców o niebieskich oczach, odzianych w tweedy, opitych porto, wypłowiałych od whisky. Wyczerpani posiłkami spożywanymi we dwoje na dwóch krańcach ogromnego stołu w stylu fin de siècle'u starzy Landsdownowie niedługo umrą albo może już umarli. To właściwie bez znaczenia: sukcesja to nie puste słowa. Dziedziczone od zawsze po kądzieli Glangowness gotowe jest na przejęcie go przez młodych małżonków: Seana O'Shaughnessy'ego i jego żonę Sybil, jedyną córkę Landsdownów i ostatnią ze znamienitego rodu McNeillów. Daleki kuzyn Sybil, jedyny noszący jeszcze to nazwisko, poległ razem z synem cesarzowej Eugenii na wojnie z Zulusami. Sybil oczekuje dziecka. Oboje mają nadzieję, że urodzi się chłopiec. Będzie nosił nazwisko rodu wywodzącego się od królów Irlandii.

Przez pierwsze miesiące ciąży Marie Wrońska wciąż podróżowała. Nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Przed czym uciekała? Widywano ją w Mediolanie, w La Scali, nad Lago Maggiore, w Rzymie, gdzie Ojciec Święty przyjął ją razem z księżnymi Borghese, Torlonia i Colonna, w Taorminie, na Sycylii, w Umbrii, we Florencji, w Toskanii, gdzie zatrzymała się na kilka dni w San Miniato w domu przyjaciółki, tym samym, w którym spisuję te strony. Zajmowany przez nią wtedy pokój z oknami wychodzącymi na taras to ten sam, w którym mieszkam od śmierci dziadka. Zgromadzone w kuferku pamiątki po Marie Wrońskiej, listy, fotografie, wachlarze, rękawiczki, weszły w moje posiadanie od jej prawnuczek inną drogą. Z powrotem znalazły się w otoczeniu, w którym Marie, jakkolwiek krótko, mieszkała.

Zdarza mi się, zupełnie zresztą niepotrzebnie, fantazjować na temat przeszłości i wymyślać na nowo historię. Wyobrażam sobie, że Marie Wrońska mogłaby swoje drugie dziecko urodzić w San Miniato. Nie zmieniłoby to w niczym oblicza świata, a tylko krąg mojego życia stałby się przez to doskonalszy. Ale Marie wolała urodzić w swoim domu na Giudekce. Wróciła więc do Wenecji.

Poród był długi i trudny. Piotr Wasiliewicz zachowywał się jak zwykle bez zarzutu. Troskliwy i oddany, otaczał Marie czułością i opieką. Wokół kołyski i podwójnej wyprawki, błękitnej i różowej, przygotowanej na każdą z ewentualności, by powitać, zależnie od woli Boga, chłopca lub dziewczynkę, krzątała się cała chmara służby. Marie miała własną pokojówkę, Francuzkę, która, zanim się do niej przywiązała, przez długi czas pracowała w Danielim. Siłą rzeczy cały dawny personel pochodził od Wrońskiego. Była tam stara, krzepka jeszcze babuszka Piotra Wasiliewicza, Ludmiła, Ukrainka spod Kijowa, ponuraczka i mistyczka, z miłością opiekująca się Nadią, ale nade wszystko bezgranicznie oddana i niezachwianie lojalna wobec ostatniego potomka rodziny, u której służyła od półwiecza. Był także młody trzydziestoletni Wenecjanin nazwiskiem Zambrano. Zambrano wyglądał jak żywcem wyjęty z obrazu Giorgione. Obrotny, trochę niepokojący, nadzwyczaj wprost zwinny, w ciągłym ruchu: wypisz, wymaluj jeden

z tych włoskich sutenerów, co to kryją w rękawie kaftana sztylet lub fiolkę z trucizną. Jego dziadek służył jako gondolier u lorda Byrona i był przyrodnim bratem sławnej Margherity Cogni zwanej Fornariną, która dzieliła weneckie łaski poety z dwiema czy trzema innymi wielkimi damami. Zambrano pracował u Wrońskiego, który odkrył go w jednym z półlegalnych kasyn weneckich, w charakterze zarządcy i pośrednika. Bawił Marie, gdyż ją rozśmieszał, ale też budził w niej pewną nieufność.

Cały ten światek został postawiony w stan pogotowia w związku z narodzinami brata lub siostry Nadii. Zambrano sprowadził akuszerkę z Burano i dom na Giudekce zamienił się w klinikę. Pierwsze bóle wystąpiły w ciągu dnia w czwartek. Dziecko urodziło się dopiero w piątek o świcie. Marie bardzo cierpiała. Kiedy poprosiła, żeby pokazano jej noworodka, niczym w koszmarnym śnie usłyszała poważny głos męża mówiącego, że dziecko było dziewczynką i że umarło.

Mniej więcej w tym samym czasie, może trochę wcześniej, może trochę później, Jeremiasz Finkelstein robił karierę w Nowym Jorku. Karl-Hans polecił go jednemu z przyjaciół, który handlował białymi krukami. Przez rok lub dwa Jeremiasz szukał manuskryptów, inkunabułów i pierwszych wydań dla bibliofilów; handel książkami nie miał już dla niego żadnych tajemnic. Podwójny, z cudem graniczący przypadek pozwolił mu odkryć raz za razem – w stodole, pełnej stosów starych map, a potem w pewnej prywatnej kolekcji – pergamin z XI wieku, dowodzący niezbicie, że Amerykę na czterysta lat przed Kolumbem odkrył Eryk Czerwony, oraz list Waszyngtona do Malesherbes'a potwierdzający punkt po punkcie sławną, budzącą tyle kontrowersji wizytę Chateaubrianda u wielkiego Amerykanina. Zyskawszy w ciągu zaledwie kilku miesięcy pozycję jednego z czołowych nowojorskich ekspertów, utrzymywał kontakty nie tylko z majątymi amatorami, lecz także z bibliotekami publicznymi, fundacjami, towarzystwami ubezpieczeniowymi i bankami. Jeden z owych banków, First American and Poughkeepsie Inc., zamierzał zdywersyfikować swoje inwestycje. Zapewnił sobie wyłączność na usługi Jeremiasza.

Jeremiasz bardzo szybko objawił nieprzeciętną smykałkę do interesów. Jak niegdyś w sztetlu, tak i teraz, zgodnie z obietnicą złożoną

ojcu, czytywał Torę, Talmud, Zohar, Misznę. Kontynuował rozpoczętą w Berlinie za namową Karla-Hansa lekturę Marksa i Engelsa. Obecnie dochodziły do tego nie tylko niezliczone katalogi księgarskie, lecz także mnóstwo raportów, sprawozdań finansowych, publikacji technicznych oraz wydawnictw specjalistycznych. Od książek niepostrzeżenie przeszedł do prasy i drukarni. Od tego – do dystrybucji czasopism i kolei żelaznych. Ponieważ dobrze orientował się w marksizmie i pozostawał w przyjaznych stosunkach z wieloma przemysłowcami i ludźmi interesu, którym zdarzało się kochać książki, stał się swoistym, rzadko spotykanym ogniwem między światem zwycięskiego kapitalizmu i początkującego ruchu związkowego. W okresie, kiedy brał udział w rozwijaniu działalności związków zawodowych w drukarniach i wśród pracowników kolei, obrotny rudowłosy młodzieniec zwrócił na siebie uwagę Vanderbilta. Odmienne niż większość doradców w świecie wielkich interesów, Jeremiasz Finkelstein wyjaśnił taikunowi, że silny ruch związkowy, zdolny reprezentować i ukierunkowywać masy robocze oraz być partnerem w negocjacjach, może przynieść kapitalizmowi więcej korzyści niż zagrożeń. Na magnacie przemysłowym największe wrażenie zrobiły jednak nie tyle intelektualne możliwości Jeremiasza Finkelsteina, ile jego stosunek do Margaret.

Margaret była wnuczką potężnego Vanderbilta. W owym czasie liczyła sobie siedemnaście lub osiemnaście wiosen i otaczały ją tłumy młodych, żądnych kariery mężczyzn. Margaret nie pozostała obojętna na znaną nam już żywość i urok młodego Jeremiasza. Spotykała go wielokrotnie, najpierw przypadkowo, potem u przyjaciół, a nawet u dziadków, którzy cenili jego inteligencję i oryginalny umysł. Ku niezadowoleniu dziadka – w znacznie większej mierze niż babki nieobojętnej na z lekka marzycielskie, pogodne usposobienie młodzieńca – Margaret wkrótce zaczęła okazywać Jeremiaszowi Finkelsteinowi więcej niż zainteresowanie i życzliwość. Tym, co zaskoczyło milionera, a potem zamieniło jego niezadowolenie w autentyczną konsternację, była obojętność, wręcz niechęć, z jaką Jeremiasz przyjmował awanse dziewczyny. Nastąpiła zamiana ról: to dziedziczka fortuny uganiała się za ubogim imigrantem, ambitny młodzieniec zaś jej unikał. W obliczu takiej sytuacji, którą uważał, i nie bez racji, za paradoksalną, choć

z drugiej strony klasyczną – klasyczną w sposób nowy, a zarazem stary jak świat – magnat najpierw zaczął węszyć podstęp.

– Ach – powiadał do żony, kiedy rozmawiali o przyszłości wnuczki. – Ten zuch jest silny, bardzo silny. Tam, gdzie głupcy rzuciliby się do przodu, on udaje, że się cofa. Tylko popatrz, jak łapie rybkę na haczyk...

– To ty własną wnuczkę nazywasz rybą?

– Słodką rybką, ale rybką. Naiwną zdobyczą, przynętą, książęcą zwierzyną, królewskim kąskiem. A on jest rybakiem. Cholernym rybakiem. Cholernym myśliwym.

Rozumowanie było niegłupie. Co nie zmienia faktu, że, jak to często bywa, od początku do końca niesłuszne. Po upływie kilku miesięcy trzeba było pogodzić się z oczywistością: mimo bajecznej fortuny Margaret Vanderbilt oraz jej urody i wdzięku raczej powyżej przeciętnej Jeremiasz Finkelstein nie był nią zainteresowany. Bo inaczej należałoby przyjąć, iż młodzieniec, choć nie było już takiej potrzeby, nadal udaje, że mówi nie, gdy tymczasem wystarczyłoby mu tylko wyciągnąć rękę, by usłyszeć tak. Struktury uczuć są jak hipotezy naukowe: zawalają się, gdy ich podtrzymanie wymaga zbyt wielu hipotez posiłkowych. Starsi państwo Vanderbiltowie odrzucili więc myśl, że Jeremiasz Finkelstein udaje tylko obojętność wobec ich wnuczki. On jej po prostu nie chciał i już. Przez kilka tygodni lub miesięcy była z tego powodu trochę nieszczęśliwa. Oni zaś – głównie dziadek, ale też i babka – poczuli dla młodego człowieka niejakie uznanie zabarwione podziwem, tym większym, że była w nim ulga, a przy tym lekka uraza.

Marie długo nie mogła podnieść się po ciosie, który ją spotkał. Przez wiele miesięcy trwała między życiem a śmiercią. Jej chorobą był smutek. Tyle nadziei wiązała z narodzinami dziecka, że jego śmierć pozbawiała jej życie jakiegokolwiek sensu. Czuła się winna wobec Wrońskiego, winna również wobec Verdiego. Posłała wielkiemu człowiekowi bilecik zawierający dwie linijki: „Dziecko zmarło. Żegnaj”. Płakała przez cały rok albo i dłużej. Wroński dwoił się i troił, by ją rozerwać i pocieszyć. Marie zajmowała się Nadią, lecz myślała o Aidzie: takie imię chciała nadać zmarłej dziewczynce. Znowu zaczęli

podróżować.

Verdi napisał wiele listów do Marie. Pozostawiła je bez odpowiedzi. Z uporem dążyła do zerwania z nim wszelkich więzów. W końcu odesłał jej listy, które pisała do niego całymi miesiącami: tym to sposobem dowiedziałem się o ich sekretnej miłości. Wydawało się, że uważa się za winną wszystkiego, co się stało. Sprawiała wrażenie, jakby się wstydziła swojego nieszczęścia. Zniknęła. Wielokrotnie przyjeżdżała do San Miniato, by spędzić tu kilka dni. Przez resztę czasu sama lub z Wrońskim jeździła do Szwajcarii, do Niemiec, do Francji, do Anglii lub zamykała się na Giudekce. Jej życie zdawało się skończone. A Verdi zdobywał światową sławę.

Wroński często bywał nieobecny. Miał różne sprawy do załatwienia w Niemczech i Szwajcarii. Był jak zawsze dobry i łagodny. Mijały lata.

W Bahii wiele osób nawet nie podejrzewało, że matka Cristiny Isabel była czarną niewolnicą. Młoda dziewczyna, wielkiej urody, strzelista i pełna gracji jak niemal wszystkie Brazylijki, miała matową i smagłą karnację, czarne oczy, czarne włosy i olśniewające zęby. W wieku piętnastu lat straciła matkę, zmarłą na tyfus czy żółtą febrę; różnie się o tym mówiło, a i sama diagnoza była dość niejasna. Pericles Augusto rozpaczał: Florinda do końca dawała mu wiele szczęścia.

Postawa Florindy, jej wesołość, lojalność wobec panów, dosadność w słowie okryły ją swoistą legendą. Była cudowną matką i córka gorąco ją kochała. Matkę i córkę dzielił jednak mur wzniesiony nie tyle przez brak zrozumienia czy niechęć, ile przez wydarzenia i pochód czasu. Florinda należała do jednego świata, Cristina Isabel do innego. Córka nie musiała się wstydzić matki i nigdy nie tała jej korzeni. Lecz kiedy ją wspominała, jej rozmówcy często nie posiadali się ze zdumienia:

– Co?! To pani jest córką Florindy? Wielkiej Florindy? Tej Florindy z piosenek i tańców? To niesamowite! Nigdy bym się tego nie domyślił!

Florinda zaś stawała się legendą, jednocześnie odchodząc w zapomnienie. Pericles Augusto, który z Florindą przeszedł od drobnego handlu do wielkiego, bez Florindy wkraczał z handlu w świat interesów. Cristina Isabel snuła beztroskie marzenia o wspaniałej

przyszłości.

Nad jeziorem Nahuel Huapi Aureliano Romero pływał, jeździł konno, uczył się łaciny, uganiał za dziewczętami, przygotowywał do wyjazdu do Cambridge, gdzie czekano już na niego w St. Catharine's College. Conchicie Romero wygnanie wyszło na dobre: mało, że nie zbiedniała, to drogą udanych spekulacji zbiła bezgraniczny wręcz majątek. Należące do niej tysiące hektarów pampy, którą pewien pisarz francuski określił jako „horyzontalny zawrót głowy”, tysiące sztuk bydła, browary i cementownie, na które korzystnie zamieniła swoje paragwajskie plantacje i lasy, pozwalały jej ofiarowywać Aurelianowi wszystko, czego tylko młody Latynos mógł oczekiwać od życia pod koniec XIX wieku. Conchicie Romero marzyła się dla syna Europa. Niezachwianie liczyła na angielską lub francuską synową. Umrze w nieświadomości, że jej aspiracje przeskoczą jedno pokolenie i że zrealizują je dopiero jej wnuki.

W Glangowness jak zwykle nic. Ale zaraz, niezupełnie! Spełniając oczekiwania rodziców najmłodsza generacja O'Shaughnessyich przybierze postać chłopca. Na pamiątkę dziadka rodzice nazwą go Brianem.

Na tarasie w San Miniato rozmyślam nad tym minionym światem. Od utraty Plessis-lez-Vaudreuil, śmierci dziadka i rozpadu rodziny żyję samotnie i te wyłaniające się z przeszłości cienie są moim jedynym towarzystwem. Obcując z nimi, mam wrażenie, że choć ich nigdy nie widziałem, znam je równie dobrze, a może nawet lepiej niż spotykanych na co dzień dzierżawcę czy kobietę z poczty, proboszcza czy karabiniera. Są mi bliskie i swojskie. Wyrzucam sobie, że – powodowany niewiedzą bądź lenistwem – nie sięgnąłem głębiej w ich przeszłość. Zdołałem odtworzyć z grubsza ich losy i otoczenie od połowy ubiegłego wieku, ale ich korzenie we wcześniejszych stuleciach znam tylko z bezładnych i wrywkowych opowieści, które do mnie dotarły.

O odległych horyzontach Florindy i Periclesa Augusta nie wiem prawie nic. W jej przypadku – Afryka, w jego – Portugalia i Włochy. Pozbawiony dokumentów pisanych, archiwów, przekazów ustnych niestrudzenie powtarzanych z pokolenia na pokolenie przez wujów i ciotki, niańki, sąsiadów ze wsi, bez pamiątek i wspomnień – cóż

innego mogę robić, jak wymyślać? Przypuszczam, że nie trzeba się cofać tak znów daleko w przeszłość, by odkryć wśród ich przodków podobny zlepek chwały i pokory, potęgi i ubóstwa, co u Plessis-Vaudreuilów, McNeillów czy O'Shaughnessych. Abstrahując bowiem od majątku czy tytułów szlacheckich, nasze uczucia i namiętności są nam wspólne, a niewykluczone, że i antenatów mamy wspólnych. Wyliczyłem kiedyś, że starczyłoby cofnąć się do dwudziestego pokolenia wstecz – a dziadkowie naszych pradziadków to już sześć pokoleń – by odkryć ponad milion przodków w linii prostej. Dalej liczby rosną w zawrotnym tempie, bardzo szybko przekraczając ogół ludności kuli ziemskiej.

Każdy z nas w przeszłości tej znajdzie wszystko. Złodziei, duchownych, morderców, królów, żebraków, prostytutki, świętych, trędowatych, debili i geniuszy. Ponadto jeśli uwzględnić stosunki pozamałżeńskie i pokrewieństwa z nieprawego łoża, jest wysoce prawdopodobne, że cała ludność danego regionu pochodzi od tych samych antenatów. Było nie było, cały gatunek ludzki wywodzi się od Adama i Ewy, od Noego, od kamieni rzuconych przez Deukaliona, od małpiatek, od błękitnych alg, od prymitywnej magmy. Nietrudno zrozumieć, że w tym piekielnym, gigantycznym tyglu kolor skóry spowodował rozróżnienia prowadzące niekiedy nawet do rasizmu: no, ci to na pewno nie mają z nami nic wspólnego; ci w żadnym wypadku nie mogą być naszymi braćmi. Oczywiście, z punktu widzenia moralnego, a nawet historycznego czy prehistorycznego argument taki jest nic niewart. Podnosi tylko na duchu, liczebnie zawężając krąg naszych krewnych i powinowatych. Niewykluczone, że znaleźlibyśmy – że znajdziemy na pewno – wspólnych przodków z czarnoskórą Florindą i z Periclesem Augustem, i ja z wami, i wy ze mną: trzeba by się tylko cofnąć wystarczająco głęboko w mroczną otchłań czasu. A jeszcze pewniejsze jest to, że te same wcielenia i te same tarapaty, w których tak się lubowali Plessis-Vaudreuilowie, O'Shaughnessy'owie i McNeillowie, spotkać by można, tyle że zmodyfikowane stanem techniki i klimatem, pośród przodków Florindy. Wśród nich też byli wodzowie i sługi, panowie i niewolnicy, buntownicy i artyści. Na tarasie w San Miniato, o dwa kroki od genialnych dokonań Benvenuto Celliniego czy Donatella, bramy z brązu Ghibertiego, arcydzieł Michała

Anioła, rzeźb z terakoty Luki della Robbii na froncie hospicjum w Pistoii, obrazów Uccella czy Piera della Francesca, *Orszaku Trzech Króli* Benozza Gozzolego i pamiątek po Medyceuszach, często rozmyślałem o obrządkach i wierzeniach zapadłej Afryki, o której nie wiedziałem prawie nic, a którą moi bliscy nazywali dziką.

A Pericles Augusto? Wywodził się z rasy żeglarzy, odkrywców nowych lądów, mistyków, kondotierów; jestem pewny, że nie trzeba by daleko szukać, by odnaleźć w jego przeszłości towarzyszy Kolumba czy Ameriga Vespucciego, uczestników bitew pod Grenadą czy Lepanto, ofiary bądź katów Inkwizycji. Twarze jego przodków pojawiają się na płótnach Murilla i Goi, Giotta, Belliniego, włoskich prymitywistów. Śmieje się szyderczo z Ariostem, wyrusza z Tassesem, zostaje z Don Kichotem, żegluguje z Camõesem, upija się i walczy z Caravaggiem, ucztuje z Boccacciem, morduje tubylców i poślubia ich córki. Odnajduję jego talenty w sztyletach z Toledo, w marynistycznej ornamentyce manuelińskiej, w gondolach Wenecji i neapolitańskich mandolinach. Aż na drugi brzeg oceanu ciągnie się za nim trwała woń Morza Śródziemnego. Portugalia stanowi pomost między Brazylią i Włochami. Razem z Periclesem Augustem do Recife, do Olindy, do Bahii przybywa trochę Scaramuccii, Spaventa, Pantalona oraz cały zabawny geniusz commedii dell'arte.

Wiem za to wszystko o ciągnącym się w nieskończoność rodowodzie McNeillów ze Szkocji i O'Shaughnessych z Irlandii. W galerii ich przodków nie sposób wprost zliczyć zwycięskich generałów, diuków, książąt i monarchów. W imponujących genealogiach tych rodów wszechstronny obserwator natknie się na niespodzianki odwrotnie symetryczne do tych, jakie kryje w sobie przeszłość najuboższych i maluczkich. Jak wieść niesie, wszyscy McNeillowie wywodzą się od saskiego drwala z XI wieku, naturalnego ojca jedynej córki pewnego potężnego feudała, której ośmiu synów dało początek ośmiu gałęziom tego wybitnego rodu. Nie mówiąc już o nieprzebranej ilości prałatów, lokajów, paziów, awanturników, psiarczyków i kłusowników, przez długie stulecia cieszących się łaskami żon McNeillów i O'Shaughnessych.

Nie dalej jak kilkadziesiąt lat wcześniej, w XVIII wieku, dwóch

kolejnych O'Shaughnessych stało się mrocznymi antybohaterami serii przygód, które dostarczyły natchnienia wielu gawędziarzom – od Waltera Scotta poczynając, na Barbey d'Aureville kończąc. Pierwszy z nich, jowialny i rozpustny Kevin, brutal i pijak, mniej mający wspólnego z równymi sobie aniżeli wieśniacy z Connemary, dostał kiedyś bzika na punkcie córki karczmarza, ponieważ mu się opierała. Dziewczyna kochała chłopca, który poszedł na wojnę i zwlekał z powrotem. Dochowowała wierności nieobecnemu i nie chcąc nawet słyszeć o obrzydliwym moczymordzie, odrzucała jego awanse. Któregoś dnia, kiedy rodzice dziewczyny zostawili karczmę pod jej opieką i wybrali się po sąsiedzku na chrzest lub wesele, przytelepał się na koniu ten diabeł O'Shaughnessy. Usiadł, poluzował cholewy i zawołał, że chce pić. Dziewczyna obsłużyła go, nie reagując na jego coraz śmielsze dowcipy i wzruszeniem ramion zbywając zaloty i propozycje, którymi pijak hojnie szafował. Chciał ją zmusić do picia, ale odmówiła. Wtedy rzucił się na nią i, ledwie żywą, zgwałcił.

Z gwałtu tego urodziła się córka. Matka umarła, po części ze wstydu i rozpaczy, wydając ją na świat w ledwie kilka godzin po powrocie chłopca, na którego tyle lat czekała. Syn opoja, milkliwy, zamknięty w sobie, popadający w nagłe ataki szału młodzian, zawołany myśliwy, był jeszcze bardziej niepoczytalny i bez wątpienia gorszy od ojca, który zresztą wkrótce popadł w debilizm i obłąd. Już jako młody chłopak miał zwyczaj wyzywać przeciwników na szczególny rodzaj pojedynku: pojedynek na butelki polegający na tym, by w minimalnie krótkim czasie wypić maksymalnie dużo whisky lub piwa. Posprzeczawszy się raz z księdzem, zaproponował mu rozstrzygnięcie sporu w pojedynku na butelki. Źle jednak trafił: ksiądz, postać zda się żywcem wyjęta z *Toma Jonesa* czy którejś z osiemnastowiecznych libertyńskich powieści, był tęgim pijakiem. Duchowny pokonał więc pana, ten zaś, jako człowiek umiejący przegrywać z fasonem, w uznaniu za ten wybitny wyczyn przyznał mu wolną akurat prebendę na swoich włościach. Piętnaście czy dwadzieścia lat po gwałcie ów nieodrodny syn swojego ojca zakochał się na zabój w córce zmarłej, dziewczynie pięknej, dzikiej i nieobliczalnej, która ledwie przestawszy być dzieckiem, stała się skrzyżowaniem czarownicy z kusicielką. Ona zaś, po

części przez rozwiązłość, po części przez chęć pomszczenia matki, nie czyniła tylu wstrętów co córka szynkarza pokoleniu wcześniejszemu i zadomowiła się niemal na stałe w łóżu ponurego myśliwego, będącego jej przyrodnim bratem, oraz na zamku O'Shaughnessych.

W drugiej połowie XVIII wieku, tak cudownie ucywilizowanej, tak eleganckiej, tak wyrafinowanej, w tym zapadłym kącie Connemary rozgrywa się potworna sarabanda z pogranicza średniowiecza. Jeszcze i w ostatnich latach, kiedy upada tyle tradycji i tyle wspomnień odchodzi w zapomnienie, tutejsi ludzie nigdy nie zapomną uczynić znaku krzyża, gdy ktoś wymieni przy nich złowrogie imię Brentona O'Shaughnessy'ego i jego kochanki Maureen.

Po kraju krążyły legendy, w których było też i trochę prawdy. Mówiono, że na zamku dochodziło do niewyobrażalnych scen, że w orgiach brali udział szlachcice, rozpustnicy, parobki i psy, a nawet ksiądz w koloratce – „Widziałem to, widziałem na własne oczy!” – że kochanka dziedzica przechodziła z rąk do rąk i że igraszki, w których nie małą rolę odgrywało upokorzenie i krew, szły w parze z najbardziej wyuzdaną rozpustą. Pewnego pięknego poranka, po jednej z takich sabatowych nocy, podczas których sterroryzowani lokaje i pokojówki chronili się w przybudówkach zamkowych, gdzie mieściły się ich pokoje i dokąd hałasy nie docierały tak wyraźnie, służba odkryła ciało Brentona O'Shaughnessy'ego całe pokłute nożem i skąpane we krwi. Kompani od zabawy ulotnili się. Maureen znikła. W Connemarze nigdy więcej jej nie widziano.

Do wszystkich tych scen z przeszłości, które ożywały przede mną na tarasie w San Miniato, nie przywiązywałem jednak nadmiernej wagi. Nie wydaje mi się, by przeszłość wystarczyła do zrozumienia przyszłości. Co więcej, myślę, że tak powszechne przekonanie, że ona ją objaśnia i komentuje, właściwie niewiele znaczy. Prawdą natomiast, wręcz oczywistością jest to, że przeszłość tworzy cokół, na którym wznosi się terażniejszość; że w niej kumulują się uwarunkowania każdej przyszłej historii. Życie ma to do siebie, że wytryska spontanicznie. Zawsze najwięcej szans ma zaistnienie czegoś, co nieoczekiwane. Ale musi ono wyjść od tego, co już istnieje. A to, co nieoczekiwane, wychodzi od tego, co już się zna. Historia jest przeciwieństwem życia.

Przeszłość jest tym, co nie pozwala przyszłości być byle jaką.

Z pewnością domyśliliście się już, w jakim kierunku zmierzają nasi bohaterowie, a my wraz z nimi? Niespełna dwudziestopięcioletni Jeremiasz Finkelstein, ekspert w dziedzinie unikalnych wydań, wytrawny bibliofil, znawca problemów druku i prasy, wprowadzony w środowiska patronackie i związkowe kolei, zaufany człowiek Vanderbiltów, odbył daleką drogę od sztetlu i Lublina. Jego dość wyraźny akcent polsko-niemiecki bynajmniej mu nie przeszkadza; w amerykańskim dodaje mu nawet uroku, rysu swoistej oryginalności. Jak zawsze spragniony lektury zabiera się do doskonalenia swojego hiszpańskiego i portugalskiego, by łatwiej mu było, jemu, Żydowi aszkenazyjczykowi, porozumiewać się z sefardyjskimi współwyznawcami z Nowego Jorku, i by móc czytać w oryginale Cervantesa i Camõesa. Od wielu lat Jeremiasz co tydzień pisywał do rodziców. Ich wielkim wspólnym marzeniem było spotkać się kiedyś całą rodziną po tej czy drugiej stronie Atlantyku. Ale podróże statkiem były kosztowne. Jeremiasz nadal spłacał Karlowi-Hansowi sumę, którą ów zacny wielkolud pożyczył mu ku rozpaczy Lili – na jej oczach odchodził jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała. Pieniądze w gruncie rzeczy nie interesowały młodzieńca: napływało ich pod dostatkiem. Tym, co popychało Jeremiasza Finkelsteina naprzód, były nie kobiety, u których miał takie powodzenie, ani dolary, których część wysyłał do Berlina, część do Polski, lecz swoiste dążenie do podboju świata, będące być może kontynuacją i rozwinięciem, choć z pomocą innych środków, nauk ojca rabina o urzeczywistnieniu imienia bożego. Wspominając w Nowym Jorku w kontekście lektur Marksa i Engelsa święte słowa ojca, Jeremiasz Finkelstein mówił sobie, że powolne odkrywanie przez ludzi utajonego imienia bożego to nic innego, jak właśnie historia.

Siedząc na tarasie w San Miniato, nieraz zadawałem sobie pytanie, czy jednym z warunków przetrwania w moich wspomnieniach nie jest sukces. Zdaję sobie sprawę, że tak u polskich Żydów czy u Plessis-Vaudreuilów, jak w losach Marie de Cossigny fascynowały mnie wielkie katastrofy. Katastrofy te wpisane były jednak w historie pełne nieoczekiwanych zwrotów, gdzie niedole przeplatały się

z pomyślnością, a dno upadku zakładało najwyższe szczyty. Gdzież na tych stronach miejsce dla biednych i tych, którym nigdy nic się nie udaje? Biednych, prawdziwie biednych, proletariatu nieposiadającego historii innej niż zbiorowa, afrykańskich i azjatyckich mas, nieokrzęsanych i wyzbytych nadziei, tych wszystkich, którzy już od dzieciństwa uwiązani są do maszyn i rutyny i odrywają się od nich po to tylko, żeby umrzeć, tych pozbawionych przeznaczenia nie ma w moich wspomnieniach. Nie ma, ponieważ nie ma dla nich miejsca w historii. Najmniej skuteczną przepustką do historii jest brak historii. Niewykluczone, że – od Spartakusa poczynając, na październikowych dniach kończąc – rewolucja to nic innego, jak tylko ponadludzki wysiłek przejścia do historii tych, którzy jej nie posiadają. Toteż kiedy w końcu znajdą się po stronie zwycięzców, oni również zaczynają brylować w haniebnych annałach ludzkości, gdzie jest miejsce wyłącznie dla tych, którym przypadek lub siła stworzyły szansę działania czegokolwiek. Może piękno i prawdziwa wielkość istnieją tylko wśród zwyciężonych i zapomnianych przez historię? „Sprawiedliwość, ta uciekinierka z obozu zwycięzców” – pisze, inspirując się tragikami greckimi, Simone Weil.

Od dawna chodził mi po głowie pomysł opowiedzenia tego, co się dzieje, kiedy nie dzieje się nic. Nie ma rzeczy trudniejszej niż opowiadanie historii nie tyle nawet druzgocącej klęski, ile życia, w którym nic się nie zdarza, bo brak po temu pieniędzy, władzy, prestiżu, wiedzy czy nadziei. Do tego rzeczywiście potrzebny byłby talent. Śledząc przygody, najczęściej niesamowite, Romerów czy O'Shaughnessych podążamy zgoła odmienną drogą. Przede wszystkim dlatego że i jedni, i drudzy pieniędzy mają pod dostatkiem; ale też dlatego że w rodzinach tych, zajmujących poczesne miejsce wśród swoich współczesnych, pomimo stagnacji i w jej ramach, co chwila coś się dzieje. I na pewno spotka się tam jednostki startujące od zera; i na pewno ich potęga finansowa w końcu się załamie. Ale zawsze gdzieś w podcieniach ukrywają się dwa potężne bóstwa sukcesu i klęski, sterujące sobą wzajem i gotowe na zmianę interweniować i zamienić się miejscami. Moje wspomnienia, jak powieść, związane są z określonym kontekstem ekonomicznym i społecznym, dyktującym reguły gry. I można by powiedzieć, że przedmiotem zainteresowania niniejszych

pamiętników też, podobnie jak w powieści, jest przede wszystkim awans jednostek i upadek grup.

Może niektóre z przygód, o których teraz opowiem, wydadzą się wam nieprawdopodobne. Ale wystarczy tylko popytać, by przekonać się o ich prawdziwości. Każdy Włoch, mający bodaj jakie takie pojęcie o tajnej historii Wenecji z przełomu wieków, opowie wam, tak jak ja już za chwilę, innymi zapewne, choć podobnymi słowy, historię syna hrabiego Wrońskiego.

Córka Marie Wrońskiej nie umarła. Nie mogła umrzeć: nigdy nie było żadnej córki. Marie wydała na świat zdrowego, kształtnego chłopczyka. Z niewiadomych, choć zupełnie oczywistych powodów Wroński nakazał go usunąć.

Ponieważ dopuścił się tej zbrodni, jego nijaka postać zyskuje nagle groźny i tragiczny wymiar. Ten mężczyzna, któremu nigdy nic się nie udało, ma w życiu tylko jedną namiętność. A kobieta, którą kocha, nie dała mu dziecka. Gorzej: urodziła dziewczynkę i chłopca, ale żadne z nich nie jest jego dzieckiem.

Postąpił elegancko i wspaniałomyślnie, dając swoje nazwisko dziewczynce. Ale dać nazwisko chłopcu – to już ponad jego siły. Hrabia Wroński jest liberałem, w pewnym sensie rewolucjonistą, lecz honor nazwiska zalega ciężkim brzemieniem na jego barkach. Kiedy poślubił Marie de Cossigny, ratując ją przed nędzą i pohańbieniem, był to jego wolny wybór. Było w tym goście coś imponującego. Może nawet, jak już sugerowaliśmy, nie całkiem niemiła była mu myśl o utarciu nosa Naryszkinom. Uznając małą Nadię, dając dowód swojej odwagi towarzyskiej i niezależności ducha, urósł we własnych oczach.

Z dzieckiem Verdiego rzecz miała się inaczej. Z wielu powodów nie wątpił w ojcostwo kompozytora. Osoby bliskie Wrońskiemu nieraz wysuwały skrajną, i muszę powiedzieć, dość kuszącą teorię. Otóż Piotr Wasiliewicz natychmiast zorientował się, że dziecko nie jest jego z tej prostej przyczyny, że był bezpłodny i dobrze o tym wiedział. Wiele z jego niezliczonych podróży po Europie miało jakoby co innego na celu niż obalenie rosyjskiego absolutyzmu. W Szwajcarii, w Niemczech, w Anglii, we Francji szukał lekarstwa na bezpłodność – lub wręcz na impotencję. Polityka, w której tak konsekwentnie mu się nie wiodło,

miałaby służyć jako parawan i alibi dla jego prawdziwych problemów. Uchodził za egzaltowanego liberała przejawiającego ciągoty do rewolucji, by tym pewniej zatuszować, czy może zrekompensować sobie, podstawową niemoc. Tak jak ci homoseksualiści, którzy niegdyś usiłowali ukryć swoje prawdziwe upodobania afiszowaniem męskości, tak i Wroński miałby ukrywać swoją impotencję pośród zamętu polityki. Ale tak jak maska i twarz w końcu zaczynają się do siebie upodabniać, tak i alibi uległo zainfekowaniu tym, co z założenia miało osłaniać: wszelkie poczynania Wrońskiego naznaczone były piętnem jałowości i niemocy. Tyle tylko że udało mu się – byłże to sukces czy nowa porażka? – fizyczną impotencję przenieść na płaszczyznę moralną. By tym pewniej zmylić tropy, skwapliwie podszył się pod ojcostwo córki Marie. W tej sytuacji poświęcenie stawało się przysługą oddaną samemu sobie.

I w tym przypadku przyjaciele, jak na przykład Javier, mogliby mi zarzucić podczas naszych wspólnie snutych na tarasie w San Miniato lub gdzie indziej tych wspomnień po wspomnieniach, że byłem w moich poszukiwaniach niedość dociekliwy. W wiele lat po narodzinach i zniknięciu dziecka, w okresie publicznego ujawnienia tak długo zatajanych wydarzeń i wybuchłego nagle skandalu wielu utrzymywało, że Wroński, niesłusznie posądzany o impotencję, w rzeczywistości był homoseksualistą – w co nie wierzę – któremu przytrafiła się dziwna przygoda i namiętnie zakochał się w kobiecie niepociągającej go fizycznie. Mało tego – wymieniano nawet nazwisko kochanka Wrońskiego: miałby nim być oczywiście Zambrano. By dopełnić miary, mówiono też, że Marie chcąc się zemścić, została kochanką Zambrana i że ojcem dziecka nie był wcale Verdi, o czym zaczęły już chodzić słuchy, ani oczywiście Piotr Wasiliewicz, tylko wenecki rajfur. Na mój rozum to czyste wymysły, ale znajdujące chętny posłuch w salonach Wenecji, po których krążyły też i inne plotki. A to, że młody Naryszkin, porucznik z Priobrażenskigo Pułku, bardzo się Wrońskiemu podobał. A to, że małżeństwo z Marie było, nie bardzo wiedziano: czy zemstą, czy wręcz odwrotnie, rodzajem mistycznego związku na opak z przedmiotem skrytej namiętności. A że doprawdy trudno było zrobić z Verdiego pederastę, choćby i ukrytego, egzaltowaną przyjaźń do

muzyka przedstawiano jako nieszczęśliwą miłość.

Hipoteza jest zabawna. Ale nic ponadto. Bo nie dość, że bezpodstawna, to nie uwzględnia też ważnego elementu, nieznanego prawdopodobnie weneckim kręgom: bezspornego związku Wrońskiego z Hortense Herbignac. Związek ten stoi w sprzeczności z hipotezą o jego jeśli nie bezpłodności, to impotencji. Należałoby jeszcze zbadać, jakie faktycznie stosunki łączyły Hortense i Wrońskiego – czy jednak jakiś historyk podjąłby się takiego zakrawającego na ironię zadania, w którym wymóg tekstów ma w sobie coś komicznego? W moim przekonaniu – choć wcale bym się przy tym nie upierał – Wroński kochał kobiety, lecz jego postępowanie wobec nich zgodne było z ogólnym obrazem jego osoby, sprowadzającym się do zasadniczej niemożności odniesienia sukcesu w czymkolwiek i kiedykolwiek.

Ci, którzy życzyliby sobie, bym głębiej sięgnął w przeszłość naszych bohaterów, często zwracali uwagę na dość osobliwą postać matki Wrońskiego. Jego dziadek, ambasador w Persji i Londynie, wysłany powtórnie z misją nadzwyczajną do Teheranu w przeddzień dojścia do władzy dynastii Kadżarów, zginął podczas fali rozruchów ludowych, już wtedy zwiastujących przyszłe czasy Mosaddeka, Chomeiniego, ajatollahów, Tudehu i mudżahedinów. Jeden z jego wujów poległ młodo w bitwie pod Borodino. Ojciec został zesłany wraz dekabrystami na Syberię, gdzie umarł. Brat już w bardzo młodym wieku zaczął podkładać bomby i prowadzić hulaszczę życie. Piotr Wasiliewicz wychowany został w świecie kobiet, w którym rządy sprawowała jego matka.

Niewykluczone, a nawet wysoce prawdopodobne jest to, że matka, kobieta o ustalonych poglądach i nieugiętej woli, była typową matką-kastratorką. Tę kwestię pozostawiam jednak moim szanownym kolegom, mającym większe niż ja rozeznanie w tych sprawach. Najmądrzejsze z przysłów zaleca, by nie podskakiwać wyżej własnego tyłka. Co Rzymianie ujmowali w sposób bardziej wyszukany: *Sutor, ne supra crepidam...* W naszych czasach nie zabraknie komentatorów i interpretatorów zdolnych w nieskończoność rozprawiać na temat znaczenia i korzeni fantazji oraz ciągłot Wrońskiego. Ja, z rozbijającą skromnością, zadowolam się opowiadaniem historii. A już każdy

zinterpretuje je po swojemu i wyciągnie wnioski, jakie mu się spodoba.

Niemniej taka matka... rosła, okazała – tymczasem Wroński był raczej wątlej postury i mimo brody sprawiał wrażenie delikatnego – była jednym z pierwowzorów groźnej pani Fichini z *Les Petites Filles modèles* hrabiny de Ségur. Opowiadano o niej rozmaite historie. W obawie, by nie popaść w przesadę odwrotną do tej, jaką wykazują talmudyści marksizmu lub psychoanalizy, i nie wyjść na zbieracza anegdot, wstrzymam się od ich przytoczenia. Wystarczy wiedzieć, że zadręczała swoją miłością młodego Piotra Wasiliewicza i terroryzowała nieprzebrane zastępy służby w swoim pałacu w Sankt Petersburgu i w willi na Krymie, gdzie, zupełnie jak w opowiadaniach Turgeniewa, jeszcze na początku wieku służyli u niej pańszczyźniani chłopci, którzy nie tracąc niewolniczego statusu „dworskich”, z czasem awansowali ze stangretów czy rybaków na kucharzy i ogrodników.

To żaden cud ani boska inspiracja, że pewna liczba szczegółów na temat starej hrabiny Wrońskiej z domu Dołgorukiej dostała się w moje posiadanie. Być może niektórzy z was pamiętają jeszcze bal wydany przez mojego dziadka w Plessis-lez-Vaudreuil, kiedy byłem dzieckiem. Właśnie podczas tego balu dowiedzieliśmy się o śmierci naszego dość dalekiego krewnego, wuja Konstantina Siergiejewicza i całej jego rodziny. Wuj Konstantin Siergiejewicz przyjeżdżał swego czasu do Plessis-lez-Vaudreuil na polowania z nagonką, jego matka zaś, z domu również Dołgoruka, była siostrą hrabiny Wrońskiej. Tym sposobem już jako dziecko miałem okazję usłyszeć z ust jej własnego siostrzeńca liczne opowieści o starej i surowej hrabinie. Jedno z jej powiedzonek stało się dla nas czymś w rodzaju zawołania, wyliczanki czy zaklęcia. Rzecz dzieje się w Wenecji, gdzie na trzydzieści czy czterdzieści lat przed synem hrabina wynajęła zgodnie ze zwyczajem swoim i rodziny trzy piętra w Danielim: jedno dla siebie, jedno poniżej puste, by uniknąć wszelkich hałasów, oraz jedno pod dachem dla służby. Hrabina odwiedza Lido, La Fenice, swoje przyjaciółki: hrabinę Albrizzi i hrabinę Marcello. Odbywa przejażdżki gondolą. Zdarza jej się wybrać na pieszy spacer wzdłuż San Trovaso lub Santa Maria dei Miracoli, niekiedy dociera nawet do Frari, gdzie chętnie kazałaby się pochować pomiędzy grobowcem Tycjana i pomnikiem Canovy. W Wenecji znajdują się w jej

otoczeniu dwie godne uwagi osoby: jedną jest portier z Danielego, pradziadek sławnego Tortorelli, konsjerża w Bauer-Grunwaldzie, którego wielu z moich czytelników zdążyło zapewne jeszcze poznać i skorzystać z jego pomocy przy zdobyciu miejsca na parterze w La Fenice lub ostatniego wolnego biletu na trasie Wenecja–Londyn, czy Wenecja–Zurych; drugą – nieodstępujący jej *maître d’hôtel*, człowiek legenda o zachwycającym nazwisku Benvenuto Fioravanti. Ów drogi Fioravanti, mężczyzna niezwykle dystyngowany i bardziej przypominający włoskiego księcia aniżeli wszyscy Orsini i Colonna razem wzięci, stawiał właśnie czoło jednemu z nagłych ataków gniewu, będących specjalnością hrabiny Wrońskiej. Bronił się, jak umiał, aż wreszcie hrabina, wyczerpawszy argumenty, wypuściła ostatnią strzałę:

– Powiedzcie mi, Fioravanti, czy wy mnie przypadkiem nie bierzecie za korzeń estragonu?

W niezrównanej włoszczyźnie hrabiny wykrzyknikowi temu dość daleko było do pełnych harmonii fraz Leopardiego czy Manzonięgo: *Crede Lei, Fioravanti, que sono una radice d’estragon?*

Pytanie: „Czy ty mnie masz za korzeń estragonu?” stało się w naszej rodzinie jednym z tych powiedzonek, których powtarzanie nigdy nas nie nudziło. Obawiam się, że najmłodszy z nas nie pamiętają już ani skąd się wzięło, ani samej hrabiny Wrońskiej.

Niewykluczone, że mając taką matkę, Piotr Wasiliewicz stał się czymś w rodzaju korzenia estragonu. Nigdy nie mogłem się zdecydować, czy jego swoista dobroć czyniła go sympatycznym mimo jego wyskoków, czy też jego słabość – szczerze antypatycznym. Tak czy inaczej zachował dość trzeźwości, by przyznać Marie okoliczności łagodzące. W końcu to on jako pierwszy zawrócił sobie w głowie Verdim, zafascynowany nie tylko geniuszem, lecz także bogactwem życia twórcy *Nabucco*. Ten, który we wszystkim ponosił fiasko, stanął nagle przed człowiekiem, któremu zawsze się wiodło. W życiu Verdiego nie brak nieszczęść; nie tylko napotyka na swej drodze немало przeszkód i trudności, lecz traci także żonę i dwoje dzieci. Przewycięża jednak te przeciwności i niedole i triumfuje za sprawą geniuszu, piękna i siły charakteru. Piotr Wasiliewicz ulega urokowi kompozytora; to on nieustannie wychwala go pod niebiosa, on też przedstawia go Marie. Nie

trzeba długich nalegań, by mnie przekonać do myśli, że Wroński popchnął kobietę, którą kochał, w ramiona mężczyzny, którego podziwiał. Przed chwilą odrzuciłem jego obraz jako męża przymykającego oczy na prowadzenie się żony. Rzecz w tym, że w tej historii nie ma nic trywialnego. Wszystko rozgrywa się na wyżynach wykluczających wszelką małość. Tyle tylko, że nagle stanął przed sytuacją budzącą w nim gwałtowny sprzeciw: nie chce być ojcem dziecka Verdiego.

Nie chce, ale... Zastanawiałem się, czy przez moment nie rozważał ewentualności pozostawienia Marie – a tym samym zachowania dla siebie – dziecka człowieka genialnego. W stosunkach między mężczyznami wszystko jest proste – i wszystko zawsze niebywale skomplikowane. Jeśli idzie o stosunki Wrońskiego z Verdim to ledwie tylko wysunę jakąś hipotezę czy wyjaśnienie, a już wydają mi się błędne. Nie, nie, Wroński nie jest wyrozumiiałym mężem, ale... Nie, nie chce być ojcem dziecka Verdiego, ale... Kiedy się czyta korespondencję Marie Wrońskiej z Verdim, trudno oprzeć się myśli o swego rodzaju wymianie między Marie i jej mężem: on przymyka oczy na romans Marie i ojcostwo Verdiego, w zamian za co ona obdarza męża, który nie może posiadać własnego potomstwa, dzieckiem kochanka. A potem coś tajemniczego staje na przeszkodzie realizacji tej milczącej umowy, której nikt nigdy nie podpisywał, choć Marie uważa ją za zawartą. Pomiędzy starą babuszką, Zambraniem i Wrońskim zawiązuje się zmowa. I kiedy na scenę wkracza akuszerka z Burano wyszukana przez Zambrana zgodnie z instrukcjami Wrońskiego, jest już po wszystkim. Los dziecka został przesądzony.

Odpowiedź na ostatnie pytanie – czy odegrała w tym wszystkim jakąś rolę płeć dziecka? – nie jest do końca pewna. Dlaczego Wroński powiedział Marie, że dziecko było dziewczynką, skoro było chłopcem? Czy gdyby to była dziewczynka, to pozostawiłby ją matce? Jestem przekonany, że tak czy inaczej Wroński podjął już decyzję. Powodowany resztką czułości, bo w tej zbrodni jest też i czułość, oznajmia Marie, że urodziła dziewczynkę. Czyż nie ma w tym wszelkich cech rozumowania człowieka trochę tchórzliwego? Ponieważ Marie ma już córkę, mniej będzie rozpaczała, że nie ma drugiej, niż gdyby straciła

swojego pierwszego syna. Jest jeszcze inna hipoteza, która wielu może bardziej zadowoli: jedyną troską Wrońskiego było zmylenie tropów. Nie doprowadza on bowiem do końca swoich zbrodniczych zamiarów. Ośławiona afera Wrońskiego nie jest powtórzeniem na mniejszą skalę rzezi niewiniątek. Jest nową odsłoną popularnego romansu czy historii Edypa. Wroński nie każe zgładzić dziecka, które odebrał matce. Wystarcza mu, że je uprowadza, daje do zrozumienia, że umarło, i nakazuje usunąć.

Jeśli w przeszłości McNeillów i O'Shaughnessych byli mordercy i zwycięzcy, w przeszłości Florindy i Periclesa Augusta czarownicy, niewolnicy, żeglarze i wodzowie, wśród Wrońskich egoistyczni, goniący za mrzonkami arystokracji, wśród przodków Romerów – hiszpańscy zdobywcy i podbici Indianie połączeni sekretnymi więzami wspólnego smutku i wspólnej dumy, to w każdym geście i myśli Jeremiasza Finkelsteina obecna była sprawa zupełnie inna i o wiele ważniejsza: naród żydowski.

Pod koniec XIX wieku Jeremiasz Finkelstein należał już – lub wciąż jeszcze należał – do tej generacji młodych Żydów, którzy choć wychowani w religii i dochowujący skrupulatnej wierności swojej wierze, nie uważali już Izraela za jedyny życiowy punkt odniesienia ani początek i koniec wszystkiego. Podwójny wpływ socjalizmu i komunizmu uczynił go podatnym na inne aspiracje. Nie wyobrażał już sobie powrotu do Polski ani nawet do Europy. Widział się w roli obywatela amerykańskiego na stałe osiadłego na nowym kontynencie i utrzymującego, rzecz jasna braterskie kontakty ze współwyznawcami, lecz w mniejszym bądź większym stopniu wyzwolonego od tego, co nadawało zasadniczy czy raczej wyłączny sens życiu jego rodziców i dziadków. Ta zmiana postawy i nowoczesność Nowego Świata nie przeszkadzały jednak Jeremiaszowi czuć się przede wszystkim Żydem. Był spadkobiercą narodu wybranego i Wiekuisty trwał u jego boku.

Towarzysząca mu wieczność miała aspekty nie tylko mistyczne. Wiedział, że czas jest jego sprzymierzeńcem i że za sprawą swoich przodków sięga do początków świata. O'Shaughnessy'owie i McNeillowie znali z nazwiska i imienia wszystkich swoich antenatów z ostatnich dziesięciu stuleci; później, od Wilhelma Zdobywcy, Harolda

i Edith o łabędziej szyi czy – obowiązkowo – króla Artura i jego towarzyszy, Merliną, świętego Patryka, ród zatracił się wśród mroków historii zamienionej w legendę. Jeremiasz Finkelstein nie pamiętał nawet imion własnych pradziadków. Ale pewny był swojej rasy oraz tego, że w tym czy innym momencie historii diaspora gwałtownie rzuciła jego rodzinę poza Ziemię Świętą. A jeszcze wcześniej, dużo wcześniej, jego przodkowie wywodzili się od dwunastu plemion Izraela, a Salomon i Dawid, i Izaak, i Abraham stanowili więź między nim a potopem, ziemskim rajem i stworzeniem świata przez Boga groźnego i dobrego, którego niewysłowione imię pozostawało zakazane i ukryte; Boga zemsty, który stał się Bogiem sprawiedliwości.

Jeremiasz Finkelstein miał też inną przewagę nad Plessis-Vaudreuilami, O'Shaughnessy'ami czy McNeillami, o których istnieniu nie miał zielonego pojęcia: jego przeszłość była przyszłością; jego wspomnienia i tradycje były nadzieją. Opłacał tę nadzieję wieloma cierpieniami. Stare chrześcijańskie rody Europy, katolickie i protestanckie, również pokładały nadzieję w chwalebnej epifanii i zmartwychwstaniu ciał. Ewolucja polityczna, ekonomiczna i społeczna nie dawała im jednak jakichkolwiek szans na przetrwanie w ich dotychczasowym kształcie po kres czasu. Odebrały już swoją część wielkości, bogactwa, władzy i znaczenia. Teraz mogły tylko staczać się, słabnąć i wygasać. Ale Żydów, ponieważ zaznali tylu nieszczęść i upokorzeń, Ziemia Obiecana dopiero czekała. Historia była stopniowym odsłanianiem świętego imienia Najwyższego, oni zaś byli narzędziem tej sekretnej wiedzy, będącej niczym innym, jak zbawieniem.

„Synu mój – pisał ze sztetlu, z którego nigdy się nie ruszył, sędziwy już rabin. – Synu mój! Błogosławię Wszechmocnego, który obdarzył cię wiedzą i pieniędzmi, nie odbierając ci wiary”.

Trudno by to trafniej ująć. Do listy boskich dobrodziejstw rabin mógłby jeszcze dorzucić obywatelstwo amerykańskie. Gdyż w okresie między końcem wojny secesyjnej a początkiem wojny z Hiszpanią, dzięki wstawiennictwu Vanderbiltów i paru innych osób Jeremiasz Finkelstein został obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Syn Marie i Verdiego, o czym nikt nie wiedział, wychowywał się

w Szwajcarii pod imieniem Nicolasa Cossy'ego. Pieniądzy Wrońskiego wystarczyło na wszystko. Dziecko powierzone zostało piastunce w miasteczku Münster czy Mustair położonym pośród zachwycających krajobrazów nieopodal granicy włoskiej w Gryzonii między Sankt Moritz i Merano. Wroński, zwłaszcza na początku, zaglądał tam dwa razy do roku, upewniał się, że dziecko jest zdrowe i niczego mu nie brakuje, wręczał piastunce pieniądze i znikał. Taki stan rzeczy trwał przez pięć lat. Nicolas był chłopcem silnym i wesołym, niekiedy popadającym w nagłą melancholię. Prowadził takie samo życie jak synowie zamożnych rolników z Engadyny czy Dolomitów.

Gdy miał sześć czy siedem lat, zaczęto go codziennie posyłać do proboszcza z Münsteru, mieszkającego obok kościoła w bardzo starym, pięknym i dość dużym domu. Prócz języków włoskiego i retoromańskiego, którymi posługiwał się na co dzień, uczył się łaciny, niemieckiego, francuskiego, trochę angielskiego, historii i matematyki. Zimą lubił śnieg, latem długie spacerować. Był szczęśliwy. Wroński, w obawie by nie sprowokować kłopotliwych pytań, przyjeżdżał coraz rzadziej. Nicolas jak przez mgłę pamiętał wizyty tego brodatego mężczyzny o niezbornych ruchach, sprawiającego zawsze wrażenie, jakby się spieszył, i nie zastanawiał się zbyt nad zagadką swojego życia. Jedyne problemy wynikały podczas rozmów z kolegami.

- Nicolas, powiedz, co robi twój ojciec?
- Podróżuje.
- Często go widzisz?
- Dość często.
- Co miesiąc?
- Nie, nie co miesiąc. Ale często... No, może niezbyt często.

Wiesz, on podróżuje.

- A twoja matka?
- Nie żyje.

Nicolas umyślił sobie, że prościej i logiczniej będzie mówić i wierzyć, że matka nie żyje, a ojciec jest zawsze nieobecny. Piastunka, która wiedziała nie więcej niż on, była tego samego zdania, kiedy ją wypytywał, podsuwając gotowe odpowiedzi.

- Mummy!

- Co takiego, Nicolas?
- To tata już nie przyjeżdża?
- Twój tata, kochanie, ma bardzo mało czasu.
- Dużo podróżuje?
- Właśnie. Dużo podróżuje.
- A mama?
- Mama?
- Biedna mama! Biedny Nicolas!
- Nie płacz, kochanie. Masz swoją Mummy, która cię kocha.
- Myślisz, że mama poszła do nieba?
- Na pewno, kochanie. Na pewno jest w niebie.

Mamie Nicolasa daleko było do nieba. Mieszkała dwieście kilometrów od utraconego syna i była bardzo nieszczęśliwa.

Kiedy Nicolas miał nieco ponad dwanaście lat, w jego życiu nastąpił pewien przełom. Mummy, otrzymawszy instrukcje od brodacza, który – jak przynajmniej zapewniał – w żadnym wypadku nie był ojcem, tylko zarządcą („Ach, to i lepiej!” – orzekł chłopiec, któremu nie zapadły jakoś szczególnie w pamięć rzadkie kontakty z brodatym, wiecznie się spieszącym mężczyzną), zawiozła Nicolasa do Zernez, dużej osady położonej trzydzieści czy czterdzieści kilometrów na północny zachód od Münsteru. Żeby mógł codziennie uczęszczać do szkoły w Zernezie, opiekunka umieściła małego u piekarza, dysponującego zupełnie przyzwoitym pokojem. Raz na miesiąc uczeń przyjeżdżał do Münsteru albo opiekunka odwiedzała go w Zernezie. Rozstając się po raz pierwszy, oboje trochę się popłakali. Jak większość dzieci Nicolas był bardzo uczuciowy.

W Zernezie spędził tylko dwa lata. Kiedy miał lat czternaście, Mummy odbyła z nim najdłuższą podróż swojego życia, która zawiodła ich aż do Pontresiny pod Sankt Moritz. Mieściła się tam szkoła z internatem. Nicolas Cossy spędził w niej kolejne dwa lata. Opuszczając Pontresinę, mówił niemal biegle, choć z lekkim akcentem włoskim, po angielsku, niemiecku i francusku i nauczył się już żyć bez swojej Mummy.

Cristina Isabel była jeszcze bardzo młoda; miała szesnaście, może siedemnaście lat, kiedy Jeremiasz Finkelstein, przebywający przejazdem

w Bahii w drodze do São Paulo, a potem Buenos Aires, gdzie miał załatwiać interesy związane z transportem i dystrybucją prasy, spotkał ją w hallu najlepszego hotelu w mieście, w którym się zatrzymał. Był okres karnawału. Cristina Isabel przyszła zająć się przygotowaniami do przyjęcia na rzecz biednych i sierot, organizowanego za kilka dni w jednej z sal hotelowych. Rozstawiała krzesła, drapowała tkaniny, sprawdzała rozmieszczenie lichtarzy, rozmawiała z portierem i próbowała sprzedawać bilety na tombolę, która miała odbyć się na zakończenie uroczystości. Zauważywszy mężczyznę o jasnych, prawie rudych włosach, ciepło ubranego mimo upału, wyraźnie obcokrajowca, podskoczyła do niego z całym zuchwalstwem młodości.

– Dzień dobry panu.

– Dzień dobry, panienko.

– Pan nietutejszy?

– Nie, jestem Amerykaninem.

– Z Nowego Jorku?

– Tak, panienko, z Nowego Jorku.

– Ach, co za szczęściarz z pana!

– Ale nie urodziłem się w Nowym Jorku.

– Coś takiego! To gdzie się pan urodził?

– W Polsce.

– O, mój Boże! Polska! To chyba w Rosji?

– Tak... no, powiedzmy, prawie.

– Jest pan Rosjaninem?

– Nie, jestem Amerykaninem.

– Ale był pan Rosjaninem?

– Nie. Byłem Żydem.

– I już pan nie jest?

– Ależ tak, jestem.

– No, to jest pan Żydem i Amerykaninem.

– Brawo, panienko! Trudno by to trafniej ująć. Tymi trzema słowami trafiła pani w dziesiątkę. Jestem amerykańskim Żydem.

Cristina Isabel nigdy w życiu nie widziała amerykańskiego Żyda. A ten tutaj, mówiący po portugalsku z takim zabawnym akcentem, wydał jej się o tyle bardziej sympatyczny, że za jednym zamachem kupił

aż dwadzieścia biletów na tombolę.

– A co można wygrać? – zainteresował się Jeremiasz.

– Chwileczkę... – powiedziała Cristina Isabel, zerkając na listę. – Hmm... O, jest! Psa, łódź rybacką, zastawę do herbaty...

– Albo zupełnie nic – śmiejąc się, podpowiedział Jeremiasz.

– Mam nadzieję, że pan coś wygra – powiedziała Cristina Isabel z oszałamiającym uśmiechem.

– Kiedy się o tym dowiem?

– Och, nie wcześniej niż za trzy dni.

– Za trzy dni już mnie tu nie będzie.

– Och! – zawołała Cristina Isabel.

Trzeba więc było wymienić nazwiska i adresy, by w przypadku wygranej móc powiadomić o tym szczęśliwego uczestnika tomboli. Jeremiasz Finkelstein spędzi trzy miesiące w São Paulo, sześć miesięcy w Argentynie; list zaadresowany do Buenos Aires na ręce amerykańskiego konsula generalnego z pewnością będzie już na niego czekał. Jeremiasz zaprosił Cristinę Isabel na herbatę. Ze śmiechem odrzekła, że woli *batidę*.

– A co to takiego ta *batida*? – zapytał Jeremiasz.

– Brazylijski napój.

– Z czego?

– Z *cachaça*.

– A co to takiego ta *cachaça*?

– Wódka z trzciny cukrowej.

– Mocna?

– Niespecjalnie.

Była jednak bardzo mocna. Jeremiasz z wielkim smakiem wypił dwa, może trzy kieliszki. Wracając na górę do swojego pokoju później, niż planował, czuł się lekko wstawiony.

Życie Nicolasa zaczynało przybierać tajemniczy, niekiedy zgoła fantastyczny obrót. Dwa lub trzy razy w semestrze otrzymywał pieniądze oraz rozpaczliwie suche i krótkie instrukcje, przekazywane teraz już nie przez Mummy, bo ta znikła z jego życia, a nowiny od niej docierały do niego coraz rzadziej, lecz przez notariusza z Genewy, mecenasa Brûlaza-Trampoliniego. Z kolei notariusz utrzymywał chroniony

tajemnicą zawodową kontakt z pewnym Włochem nazwiskiem Zambrano, który wyglądał jak skrzyżowanie sprytnego wieśniaka z awanturnikiem, a przedstawił mu się jako zaufany człowiek pewnej wysoko postawionej osobistości pragnącej pozostać incognito. Już na pierwszym spotkaniu z Zambranem mecenas Brûlaz-Trampolini, cieszący się reputacją notariusza zręcznego, a czasem wręcz zbyt zręcznego, zwęszył historię jakiegoś królewskiego czy książęcego romansu oraz potomstwa z nieprawego łoża. Przerzucił „Almanach Gotajski”, lecz zniechęciła go liczba arcyksiążąt i księżniczek z królewskich rodów w wieku odpowiednim do posiadania dziesięcio- czy dwunastoletniego syna. W 1889 roku, na dziesięć lat przed śmiercią, na nowo ożywiła jego wspomnienia tragedia w Mayerlingu, o której rozprawiała w owym czasie cała Europa. Byłbyż to przypadek...? Ale nie, dziecko powierzone jego pieczy przed kilkoma laty było za duże. Na myśl przychodzili mu kolejno Naundorffowie, Kaspar Hauser, arcyksiążę Jan Salvator, cesarzowa Charlotta, błyskotliwi i nieszczęśliwi Wittelsbachowie, tak często słabujący na rozumie, o ile tylko choroba miała się gdzie zagnieździć, ksiązę Walii, ponieważ był kobieciarzem, ród Sachsen-Coburg-Gotha, ponieważ był tak liczny, oraz mnóstwo awanturników wysokiego lotu. Aż wreszcie wyczerpany zaprzestał poszukiwań i domysłów, kontentując się sutymi honorariami, jakie wypłacał mu Zambrano. Kombinacja sumienności zawodowej z ciekawością jednak – bo czy to wiadomo? – skłoniła go do złożenia osobistej wizyty młodemu Nicolasowi Cossy’emu, który opuszczał właśnie Pontresinę; osobnik zwany Zambranem dostarczył mu adres, by mógł przekazać instrukcje oraz gotówkę w zapieczętowanej kopercie.

Pewnego pięknego majowego popołudnia, po dość długiej podróży z Genewy przez Lozannę, Zurych i Coire, gdzie miał do załatwienia różne interesy, mecenas Brûlaz--Trampolini znalazł się w Pontresinie. Pogoda była piękna. Droga męcząca, lecz wspaniała. Pożywił się w restauracji wiejską szynką z dwoma jajkami sadzonymi, zakropił to szklaneczką wina i po krótkim odpoczynku udał się do gimnazjum. W owym czasie Pontresina była małym miasteczkiem. Nie wyrosły tu wtedy jeszcze z ziemi te budowle, które szpecą dziś nawet najpiękniejsze i najlepiej chronione miejsca. Przez dwa ostatnie dni padało. Powietrze

było rzeńskie. Notariusz z przyjemnością odbył piętnastominutowy spacer.

Bramę gimnazjum otworzył mu stary człowiek w birecie. Mecenas zażądał widzenia z dyrektorem i niemal od razu został przez niego przyjęty. Dyrektor był mężczyzną w średnim wieku, szpakowatym, z okazałym brzuszkiem i dość sympatycznym. Mecenas Brûlaz-Trampolini w kilku słowach wyjaśnił mu cel swojej wizyty.

– Lekcje właśnie się skończyły. Zaraz powiadomię Nicolasa. Zostawię was samych.

– Dziękuję – powiedział mecenas. – Przywożę mu instrukcje, które...

– Wiem – rzekł na to dyrektor. – Otrzymałem list...

Przerwał na moment, szukając go na swoim biurku.

– O, jest: od niejakiego pana Zembrano czy Zambrano...

– Zambrano – powiedział notariusz.

– Zambrano. Zostałem powiadomiony, że będzie pan chciał się z nim skontaktować. Nie spodziewałem się aż wizyty – dodał z uśmiechem.

– Miałem interesy w Zurychu i Coire. Tylko nieznacznie naddałem drogi. Miałem ochotę zobaczyć Grisons. I pogoda taka piękna!...

– W naszych stronach nie brak atrakcji... Zaraz pan zobaczy Nicolasa. Myślę, że pobyt tutaj dobrze mu zrobił.

– Nie znam go. Nigdy go nie widziałem.

– O?! – rzekł dyrektor, obrzucając notariusza pytającym spojrzeniem. – To dziecko samotne, trochę zamknięte w sobie, mimo to wesołe. Chyba mu się u nas podoba.

– Jego pobyt w Pontresinie już się kończy...

– To też wiem. I żałuję.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł Nicolas. Mecenas Brûlaz-Trampolini doznał szoku. Wysoki szatyn, wyglądający na starszego, niż był, o lekko odętych ustach, brzoskwiniowej cerze – „górskie spacery”, pomyślał gość – i zielonych oczach, postawie męskiej i łagodnej, emanował niewysłowionym wprost wdziękiem. Notariusz poczuł coś na kształt szczęścia; sam był zdziwiony, że zdołało go zainteresować coś innego niż własne sprawy. Stwierdził w duchu, że

słusznie zrobił, przyjeżdżając do Pontresiny.

Bahia, 27 marca

Panie Amerykański Żydzie.

Miał pan szczęście: czeka na pana koziołek. I bez przerwy beczy. Musiałabym nie mieć serca, żeby do pana od razu nie napisać. Zresztą przyznaję, że i tak bym napisała. Żeby powiedzieć, czy pan wygrał, czy nie. Wygrał pan. Brawo! Koziołka.

Czyżby zachował pan złe wspomnienie ze swojego pobytu w Bahii? Bo jeśli przeżycia tutaj nie były zbyt przykre, to czemu pan nie wraca? Złożyłabym wtedy w pańskie ręce owoc pana pomyślnych spekulacji. Mam nadzieję, że zaliczy go pan w poczet swoich najbardziej udanych interesów. Zapytałam ojca, czy mogę pojechać do Buenos Aires wręczyć koziołka amerykańskiemu Żydowi. Niestety, nie zgodził się.

Jeśli nie otrzymam od pana znaku życia w ciągu najbliższego roku, uznam koziołka za moją własność. Bardzo dziękuję. Mam jednak nadzieję, że będę mogła być wdzięczna raczej za pańską obecność niż nieobecność.

Koziołek, który na pana czeka, polecił mi pana ucałować.

CRISTINA ISABEL

List napisany był po portugalsku z wtrąconymi tu i ówdzie słowami angielskimi i zaadresowany tak:

Pan Jeremiasz Finkelstein

na ręce pana konsula generalnego Stanów Zjednoczonych

Buenos Aires

Argentyna

Niecałe pięć miesięcy później Jeremiasz Finkelstein poślubił Cristinę Isabel w tym samym kościele, w którym przed szesnastu czy siedemnastu laty była niewolnica Florinda i Pericles Augusto padli do stóp ołtarza. Kiedy Pericles Augusto patrzył na córkę, wspominając żonę, łzy smutku i żalu w jego oczach mieszały się ze łzami radości i dumy. Problemem była religia przyszłych dzieci. Jeremiasz zgodził się, by dziewczynki wyrastały w wierze katolickiej. Chłopcy zostaną obrzezani. Lecz Jeremiasz zagwarantował sobie, że będzie ich uczył hebrajskiego i historii narodu żydowskiego oraz że będą czytać Torę,

Talmud i Zohar. Podczas ceremonii przed bramą kościoła przechodnie mogli zobaczyć przywiązane do ogrodzenia koziołka.

Minęło ponad piętnaście lat. Marie Wrońska o niczym nie zapomniała. Przyzwyczajala się do swojego nieszczęścia. Posiwiwały jej włosy. Córka, dorównująca jej już wzrostem, była śliczna. Już teraz zalecali się do niej młodzi książęta Orsini i Colonna. W dniu jej szesnastych urodzin Wroński wydał bal. Uroczystość odbyła się w małym pałacyku nad Canal Grande, który Wroński nabył w dość ciekawych okolicznościach.

Na całą jesień Wroński użyczył swojego domu na Giudekce bratu, który zatrzymał się w nim z dwoma swoimi, wtedy jeszcze małymi, synami. Sam zaś wynajął na trzy miesiące pałacyk nad Canal Grande, należący do innego Rosjanina, pijaka, sławnego myśliwego i namiętnego hazardzisty, którego czwarta czy piąta żona była aktorką w La Fenice. Wrońskiemu od dawna marzył się dom nad Canal Grande, a że majątek i okoliczności stworzyły mu okazję urzeczywistnienia tych planów, nawet jeśli tylko na jakiś czas, długo się nie zastanawiał. Któregoś ranka, ledwie zaczęło świtać, a cały pałac pogrążony był jeszcze we śnie, Piotra Wasiliewicza obudził jakiś hałas. Wstał, podszedł do okna i na Canal Grande, nieruchomym i cichym o tak wczesnej godzinie, ujrzał samotną gondolę. Z gondoli, która przybiła do pomostu przed pałacem, wyskoczył jego właściciel, Władimir Pawłowicz, i zaczął łomotać w drewnianą bramę od strony kanału, wrzeszcząc i przeklinając.

– Ejże tam, ciszej proszę! – zawołał Wroński, wychylając się przez okno.

– Otwierać! Otwierać!

– Cisza! Są ludzie, którzy lubią sypiać do rana!

– Niesłusznie! Na wszystkich diabłów i wszystkich świętych, otwierać!

– Czyżby był pan pijany, przyjacielu?

– Nieważne. Otwierać!

– Proszę odejść!

– Proszę, niech pan otworzy! Muszę z panem pomówić.

– Niech pan przyjdzie w południe.

– Nie mogę czekać. Niech pan otwiera! To sprawa życia i śmierci!

W końcu Piotr Wasiliewicz zszedł i otworzył bramę. To nie była sprawa życia i śmierci. To było w pewnym sensie coś jeszcze gorszego, bo sprawa honoru. Władimir Pawłowicz grał przez całą noc. A teraz musiał zwrócić na słowo okazałą sumę pewnemu angielskiemu lordowi, który sprzedawał armaty każdemu, kto tylko gotów był je kupić.

– Jeśli pan chce, mogę pożyczyć połowę z tego, co mam tutaj. Zwróci mi pan, kiedy pan będzie mógł.

– Nigdy nie będę mógł.

– Więc co robić? – spytał Wroński, szczerze przejęty.

– Przyszedłem do pana z pewnym pomysłem.

– Jakim?

– No, cóż, że sprzedam panu ten dom.

Wymienił sumę stanowiącą w przybliżeniu połowę wartości pałacu. Wroński wahał się przez chwilę.

– To kiepski interes – powiedział.

– Dla kogo?

– Dla pana.

– Przez całe życie będę panu wdzięczny i to bardziej, niż gdyby interes był znakomity.

– Więc cóż – rzekł Wroński po chwili milczenia. – Zgoda.

– Dziękuję! – zawołał Władimir Pawłowicz, ściskając mu rękę obiema dłońmi.

– Otrzyma pan pieniądze w południe.

– Świetnie. Dostałem dwadzieścia cztery godziny. Nim minie poranek, dom będzie należał do pana.

Napili się trochę wódki, a nawet więcej niż trochę. Nie żeby Władimirowi Pawłowiczowi była prawdziwie potrzebna. Odszedł, płacząc. Z radości.

– Po raz pierwszy w życiu – opowiadał potem Piotr Wasiliewicz rodakom – wypilem tyle wódki o wschodzie słońca.

– Jakże to! – odpowiadali na to. – Ile to nocy przesiedzieliśmy razem po bladej świcie, a nieraz i dłużej!

– Chcę powiedzieć – mówił Wroński – że ledwo po wyjściu z łóżka.

Bal się udał. Nadia Wrońska miała wielkie powodzenie. Marie

sama była zdziwiona, że uśmiecha się na widok córki tańczącej w biało-różowej sukni balowej z wielką krynoliną. Wśród gości był Władimir Pawłowicz. W palarni na drugim piętrze zorganizował partyjkę *chemin de fer* czy *trente-et-quarante*. I wygrał majątek.

W trzy tygodnie później pałac został zamknięty aż do wiosny, dom na Giudekce wynajęty na całą zimę bogatym Szkotom, Piotra Wasiliewicza interesy wzywały do Niemiec i Szwajcarii, Marie zaś wyjechała do Londynu i Paryża, gdzie czekały na nią inne bale. Towarzyszyła jej Nadia. Obydwie: nastolatka i jej matka, jeszcze młoda mimo siwych włosów, były uroczymi podróżniczkami. Nadia powtarzała: „Paryż! Paryż!”, marząc o nieoczekiwanych i cudownych spotkaniach.

Przez ostatnich dziesięć czy dwanaście lat ubiegłego wieku w Argentynie, Szkocji, Irlandii nie działo się prawie nic. Irlandia była głodna i wyludniona z powodu emigracji. Dyktatura generała Rosasa wydawała się prawie tak odległa, jak wojny napoleońskie. Wojna z Paragwajem zakończyła się zwycięstwem. Do Buenos Aires i do Argentyny ściągali imigranci z całej Europy, a przede wszystkim z Włoch. W ślad za nimi płynęły kapitały. Do zamków, liliowych wrzosowisk i jezior Szkocji nie dotarły jeszcze kryzys, wojna, socjalizm i rewolucja obyczajowa. Tutaj, podobnie jak tam, barany były prawie równie ważne, jak ludzie. Pozostawało tylko utrzymywać istniejący stan rzeczy i bogacić się.

Conchita Romero, uginająca się pod ciężarem swoich gorzelni, cementowni, banków i estancii, z każdym dniem stawała się coraz bogatsza. Prowadziła interesy po męsku, zamęczając swoich dyrektorów, adwokatów, techników, dzierżawców i bankierów. Piwo Romero urosło do rangi instytucji. Pito je w całej Argentynie. Zaczęto eksportować do pozostałych krajów Ameryki Południowej, do Hiszpanii, Meksyku, nawet Stanów Zjednoczonych. Sukces Conchity Romero zaczynał przerastać granice jej przybranej ojczyzny. Cieszyło ją to z uwagi na syna, rosnącego piętnastolatka o czarnych, gęstych brwiach zrosniętych nad nosem. Aureliano wyjechał już do Anglii i w St. Catharine's College, dwa kroki od pięknych witraży kaplicy King's College i Trinity College z jego mostem na rzece Cam, wyrastał na jednego z tych brytyjskich

dżentelmenów, którzy w przyszłości zaludnią pola wyścigowe, rady administracyjne i kluby w Buenos Aires. Aureliano Romero nie zostanie nigdy badaczem, artystą, tytanem przemysłu, nowatorem czy twórcą. Ze swoimi cudownie przeciętnymi zdolnościami intelektualnymi zaspokajał częściowo, ale tylko częściowo, matczyne ambicje i z wdziękiem przepuszczał – zachowując wszelako należną część dla następnego pokolenia – fortunę zgromadzoną przez Conchitę Romero.

W tym miejscu można by oczywiście odmalować życie codzienne brytyjskiej uczelni w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Potrafiłbym opisać Jermyn Street lub Duke Street, dorożki na londyńskich ulicach, toalety królowej Wiktorii, metresy księcia Walii, cietrzewie z polowań w Szkocji i najdrobniejsze źdźbło trawy w Hyde Parku lub w Balmoral. W moich kompetencjach mieści się wszystko, co dzieje się na tej planecie. Jestem kimś w rodzaju tajnego agenta specjalizującego się w sprawach tego świata oraz częściowo innych. Jednakże w obawie, by nie zirytować swoich brytyjskich kolegów, od Samuela Butlera po Evelynę Waughę, od Geoffreya Chaucera po kochaną Nancy Mitford, wyłączność w sprawach brytyjskich im pozostawiam. Jestem być może jedynym pamiętnikarzem piszącym we współpracy ze wszystkimi (dobrymi) autorami i nieustannie odsyłającym nie tylko do samego siebie, lecz także do Borgesa i Conrada, do Wodehouse'a i Rudyarda Kiplinga, do Thomasa Hardy'ego i Jane Austen. Popytajcie trochę, bo trudno o coś zabawniejszego, o życie w Anglii i angielskich college'ach u schyłku XIX wieku. Obejrzyjcie *Rydwany ognia*. Poczytajcie Dickensa i Galsworthy'ego. Przekonacie się wtedy o urokach brytyjskiego, a wkrótce znów południowoamerykańskiego i argentyńskiego żywota Aureliana Romery, niezmiennie anglofila i często anglomana.

W Glangowness jak zwykle nic. Problem nie w tym, by się bogacić, ile w tym, by zachować to, co już się ma. Z krwią McNeillów w żyłach i trudną spuścizną po zbrodniarzach i światowych damach Brian O'Shaughnessy jest szczęśliwym dzieckiem.

Możliwe, że sprawą, która zdominowała minionych dwadzieścia pięć stuleci, było pewne określone wyobrażenie dorosłych o wychowaniu młodych. Od Persów, Sokratesa i Arystotelesa po Karola

Wielkiego, od świętego Tomasza z Akwinu, *trivium* i *quadrivium* po Erazma, Rabelais'go i Monteskiusza, od renesansu po Rewolucję, od Jana Jakuba Rousseau po królową Wiktorię, od cesarskiego liceum po maj 1968 roku – wszystko kręci się wokół tego, co starsi narzucają młodszemu.

Nicolas Cossy znalazł się w Rosey nad Jeziorem Lemańskim, gdzie w Rolle, między Genewą a Lozanną, powstało niedawno gimnazjum dla Rosjan, Włochów, Francuzów, Anglików, Niemców, a nawet Szwajcarów, których rodzice zajmowali się najróżniejszymi rzeczami, a przy tym spełniali jeden wspólny warunek: wszyscy byli bardzo bogaci. Pięciu czy sześciu uczniów, których otaczała aura tajemnicy i niejaki respekt, cierpiało – bądź cieszyło się – z powodu swojej dość szczególnej sytuacji: nikt właściwie nie znał ich pochodzenia. Jednym z nich był Nicolas Cossy.

Ale nawet wśród nich istniała pewna różnica: tamci, nawet jeśli to ukrywali, wiedzieli, kim są, Nicolas natomiast nie wiedział. Jeden był synem przemysłowca i ojciec próbował go wybielić, tak jak w przyszłości przywódcy mafii prac będą swoje brudne pieniądze; o dwóch wiadano, że mniej lub bardziej jawnie wywodzą się z rodów królewskich i książęcych; z kolei ojciec innego zamordował żonę. Wszyscy oni niejasno domyślali się miłości lub dramatów, które ich połączyły. Nicolas nie wiedział nic. Sam dla siebie był tajemnicą.

Prowodyrzy, którzy znajdują się w każdej zbiorowości, a już zwłaszcza w grupach młodzieżowych, kilkakrotnie próbowali wykorzystać samotność Nicolasa i zrobić z niego kozła ofiarnego i szkolne popychadło. Ale źle trafili. Poleciały dwa zęby i garści wyrwanych włosów. Od tej pory otaczał go respekt zaprawiony lekką obawą. Teraz już tylko on sam mógł sobie zadawać cierpienie.

Najgorsza była niedziela. Kiedy inni w towarzystwie matki czy kuzyna wyruszali na przechadzki po wzgórzach wokół Berna albo nad Jezioro Genewskie, Nicolasa ogarniała rozpacz. Zostawał sam, przytłoczony dumą i wstydem, żadnego listu, żadnej nadziei, żadnego wspomnienia; nawet nazwiska, które mogłoby być jakimś oparciem. Szybko zrozumiał, że nazwisko Cossy niewiele znaczy. Czasami przerzucał książki historyczne, różne pamiętniki, gazety, wykazy

dostawców z ukrytą nadzieją, że może gdzieś wreszcie natknie się na swoje nazwisko. Znalazł tylko Cossy'ego malarza ściennego w Zurychu czy Bazylei, Cossy'ego fryzjera w Montreux, Cossy'ego grenadiera z czasów cesarstwa w *Pamiętnikach* pani de Boigne czy pani de La Tour du Pin.

Od czasu do czasu dostawał list, często przyjacielski, wręcz serdeczny od mecenasa Brûlaza-Trampoliniego. Ale o pochodzeniu młodzieńca notariusz wiedział niewiele więcej od niego. A gdyby nawet coś wiedział, to i tak tajemnica zawodowa oraz interes nie pozwoliłyby mu tego ujawnić. Nicolas był sam. Dyrektor szkoły, liczni profesorowie, rodzice kolegów, sam notariusz, wrażliwi na jego wdzięk i rozterkę, jak mogli, tak dotrzymywali mu towarzysztwa, zapraszali do swoich domów na niedzielne śniadania i obiady, zabierali w dni świąteczne na spacer. Poznał Lozannę, Vevey, Montreux, płaskowyż Gruyère, starówkę Fryburga, berneński Oberland. Któregoś roku na Zielone Świątki profesor angielskiego zabrał go ze swoimi dziećmi nad Jezioro Czterech Kantonów. Świeżość uczuć i przyzwyczajenie, że zawsze jest sam, sprawiały, że zachwycało go to, co widział. Kąpał się w jeziorach i chodził po górach.

Uczył się dobrze. „Dla kogo?“, zadawał sam sobie pytanie. Z pomocą dyrektora, notariusza oraz kilku innych osób interesujących się jego losem przygotowywał sobie przyszłość nieco lepszą niż przeciętna. „Po co? – zastanawiał się. – Na co? Dla kogo?“. Tęsknota za utraconymi korzeniami szła u niego w parze z wielką żywotnością oraz potrzebą czułości. „Może w końcu – rozmyślał – zjawi się ktoś, kto mnie oświeci i wskaże mi drogę”.

Młodzi państwo Finkelstein – we dwoje mieli raptem wszystkiego czterdzieści lat – szybko odnieśli spory sukces w Nowym Jorku. On inteligentny i wyrafinowany, ona pociągająca i naiwna, budzili ciekawość i sympatię. To, że obydwójce – on Żyd, ona półkwi Murzynka – należeli do mniejszości więcej niż kontestowanych, często odrzucanych przez posiadaczy majątku i prestiżu, wzbogacało ich urok o nutę wyzwania. Pericles Augusto w ciągłej pogoni za dobrym interesem przyjechał z córką na kilka miesięcy do Nowego Jorku. Jego obecność przydała wszystkiemu komizmu i wyrazistości.

W pierwszym okresie nie brakowało trudności, ostracyzmu, a nawet nieprzyjemnych sytuacji. Cristina Isabel była nieodparcie brazylijska. Ze swoją matową karnacją, wrodzoną elegancją, wyrazistą mimiką, szybkim i żywym sposobem mówienia i ostrym, lekko sepleniącym akcentem miała wielkie powodzenie u mężczyzn. Ale bywało też i tak, że portierzy w hotelach i znanych restauracjach, uznawszy jej karnację za zbyt śniadą, nie chcieli jej wpuścić do środka. A wtedy w Jeremiaszu, zwykle tak łagodnym, ożywały wspomnienia o traktowaniu jego rodaków w sztetlu pod Lublinem i wpadał w straszliwy gniew. Nagle przypominał sobie wszystko: panią Putyfarę i jej męża policjanta, kamienie rzucone w rabina, lęk jego rodziny, głośny śmiech Karla-Hansa i wzruszającą skromność Lili, tak kontrastującą z jej wielkim ciałem – i kwestia murzyńska zlewała mu się w jedno z kwestią żydowską. Tym bardziej że jego status Żyda, status który mu nie zawadzał, a może wręcz dopomógł na niższych szczeblach drabiny społecznej, im bliższy był jej szczytów – choć wciąż jeszcze niedosiężnych – zaczynał mu coraz bardziej szkodzić. W nowojorskich salonach, u Vanderbiltów, podczas antraktów w teatrze nie raz i nie dwa zdarzało mu się podchwycić uśmieszki, aluzje, rozmowy nagle urywane wraz z jego nadejściem. Powoli zaczynało do niego docierać, że od pewnego poziomu amerykańskich finansów i polityki Żydzi, tak niezwykle użyteczni z racji swojej sprawności intelektualnej w zadaniach podrzędnych, szybko stają się kłopotliwi. Owa podwójna ułomność młodej pary, zdumiewająca i oburzająca Cristinę Isabel nieprzywykłą w Bahii, mimo niedawnego niewolnictwa, do tych barier rasowych, dostarczała Jeremiaszowi nowego impulsu do działania. Poprzysiął sobie walczyć z nietolerancją, z powodu której tyle wycierpiał fizycznie i moralnie. Jego wrodzona ambicja odkrywała bodziec zdolny ją pobudzić.

Owe napięcia i przeszkody rekompensowały im jednak inne satysfakcje. W rok czy dwa lata po przyjeździe do Nowego Jorku Jeremiaszowi i Cristinie Isabel urodziła się córka. Nazwali ją Rosita. Pericles Augusto, który na wieść o tym wydarzeniu przedłużył swój pobyt w Nowym Jorku, z satysfakcją wcielił się w rolę dziadka oraz białego i katolickiego protektora pary półkrwi murzyńsko-żydowskiej.

Bawił Amerykanów, którzy uważali go za malowniczego kłowna i blagiera.

Życie Marie Wrońskiej w Paryżu byłoby cudowne, gdyby na jego przyjemnościach nie kładło się cieniem jej nieszczęście. Po siedemnastu czy osiemnastu latach wciąż nie potrafiła o nim zapomnieć. Niemniej sukces jej oraz córki był całkowity. Jadały u Maxime'a, polowały u księżnej d'Uzès, poznały generała Boulangera, tańczyły wszędzie po trochu i w asyście kawalerów odbywały odkrytą kolosą przejażdżki po Polach Elizejskich i Lasku Bulońskim. Nadia Wrońska mówiła biegle po francusku; przedpołudniami odbywała wędrowki po Paryżu od Dzielnicy Łacińskiej po Łuk Triumfalny, od wielkich bulwarów do Sainte-Chapelle. Nauczyła się na pamięć wspaniałej inskrypcji napoleońskiej wyrtej na łuku triumfalnym Carrousel – będącej czymś pośrednim między kodeksem prawa cywilnego, tak droгим Stendhalowi, a eposem w stylu Hugo – i zdobyła niemałe powodzenie, recytując ją podczas obiadów ze swoim trudnym do określenia akcentem:

Na głos zwycięzcy spod Austerlitz

pada Cesarstwo Niemieckie.

Powstaje Związek Reński.

Wenecja zostaje przyłączona do Żelaznej Korony.

Sukces w paryskich salonach zawdzięczała jednak nie tylko swojej niezrównanej znajomości łuku triumfalnego Carrousel. Jasnowłosa, beztroška, raz melancholijna, raz wesoła – „Ach, ta rosyjska krew!...”, szeptały matki młodych kawalerów na dobroczynnych kwestach i balach na przedmieściu Saint-Germain. „Wiadomo coś pani o tych Wrońskich?” – w początkach drugiej kadencji prezydenta Grévy niejednemu w Paryżu zawróciła w głowie. Matka obok umiłowania Stendhala, dość chwalebne jak na owe czasy, zaszczepiła w niej romantyczną wizję egzystencji. Młodych mężczyzn, czy to monarchistów, czy orędowników Paryża republikańskiego, Nadia uważała za płytkich i dość nieciekawych.

Kiedy matka i córka przyjechały wiosną do Paryża, zastały miasto ogarnięte szaleństwem. Wydawało się, że wszystkich mieszkańców z ulic, placów i alei wymiotło na Pola Elizejskie, dokąd nie sposób było się nawet zbliżyć, ponieważ blokował je ogromny pochód.

– Czy to rewolucja? – zapytała Nadia matkę.

– Nie wiem, kochanie. Moi rodacy są tacy dziwni! Wszystkiego się można po nich spodziewać. Z łatwością mogę sobie wyobrazić, że po tym, jak wypędzili lub pomordowali swoich monarchów, mogą witać teraz i oklaskiwać jakąś księżniczkę, cesarza, zwycięskiego generała, a nawet i pokonanego... lub aktorkę.

Nie były to jednak rozruchy ani zamach stanu czy triumf aktorki: był to pogrzeb Wiktora Hugo. Pod Łukiem Triumfalnym wzniesiono katafalk; lud paryski odprowadzał zwłoki poety do Panteonu. Mówiono, że wieczorem w zaroślach przy avenue du Bois i Polach Elizejskich żołnierze z oddziałów honorowych i służące z mieszczańskich domów na swój własny sposób oddawali hołd temu maniakowi seksualnemu, jakim był Hugo. Pośród nieprzebranego tłumu niejaka pani Farigoule, oczekująca dziecka, z zachwytem obserwowała pełne zadumy rozpasanie Paryża. Dziecko w jej łonie to przyszedł Jules Romains, największy od czasów Hugo i Zoli piewca nędzy i chwały ludu paryskiego. Podróż pań Wrońskich, rozpoczęta pod znakiem literatury, zakończyła się pod znakiem triumfu techniki: naprzeciw ogrodów Trocadéro ujrzały pierwsze fundamenty wieży Eiffla.

Obie damy zamieszkały w pobliżu place Vendôme i rue de la Paix, naprzeciwko Tuileries w hotelu urządzonym przez pana Meurice'a w maneżu dawnego klasztoru bernardynów. Od Anglika, tego samego, który pewnego wieczoru w Wenecji doprowadził do ruiny Władimira Pawłowicza, Marie dostała rodzaj ulotki reklamowej, już wtedy liczącej sobie sporo lat. Rozbawiła ją: „Meurice składa gorące podziękowania Anglikom, którzy zaszczycają go swoim patronatem, i uczyni wszystko, by nadal zasługiwać na ich życzliwe wsparcie. Niedawno oddane zostały do użytku cztery nowe apartamenty z widokiem na ogrody Tuileries. Ceny usług, ustalone z góry i wielce umiarkowane, podane są na drukach znajdujących się w każdym pokoju. Meurice szczeni się tym, że żaden inny hotel w Europie nie jest tak sprawnie zorganizowany pod kątem wygody Anglików oraz nieustannej troski o poszanowanie ich zwyczajów i tradycji i spodziewa się nadal zasługiwać na ich względy”. Marie Wrońska i jej córka, częściowo Rosjanki, częściowo Francuzki, częściowo Włoszki, zupełnie też nieźle

mówiące po niemiecku, nie miały w sobie ani kropli krwi angielskiej. Mimo to zachwycone były brytyjskim komfortem, jaki w samym sercu Paryża, tuż pod bokiem tak drogiego Nadii luku triumfalnego Carrousel oferował im pan Meurice.

W ciągu trzech lat spędzonych przez Marie i Nadię Wrońskie głównie we Francji, ale z wypadami do Londynu, Rzymu, Madrytu czy Berlina, cztery czy pięć razy złożył im wizytę, jak zwykle bardzo krótką, Piotr Wasiliewicz, mieszkający znów, przynajmniej teoretycznie – gdyż jak zwykle wciąż był w drodze – w pałacu nad Canal Grande. Stał się milczący, nerwowy i drażliwy. Sprawiał wrażenie chorego. Na łagodne pytania Marie o jego sprawy ledwie odpowiadał. Prawdopodobnie już wtedy zdążył być stracić, skutkiem niedbałości, lekkomyślności bądź lenistwa, znaczną część swojej fortuny. Była ona jednak tak wielka – powiększona jeszcze po niedawnej śmierci kuzyna, starego kawalera, podczas oblężenia turkmeńskiej twierdzy Goek Tepe – a Wroński tak szczodry, że Marie i Nadia w niczym nie odczuły tych niepowodzeń. A sam Piotr Wasiliewicz utwierdził się tylko w przekonaniu, skądinąd słusznym, że nic mu się nie udaje. Popadł w melancholię. Zaczęły mu chodzić po głowie samobójcze myśli. Wśród skarbów mojego kuferka znajduje się list, podpisany P.W., zaadresowany do Marie, „Hôtel Meurice, Paryż”, w którym rozmyślnie lub nie, ujawnia w pełnym pasji tonie swoje złowieszcze zamiary. Marie to martwiło, tym bardziej że poczuwała się do winy wobec męża. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy od Wrońskiego zaczęły napływać zdecydowanie coraz gorsze wieści, w Paryżu dowiedziała się o triumfie *Otella* w mediolańskiej La Scali.

I tak płynęło to życie, dość przyjemne, dość leniwe, z rzadka tylko przeplatane tymi przypadkami i okrucieństwami, które każą uskarżać się na los, kiedy w hrabinę Wrońską ugodziła nowina znacznie poważniejsza niż hipochondryczne nastroje Piotra Wasiliewicza czy przygody generała Boulanger'a: Nadia, jej jedyna córka, była chora.

Mijały lata. Tylko kino, prawdziwy spadkobierca powieści wielkiej epoki, zdolne byłoby w sposób przekonujący dla ducha i oka przedstawić ewolucję dwóch takich ludzi jak Jeremiasz Finkelstein i Pericles Augusto – zięć i teść. Gdy Wroński mimo swojej fortuny z wolna staczał się na coraz niższe – tak wyimaginowane i moralne, jak całkiem konkretnie ekonomiczne – szczeble życia zbiorowego i społecznego, ojciec i mąż Cristiny pięli się po nich w górę. Każdy w innym stylu: zięć z powagą, teść na sposób komiczny.

Pozostaje dla mnie tajemnicą, skąd Pericles Augusto – nigdy nie dowiedziałem się jego prawdziwego nazwiska, a cały Nowy Jork i później cały Paryż i cały Londyn nazywały go po imieniu – czerpał swoje wciąż rosnące zasoby. To pewne, że jego status i życie już w Bahii, jeszcze za życia Florindy, uległy znacznej zmianie. Widzieliśmy, jak od kondycji wędrownego handlarza przechodzi do statusu bez mała mieszczanina. W Nowym Jorku z niezmiennym powodzeniem dokonywała się dalsza przemiana. Wprawdzie Pericles Augusto regularnie napomykał o powrocie do Bahii, to jednak coraz bardziej zadomawiał się u córki i zięcia. W Brazylii pozostawił kwitnące interesy. W Stanach Zjednoczonych otwierał nowe.

Jestem przekonany, że funduszy dostarczył mu Jeremiasz Finkelstein. Ale wbrew nader łatwym efektom, jakie pisarz mógłby wywieść z takiej sytuacji, teść nie roztrwonił pieniędzy zięcia. Sprawił, że zaprocentowały. Były to czasy, kiedy Południe, przez długi czas osłabione wskutek porażki, z którą nie umiało ani się pogodzić, ani się z niej podnieść, zaczynało nareszcie wracać do życia i rozwijać się. Śladem zięcia, który coraz częściej opuszczał Nowy Jork i jego przedmieścia, Pericles Augusto ruszył na głębokie Południe, gdzie czuł się trochę jak u siebie w domu. Umiał rozmawiać z czarnymi, ponieważ poślubił kobietę ich rasy; był biały, więc dobrze przygotowany, by wygrywać na wszystkich frontach. Widywano go na Południu i na Zachodzie, na Florydzie, w Teksasie i w Kalifornii, w różnych zdumiewających strojach oraz w roli człowieka interesu – mędrca, sprawiedliwego i bon vivanta w jednej osobie. Pod koniec życia zdążył

jeszcze wziąć udział w sławnej kolonizacji Oklahomy. Ziemia, na której znajduje się dziś miasto Oklahoma, przez długi czas była indiańskim rezerwatem. Pod naciskiem lobby, w którym aktywnie działał Jeremiasz Finkelstein, rząd postanowił odebrać ją czerwonoskórom i przeznaczyć pod kolonizację. Pod koniec lat osiemdziesiątych, dwudziestego drugiego kwietnia w południe, tysiące osadników na piechotę, wozami, konno, na rowerach ustawilo się na jednej, ciągnącej się hen, daleko linii mety, gotowych wystartować i spróbować zgodnie z prawem zająć najlepsze działki. Hasłem do startu był wystrzał z pistoletu, a oddał go nie kto inny, jak Pericles Augusto w kapeluszu z szerokim rondem, w skórzanych spodniach z frędzlami, w białej koszuli z cienkim czarnym krawatem i w jednej ze swoich sławnych barwnych kamizelek. Dwudziestego pierwszego kwietnia obszar Oklahomy był jeszcze pustynią, po której błakali się podporządkowani, lecz wolni, a bywało, że zbuntowani, nieliczni przymierający głodem Indianie. Pod koniec tego samego roku miasto, które w przyszłości będzie Oklahomą, liczyło już blisko sto tysięcy mieszkańców.

Wszystko to plus bawełna, tytoń, kukurydza, zboża, plus złoto i srebro, plus gazety i okultystyczne wpływy dostarczało Periclesowi Augustowi pola do działania i zarabiania pieniędzy. Wkrótce i Stany Zjednoczone okazały się za małe, by zaspokoić jego głód doświadczeń oraz nowych przygód. Niedługo przed śmiercią spotkać go jeszcze można było w przybytkach rozkoszy nareszcie zdobytej Europy, w Auteuil i Longchamps, u Maxime'a, a nawet w najbardziej elitarnych klubach Londynu, gdzie wzbudzał istną sensację. Kilku krytyków lżejszego kalibru, kilku przypadkowych historyków wysunęło tezę, że Pericles Augusto mógł być pierwowzorem Brazylijczyka z *Życia paryskiego* Offenbacha. Mógł. Pomysł jest uroczy i wart tego, żeby był prawdziwy. Tak się jednak składa, że *Życie paryskie* powstało dwadzieścia lat przed pojawieniem się Periclesa Augusta w Paryżu. Kiedy ojciec Cristiny Isabel po raz pierwszy kroczy Polami Elizejskimi lub przechodzi przez plac de la Concorde po wyjściu od Maxime'a, oddziały francuskie lądują w Południowym Oranie, docierają nad rzekę Niger, na dobre instalują się wokół Futa Dżalon, zerkają już w stronę jeziora Czad, ustanawiają protektorat nad Howasami na Madagaskarze.

Afera Lang-Son pociąga za sobą upadek Jules'a Ferry'ego, nazywanego „Tonkińczykiem”. Déroulède się buntuje, generał Boulanger jest ministrem wojny. W Decazeville wybuchają strajki. Millerand i Jaurès skłaniają się ku socjalizmowi. W Anglii Joseph Chamberlain zrywa z Gladstone'em, a Fabianie tchną socjalistycznego ducha w odnowione związki zawodowe. Dość daleki od wszystkich tych przerastających go zajęć Pericles Augusto woli rezerwować swój czas i środki dla damy nie pierwszej już młodości, choć nadal posiadającej ślady dawnej urody, która jest pierwowzorem *Nany Zoli* i nosi dźwięczne imię *Valtesse de La Bigne*. Zabawia ona panów, czekając na czasy *Emilienne d'Alencon*, *Cléo de Mérode* czy *Liane de Pougy*, które wtedy, przed górami stu laty, nie osiągnęły jeszcze odpowiedniego wieku, by pojawić się na scenie.

Suchy kaszelek *Nadii Wrońskiej* zaniepokoił matkę. A ponieważ tak się szczęśliwie złożyło, że były akurat w Paryżu, a nie w Wenecji czy nawet Rzymie, najrozsądniej i najprościej było zasięgnąć porady lekarza. Ulicą *Faubourg-Saint-Honoré*, potem *rue Royale* wybrały się pieszo do pewnego sławnego profesora mieszkającego przy *Madeleine* – jakiś kwadrans, może pół godziny drogi od hotelu *Meurice* – z którym miały umówione spotkanie.

Czekały tylko kilka minut. Pielęgniarka wprowadziła je do gabinetu. Lekarz był mężczyzną wysokim i zażywnym, łysym, z lorgnonem i z czarną brodą. Wysłuchał *Marie*, po czym zwrócił się do *Nadii*:

– No, a teraz zobaczmy, co to takiego.

Badał *Nadię* dość długo, osłuchiwał, poprosił o wykres temperatury, który *Marie* na szczęście zawczasu przygotowała, zadał kilka pytań.

– Nie sędzę, żeby to było coś poważnego – stwierdził wreszcie. – Niemniej słusznie panie zrobiłyście, przychodząc do mnie. Panienska ma najwyraźniej słabe płuca...

– Ach, mój Boże!... – wykrzyknęła *Marie*.

– Nie, nie! To nic poważnego. Trzeba tylko unikać wilgoci, mgły, nagłych spadków temperatury, zmęczenia... Gdyby panienska musiała pracować, doradzałbym jak najwięcej wypoczynku, niemniej mogłaby nadal wykonywać swoje zajęcia. Ponieważ jednak mam wrażenie, że swobodnie dysponuje pani czasem...

Na chwilę przerwał, obrzucając je pytającym spojrzeniem. Wykorzystując przerwę, myślał o pieniądzach.

– Jak najbardziej – potwierdziła Marie. – W Paryżu jesteśmy przejazdem, mieszkamy w Wenecji i Nadia może zorganizować sobie życie tak, jak zechce i jak pan doradzi.

– Wybornie! Wybornie! W tych warunkach idealnym rozwiązaniem byłoby spędzenie kilku tygodni w górach. Jestem pewien, że trzy miesiące w zupełności wystarczą. No, może cztery. Panienska jest trochę blada. Nieco świeżego i suchego powietrza z powrotem zaróżowi nam policzki, będą jeszcze bardziej urocze, jeśli to w ogóle możliwe.

Uprzedzono Marie, że profesor jest niepoprawnym kobieciarzem i że nie omieszka pozalecać się do córki lub matki, a prawdopodobnie do obydwóch.

– Zaraz wypiszę receptę. Ale moim zdaniem zasadniczą sprawą jest zmiana klimatu. Naturalnie Paryż dla Wenecjan to też swego rodzaju zmiana klimatu... Ale od nieco zatęchłego powietrza naszych restauracji i teatrów wołałbym sosny, łąki, górskie jeziora i gorące wiejskie słońce.

Marie słuchała profesora, przebiegając myślą otwierającą się przed nimi perspektywy.

– Przypuszczam, że laguna i zimowe weneckie mgły nie są wymarzonym miejscem?

– Z pewnością nie, droga pani. Już wołałbym Paryż... Przynajmniej ci biedni paryżanie mieliby jakąś szansę, by panie spotykać...

– A czy Dolomity albo Salzburg...

– Wszystko, co leżeć będzie na wysokości ośmiuset czy tysiąca dwustu metrów, uważam za wskazane. Było nie było, to tylko trzy miesiące, i jestem pewny, że zdołają się panie tak urządzić, żeby spędzić je jak najprzyjemniej.

Marie i Nadia znalazły się na ulicy, trochę przejęte, nieco wzruszone, rozbawione przez profesora i wesołe na myśl o nowym życiu, które narzucały im tajemnicze mechanizmy ciała i medycyny, oba jednakowo niezrozumiałe.

Pewnego pięknego poranka Nicolasa poproszono do dyrektora. Przyzwyczał się już do tych nagłych i trochę niepokojących wezwań, które dla innych oznaczały karę za hałaśliwe zachowanie lub mierną

naukę, ale dla niego – nowiny nadchodzące nie wiedzieć skąd, autorytatywnie decydujące o jego przyszłym losie. Idąc do dyrektora, mówił sobie, że nie pozwoli, by go dłużej traktowano jak jakiś błahy, a cenny przedmiot, jak luksusowego niewolnika; że woli przejść na własne utrzymanie, odrzucając definitywnie serwituty i przywileje darowane mu bez jednego słowa, z dystansem zakrawającym na wzgardę.

Niespecjalnie go zdziwiło, że kiedy zapukał i otworzył drzwi, ujrzał siedzącego w fotelu swojego dawnego znajomego, mecenasa Brûlaza-Trampoliniego. Zdarzenia zwykle niewiele się różnią od tych, jakich się człowiek spodziewał, choć nigdy nie przebiegają tak, jak to sobie wyobrażał. Mecenas Brûlaz-Trampolini ubiegł go: przyjechał, by oznajmić Nicolasowi, że niniejszym odzyskuje on wolność i od tej pory zdany jest w życiu tylko i wyłącznie na siebie.

Kiedy ktoś z zewnątrz ofiarowuje nam coś, na czym nam bardzo zależy, szok czasami bywa zbyt wielki. Do satysfakcji, jaką odczuł Nicolas, doszedł nagle niepokój. A jeśli popełnia nieostrożność, pragnąc spróbować własnych sił? Co będzie robił na tym świecie, którego przecież zupełnie nie zna? Przez moment świadomość tej niezależności przyprawiła go o zawrót głowy. A potem ogarnęło go uczucie szczęścia. Więzy łączące go z nieznaną przeszłością, której musiał nienawidzić, bo nie mógł jej kochać, nareszcie zostały przecięte.

– Otrzymałem polecenie – rzekł notariusz – przekazania do pańskiej dyspozycji w najbardziej odpowiadającej panu formie...

Słowa i zdania, i ich sens docierały do Nicolasa jak przez mgłę. Patrzył na notariusza i dyrektora, nieruchomości i zastygłych. On również stał bez ruchu. W tym mrocznym pokoju, w którym do połowy zaciągnięte kotary chroniły ich przed słońcem z zewnątrz, poruszały się tylko usta mecenasa Brûlaza-Trampoliniego. Nicolas miał ochotę tańczyć.

– ...w najbardziej odpowiadającej panu formie dość znaczną... a nawet... – notariusz odkaslnął – ...nawet bardzo znaczną sumę, złożoną na moje nazwisko w unii banków szwajcarskich w Genewie. W tej sprawie rad bym odbyć z panem długą i poważną rozmowę, której wagi z punktu widzenia pańskiej przyszłości na pewno się pan domyśla.

Raptem do Nicolasa dotarł cały komizm tej sytuacji. Popatrzył na dyrektora, który nie bardzo wiedział, jak ma się w niej odnaleźć. Oto najbardziej osamotniony, najbardziej wyzuty ze wszystkiego uczeń stawał się panem samego siebie. Stosunki między nimi odwróciły się. Wchodził do gabinetu dyrektorskiego jako dziecko, które można ukarać; wychodził jako człowiek o równej, a nawet wyższej pozycji, któremu należy się szacunek i poważanie. Notariusz zaś, dotąd będący kimś w rodzaju opiekuna, od którego był zależny, teraz musiał słuchać poleceń, które on, Nicolas, mu wyda.

Wydawało się, że notariusz odgadł myśli kłębiące się w głowie młodzieńca.

– Jeśli mogę udzielić jeszcze ostatniej rady, nim zacznę wypełniać pańskie polecenia – powiedział – to niech pan nie pozwoli, by upoiła pana wolność. Nagle przechodzi pan od zależności i podległości do stosunkowo okazałego majątku. Jest to trudne doświadczenie dla wszystkich, a już zwłaszcza dla bardzo młodego człowieka.

Nicolas nie był ani głupi, ani podły. Popatrzył na notariusza przyjaźnie. Notariusz, który był łajdakiem i któremu cała ta sprawa przyniosła grube pieniądze, poczuł się niemal wzruszony.

Piotr Wasiliewicz, żyjący w samotni swojego pałacu nad Canal Grande, okazał się mało pomocny. Kolejne niepowodzenia zniechęciły go do świata, na którym nigdy i w żadnej dziedzinie nie znalazł dla siebie miejsca. Dotarł do kresu swojej kariery, która nigdy się nie zaczęła. Losy Marie i jej córki już go nie interesowały.

Marie musiała więc o wszystkim zadecydować sama. Początkowo myślała, czy by nie osiąść na kilka miesięcy w Dolomitach, leżących niedaleko Wenecji. Obojętność Wrońskiego sprawiła jednak, że nie było to rozwiązanie ani specjalnie miłe, ani potrzebne. Dwie z przyjaciółek Marie, Francuzka, baronowa Faure i poznana w Meurice Angielka, żona przemysłowca nazwiskiem Hubert Baer, wychwalały pod niebiosa pewne małe miasteczko w środkowej Szwajcarii, Gstaad. Nie był to żaden z tych ośrodków sanatoryjnych w rodzaju Leysin czy jakaś zapadła dziura w Gryzonii. Gstaad było spokojnym, uroczym miejscem ze stosunkowo prostym dojazdem i dobrym hotelem, no i nie zjeżdżali się tu gruźlicy z całego świata. Marie zasięgnęła rady córki.

Wyobrażenia Nadii o Szwajcarii ukształtowały późnoromantyczne ryciny, na których ubezpieczeni linami podróżnicy wspinają się na lodowce po cienkich kładkach śniegu nad rozpadlinami. Klasnęła w dłonie z zachwytem.

Z Berna, dokąd dojechały pociągiem, obie panie, w futrzanych czapach na głowach, roześmiane, wielką berlinką przybyły do Gstaad. Miejsce od razu im się spodobało. Droga z Berna do Gstaad była przepiękna, pełna wspaniałych widoków na wysokie, ośnieżone góry. Spacery zapowiadały się uroczym. Byli tu Anglicy, trochę Austriaków, stare rosyjskie małżeństwo i mnóstwo kwiatów i koni.

Pierwszą czynnością Marie było wyszukanie lekarza. Znalazł się jeden, mniej lub bardziej związany z hotelem, wyglądający na porządnego człowieka. Kilka dni po ich przyjeździe przyszedł zbadać Nadię. Uznał jej stan za dobry, z tym że...

– Ach, doktorze – powiedziała Marie. – Niechże mi pan powie, czy to niepokojące?

– Niepokojące? Nie, oczywiście, że nie jest to niepokojące.

I ze swoim wyraźnym akcentem szwajcarskim położył specjalny nacisk na słowie „niepokojące”.

– Z tym że...? – odpowiedziała Marie.

– Z tym że należy zachować wielką ostrożność i sporo rozsądku, w przeciwnym razie mogą wystąpić komplikacje. Słusznie panie zrobiły – dodał – tak szybko tu przyjeżdżając. Spokój, odpoczynek, niewiele ruchu, żadnych przykrości. Najlepszą receptą na dobre zdrowie jest być szczęśliwą.

I ojcowskim gestem uszczypnął dziewczynę w policzek.

Nicolas Cossy siedział w kancelarii mecenasa

Brûlaza-Trampoliniego mieszczącej się w samym centrum genewskiej starówki. Kilka dni wcześniej opuścił Rosey w aurze pochlebnego, nie wiedzieć skąd się biorącego rozgłosu. Początkowo Genewa go przeraziła. Z racji całej swojej edukacji, nie mówiąc już o manierach, był prowincjuszem, nieledwie wieśniakiem. Ze stroju trudno było wywnioskować cokolwiek o jego pochodzeniu, o którym sam też nic nie wiedział; nadal nosił rodzaj mundurka, mniej więcej wspólnego wszystkim uczniom znanych szwajcarskich gimnazjów. Wysoki wzrost

i urodziwa twarz przemawiała na jego korzyść; kilka razy z zaskoczeniem przyłapał ukradkowe spojrzenia, jakim go obrzucały młode dziewczęta i kobiety. Całe to tak nowe dla niego ożywienie nie było bynajmniej nieprzyjemne. Ale uliczny tłum i hałas przyprawiały go o zawrót głowy. Zastanawiał się, dokąd ci ludzie tak pędzą i za czym.

– Za pieniędzmi, oczywiście! – odpowiadał notariusz, siedząc wygodnie w fotelu naprzeciw Nicolasa i paląc cygaro. – Pieniędzmi, które trzeba najpierw zarobić, a zarobiwszy, wydać, umożliwiając tym samym zarabianie ich innym, by z kolei oni mogli je wydawać. Oto klucz do wszelkiej ekonomii politycznej; chodzi tylko o uruchomienie pewnego systemu, który już później samoczynnie będzie się napędzał. Czy pan również chciałby się do niego włączyć?

Taki sposób stawiania spraw zbijał z tropu Nicolasa, który spodziewał się ślęczenia nad rachunkami i wypisywania ołówkiem cyfr na kratkowanym papierze. Zamiast tego pensum notariusz wskazał mu fotel i poczęstował cygarem. Nicolas, który nigdy dotąd nie palił, nie bardzo wiedział, jak ma się zachować. Miał ochotę spróbować, a jednocześnie bał się. Wyciągnął rękę – i podziękował.

– Przede wszystkim powinien pan wiedzieć, czym chciałby się pan zająć. Większość młodych ludzi z pańskiego środowiska niepostrzeżenie i bezboleśnie przechodzi od rodziny do kariery. Pan jednak stanął gwałtownie twarzą w twarz z własnym życiem: odtąd zależy ono już tylko od pana. Czy ma pan jakieś zainteresowania? Czy kocha pan malarstwo, muzykę, taniec, literaturę?

Czy... Nicolasa ogarnęła bez mała panika. Nigdy nie myślał o podobnych sprawach. Właściwie nawet nie za bardzo wiedział, czym są malarstwo i taniec. Jeśli idzie o muzykę, to znał oczywiście, jak wszyscy, kilka walców Straussa, trochę muzyki wojskowej, ewentualnie *Eine kleine Nachtmusik* czy *V symfonię* Beethovena. Literatura kojarzyła mu się z przedmiotami szkolnymi w rodzaju łaciny czy matematyki. Zawahał się. Otwierał się przed nim zupełnie nowy świat. Dlaczego nie spotkał dotąd nikogo, kto pokazałby mu obrazy czy kazał usiąść przy pianinie?

Notariusz momentalnie zauważył zakłopotanie Nicolasa. Nie zamierzał go przecież torturować.

– Dobrze, już dobrze! Zostawmy to. Może to i lepiej... Widzi pan, życie artystów i pisarzy nie zawsze jest łatwe. Na okrągło opowiada się o tych, którym się powiodło. Ale reszta!... Więc, co? Wojsko? Bankowość? Interesy?...

Świat zawirował. Nicolas był jak człowiek zbyt długo przetrzymywany w mroku i nagle wypuszczony na światło. Wolność go oślepiła.

– Niewykluczone, że mógłby pan żyć ze swojego majątku i procentów. Ale po pierwsze, byłaby to dość skromna egzystencja. Poza tym w pańskim wieku dobrze jest, jak sędzę, zdobyć jakiś zawód. Gdybym był pańskim ojcem, to właśnie bym panu doradził. A w razie czego nawet i do tego zmusił. Zważywszy moją pozycję wobec pana, mogę jedynie przedstawić własne zdanie.

Nicolas nie miał śmiałości, by zapytać o wysokość sumy, na jaką opiewał jego majątek. Miał uczucie, że nie do końca on do niego należy i niedelikatnością byłoby rzucać się tak od razu na ten dar z niebios. Zresztą odpowiedź, jakakolwiek by była, na pytanie, którego nie zadał, i tak by mu się do niczego nie przydała; powyżej pewnego poziomu cyfry były dla niego abstrakcją.

Nie chciałby nic nie robić. Czuł raczej potrzebę działania. Ale nie wiedział, czego chce.

– Bez wątpienia najlepszym dla pana rozwiązaniem byłoby wkroczyć w życie. Podjąć pracę w banku, zająć się jakimś interesem. Odbyć wycieczkę statkiem dookoła świata. Zostać korespondentem jakiejś gazety w Afryce lub w Indiach. Wybór zawodu nie byłby przesądzony raz na zawsze. Mógłby pan nadal szukać swojego powołania. Zdobyłby pan doświadczenie i zobaczył, jak wygląda świat.

Notariusz głośno myślał. Było coś wzruszającego w tym aferzyście balansującym na krawędzi prawa i bezprawia, o fatalnej reputacji, zainteresowanym wyłącznie pieniędzmi, który zadawał sobie tyle trudu dla tego zagubionego młodzieńca, nieprzydatnego mu w niczym, ale tak pełnego wdzięku.

– Bardzo dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił – odezwał się Nicolas cichym głosem.

– Ach, cóż znowu! To przecież drobiazg. Odwdzięczy mi się pan,

kiedy zostanie pan sławnym milionerem lub ministrem. Póki co, uważam statek lub Afrykę za całkiem niezłe rozwiązanie. Przygotowanie wszystkiego zajmie jednak trochę czasu. Więc może na razie miałby pan ochotę zaczepić się w jakiejś firmie – w banku, w handlu, w ubezpieczeniach? Tyle przynajmniej mogę panu zorganizować w ciągu tygodnia.

Po drugiej stronie Atlantyku Rosita Finkelstein oddawała się czynności najzwyczajszej w świecie i najistotniejszej: rosła. Oto już trzecie pokolenie, które na naszych oczach pnie się w górę, by następnie zacząć schodzić w dół i wkrótce potem odejść: z jednej strony Florinda, Cristina Isabel, Rosita, z drugiej rabin z Polski, Jeremiasz Finkelstein i ta sama Rosita, u zbiegu dwóch światów niemających ze sobą nic wspólnego – świata Żydów i świata Murzynów.

Rosita uwielbiała swoją łagodną i czułą matkę. Cristina Isabel, kruchy wytwór Południa zabłąkany w rygory dynamicznego purytanizmu wschodniego wybrzeża Nowej Anglii, z trudem oswajała się z zimnem i nerwowym rytmem życia w Bostonie, Filadelfii czy Nowym Jorku. Marzyła o Bahii, o swojej ojczystej Brazylii, o jej rozległych, białych nadmorskich plażach, o niebieskich i czerwonych domach. Kiedy tylko mogła, wyrywała się razem z Jeremiaszem na Południe: na Florydę, do Luizjany, tam gdzie słońce świeciło gorącej. Jeremiasz odnosił się do niej z czułością i troskliwością. Był wspaniałym mężem i ojcem, tak jak kiedyś był wzorowym uczniem, przykładnym pracownikiem, kochankiem więcej niż poprawnym i zdolnym człowiekiem interesów; i tak jak mógłby być, gdyby okoliczności pchnęły go w tym kierunku, uczonym rabinem, czołowym przywódcą socjalistycznym czy wybitnym rewolucjonistą. Miało się wrażenie, że ten rosyjsko-polski Żyd, który został bogaczem i Amerykaninem, mógłby robić wszystko.

Jednak z całej rodziny największym ulubieńcem Rosity był dziadek. Ileż to cudownych dni spędziła z Periclesem Augustem na ulicach i w parkach, w teatrze i w cyrku! Zawsze wesoły, zawsze zabawny, pełen nieoczekiwanych pomysłów dziadek codziennie chodził z wnuczką na spacer, które zamieniały się w przygodę i święto. Zawsze, ilekroć coś gdzieś się działo, w tajemniczy sposób

poinformowany o tym Pericles Augusto zabierał ze sobą Rositę. Widzieli Indian, Eskimosów, Chińczyków, Cyganów, uczestniczyli w zebraniach politycznych, kończących się bójkami z Ku-Klux-Klanem, spędzali całe dni na wyścigach lub jarmarkach, gdzie strumieniami lało się piwo, gdzie były loterie, żyrafy, wielkoludy i karły. Pomysły Periclesa Augusta nieraz stawały się powodem dramatycznych spięć w rodzinie. Kiedy któregoś wieczoru zabrał Rositę, wówczas sześć- czy siedmioletnią, na dość krwawy mecz bokserski między niemieckim championem i olbrzymim Murzynem, Cristina Isabel wpadła w gniew i w gwałtownych słowach wyrzucała ojcu, że zachowuje się jak dziecko. To stare dziecko, które Rosita miała, będąc małą dziewczynką, umarło tak, jak żyło: radośnie, z uśmiechem na ustach, w jednej z tych swoich fantazyjnych kamizelek, które w czasach obecnego dostatku przypominały mu pewnie cudaczne stroje, jakie nosił kiedyś w Olindzie. Rosita długo nie mogła się otrząsnąć ze smutku po stracie tego niezwykłego człowieka, pełnego ciepła i fantazji. A potem zapomniała. Lecz nigdy nie przestała wspominać.

I tak płynął ludziom czas; nierozzerwalnie związany z każdym ich najdrobniejszym gestem i myślą, królujący nad wszechświatem, nieuchwytne ogniwo łączące kolejne pokolenia, pozbawione kształtów, twarzy i konsystencji – a mimo to wszechobecne – korzeń i forma wszystkiego, co wyłania się ze świata, materia i serce historii, wszechmocny i główny bohater tej książki, podobnie jak wszystkich wspomnień i wszystkich projektów.

Nadia nie tyle była nieszczęśliwa, ile przeżywała akurat dość trudny okres. Po zamęcie Paryża i pierwszych urokach wsi – poranne przejażdżki, a tym bardziej wieczorne, przed zachodem słońca, kiedy powietrze nagle ochładzało się, a matka z zatroskanym czołem pospiesznie okrywała jej plecy mnóstwem szali, dzwoneczki krów na łąkach, zapierające dech widoki szczytów Alp Berneńskich i górskich jezior, ciepłe mleko z fermy i twardy pełnoziarnisty chleb, w niczym nieprzypominający delikatnych paryskich bagietek – zaczynała się chwilami trochę nudzić. Brakowało jej dawnego uwielbienia ze strony licznych gorliwych adoratorów. Trochę żałowała, że tak beztrudno przepuściła niejedną okazję szczęścia czy po prostu zwykłej

przyjemności, i wspominała je teraz z nostalgią. Zaczytywała się obecnie Stendhalem, a pełnia i intensywność życia jego bohaterów napawały ją lekkim niepokojem. A jeśli jej życiu groziło niebezpieczeństwo? Jeśli jej stan był poważniejszy, niż przyznawała matka? Jeśli nigdy już nie będzie jej dane zaznać normalnego życia?

Nie bała się. Chciała żyć i korzystać ze swojej młodości. Mówiła sobie, że przecież nic jeszcze nie przeżyła. I jeśli jej pobyt na tym padole miałby okazać się krótszy, niż przewidziano, najwyższa pora wreszcie go zacząć. Poznała bale i podróże, Canal Grande w Wenecji i światowe życie Paryża. Widziała więcej niż niejeden z jej rówieśników. Ale to wszystko było tylko fasadą. Oczekiwała czegoś innego. Tylko że nie wiedziała czego.

– Mamo! – mówiła do Marie, kiedy trzymając się pod rękę, spacerowały razem po górskich szlakach. – Mamo! Powiedz mi prawdę: myślisz, że ja umrę?

– Ależ kochanie! – odpowiadała wstrząśnięta Marie. – Cóż za głupstwa opowiadasz! Wiesz równie dobrze jak ja, jak wygląda sytuacja. Byłyśmy u dwóch lekarzy. Obaj mówią to samo: masz odpoczywać i niczym się nie przejmować. I wszystko będzie dobrze.

– Ale, mamo...

– Tak, kochanie?... – I matka przystając, z czułością głaskała córkę po głowie. – Tak?...

– Czy myślisz, mamo, że będę mogła normalnie żyć, mieć męża i dzieci, no, nie wiem, być szczęśliwa?

– To akurat, kochanie – odpowiadała Marie głosem cichym i niemal gniewnym – to ci obiecuję, obiecuję.

Nicolas miał do wyboru kilka propozycji przedstawionych mu przez mecenasa Brûlaza-Trampoliniego: towarzystwo okrętowe w Hamburgu, bank w Mediolanie, sieć hotelarską w Genewie lub Lozannie.

– Korzyść z Hamburga i Genewy jest taka, że mógłby pan zainwestować trochę własnych pieniędzy w interes, w którym by pan pracował. Byłby pan w pewnym sensie u siebie.

Nicolas wahał się. Zagranica kusiała go, a jednocześnie z niechęcią myślał o opuszczeniu kraju, z którym wiązały się jego jedyne

wspomnienia. Z czym jednak on, pozbawiony korzeni, mógł czuć się związany? Z obrazem Mummy, kościołem w Mûnsterze, pejzażami Pontresiny, gimnazjum w Rosey, z mecenasem Brûlazed-Trampolinim? Już w samym tym wyliczeniu było coś zakrawającego na ironię. A jednak zrezygnował z Niemiec i Włoch i wybrał sieć hoteli. Mecenas Brûlazed-Trampolini zajął się wszystkimi szczegółami. W Genewie Nicolas przez trzy tygodnie zapoznawał się z grubsza ze swoją przyszłą pracą. A potem wyjechał do Lozanny.

Brian O'Shaughnessy – wnuk, a nie dziadek, który nosił to samo imię i odbył podobną drogę – zapisany został do Eton w tym samym tygodniu, w którym przyszedł na świat. Historia jego dzieciństwa i młodości była spokojna i szczęśliwa, tak samo jak ówczesna historia jego ojczyzny. Szczęśliwa w każdym razie dla tych, których urodzenie i majątek stawiały w rzędzie uprzywilejowanych. Jeszcze dwadzieścia lat później Lloyd George, ówczesny minister skarbu, będzie mógł zawołać ku oburzeniu konserwatystów: „Mogę wymienić nazwiska dwunastu osób, których dochody wystarczyłyby, ażeby zapewnić dostatnie życie pięćdziesięciu tysiącom robotników i ich rodzin. Pomyślcie tylko, pomyślcie! Dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi, kobiet i dzieci mogłoby wyżyć ze środków, jakimi dysponuje owych dwanaście osób, nigdy ich nie zarobiwszy”.

Nie wiem, czy któryś z McNeillów, a tym bardziej z O'Shaughnessych mieścił się w owej dwunastce. Jednak bezsprzecznie należeli oni do czterystu czy pięciuset najbogatszych rodzin Anglii. Same tylko tysiące akrów ziemi wokół Glangowness wystarczały, by zapewnić jej posiadaczom dostatnie, graniczące wręcz ze zbytkiem życie. A do tego dochodziły jeszcze inne źródła dochodu w postaci ruchomości i nieruchomości. Mniej więcej do czasu ślubu Sybil z Seanem O'Shaughnessym historia troskliwie dbała o ochronę istniejącego porządku. Jak na ironię, dopiero pewien genialny postępowy konserwatysta, pochodzący z żydowskiej rodziny weneckiej, która w połowie XVIII wieku osiadła w Anglii, Benjamin Disraeli, ubiegając swoich liberalnych przeciwników, zwiększył liczbę wyborców z ponad miliona do dwóch i pół. Nie nadwerężyło to jednak zbytnio władzy posiadaczy. Działalność związków zawodowych nadal pozostawała

nielegalna. W myśl ustawy, pod wiele mówiącym tytułem *Pan i sługa*, pracodawca zwalnający robotnika wypłacał mu tylko odszkodowanie, gdy tymczasem robotnik wymawiający pracodawcy lądował w więzieniu. Poza tym opinia publiczna w przeważającej mierze była niechętna robotnikom, widząc w nich przede wszystkim rewolucjonistów. Na przekór poglądom swego teścia, zaprzysięgłego konserwatysty lorda Landsdowna, Sean O'Shaughnessy – może z racji swoich irlandzkich korzeni, jak również dlatego, że liberałowie okazywali mniejszą niż konserwatyści wrogość wobec kwestii irlandzkiej – opowiedział się po stronie Gladstone'a i Josepha Chamberlaina.

Ku wściekłości Disraeliego – „Potomność osądzi tego maniaka bez zasad, ten nieprawdopodobny zlepek zazdrości, zawziętości, hipokryzji i przesądów, tego pana Gladstone'a, który i jako premier, i jako przywódca opozycji w swoich kazaniach, swoich modłach, swoich rozprawach i swoich gryzmołach wykazuje jedną stałą cechę: to mianowicie, że nie jest dżentelmenem” – Gladstone zastanawia się nad losem Irlandii: „Cały kraj poczuł, że staje przed nim problem Irlandii. Irlandia od dawien dawna ma porachunki z naszym krajem, my zaś uczyniliśmy zbyt mało, by przeważać szalę na naszą korzyść. Jeśli jest w nas choć trochę rycerskości, to spodziewam się, że zrobimy wszystko, by wymazać plamy, które wskutek naszego traktowania Irlandii kalają herb Anglii w oczach cywilizowanego świata. Jeśli jest w naszych duszach choć trochę współczucia, to mam nadzieję, że nadstawimy ucha na żałosny refren dobiegający z Irlandii, którego smutna prawdziwość znajduje potwierdzenie w niekończącej się fali emigracji. Przede wszystkim jednak jeśli zależy nam na sprawiedliwości, w imię prawdy i prawa pójdziemy naprzód, nie zapominając nigdy o jednym: że kiedy dokona się światło, kiedy wybije godzina, zwłoka z wymierzeniem sprawiedliwości będzie odmową wymierzenia sprawiedliwości”.

Joseph Chamberlain, zajmujący pozycję na lewym skrzydle partii liberalnej, nie skąpił uszczypliwości pod adresem konserwatystów, „tej starej głupiej partii”, pod adresem lordów w rodzaju Landsdowna, „co to nie przędą ani orzą, tylko żyją kosztem bliźniego”, pod adresem Kościoła „żyjącego z dobra ubogich”, pod adresem brytyjskiego

imperializmu, który „eksportuje cywilizację w skrzynkach opium i importuje ją na ostrzach bagnetów”. Tak radykalne stanowisko Josepha Chamberlaina mogło doprowadzić do rodzinnych niesnasek w trakcie spokojnych wieczorów w Glangowness, gdy nagle Chamberlain, z powodu Irlandii właśnie – bo pragnął utrzymać jej unię z Anglią – zerwał z sędziwym, zbliżającym się do osiemdziesiątki Gladstone’em i sprzymierzył się z konserwatystami. Ku ponurej satysfakcji stryja Edmunda, który też nie był już młody i nigdy nie miał zaufania do angielskich serdeczności, w umysłach największych liberałów nagle przemienionych w unionistów z powrotem zapanował porządek. Przy wtórze szyderczego śmiechu stryja Edmunda i ku zadowoleniu starego lorda Landsdowna, który znalazł się nagle w tym samym obozie co jego przeciwnik Chamberlain, Sean O’Shaughnessy w wyniku wyborów z czerwca 1886 roku wszedł do Izby jako poseł z ramienia unionistów.

Małemu Brianowi O’Shaughnessy’emu wszystkie te perypetie rozgrywające się nad jego głową były dość obojętne. Dla jego ojca i obydwu dziadków spór o protekcjonizm czy postępy katolicyzmu od czasu nawrócenia Newmana – „Jego nawrócenie to największe zwycięstwo Kościoła rzymskokatolickiego od czasów reformy”, jak twierdził Gladstone – były wydarzeniami nadzwyczajnej wagi. Dla małego Briana, podobnie jak dla nas, były to raczej burze nad ledwie lekko zmaconymi wodami pomyślności i spokoju. Jedynym zbiorowym uczuciem, które prawdziwie do niego przemawiało w momencie, gdy opuszczał Eton i wybierał się do Oksfordu, była wielkość imperium brytyjskiego. Jego ojciec, mimo że pochodził z rodziny celtyckiej i katolickiej, tyle razy powtarzał mu tyradę Chamberlaina, że koniec końców Brian nauczył się jej na pamięć: „Tak, wierzę w tę rasę, największą ze wszystkich dotąd rządzących światem, rasę anglosaską, dumną, wytrwałą, ufną w siebie i odważną, której żaden klimat, żadna zmiana nie jest w stanie osłabić i która niezawodnie stanie się wiodącą siłą przyszłej historii i światowej cywilizacji. I wierzę w przyszłość tego imperium wielkiego na cały świat, o którym żaden Anglik nie może mówić bez dreszczu entuzjazmu”.

Mniej więcej w tym samym czasie Brian przypadkowo odkrył w trakcie swoich lektur poemat pióra pewnego młodego pisarza. Poemat,

który bardzo go poruszył, przedstawiał dialog ziem imperium ze starą Anglią:

Zatem tę oto sobie składamy przysięgę:
Tak długo, jak krwi nam starczy,
Twe dobro moim się stanie, moc moja
Zaś twoją będzie,
By w dzień Armagedonu, w ostatnią z wielkich,
z wielkich bitew,
Dom nasz został nietknięty i jego
kolumny całe.^[2]

Tym młodym poetą był Rudyard Kipling.

Kiedy Brian O'Shaughnessy, świeżo upieczony absolwent Eton, wkroczył do głównego hallu All Souls College w Oksfordzie, minęło już sporo lat, odkąd Aureliano Romero opuścił Europę, Anglię, Cambridge i St. Catharine's College. Wrócił do Argentyny, by u boku matki, szykując się do objęcia po niej sukcesji, zająć się rodzinnymi browarami oraz przemysłowym imperium stworzonym przez żelazną damę. Co dwa lub trzy lata przyjeżdżał jednak do Europy, by spotkać się z przyjaciółmi, pochodzić po Jermyn Street, rue Royale i rue de Rivoli, gdzie zamawiał garnitury, koszule i obuwie, oklaskiwać sławnych toreadorów na arenach Sewilli, Madrytu lub Pampeluny w dniu San Isidoro lub Sanfermines, ale przede wszystkim, by wziąć udział w sławnych zawodach wioślarskich na Tamizie między Oksfordem i Cambridge.

W ten piękny wiosenny poranek młody Argentyńczyk, ubrany z nieco przesadną i rzucającą się w oczy elegancją, nie posiadał się z emocji; obsada Cambridge, gdzie do tej pory miał wielu przyjaciół, wygrywała z ekipą Oksfordu. Widok budził zachwyt. Był jeden z tych słonecznych dni, jakie zdarzają się tylko w krajach, gdzie często pada. W zrywie tak gibkim, że zda się wykluczającym wszelki wysiłek, długie łodzie rącho mknęły po gładkiej tafli wody, od czasu do czasu tylko lekko zmaconej nagłym porywem wiatru. Ruchy wioślarzy sprawiały wrażenie cudownej wprost regularności i harmonii. Znad obu brzegów Tamizy niósł się długi krzyk, w którym widzowie dawali upust swojej radości lub rozczarowaniu. Kolorowe suknie kobiet wyglądały jak na

tych francuskich obrazach, które w tym samym mniej więcej czasie wywoływały taki skandal po drugiej stronie kanału La Manche; w rozedrganym świetle tworzyły żywe plamy, których zmienne kombinacje mieniły się w oczach.

Aureliano Romero przyszedł w towarzystwie młodej Francuzki, złowionej dwa czy trzy dni wcześniej w jednym z tych miejsc, które służą zabawie. Była brunetką, bardzo żywą i bardzo głośno krzyczała. Obydwoje, Argentyńczyk i Francuzka, robili tyle hałasu – machając przy tym rękami, podskakując i płasząc – że aż ich sąsiedzi byli tym zdziwieni. Na kilka sążni przed metą wioślarze z Oksfordu zrównali się z obsadą z Cambridge. Aureliano wprost oszalał. Posadził sobie swoją towarzyszkę na ramionach i jedno na drugim zaczęli na dwa głosy i na całe swoje zagraniczne gardła wykrzykiwać mało brytyjskie, tak pod względem tonu, jak formy, inwektywy pod adresem Oksfordczyków.

– *Well!* – odezwał się z tyłu za nimi po angielsku czyjś opanowany glos. – *Well!* Dość tego dobrego. Czy nie dałoby się spokojnie i na własnych nogach obejrzeć finał tych miłych zawodów?

I przytknąwszy do ust złożone w trąbkę dłonie, rzucił kilka drwiących okrzyków pod adresem Cambridge.

Aureliano, nadal ze swoim delikatnym francuskim balastem na plecach, gwałtownie się obrócił i ujrzał jasnowłosego, wyjątkowo atrakcyjnego fizycznie młodego chłopaka, stojącego obok rudowłosej dziewczyny, wyraźnie równie angielskiej, jak jej towarzysz.

– Robię, co mi się podoba – oznajmił Aureliano. – Tak samo mademoiselle.

I palcem wskazał młodą osobkę, przytrzymującą się jego głowy.

– W tym kraju... – zaczął młodzieniec lekko się zacinając. – W tym kraju...

Rozległa się wielka wrzawa. Koniec zawodów. Aureliano i jego przeciwnik, i towarzyszące im obie dziewczyny przegapili finisz.

– Kto wygrał? Kto wygrał? – zapiszczał młody francuski koczkodan wciąż uczepiony swojej południowoamerykańskiej palmy kokosowej.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedział Aureliano. – Ten oksfordzki kretyń wszystko popsuł.

– Oksfordzki kretyn nic nie widział – odparował błyskawicznie jasnowłosy młodzieniec – bo dwójka szcepionych ze sobą idiotów z Cambridge robiła dziki hałas i zasłaniała widok.

– Ej! Ty! – powiedział Aureliano.

Anglik wzruszył ramionami. W chwilę potem Francuzka zeskoczyła na ziemię, a wtedy Argentyńczyk schwycił młodzieńca za ramię i razem potoczyli się po zakurzonej ziemi. Była to piękna walka. Widzowie dookoła zachwyceni tą dodatkową atrakcją po zakończeniu zawodów zaczęli robić zakłady: jedni stawiali na wysokiego bruneta, inni na przystojnego blondyna.

Wieczorem, jeden z podbitym okiem, drugi ze zwichniętymi dwoma palcami, zjedli we czworo kolację w oberży nad Tamizą.

Tak wyglądało pierwsze spotkanie Aureliana Romery z Brianem O'Shaughnessym. Nie podali sobie nawet swoich nazwisk, bądź też od razu je zapomnieli, i zapamiętali się jedynie z imienia. Później, dużo później, po wojnie i wielkim kryzysie, w świecie telefonów, automobili i pierwszych samolotów, w cieniu marksizmu i rodzącego się faszyzmu, po dwudziestu pięciu latach oddalenia i zapomnienia przypomną sobie, choć z pewnym trudem, jak to kiedyś, w obecności krzykliwej francuskiej dziwki i przyszłej pielęgniarki z Kent czy Sussex, pod koniec ubiegłego wieku walczyli ze sobą nad brzegiem Tamizy jak dwaj zwykli ulicznicy.

Często rankiem, jeśli było ładnie, a matka drzemała jeszcze lub jadła śniadanie w ogromnym łożu, w którym sypiała samotnie, Nadia wychodziła na spacer. Lubiła te wczesne godziny dnia, kiedy na górskich szlakach pod świerkami nikogo jeszcze nie było. Lubiła drogę do Rougemont i Château-d'Oex, a po przeciwnej stronie nad rzeką w kierunku Lauenen. Od czasu do czasu mijała wieśniaka, który pozdrawiał ją w schwyertutsch, na co niepewnie odpowiadała po niemiecku; czasem wymieniali też kilka uwag o pogodzie lub zwierzętach. Podczas tych samotnych spacerów często rozmyślała o swoim dalekim ojcu i o nieszczęśliwej matce. Nie miała pojęcia o dramacie, do jakiego doszło ledwie w rok po jej urodzeniu. Nigdy ani ojciec, ani matka nie wspomnieli o tym nawet słowem. Zauważyła tylko, że ojciec jest zawsze nieobecny, że robi się coraz bardziej chmurny

i dziwaczny, a na matce zda się ciążyć jakaś dawna klątwa. Pośród tej atmosfery przygnębienia, niekiedy bardzo jej dokuczającej w domu na Giudekce czy w pałacu nad Canal Grande, było jej aż wstyd, że jest tak żywa i wesoła. Zresztą nawet ona, mimo wrodzonej pogody, miewała chwile zniechęcenia, niemal depresji. Przygnębiała ją myśl, że jest chora, że może już nigdy nie będzie mogła prowadzić normalnego życia. Szybko jednak brał w niej górę wesoły i dzielny charakter odziedziczony po matce. I znów czuła ten wielki apetyt na świat i życie, który stanowił o jej sile i uroku.

Tego ranka, wracając do hotelu, była tak zamyślona, że o mały włos nie zderzyła się w drzwiach z jakimś młodym mężczyzną zmierzającym w odwrotnym kierunku. Wybąkała przeprosiny. On zapewnił ją, że skąd, bynajmniej, że to tylko jego wina. I zniknął. Idąc schodami na górę, Nadia zastanawiała się, w jakim języku wymienili tych kilka słów. Po francusku? Po niemiecku? Po włosku? Po angielsku? Nie mogła sobie przypomnieć, co właściwie powiedział. I, co dziwniejsze, nie pamiętała nawet własnych słów. Oto do czego prowadzi nieposiadanie ojczystego języka i wychowanie w wielojęzycznym, kosmopolitycznym środowisku. Niemożność odtworzenia tego błędnego i krótkiego dialogu trochę ją zaniepokoiła.

Nicolas Cossy powoli uczył się żyć. Przypuszczam, że jego praca w Lozannie nie była specjalnie pasjonująca. Ale po latach gimnazjum, a zwłaszcza podległości wobec decydującego o jego losie, nieznanego i znienawidzonego boga, obecna wolność wydawała mu się bezcenna. W przerwach między zajęciami biurowymi Nicolas chodził po ulicach, oglądał wystawy sklepowe, wstępował do księgarni i kupował książki, cieszyło go każde najdrobniejsze zdarzenie. Często snuł marzenia o przyszłości i tysiące planów wzajemnie się wykluczających. Był jak rekonwalescent na nowo odkrywający smak życia.

Po trzech czy czterech miesiącach spędzonych w Lozannie Nicolasa zaczęto wysyłać do różnych hoteli, przysparzających Szwajcarii tak wielkiej turystycznej renomy. Można go było spotkać w Vevey, w Lucernie, w Bazylei, w Zurychu. A potem, czego już od dawna się domyślaliście, wyjechał do Gstaad.

Wielu jego kolegów z Pontresiny czy Rosey głosiło niejaki cynizm

wobec miłości i kobiet. Nicolasa, może dlatego że w tym środowisku, w którym wielką rolę odgrywały pieniądze, należał w gruncie rzeczy do kategorii wyrzutków, postawa taka irytowała i oburzała. Łatwe dziewczyny go nie pociągały. Rzadko uczestniczył w wypadach, najczęściej zresztą dość niewinnych, urządzanych przez szkolnych prowadzących i fanfaronów. Często brano go za naiwniaka. W Genewie mecenas Brûlaz-Trampolini raz czy dwa, przez ciekawość oraz chcąc wy badać teren, próbował go zabrać na jedno z tych przyjęć, którym przydawał pikanterii ich intymny charakter. Pełna rozdrażnienia niechęć Nicolasa sprawiła, że szybko dał sobie z tym spokój.

– Jest pan marzycielem – stwierdził notariusz z nieokreśloną mieszaniną pogardy i zazdrości.

– Jakżeby inaczej – odciął się Nicolas. – Z taką egzystencją, jaką mi zgotowano, lepiej, żebym żył marzeniami.

W dziewczynie spotkanej przed hotelem uderzyła go przede wszystkim jej uroda. Odwrócił się za nią niezwykłym jak na siebie gestem. Chciał, żeby ich krótka wymiana słów po angielsku nie skończyła się tak szybko. Tego ranka wielokrotnie wracał do niego jej jasnowłosa i czysty obraz. Ale zainteresowała i przykuła jego uwagę nie tylko jej uroda. Tu i ówdzie nieraz spotykał piękne dziewczęta, na które ledwie zwracał uwagę. Ale ta, jak by to powiedzieć, uważał, że ta jest... Próbuję znaleźć właściwe słowo... Uważał, że jest sympatyczna. Nie tyle pociągająca, ile kojąca, nie tyle ekscytująca, ile niezawodna. Chciałby ją poznać.

Raptem poczuł się samotny. Nie pod wpływem jakiegoś metafizycznego zawrotu głowy, ale zwyczajnie, na myśl o swoim życiu. Inni mieli matkę, siostry, rodzinę, dom, gdzie mogli prowadzić rozmowy z najbliższymi. On nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Był sam. Och, oczywiście w Pontresinie i w Rosey zdobył sobie przyjaciół. Ale często miał wrażenie, że traktują go jak kogoś ciężko chorego; jak sierotę, który stracił oboje rodziców w wypadku w górach lub w pożarze. Tymczasem całe jego życie było pożarem, było wypadkiem, było katastrofą. Czuł potrzebę spotkania kogoś, potrzebę ciepła, pragnął się komuś zwierzyć. On, który nigdy nie rozmawiał o kobietach, chciałby móc opowiedzieć komuś o promiennym spotkaniu tego ranka. Nawet mu

do głowy nie przyszło, żeby odszukać dziewczynę. Marzył tylko o tym, żeby o niej porozmawiać.

Nagle poczuł wyraźnie, jak jego policzki okrywa rumieniec. Oto bowiem uzmysłowił sobie, że ma przecież wszelkie możliwości, by dowiedzieć się przynajmniej imienia tej ulotnej zjawy. Zawrócił szybko do hotelu, udał się do biura i najspokojniejszym tonem, tak jakby chodziło o zwykłe sprawdzenie jakichś rachunków czy przygotowanie menu, poprosił o wykaz rezerwacji oraz listę podróżnych.

Szybko przebiegł wzrokiem po nazwiskach. Było tu wielu samotnych mężczyzn, w kilku apartamentach mieszkali po dwóch, z tuzin par, których też nie sposób było wykluczyć – a nuż dziewczę spotkane w drzwiach było młodą mężatką lub młodziutką żoną dojrzałego mężczyzny albo – czy to wiadomo? – może nawet starca. Pięć par z jednym chłopcem, dwie pary z córką, cztery duże rodziny, dwóch mężczyzn w towarzystwie młodych dziewczyn o tym samym nazwisku, sześć samotnych kobiet – co przez moment pobudziło go do marzeń – i dwie matki z córką, wnuczką bądź siostrzenicą. Były tu nazwiska brzmiące z niemiecka, francuska, angielska, włoska, hiszpańska, rosyjska, skandynawska. Były też inne, tajemnicze, niewiadomego pochodzenia. Zniechęcony Nicolas zamknął grubą księgę.

W hotelach, podobnie jak na statkach, posiłki stanowią rytualny, ujęty w ścisłe rygory obrządek. Te wszystkie pary i rodziny spożywające w milczeniu, wymuszonymi gestami, na nieskazitelnie czystych obrusach uniwersalny pokarm, z którego starannie wyeliminowano wszystko, co mogłoby kojarzyć się z danym regionem bądź porą roku – stanowiły fascynujący, choć nieraz smutny widok. Dyrektor hotelu zaproponował Nicolasowi jądanie posiłków w jego prywatnym apartamencie. Nicolas przyjął zaproszenie i znalazł się w gronie rodziny pół włoskiej, pół szwajcarskiej. Ale w dniu spotkania przed hotelem, wymawiając się ciekawością, zasiadł do posiłku samotnie przy małym stoliku w rogu ogromnej jadalni, skąd goście mieli wspaniałą widok na góry otaczające Gstaad.

Młoda kobieta spotkana w drzwiach nie pojawiła się ani na obiedzie, ani na kolacji. Wokół widział jedynie zgryźliwych starych kawalerów i mrukliwe pary. Aż końcu z podświadomą hipokryzją, którą

obwarowujemy swoje poczynania, by oszczędzić sobie zbytniego cierpienia, Nicolas wmówił sobie, że pomiędzy gości sprowadziło go tylko i wyłącznie poczucie obowiązku służbowego. W myślach odnotowywał zachowanie służby, rozmieszczenie stołów, ułożenie nakryć, liczbę krzeseł, kolor zasłon. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie odnotować także nieobecności młodej kobiety.

Od tej chwili zaczęły działać zwykłe mechanizmy. Miejsce rozczarowania zajęła udawana obojętność, torująca drogę do miłego wspomnienia, błahego i bezużytecznego, i z góry skazanego na zapomnienie. Ze zdziwieniem przyłapał się na tym, że siląc się na nonszalancję, w duchu stwierdza, że dziewczyna była niczego sobie. Zapomnienie, którego się obawiał, a jednocześnie pragnął, zaczęło robić swoje: co najmniej dwukrotnie wydało mu się, że zupełnie nie pamięta rysów osoby, którą miał nadzieję spotkać w wielkiej jadalni. Stawała się dla niego już tylko wspomnieniem wspomnienia. Filety z soli w szampanie i miejscowe wino fendant bez większego trudu wzięły górę nad rozwiewającym się widmem.

Uznał, że najprawdopodobniej należała do grupy podróżnych, którzy opuścili hotel tego samego dnia. Może nawet wcale w nim nie mieszkała; może była turystką i zatrzymała się tylko przejazdem w tym górskim miasteczku? Nazajutrz jego kółko do serwetek z powrotem znalazło się na stole dyrektora. Nicolas nie wiedział, że Nadia z matką, spędziwszy cały poprzedni dzień na wycieczce w górach, zmęczone marszem i świeżym powietrzem zamówiły kolację do pokoju, a teraz, roześmiane, jadły razem obiad w tej samej ponurej jadalni, w której przez tyle godzin, sam się przed sobą do tego nie przyznając, daremnie wypatrywał powrotu ulotnej wizji.

W Buenos Aires Aureliano Romero reprezentował sobą wszystko, co w Ameryce Południowej najbardziej obiecujące. Jego wygląd, wykształcenie, majątek, pozycja i osobowość jego matki, jego silna argentyńskość zabarwiona szczyptą brytyjskości czyniły z niego wzór oraz obiekt zainteresowania całego społeczeństwa, którego ewolucję punktowały konie, sport, kobiety, interesy i pieniądze, a na to nakładała się religia, ojczyzna, namiętny snobizm na wszystko, co europejskie oraz wspomnienie o San Martinie.

Aureliano nie posiadał owych niezwykłych talentów cechujących jego matkę w prowadzeniu interesów. Nie pracował tyle co ona, nie był tak wytrwały, brak mu było tego zdumiewającego wycucia, które sprawiało, że kobieta bez dyplomów i doświadczenia potrafiła z o wiele większą niezawodnością niż rekiny finansjery i wszyscy recydywiści razem wzięci odróżnić dobre interesy od złych. On sam najbardziej lubił jeździć do Arroyo Verde i tam galopować całymi godzinami po należących do niego ziemiach. Najkorzystniej prezentował się podczas tych wyczerpujących dni, kiedy od bladego świtu na nogach, doglądał pól, wody, zbiorów i bydła. Mógłby być – był – jednym z tych bohaterów w wielkim kapeluszu i kraciastej koszuli, w jakich w późniejszych latach wcielać się będą John Wayne, Robert Mitchum czy Henry Fonda. Z uśmiechem uganiał się za dziewczętami. Był wielką nadzieją chrześcijańskich matek.

I prowadziłyby takie życie, przeplatane podróżami do Europy i długimi pobytami w Buenos Aires, przez całe lata, może i do śmierci, gdyby nie nowe wydarzenie, na które złożyły się pospołu szczęśliwy traf, pragnienie odmiany, odrobina ambicji i chęć zabłyśnięcia na innych polach. Skutkiem klasycznych igraszek owych egzystencjalnych neuroz, które wciąż stawiają nas w podobnych sytuacjach, Conchita Romero wkrótce zaczęła odgrywać w Buenos Aires tę samą rolę, którą z nadmiernym wręcz powodzeniem odegrała w Paragwaju. Jej salon, odwiedzany przez ministrów i dyplomatów, stał się rodzajem nieoficjalnej ekspozytury rządu argentyńskiego, tyle że w weselszym i skuteczniejszym wydaniu. Po Buenos Aires krążyły nawet słuchy, że jest kochanką ministra spraw zagranicznych. Jedno w każdym razie jest pewne: z tego to prywatnego czy jakiegoś innego względu, a niewykluczone, że nawet w uznaniu własnych zalet młodzieńca minister zaproponował Aurelianowi wyjazd na placówkę zagraniczną w randze dyplomaty. Przez kilka dni Aureliano nie mógł się zdecydować. Matka namawiała go, by wykorzystał tę szansę. Europa zawsze go fascynowała. W końcu się zgodził. Może dlatego, że skończył Cambridge i znał angielski, wysłano go jako attaché do Londynu. Zważywszy jego wiek, było to znakomite stanowisko. I nie będzie już musiał odbywać dalekich podróży, żeby odwiedzić swojego krawca.

Dziewięć lat, dziesięć, dwanaście. Z małej dziewczynki Rosita niepostrzeżenie wkraczała w niepewny wiek podlotka, już nie dziecka, a jeszcze nie kobiety. W niedługi czas po śmierci Periclesa Augusta w jej życiu doszło do kolejnego dramatu. Cristina Isabel urodziła drugie dziecko, chłopczyka, któremu dano na imię Simon. W przeciwieństwie do Rosity, która zgodnie ze swoim imieniem miała jasną karnację, wnuczek Florindy odziedziczył wiele po babce, między innymi ciemny kolor skóry. Jeremiasz go uwielbiał i nazywał czule „swoim żydowskim Murzyniakiem”. Mimo swej fortuny już sobie wyobrażał, jak należący do podwójnej mniejszości podwójnie wydziedziczonych syn przejmuje pochodnię buntu, którą jemu samemu sukces wytrącił z ręki. Wraz z awansem Jeremiasza cała rodzina jeszcze za życia Periclesa Augusta przeniosła się do wielkiego, pięknego domu, skąd rozciągał się widok na park i dalej, aż po rzekę Hudson. To tutaj dożył swoich dni Pericles Augusto i tutaj doszło do tragedii, która po raz drugi ugodziła w Cristinę Isabel i jej najbliższych.

Jeremiasz Finkelstein był obecnie ważną osobistością. Chudy, oschły, zimą zawsze ubrany w swoją legendarną już futrzaną pelisę, znad której wysokiego kołnierza wystawała jego delikatna, rudowłosa głowa, stał się osobistością dobrze znaną w najbardziej nawet ekskluzywnych kręgach i radach nadzorczych. Powodzenie oraz majątek skazywały go na życie w środowisku zajadle antysemitycznym, które dla niego jednego robiło wyjątek. Kierujący wieloma żywotnymi w skali całego kraju interesami, z racji swojej inteligencji i bezstronności często pozywany na arbitra w sporach finansowych i przemysłowych, znany ze specyficznej elegancji, surowej, a przy tym nieco ekscentrycznej, w której zdawały się dochodzić do głosu pewne echa jego teścia, choć dzieliło ich tak wiele – Jeremiasz Finkelstein był jednym z ludzi dających najbardziej wymowne i najpełniejsze wyobrażenie o młodej i potężnej Ameryce, do której za sprawą paradoksu, który jego samego bawił, przynależał jedynie przez przypadek.

Oczywiście zainteresowała się nim polityka. Został senatorem. Tak to już jest z historią, że ruch związkowy, którego był apostołem i przyjacielem w czasach młodości, koniec końców zaczął go uważać za jednego ze swoich najaktywniejszych przeciwników. Przeszedł do obozu

bogaty. Biedni, mimo że był kiedyś jednym z nich, przestali się z nim utożsamiać. Jeremiasz czuł z tego powodu lekkie rozgoryczenie, gdyż w skrytości ducha uważał to za swoją porażkę. Nikt by nie przypuszczał, że temu spełnionemu Żydowi może tak boleśnie brakować braterstwa uciemiężonych.

Do tragedii doszło rankiem: mały Simon zniknął z pokoju, w którym sypiał ze swoją piastunką. Okno było wybite, piastunka skrupowana i zakneblowana przez mężczyznę, którego nie potrafiła opisać, pozostałych domowników nie zaalarmował żaden hałas. Słońce stało wysoko na niebie, kiedy roztrzęsiona pokojówka przybiegła obudzić madame. Policja momentalnie ruszyła pięcioma czy sześcioma tropami: piastunka, polityka, zemsta, pieniądze, szaleństwo rozniecone rosnącym znaczeniem rodziny Finkelsteinów, podejrzane znajomości świętej pamięci Periclesa Augusta. Śledztwo trwało długie miesiące. Piastunkę aresztowano, a potem zwolniono. Dziecko się nie znalazło. Jedni uważali, że zostało zamordowane. Inni, że Jeremiasz Finkelstein prowadził tajne negocjacje z porywaczami zakończone fiaskiem. Jeszcze inni, jak to często bywa w przypadku wielkich wstrząsów w życiu prywatnym i społecznym, gmatwali coraz bardziej już i tak tragiczną sytuację, wysuwając obiekcje, nie poparte wprawdzie żadnymi dowodami, pod adresem tak przecież pozbawionego tajemnic życia Cristiny Isabel, stosunków Jeremiasza z opiekunką syna i ekscentrycznych, choć niewinnych, zwyczajów Periclesa Augusta.

Dramat był bolesną próbą dla spokojnych, ufnych, bez mała patriarchalnych stosunków między Jeremiaszem a Cristiną Isabel. Zdołali mu jednak stawić czoło: on siłą swojej inteligencji, ona – łagodnością.

– Widzisz – mówił Jeremiasz do żony. – Mieliśmy zbyt szczęśliwe życie. Bóg poddał nas tej próbie, by przypomnieć, że nic nam się nie należało z tego długoletniego szczęścia, które dla nas było czymś tak oczywistym.

Patrzyła na niego. Do oczu napływały jej łzy. Przytulał ją do siebie.

Jeremiasz Finkelstein w głębi duszy często marzył o sławie. I oto jego nazwisko pojawiło się we wszystkich gazetach nowojorskich: przez długie tygodnie nie pisały one o niczym innym, jak tylko o porwaniu

małego Simona Finkelsteina, syna Jeremiasza, żydowsko-polskiego potentata, wnuka tego włosko-brazylijskiego narwańca, którego wciąż jeszcze wspominali bywalcy wyścigów i meczów bokserskich. Podziwiał ironię historii, która spełniając wszystkie jego życzenia, jednocześnie wtrącała go w rozpacz. Jako że śledztwo nic nowego nie przyniosło, gazety wcześniej prześcigające się w sensacyjnych, szybko dementowanych doniesieniach i plotkach, w ślad za ciszą, jaka zapadła nad całą sprawą powoli, na podobieństwo niesfornych uczniów, jedna za drugą zaczęły milknąć.

Życie wokół Rosity potoczyło się dalej. Ona sama zrobiła się bardziej skryta i mniej wylewna, jak człowiek zraniony. Miejsce głośniejszej obecności Periclesa Augusta wypełniła nieobecność Simona. Obiecywali sobie kiedyś, że wybiorą się we czworo do Polski odwiedzić w sztetlu rabina. Pojechali we troje. Rabin był już bardzo stary, trochę nieobecny duchem i w dwa miesiące po powrocie Jeremiasza z rodziną do Nowego Jorku zmarł. Doświadczony dwóch kolejnych tragedii naturalnych i trzeciej, która naturalną już nie była, rodzina wycofała się w dobrowolną samotność. Otaczała ją swoista aura świętej grozy. Godność wszystkich Finkelsteinów przysporzyła im dodatkowego poważania ze strony bogatych nowojorskich rodzin, zwłaszcza tych, które w czasach ich bezwstydnego szczęścia wahały się, czy ich przyjmować. Kiedyś Rosita była ruchliwą, wesołą dziewczynką pełną brazylijsko-latynoskiej spontaniczności. Teraz stała się małomówną nastolatką, której murzyńsko-żydowski braciszek zaginął w tajemniczych okolicznościach.

Na poczcie w Gstaad, gdzie przyszedł podjąć pieniądze wysłane z Genewy przez mecenasa Brûlaza-Trampoliniego, Nicolas dostrzegł czekającą przy okienku za parą nieprawdopodobnie powolnych Anglików młodą blondynkę z hotelu. Zaskoczyło go własne poruszenie. Może gdyby nie to spotkanie, nigdy więcej by o niej nie pomyślał. Ale ujrzawszy ją w momencie, gdy powoli wyslizgiwała się z jego pamięci, poczuł się tak, jakby mu nagle krew w żyłach zamarła lub odwrotnie – zaczęła szybciej krążyć.

– Dzień dobry – odezwał się cichym głosem, zachodząc ją od tyłu.
– Dzień dobry po raz drugi.

Odwróciła się gwałtownie z wyrazem niezadowolenia i nieco wyniosłego zaskoczenia na twarzy.

– Ach! To pan! – powiedziała z nieoczekiwaną ulgą, jakby sam fakt spotkania się w drzwiach hotelu czynił z dwojga obcych sobie ludzi parę starych przyjaciół.

– Cieszę się, że to pani – powiedział z uśmiechem. – Bo już się obawiałem, że za tymi drzwiami hotelowymi zniknęła pani na zawsze.

Tym razem Nadia słuchała uważnie; odczuła dziwną satysfakcję, że oto wreszcie ma odpowiedź na pytanie, o którym już zapomniała, ledwie zdążywszy ubrać je w słowa: młody mężczyzna mówił po angielsku.

– Myśmy się już chyba spotkali – powiedziała z mieszaniną dobrego wychowania i hipokryzji, bo nie miała przecież najmniejszych wątpliwości co do tożsamości rozmówcy. – I to w sposób dość gwałtowny. To z panem zderzyłam się przedwczoraj czy dzień wcześniej, wchodząc do hotelu?

– Tak, to byłem ja – potwierdził, kiwając głową ze sztucznie poważną miną. – Niezapomniane zderzenie.

– No to cieszę się raz jeszcze, że pana nie przewróciłam.

I roześmiali się obydwójce. Ponure wnętrze urzędu omiotła bezgłośna burza wesołości. Urzędnik uniósł głowę. Zapadła cisza przerywana niekończącymi się wyjaśnieniami angielskiej pary, udzielanymi w łamanym niemieckim. Włączył się w to Nicolas ze swoim szwajcarskim akcentem, w kilku słowach załatwił sprawę, po czym zwrócił się do dziewczyny.

– Nazywam się Nicolas Cossy.

– Powinnam poczekać na matkę, żeby nawiązać z panem rozmowę. Mam na imię Nadia.

– Jest pani Rosjanką?

– W pewnym stopniu. A pan? Szwajcarem? Niemcem? Anglikiem?

– Raczej Szwajcarem – powiedział.

– Dlaczego raczej?

– To skomplikowana historia... – zawahał się przez moment. – I dość smutna.

– Kiedy wygląda pan tak wesoło!

- Może dlatego, że panią spotkałem...
- Jeśli zaczyna się pan do mnie zalecać, to muszę zawołać matkę.
- To jest pani tutaj z matką?
- Tak, od dwóch tygodni. I będę przez kilka następnych.

Nie przerywając rozmowy, Nadia kupiła znaczki i wysłała swoje listy. Razem wyszli z poczty.

Niebawem na spokojnych ulicach Gstaad Nicolas zaczął opowiadać dziewczynie o swoich bezowocnych próbach odszukania jej. Słuchała go ze śmiechem.

– Gdybym wiedział, że jest pani Rosjanką i że przyjechała tu pani z matką, moje poszukiwania byłyby ułatwione.

– Mogę wiedzieć, co by pan wtedy zrobił?

– Przebrałbym się za boya i przyniósł pani kwiaty. Przebrałbym się za pokojówkę i przyszedłbym posprzątać pani pokój. Przebrałbym się za...

– Niech więc się pan przebierze za gościa i przyjdzie jutro do nas, do mamy i do mnie, na herbatę. Moja matka nazywa się hrabina Wrońska. Jestem pewna, że ze znajomościami takimi, jak pańskie w tym hotelu, nietrudno nas będzie odnaleźć.

Radosne poruszenie córki niemal przestraszyło Marie. Nadia wróciła do hotelu bardzo podekscytowana. Opowiedziała matce o wszystkim: o przepychance w drzwiach, o której wcześniej nie było powodu wspominać, o spotkaniu na poczcie, rozmowie z młodzieńcem, zaproszeniu go na herbatę.

– To zaprosiłaś go na herbatę?...

– Oczywiście, mam. Wydajesz się zdziwiona. To źle?

– Ach, nie, nie... Tutaj?

– Tak, tutaj... No, niekoniecznie tutaj – powiedziała ze śmiechem.

– W tym pokoju albo w naszym salonie, ale tutaj, w hotelu. Nie podoba ci się ten pomysł?

– Ależ skąd. Bardzo się cieszę, że się trochę rozerwiesz. Tylko że... nic przecież nie wiesz o tym chłopcu.

– Wygląda bardzo przyzwoicie. Jest zabawny, uroczy, dość przystojny...

– Czyli wypisz, wymaluj, ktoś, przed kim lepiej mieć się na

baczności. Nie wiesz, czym się zajmuje, nie wiesz nic o jego rodzicach i...

Mówiąc to, Marie Wrońska jednocześnie niejasno uświadamiała sobie, że dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu identycznych słów mogła użyć pod jej adresem stara księżna Naryszkina.

– Och, mammo!

I na dziecinnej twarzązce Nadii pojawił się wyraz takiej konsternacji, że matka roześmiała się i przytuliła ją do siebie.

– Nie mówmy już o tym! Postanowione: spotkamy się jutro z tym twoim zalotnikiem, wypijemy z nim herbatę i pociągniemy go za język. Wiesz przynajmniej, jak nazywa się ten twój samozwańczy góral?

– Nicolas – odpowiedziała Nadia. – Nazywa się Nicolas, Nicolas Croissy lub Crossy. Czy coś w tym stylu.

– Ach tak? Coś w tym stylu, powiadasz... Zresztą... Nicolas... to ładne imię.

Nicolas zajmował duży narożny pokój z pięknym widokiem na góry i las na ostatnim piętrze hotelu, obok pomieszczeń dla służby. Spędził cudowną noc, bez końca rozpamiętując swoje skromne wspomnienia zdające się otwierać przed nim zawrotne perspektywy. Rankiem posłał hrabinie Wrońskiej kwiaty wraz z krótkim liścikiem na błękitnym papierze z nagłówkiem hotelu:

Szanowna Pani,

Córka pani upoważniła mnie do zaproszenia pań dzisiejszego popołudnia na herbatę. Czy będzie pani odpowiadało spotkanie w zacisznym kąciaku salonu o godzinie wpół do piątej? Będę bardzo zaszczycony, mogąc być pani przedstawionym. Zechce Pani przyjąć, etc.

Tych kilka linijek podpisanych było zamaszystym, choć dość naiwnym charakterem pisma: Nicolas Cossy. Nie wymyślam ich, nie odtwarzam z pamięci. Spisuję je z oryginału, przechowywanego przez blisko sto lat, nieznacznie tylko pożółkłego, lekko spłowiałego i zeszywniałego od upływu czasu, który wyjęty z mojego kufierka i rozprostowany leży teraz przede mną.

Kwiaty, atencja, liścik, a nawet samo pismo wywarły na hrabinie Wrońskiej jak najlepsze wrażenie. Schodziła do salonu już z mniejszym niepokojem, za to z ciekawością dorównującą niemal ciekawości Nadii,

która na tę okazję pożyczyła od matki pasujący do jej zielonej sukni naszyjnik z pereł.

Nicolas czekał w szerokiej niszy okiennej z widokiem na góry, które zaczynał okrywać wieczorny mrok. Najpierw przez dłuższą chwilę czatował na obie panie u podestu wielkich schodów w hallu. Nie chcąc jednak pokazywać po sobie najmniejszej niecierpliwości, przeniósł się na fotel w salonie. Kiedy wreszcie zobaczył je obie przekraczające próg ogromnego, niemal pustego pomieszczenia, z pełną wahania miną osób, które szukają czegoś lub na kogoś czekają, poczuł ten sam – choć odmienny – szok, co poprzedniego dnia na poczcie. Wczoraj obecność zapomnianej i na nowo odnalezionej Nadii gwałtownie go zaskoczyła. Teraz przeciwnie, wstrząsnęła nim niecierpliwość, raptem opadła. Przyszły. Jak szybko się to wszystko toczy! Jak szybko płynie czas! Ulotna wizja w drzwiach hotelu, jego nagłe wzruszenie, bezowocne poszukiwania, a nawet wspomnienie tego podstępnego zapomnienia, którego krecią robotę tak nagle przerwało spotkanie na poczcie – wszystko to potajemnie w nim żyło i zaowocowało szczęściem przepełniającym go całego. Przyszły.

Oboje, i Nadia, i Nicolas, z uczuciem cudownego, ukradkowego, nieznośnego niemal niepokoju zastanawiali się, czy aby ich niecierpliwość nie ustąpi miejsca rozczarowaniu. Między pierwsze wymienione przez nich wstępne spojrzenia i konwencjonalność formuł grzecznościowych wkradł się krótki moment skrępowania.

– Mamo... – odezwała się Nadia – przedstawiam ci...

Marie ucięła krótko zmieszanie Nadii. Wyciągnęła rękę do Nicolasa:

– Dobry wieczór panu. Córka już mi dużo o panu mówiła.

Nicolas skłonił się bez słowa. Nie wiedział, czy powinien pocałować, czy nie tę ładnie pachnącą dłoń. Poczuł zawrót głowy. Nie przewidział, że matka, mimo szpakowatych włosów, okaże się równie piękna jak córka. Jego nieśmiałość ulotniła się. Uznał, że Marie jest cudowna, i rozmawiał z nią tyle samo co z Nadią. Wkrótce jednak pomyślał, że może nie powinien tyle z nią perorować czy być dla niej zbyt miły; a nuż pomyśli, że wdzięcząc się do matki, chce się przypodobać córce. Marie Wrońskiej nic podobnego nie przyszło do

głowy. Stwierdziła w duchu, że Nadia ma bardzo dobry gust.

Nazajutrz przez blisko godzinę spacerowali we troje po górskiej drodze biegnącej wzdłuż strumienia pod olbrzymimi świerkami. Następnego dnia podziwiali stary kościół w Rougemont z jego drewnianym ołtarzem, a potem zjedli razem obiad w maleńkiej oberży, gdzie były tylko cztery stoliki. Podczas pierwszego wieczoru w hotelu, popijając herbatę, wymieniali tylko banalne uwagi na temat urody krajobrazu i pogody. Ale w czasie spaceru i obiadu mówili już więcej o sobie. Aż wreszcie Nicolas w zupełnie naturalny sposób zaczął im opowiadać o swoim dzieciństwie, z którego nigdy nikomu się nie zwierzał, i wyznał, że nie ma ojca ani matki – a przynajmniej od żadnego z nich nie miał nigdy najmniejszego znaku życia. Marie i Nadia ze łzami w oczach słuchały, jak najspokojniejszym w świecie tonem opowiada o życiu, do którego zdążył już przywyknąć, którego najtrudniejszy okres miał już za sobą i które nagle zaczęło mu się wydawać cudowne.

– Ależ, Nicolas – mówiła Marie. – Pozwoli pan, że będę go nazywała Nicolasem, prawda? Pańskie nazwisko, wykształcenie, pieniądze potrzebne panu do życia, to wszystko, podobnie jak cała reszta, chyba nie spadło panu z nieba. Gdzieś, w jakimś miejscu jest pan na pewno związany z otaczającym go światem. Czy próbował się pan kiedykolwiek dowiedzieć, skąd pan pochodzi? Przecież możemy być nawet spokrewnieni – dorzuciła z uśmiechem. – Zważywszy, że pańskie nazwisko to prawie połowa mojego.

Wygląd, naturalność, wrodzona elegancja Nicolasa zaskoczyły Marie. Uważała, że jest czarujący. Otaczająca go tajemnica dodatkowo pogłębiała ciekawość, jaką wzbudzał. Ten wysoki, tryskający zdrowiem młody szatyn przypominał jej historię Kaspara Hausera, o której rozprawiała wówczas cała Europa. Nadia była zachwycona, widząc matkę zauroczoną jej konkietą.

Nicolas opowiadał o Rolle, o Rosey, o Pontresinie, Zernezie, o Müstair, o Mummy i o mecenasie Brûlazier-Trampolinim. Nagle wydało mu się, że znalazł się w samym centrum świata. Nawet życie ministra nie było tak wypełnione jak jego – to samo życie, które tak długo uważał za puste. Nigdy jeszcze nie był aż tak rozmowny. Nigdy jeszcze nie przysłuchiowano mu się z taką uwagą. W ciągu kilku dni

matka i córka stały się najlepszymi – jedynymi zresztą – przyjaciółkami tego, którego z serdeczną, bliską niemal czułości, ironią nazywały „górskim sierotą”. A jego świat rozświetliła ta przyjacielska i nowa dla niego wesołość. Nadia czuła się już lepiej, była silniejsza, mniej zmęczona i prawie całkiem przestała kasłać. Tu, w tej górskiej dziurze, gdzie nie знаła nikogo, sprawiała wrażenie szczęśliwszej niż kiedykolwiek w Wenecji, Paryżu czy Londynie, gdzie otaczało ją wszystko, co najciekawsze i najbardziej zajmujące. Marie niekiedy wyrzucała sobie swoją nagłą słabość do tego nieznanego chłopca. W jej wspomnieniach często pojawiał się obraz Verdiego, którego nie widziała od tak dawna, że w końcu prawie go już zapomniała.

Któregoś wieczoru po powrocie ze spaceru aż za wioskę Lauenen zastali w hotelu depezę o treści dość niejasnej, choć nie pozostawiającej żadnych wątpliwości co do jej znaczenia: hrabia Wroński nie żyje. Nicolas ze wzruszającą nieporadnością pocieszał jak umiał zapłakane matkę i córkę, które w żałobnych strojach przygotowywały się do wyjazdu. Żona i córka zapamiętały Piotra Wasiliewicza – zanim zobojętniał wobec obcych i najbliższych oraz mimo wszystkich jego przywar – jako dobrego ojca i dobrego męża. Zmarł pod Monachium, w Tutzingu czy Feldafingu, nie bardzo wiem, nad Tegernsee czy może raczej nad Starnbergernsee, gdzie miał wielki dom, w którym zatrzymywał się podczas swoich krótkich pobytów w Bawarii. Trzeba było zająć się pogrzebem, tymczasem Marie wciąż jeszcze wahała się z wydaniem dyspozycji, nie wiedząc, czy sprowadzić ciało do Wenecji, czy pochować je w Bawarii.

Wkrótce Wenecję, Monachium, Moskwę i Paryż obiegły pogłoski, że Wroński popełnił samobójstwo. Co do przyczyn samobójstwa zdania były podzielone. Jedni mówili o karcianych długach i niepowodzeniach finansowych, drudzy o jakiejś mniej lub bardziej tajemniczej chorobie, inni jeszcze, nie wchodząc w szczegóły i z minami konspiratorów, o rozczarowaniach w miłości czy polityce. Te wzajemnie sprzeczne plotki dotarły do Nicolasa dopiero później. Ale czytając depezę z wiadomością o śmierci Wrońskiego, momentalnie zrozumiał, że kończy się jeden z najszcześniejszych okresów jego życia. Otwierały się przed nim jednak nowe widoki.

Nicolas towarzyszył obu paniom, w czarnych welonach siedzącym w powozie, za którym podążały ich bagaże, aż do Berna. Tam umieścił je w wagonie jadącym przez Zurych do Niemiec. Kiedy pociąg ruszył, pojawiły się chusteczki, a w zblazowanym wzroku podróżnych w oknach i obsługi dworcowej na peronie błysnęło rozczulenie. Teraz te oznaki przyjaźni nabrały nowej wymowy. Na zakończenie ich ostatniej przechadzki, którą odbyli sami, bez Marie, choć z jej błogosławieństwem, Nicolas i Nadia w cieniu wielkich świerków wymienili wyznania, obietnice oraz niekończące się pocałunki, które wypalą trwałe ślad we wspomnieniach i sercach rozstających się dwojga młodych.

Stulecie dobiegało końca. Spokojny mieszczański XIX wiek ciągnąć się miał aż po pierwsze salwy armatnie 1914 roku, może nawet po jesień 1917 roku, kiedy to oblicze świata odmieni pewne niezwykle wydarzenie: bolszewicka rewolucja październikowa.

Na tarasie w San Miniato, w blasku dogasającego słońca – bo w moim życiu, podobnie jak w życiu Marie, Nadii czy Nicolasa czas także nieustannie płynął i przemijał – snułem marzenia o tych epokach, których nie znałem, ale o które wytrwale i z zaangażowaniem wypytywałem tylu ich świadków i uczestników. Kochałem ludzkie życie, jego przygody, jego zwroty, jego przypadki, jego ukryte sprężyny. Kochałem jego historie, bez końca powtarzające się, a przecież wciąż nowe. Staralem się przede wszystkim zrozumieć – a było to niewyczerpane zadanie – co w czasie i przestrzeni decyduje o różnicach między regionami i epokami. Ta sama przygoda miłosna inaczej będzie wyglądać w czasach rewolucji francuskiej niż w Indiach maharadzów; inaczej na dworze Fryderyka II niż w epoce wiktoriańskiej. Te same ambicje, te same namiętności, to samo dążenie do wzbogacenia się czy odegrania określonej roli inne formy przybierają w Moskwie, a inne w Rzymie; inne za ostatnich cesarów, a inne w maju 1968. To właśnie określa się mianem atmosfery, środowiska, ducha miejsca, klimatu epoki.

W Londynie w ostatnich latach panowania królowej Wiktorii Aureliano Romero specjalnie nie zabłysnął, ale też nie skompromitował się ani nie przyniósł wstydu tym, którzy go wysłali. Na swoim stanowisku początkującego dyplomaty, które potraktował poważnie, spisywał się poprawnie, korzystając z rozrywek, choć bez ekscesów. Od czasu do czasu wypuszczał się do Paryża, by zabawić się i zaszaleć. Paryż i w ogóle całą Francję uważał za coś w rodzaju dzielnicy rozrywki leżącej po drugiej stronie kanału La Manche. Choć bardziej elegancki, mniej malowniczy i bez porównania zamożniejszy, w Paryżu prowadził prawie takie samo życie jak kilka lat wcześniej Pericles Augusto. Brunet wśród blondynów, równie rosły i równie dobrze wychowany przez matkę, co synowie baronetów i pułkowników armii indyjskiej, jego

koledzy z Cambridge czy rywale z Oksfordu, Aureliano w krótkim czasie stał się znany w salonach i klubach Anglii jako najbardziej brytyjski wśród Latinoamerykanów.

Kobiety za nim szalały. Stał się bohaterem na skalę lokalną licznych romansów, o których było dość głośno w wąskich kręgach West Endu, przy czym jednak zawsze potrafił je utrzymać w granicach konwenansów. Pijał, choć bez przesady, wyborne bordeaux i stare porto, bywał na balach i wyścigach, nieźle strzelał i polował z naganką; był idealnym gościem na wiejskie weekendy, gdzie podobał się wszystkim, tak pokojówkom, jak paniom domu, tak stajennym, jak wiejskim proboszczom. Czego chcieć więcej? Nie był tak dowcipny jak Oscar Wilde, ale o ile autor *Wachlarza lady Windermere* u schyłku życia wyznał pewnemu amerykańskiemu dziennikarzowi, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby być Aurelianem Romerą, o tyle Aureliano Romero nie miałby najmniejszej ochoty zostać nieszczęśliwym i potępionym kochankiem lorda Alfreda Douglasa.

Na polowaniach, na dobroczynnych balach, w salonach księżnych Rutland czy Devonshire Aureliano Romero nieraz spotykał lorda i lady Landsdownów, czasami w towarzystwie Seana O'Shaughnessy'ego i ich córki Sybil. Jednej z ostatnich jesieni XIX wieku, podczas trzech dni cudownego słońca, które w Szkocji wspominało jeszcze przez długie lata, wybrał się nawet na weekend do Glangowness. Brian był akurat nieobecny. Może w dziedzicu Glangowness Aureliano rozpoznałby młodego studenta z Oksfordu, z którym stoczył walkę nad brzegiem Tamizy, a potem w towarzystwie dwóch ładnych, rozochoconych winem dziewczyn zjadł kolację w łagodnym powietrzu wieczoru.

Życie było cudowne. Trudne, lecz cudowne. Mimo rozstania Nicolas otrzymał od Nadii Wrońskiej list za listem. Leży obok mnie spory plik tych uroczych dziecinnych epistoł i płomiennych odpowiedzi Nicolasa. Wrońskiego pochowano pod Monachium w obecności wąskiego grona najbliższych i niemal w tajemnicy. Msza żałobna odprawiona została kilka tygodni później w małej cerkwi w Wenecji, o dwa kroki od obrazów Carpaccia w kościele San Giorgio degli Schiavoni, tym samym, w którym przed dwudziestoma laty Piotr Wasiliewicz pojął za żonę Marie, już wtedy brzemienną. Nadia zaprosiła

Nicolasa do Wenecji. Ale Marie, choć żywiła dla niego wiele serdeczności i uważała go za czarującego chłopca, nie zamierzała ulec niczyim naciskom i przyspieszać biegu wydarzeń. Z wielką łagodnością dała do zrozumienia Nicolasowi, że uważa pośpiech Nadii za niewczesny. Chciała, żeby córka dobrze wszystko przemyślała, żeby spotykała się również z innymi młodymi ludźmi. Zgodnie ze starym mieszczańskim zwyczajem próbowała, choć bez większej nadziei, zdobyć jakieś informacje o Nicolasie Cossym. Wątpiła, czy znajdzie kogokolwiek, kto będzie mógł powiedzieć jej coś o tym sierocie, domniemanym czy faktycznym, który sprawiał wrażenie przybysza z innej planety i nie wiedział nic o sobie samym. Nie udało jej się niczego dowiedzieć. Prosząc o dyskrecję, napisała do dyrektora Rosey, ten zaś zdradził jej to, co już sama wiedziała: że Nicolas Cossy jest chłopcem uroczym i bardzo prawym, że sprawia wrażenie bezinteresownego i wrażliwego – ale o jego rodzinie i pochodzeniu nie wie zupełnie nic. W liście z Rosey ponownie pojawiło się nazwisko mecenasa Brûlaza-Trampoliniego, o którym Nicolas wspominał już podczas ich długich spacerów w Gstaad.

– Sama rozumiesz, kochanie – tłumaczyła Marie, przechadzając się z córką po placu Świętego Marka lub ogrodzie na Giudekce, dokąd z powrotem się przeniosły po sprzedaży pałacu nad Canal Grande. – Rozumiesz, że nie wolno ci lekko traktować decyzji, w którą angażujesz całe swoje życie. Chłopiec jest czarujący, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale przecież nic o nim nie wiemy.

– Ja wiem, że go kocham – odpowiadała na to Nadia z nadąsaną miną, instynktownie utrafiając w odwieczny język komediowych amantek. – Wiem, że go kocham. To chyba wystarczy.

– Kochasz go! Kochasz go! Kochasz go, bo spotkałaś go na jakiejś bajkowej poczcie pośród lasów i górskich jezior. A może jeszcze bardziej z powodu rozłąki. Gdyby mieszkał tu, w Wenecji, i był jednym z tych młodzieńców zapraszających cię na bale do Paryża czy Londynu, nawet byś na niego nie spojrziała.

– Spróbujmy. Niech przyjedzie – upierała się Nadia.

Marie wybuchała śmiechem.

Nicolas na odległość niejasno wyczuwał, że w Wenecji ważą się

jego losy. Miał wrażenie, że jego życie ogromnieje. Pragnąc dorównać Nadii, dużo czytał. Coraz częściej słuchał muzyki. Otwierał się przed nim nowy świat. On, który nie potrafił odróżnić symfonii od koncertu, chodził teraz na recitale w Genewie i Lozannie. Niemal ukradkiem zaczął brać lekcje gry na fortepianie. Bezsprzecznie uzdolniony, w krótkim czasie opanował kilka prostych utworów i wykonywanie ich sprawiało mu wiele przyjemności. Jego szwajcarscy i włoscy przyjaciele utworzyli małą amatorską orkiestrę i Nicolas dołączył do nich w skromnej roli stremowanego i utalentowanego debiutanta. Nieustannie myślał o Nadii i mówił sobie, że wszechświat pełen jest możliwości, o których nie miał pojęcia i które dopiero teraz powoli odkrywa.

Po zakończeniu swojej londyńskiej misji, z której nie wywiązał się może błyskotliwie, choć z punktu widzenia ministerstwa całkiem zadowolająco, Aureliano Romero przy stałym poparciu matki, nadal posiadającej znaczne wpływy w kręgach oficjalnych Buenos Aires, został wysłany na drugiego sekretarza do Waszyngtonu. Obecnie był już w pełni zaangażowany w karierę dyplomatyczną i stały przed nim otworem najwyższe zaszczyty.

Kilka miesięcy po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych dostał długi list od matki. Pisała o ich nadal kwitnących interesach związanych z cementem i piwem, swoim mniej już kwitnącym zdrowiu oraz nadciągającej starości. Po raz pierwszy Aureliano wyczuł w tej żelaznej osobowości pewien cień melancholii.

Bardzo mi ciebie brak, kochanie. Lata płyną. Ciebie nie ma. Niekiedy zadaję sobie pytanie, czy te wszystkie nasze wysiłki – twoje i moje – rzeczywiście były potrzebne. Mogliśmy byli żyć szczęśliwie i spokojnie w Arroyo Verde, tak, mogliśmy byli... Jednak niczego nie powinno się żałować i dumna jestem z twoich sukcesów. Niemniej chciałabym, żebyś tu był, ze mną. Borykam się z czułością: tak bardzo bym chciała obdarzać cię nią i doznawać jej z twojej strony. Ludzie myślą o mnie jako o kobiecie interesów. Tymczasem jedyną sprawą, która mnie w życiu interesuje, jesteś ty. Marzę o dniu, kiedy przyjedziesz do Arroyo Verde. Wyjdę po ciebie na nabrzeże, dokąd przybijają statki i gdzie z dumą i smutkiem odprowadzałam cię, kiedy odpływałeś do Europy. Tym razem będziesz wracał... Może już nie sam? Widzę

u twojego boku młodą kobietę; nie znam jej jeszcze, ale już teraz ją kocham. Trzyma w ramionach mojego wnuka lub wnuczkę. Jakże piękne będzie wtedy Arroyo Verde!

Aureliano odpowiedział matce listem niemal równie długim, pełnym czułości i szacunku. Przetłumaczyłem z niego, jak umiałem, kilka dość egzaltowanych fragmentów:

Również i ja często myślę o powrocie do ciebie. W marzeniach przemierzam galopem nasze wielkie, bezludne przestrzenie. Europa jest maleńka. Tam nie oddycha się tak pełną piersią jak u nas. Natomiast tutaj, zwłaszcza na Zachodzie, gdzie jeszcze nie byłem, znajdują się olbrzymie połacie ziemi, trochę przypominające nasze. Nic jednak nie dorówna Bariloche, jezioru Nahuel Huapi i Arroyo Verde! Niech żyje Arroyo Verde! Gdybyś tylko wiedziała, jak spieszno mi tam wrócić i spotkać ciebie!

Zastanawiam się jednak, czemu ty miałabyś nie przyjechać tutaj na kilka tygodni? Trochę odpoczynku dobrze ci zrobi. Mogłabyś bez najmniejszego problemu zatrzymać się u mnie. Spotkasz wielu ludzi, którzy zainteresują cię i rozbawią. Może nawet nawiążesz jakieś kontakty korzystne z punktu widzenia naszych interesów? Amerykanie mają tyle samo zalet co wad. Są nieznośni, ale bardzo ich lubię. Bardzo – choć nie tak, jak ciebie.

Jeśli nie przyjedziesz do mnie, ja pojedę do ciebie. Nie obiecuję, że przyjadę, tak jak pragniesz, z żoną i gromadką hałaśliwych smarkaczy, które będą twoimi wnukami. Zbyt droga jest mi wolność; zresztą w zupełności wystarczy mi przywiązanie do ciebie. Chyba że... Wyobraź sobie, że w zeszłym tygodniu poznałem najbardziej czarującą istotę z wszystkich, jakie do tej pory spotkałem. Jestem pewny, że by ci się spodobała. Ale, sza!... nie mówmy o tym więcej.

Zaraz jednak znów do tego wraca. W tym miejscu gwiazdka odsyła do kilku słów dopisanych w postscriptum w poprzek listu. To one w sposób oczywisty stanowią sedno listu Aureliana do matki; zawarty w nich niepokój ma w sobie coś wzruszającego: „Czy nie masz nic przeciwko Żydom? Bo ona jest Żydówką”.

Chodziło o Rositę Finkelstein.

W życiu Briana O'Shaughnessy'ego nastąpiła zmiana. Wkroczenie

w progi All Souls College wprowadziło go w świat nie tylko greki i łaciny, gdzie całkiem nieźle sobie radził, lecz także wioślarstwa i rugby: w Oksfordzie stał się jego fanatykiem i bez mała gwiazdą. Strzelisty, szczupły, raczej wątlej postury, na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia silnego fizycznie. Ale jego zręczność, wytrzymałość, szybkość na boisku prędko przekonały do niego kierownictwo drużyny rugby All Souls College. Początkowo trenował z dość umiarkowaną częstotliwością. Pod koniec pobytu w Oksfordzie poświęcał już rugby sporo czasu, stał się jedną z najbardziej popularnych postaci na uczelni. Grał na pozycji napastnika i wiele z jego akcji, zawsze nienagannie czystych i eleganckich, przeprowadzanych z pozorną, z cudem wręcz graniczącą łatwością, stało się pożywką dla legendy, którą długo jeszcze po jego odejściu z uczelni starsi studenci opowiadali nowym pośród baterii pustych butelek po porto, whisky i piwie, w oparach gryzącego dymu z fajek, papierosów i cygar.

Brian O'Shaughnessy stanowił przykład sukcesu systemu szkolnictwa wymyślonego przez Brytyjczyków. Zagorzały nacjonalista, umiarkowanie wykształcony, posiadał wszelkie zewnętrzne atrybuty typowego – wręcz do granic karykatury – dżentelmena doskonałego: atlety o nienaganych manierach. Można się z nim było pokazać wszędzie: w podejrzanych spelunkach, na festynach ludowych, w herbaciarniach, na boiskach sportowych, w gabinetach ministrów, na meczach bokserskich i na uroczystościach dworskich – wszędzie czuł się jednakowo swobodnie. Pozostające w doskonałej harmonii z jego urodzeniem i pochodzeniem podwójne umiłowanie rozrywek na świeżym powietrzu – *outdoor games* – oraz imperium brytyjskiego opiewanego przez jego idola i mistrza Rudyarda Kiplinga, naturalną kolejną rzeczą zaprowadziło go na służbę Jej Królewskiej Mości w posiadłościach zamorskich. W dzieciństwie nęciła go Royal Navy. Studia historyczne i prawnicze skłoniły go jednak do podjęcia działalności o charakterze dość nieokreślonym, choć przecież zupełnie oczywistym, którą skłonny byłbym umieścić na pograniczu interesów, wojskowości, administracji kolonialnej i wywiadu.

Po opuszczeniu Oksfordu i All Souls wystartował w sposób jak najbardziej tradycyjny, a przy tym odważny: od Afryki Południowej

u boku pewnego genialnego awanturnika, byłego nieuleczalnego suchotnika całkowicie wyleczonego, który wzbogacił się na kopalniach złota i również, choć dość późno, przewinął się przez Oksford, śniącego sny o potędze premiera Kolonii Przylądkowej, sir Cecila Rhodesa. Epoka, tak spokojna w Anglii i reszcie Europy, dla imperium okazała się nadzwyczaj pomyślna. Cecil Rhodes stanowił jej osobną legendę.

Jakieś trzydzieści lat wcześniej, mniej więcej w okresie wojny francusko-pruskiej, dwoma niepodległymi państwami burskimi, Oranią i Transwalem, wstrząsnęło odkrycie o nieprzewidzianych i krwawych konsekwencjach: w okolicach Kimberley i Griqualand znaleziono złoto i diamenty. Anglicy natychmiast zajęli okręg Kimberley i dokonali aneksji Transwalu. Trochę zbyt pochopnie. Burowie zbuntowali się i ich pokonali. Gladstone zmuszony był uznać niepodległość Burów.

Wtedy to rząd brytyjski rozpoczyna powolną działalność anektowania i izolowania państw burskich. Cecil Rhodes tworzy wzorowaną na dawnej Kompanii Wschodnioindyjskiej British South African Company – Brytyjską Kompanię Południowoafrykańską. Jej celem jest objęcie wpływami brytyjskimi olbrzymich terytoriów, które w przyszłości nosić będą nazwę Rodezji i zgodnie z planami jej twórcy staną się głównym ogniwem marzenia tego romantycznego i praktycznego wizjonera: kolei żelaznej od Kapsztadu po Kair pod panowaniem Jej Królewskiej Mości.

Kiedy młody, jasnowłosy i niezwykle brytyjski Brian O'Shaughnessy, z głową nabitą wielkością swojej ojczyzny i wierszami Kiplinga, wysiada na ląd w Kapsztadzie w ostatnich latach ubiegłego wieku, w oczy rzuca mu się przede wszystkim uroda krajobrazu. Czuje ogarniające go natchnienie: w tej scenerii, która dopełnia i przerasta jego nadzieje na epos, będzie mógł pokazać, co naprawdę potrafi. Przedstawiony Cecilowi Rhodesowi, momentalnie uświadamia sobie, że oto spotkał człowieka, przy którym warto będzie bić się za chwałę imperium. Były gruźlik, a obecnie premier dołącza obok Kiplinga do jego prywatnej galerii wielkich ludzi.

Jednocześnie z sir Cecilem Rhodesem Brian O'Shaughnessy spotyka w Kapsztadzie innego człowieka o nieprzeciętnej osobowości. Jest nim lekarz z Edynburga, znajomy Landsdownów, który, nim osiadł

w Afryce Południowej i związał się z sir Cecilem, często zaglądał do Glangowness z sąsiedzką i przyjacielską wizytą. Nazywa się on Leander Starr Jameson i jest jednym z najbardziej czynnych i rzutkich agentów Brytyjskiej Kompanii Południowoafrykańskiej, głęboko zaangażowanym w wizje i plany Cecila Rhodesa. Rwie się, by podjąć walkę z pewnym upartym i przebiegłym wieśniakiem wykarmionym na Biblii, potomkiem berlińskiego emigranta i założycielem Transwału, popieranym przez Niemców oraz europejską opinię publiczną, organizatorem powstania Burów przeciwko Brytyjczykom – z prezydentem Paulem Krügerem.

Nicolas nie mógł już wytrzymać. Coraz gorzej znosił rozstanie z Nadią. Niedawno odkryta muzyka zamiast ukoić wprawiała go raczej w stan pobudzenia. W Genewie i Lozannie całymi godzinami czytywał w kółko listy od Nadii Wrońskiej. Wieczorami często chodził na koncerty, aby znaleźć choć trochę spokoju. Ale pozorna wesołość Mozarta czy Cimarosy uświadamiała mu tym boleśniej własną samotność i smutek. Hotelarstwo śmiertelnie go nudziło. Nie wiedział, co robić z pieniędzmi, których obecnie miał pod dostatkiem. Kobiety oferujące mu swoje względy, gdyż był przystojny i łagodny – służąca w Lozannie, żona wiceprezesa pewnej spółki – też nie były mu żadną pociechą. Myśli Nicolasa zaprzętała inna, której nie było. Wydawało mu się, że nad jego życiem ciąży jakieś fatum; po niedolach dzieciństwa, sieroty przierzucanego bez pytania o zdanie ze szkoły do szkoły, teraz zatracał się pośród samotności i nijakości. Gdyby nie ucieczka w odkryty stosunkowo późno świat muzyki, ale przede wszystkim gdyby nie spotkanie z Nadią, nieodpartą pokusą byłoby dla niego samobójstwo. Zbyt słaby, by zmieniać świat, za bardzo żyjący marzeniami, by zadowolić się tym, co darowała mu codzienność, sam nie wiedział, co się z nim dzieje; tych kilka dni spędzonych w Gstaad wspominał niczym jakiś margines szczęścia, niczym przypominającą fatamorganę oazę na pustyni swojego życia.

Chęć ujrzenia Nadii opanowała go z siłą, która zdumiewała go i wprawiała w zachwyty. Radowało go odkrycie, że nie jest tylko obiektem sił od zawsze oddziałujących na niego z zewnątrz, ale że nareszcie sam próbuje czegoś na własną rękę. Pewnego ranka w drodze do biura podjął nagłą decyzję, że pojedzie do Nadii do Wenecji. Nie ma

sensu jej o tym zawiadamiać; mogłaby się nie zgodzić. Momentalnie wróciła mu wrodzona pogoda ducha. Jakże proste i piękne było życie, jeśli człowiek wiedział, czego chce. Napisał do mecenasa Brùlaza-Trampoliniego z prośbą o przesłanie mu pewnej sumy pieniędzy do Wenecji. Zostawił na biurku nieco mętny list, w którym powołując się na wielkie zmęczenie, zapowiadał, że przez parę dni będzie nieobecny, oraz zostawił kilka wskazówek dotyczących spraw, którymi się aktualnie zajmował. Po czym wrócił do swojego pokoju i spakował dwa sakwojaże. Wrzucił do nich jak leci garnitur na zmianę, kilka koszul i wysokich kołnierzyków, całe naręczce zajmujących sporo miejsca krawatów, mydło do golenia, długą brzytwę z kościaną rękojeścią, dwie czy trzy pary długich kalesonów i parę wysokich do kostek trzewików zapinanych na guziki. Następnie dorożką udał się na dworzec po bilet kolejowy do Włoch. Po raz pierwszy opuszczał Szwajcarię i jechał do jednego z tych obcych krajów, o których tak często marzył z lękiem zaprawionym ciekawością, niecierpliwością i pożądaniami.

Po upływie blisko stu lat w San Miniato pośród zimy, która nastąpiła w czasie, gdy spisywałem te wspomnienia, rozmyślałem o pierwszej wielkiej podróży górskiego sieroty. Wiele lat przed nim Jeremiasz Finkelstein, Pericles Augusto czy Aureliano Romero – że już nie wspomnę o hrabim Wrońskim, wielkim podróżniku przed obliczem Wiekuistego i zawodowym niemal koczowniku, z tym, że wędrującym w granicach starego kontynentu – niejednokrotnie przemierzali w obie strony nie tylko kanał La Manche i szmat Europy, lecz także Ocean Atlantycki. Niemal w tym samym czasie, kiedy obraz Nadii Wrońskiej nawiedza samotność Nicolasa Cossy, młody Brian O'Shaughnessy, który w trakcie wielu późniejszych podróży okrąży w kilka lat całą kulę ziemską, wyjeżdża do Afryki Południowej. A jednak ta krótka wyprawa znad Jeziora Lemańskiego do Wenecji wzrusza mnie o wiele bardziej niż tamte wyprawy.

Podróże Briana O'Shaughnessy'ego, a w pewnej mierze również Aureliana Romery to nie ich własna zasługa. Stoi za nimi potężna siła: można i wpływową rodziną w zorganizowanym państwie, z którym się utożsamia. Hrabia Wroński posiada majątek, ma wszędzie przyjaciół, kwitnące interesy, domy w różnych zakątkach. W jego przypadku

podróż oznacza udanie się z jednego krańca Europy na drugi, od siebie do siebie. Periclesowi Augustowi jest wszystko jedno, czy to jego ojczyzna, kraj przodków czy zagranica; wszędzie i tak nie odstępuje go wesołość i werwa. Tylko Jeremiasz Finkelstein u zarania swojej kariery prowadzi pełne przygód życie. Opuszczając na zawsze rodzinną Polskę i Europę dla mitycznej bez mała Ameryki, wyrusza w nieznaną; często zastanawiałem się, co mógł czuć młody Żyd w drodze do nowego świata. Ale mimo swojej delikatnej postury psychicznie, a nawet fizycznie był mocniejszy od górskiego sieroty, chociaż gdyby obaj ci, tak różni, mężczyźni, którzy się nigdy nie spotykają, mogli cudem jakimś, ponad czasem i przestrzenią, stanąć ze sobą twarzą w twarz, okazałoby się, że Nicolas przerasta go o głowę.

Kiedy Nicolas wybiera się ze Szwajcarii do Włoch, tunel Simplon jeszcze nie istnieje. Za to kilka lat wcześniej przebito się przez Świętego Gotharda i tamtędy prowadzi obecnie linia kolejowa do Włoch. Próbowałem dowiedzieć się, choć bez powodzenia, jaką drogą podróżował Nicolas do Wenecji: przez Genewę i Francję czy przez Świętego Gotharda? Jedno jest pewne: jedzie do Wenecji tym nowo wynalezionym potworem, pociągiem. Długa epoka podróży berlinką ma się ku końcowi. Już tylko w niektórych zapadłych regionach ostały się jako środek transportu koń i dyliżans. Jeszcze Piotr Wasiliewicz przemierzał Europę w wielkich karetach, landach i dormezach, jakich używali podróżnicy w tamtych odchodzących w przeszłość czasach. Nicolas dojeżdża pociągiem do samych bram Wenecji. Wzorem tysięcy innych podróżników, którzy byli tam przed nim, wzorem przewodniczącego de Brossesa, Rousseau, Byrona, Musseta i George Sand, Chateaubrianda, Wagnera, Marie i Wrońskiego, przed Morandem i Strawińskim, i milionami turystów z Ameryki, Japonii oraz z różnych innych zakątków świata, on także wsiada do gondoli i płynie najpiękniejszą aleją świata. Wenecję spowija mgła. Pałace nad Canal Grande mają w sobie coś nierzeczywistego, a zarazem przytłaczającego. Nicolasa, który nie widział dotąd nic oprócz katedry w Lozannie i genewskich bulwarów, ogarnia nieznaną uczucie zapierającego dech zdumienia, nieledwie bólu. W obliczu tego bezmiaru zuchwale rozpostartego piękna porywa go entuzjazm zabarwiony lekką trwogą.

Nie wie nic o tych fasadach, które odbijają się w wodzie, opowiadając o tylu wiekach i kryjącej się za nimi wewnętrznej scenerii zakłętej w kamieniu. To nic. Piękno i wielkość są równie zaraźliwe jak zło. Nicolas mówi sobie, że jego życie zbyt długo pozostawało puste i bezprzedmiotowe. Ogarnia go nagła chęć, by zacząć wreszcie robić rzeczy, które inni zapamiętają. Czuje się samotny na tym świecie, który mógłby być taki piękny. Myśli o Nadii. Z powodu tego niesamowitego miasta niemal zapomniał, że przyjechał tu dla niej, przyjechał odnaleźć dziewczynę o rosyjskim imieniu, której obraz niekiedy zaczyna mu się już zacierać w pamięci. W jego marzeniach i w sercu córka Marie Wrońskiej oraz miasto dożów, masek, kurtyzan i morza zlewają się w jedno. Z gondoli na Canal Grande, która przepływa w tym momencie pod mostem Rialto, kierując się w stronę della Salute i Dogany di Mare, górski sierota widzi, jak poprzez kościoły, pałace, *fondamente* i *campi* wychodzi mu naprzeciw cały świat.

Conchita Romero dość dobrze знаła biednych, Indian i Murzynów. Ale nie była wcale pewna, czy kiedykolwiek w życiu spotkała Żyda. Sprawa Dreyfusa wybuchnie dopiero za kilka lat. Do samego końca wieku Żydzi nie przysparzali światu problemów. Byli – dosłownie – niewidzialni. I to wszystko. W Ameryce Południowej prawie nie odczuwało się ich obecności. Było trochę żydowskich bankierów, ludzi interesu, lichwiarzy, wędrownych handlarzy. Ale ich liczba i pozycja nijak się miały do sytuacji w Polsce, Berlinie czy Wiedniu. Trzymając list od syna w ręku, Conchita Romero zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć, czy i gdzie mogła się zetknąć z którymś z tych osobników o haczykowanym nosie i oliwkowej cerze, bo głównie taki wizerunek Żyda przedstawiała ówczesna literatura. A, prawda! Znała kiedyś w Paragwaju angielskiego attaché handlowego – może zresztą amerykańskiego lub niemieckiego? Problem w tym, że z Żydami nigdy nic nie wiadomo – nazwiskiem Silberman czy Zilbermann, a może Silberstein? I czyż sam Disraeli, brytyjski premier poczciwej, starej królowej Wiktorii, nie był Żydem? O, ten był w porządku – zaprzyjaźniony z królową i arystokracją, konserwatysta, zwolennik Kościoła, wprawdzie heretyckiego i protestanckiego, lecz mimo wszystko chrześcijańskiego. Po głębszym zastanowieniu Conchita

Romero przypomniawszy sobie także pewną rodzinę hołdującą dziwnym obyczajom, w pstrokatych, obdartych strojach i o fatalnej reputacji, która pojawiała się w Villarica czy w Asunción po to tylko, by natychmiast zniknąć. Tylko zaraz, czy to byli Żydzi? Czy może Cyganie?...

A zresztą! Żydzi, Arabowie, Maltańczycy, Cyganie, a nawet Turcy czy Sycylijczycy – w gruncie rzeczy wszystko to jedno lichy. I Conchitę ogarnął nagły przestach na myśl, że jej wnukami mogliby być Turcy, Cyganie albo Arabowie. Pisała więc do Aureliana bardzo wyważone listy, nie omieszkując nigdy wspomnieć przy okazji o chwale Chrystusa i Kościoła katolickiego. Raz czy dwa razy posunęła się nawet dalej i pozwoliła sobie wygłosić pochwałę wypraw krzyżowych, co trochę zdziwiło jej syna, jakoś nieumiejącego dopatrzeć się związku między tymi wspominkami historycznymi i Rositą Finkelstein, którą od czasu do czasu spotykał na balach w Nowym Jorku i Waszyngtonie.

W Wenecji Nadia Wrońska nieustannie myślała o Nicolasie. Świetne partie, które spotykała, książęta rumuńscy lub sycylijscy, austriacki dyplomata, młody Bismarck, młody Hohenlohe, młody Turenne, młody Brissac, mnóstwo rosyjskich poruczników – wszyscy oni wypadali blado i nudno w porównaniu z tą tajemnicą, która tak nagle i nie wiadomo skąd się objawiła. Rozłąka i nieobecność zrobiły swoje. Marie mówiła sobie, że może któregoś dnia Nadia zapomni o górskim sierocie. Musiała jednak stwierdzić, że jak dotąd był on pierwszym i jedynym mężczyzną – może właśnie dlatego, że go nie było – w sercu córki, którą matka skłonna była uważać jeszcze za dziecko.

Marie Wrońska zazdrościła córce. Sama nigdy nie zaznała namiętności równie świeżej, równie silnej, równie wyłącznej. Kochała wprawdzie Verdiego do szaleństwa, lecz kiedy geniusz wtargnął w jej życie, miała już męża i dziecko – i to niebędące dzieckiem męża. Nicolas nie był geniuszem. Ale miał w sobie jakiś nieodparty urok, łagodność, uwodzicielskość, na którą nawet ona nie pozostawała obojętna. Bez końca roztrząsała pytanie, czy to właśnie ten nieznajomy miałby dać szczęście jej córce, a zarazem żywiła z trudem skrywaną nadzieję, że rozstanie Nadii i Nicolasa nie jest ostateczne. Na niecierpliwość córki odpowiadała, wysuwając kolejne argumenty, choć przecież rada, by ustąpić od razu wobec jej pragnień. Ale przeciwstawianie się im

nakazywała jej ostrożność oraz rola matki.

Umysł i serce Nadii wypełniały namiętne marzenia. Wyobrażała sobie ucieczkę z matczynego domu, wyobrażała sobie, że uwozi ją pociąg, okręt, sanie, widziała się w ramionach Nicolasa w zielonej górskiej dolinie. Wyobrażała sobie prawie wszystko z wyjątkiem rzeczywistości: niesiony przez Wenecję, zlewającą się w jedno z jego miłością, Nicolas dopływał właśnie do Piazzetty, skąd za kościołem della Salute i Doganą di Mare, między dwiema kolumnami ze świętym Teodorem i lwem świętego Marka widział już wyspę San Giorgio i przylądek na Giudekce.

W burskim Transwalu prezydenta Krügera uitlanderzy buntowali się. Uitlanderzy byli ubogimi imigrantami, często Chińczykami i Hindusami, w większości zatrudnionymi w kopalniach. Pozbawieni wszelkich praw, skarżyli się gniewnie, że rządzący krajem Burowie traktują ich jak istoty niższego rzędu. Była to zbyt piękna okazja, by człowiek pokroju Leandera Starra Jamesona z niej nie skorzystał. Za milczącym przyzwoleniem Cecila Rhodesa Jameson zaczął po cichu przygotowywać grunt pod powstanie uitlanderów przeciwko rządowi prezydenta Krügera. Pod płaszczykiem geologii, botaniki, interesów czy dyplomacji rozesłał swoich ludzi z zadaniem podsycania nastrojów niezadowolenia i podżegania umysłów. Potajemnie dostarczono broń. Między robotników i chłopów Transwalu i Oranii pchnięto tajnych agentów. Brianowi O'Shaughnessy'emu – kolejno w przebraniu przedstawiciela handlowego, misjonarza i poszukiwacza złota – udało się przedostać do samej Pretorii.

Informacje, których dostarczył ze swojej wyprawy, okazały się rozstrzygające dla Jamesona i Cecila Rhodesa. Jednocześnie z rozpoczęciem powstania przez uzbrojonych staraniem Brytyjczyków uitlanderów do Transwalu wkroczyła kolumna wolnych strzelców pod dowództwem Jamesona. Tuż za Jamesonem, odurzony anglosaskim szczęściem godnym Fabrycego Del Donga, galopował wnuk lorda Landsdowna.

Rajd Jamesona zakończył się porażką. Burscy kawalerzyści zwycięsko stawili czoło podwójnej ofensywie: wewnętrznej uitlanderów i zewnętrznej brytyjskich żołnierzy. Brian ranny został w udo od

niemieckiej kuli, wystrzelonej na tych afrykańskich wzgórzach przez potomka Fryzyjczyków. W tym samym czasie na północy, na drugim krańcu marzenia Rhodesa, ekspedycja anglo-egipska pod dowództwem jej sirdara, generała Kitchenera, zdąża na południe w górę Nilu, by wymazać wspomnienie o zwycięstwie derwiszów Mahdiego nad Gordonem i upadku Chartumu przed dziesięciu laty. Oddziały Kitchenera w miarę jak posuwają się naprzód i wypierają derwiszy, budują linię kolejową schodzącą w dół na spotkanie innej, biegnącej w górę od Kapsztadu. Marzenie Cecila Rhodesa ziściło się i mimo chwilowego niepowodzenia powstania uitlanderów wspomaganym przez ekspedycję Jamesona, wieści z Sudanu napełniły entuzjazmem leżącego na szpitalnym łóżku Briana O'Shaughnessy'ego i wszystkich Anglików w Kapsztadzie.

By odetchnąć od ciężkiej pracy, jaką jest spisywanie tych wspomnień, będących przede wszystkim wspomnieniami innych, powróciłem do lektury *Armancji*; portretu człowieka bezsilnego z okresu Restauracji, z czasów kiedy deputowani rojaliści głosowali za miliardem emigrantów. Stendhal, zaniepokojony, że musiał wprowadzić do powieści o miłości rozważania socjologiczne i parlamentarne debaty, porównuje politykę w książce do wystrzału z pistoletu na koncercie. Ja jednak, zmuszony siłą rzeczy wspomnieć o Disraelim, Cecilu Rhodesie, antysemityzmie w carskiej Polsce, o początkach wielkiego przemysłu w Ameryce Południowej, a wkrótce też i o pierwszej wojnie światowej i rewolucji bolszewickiej, nie uważam za konieczne wzorem Stendhala uciekać się do usprawiedliwień. Historia tak się ma do polityki, jak erotyzm do pornografii – to to samo, ale o piętro wyżej i oglądane z nieco większego dystansu. Wystrzały z pistoletu polityki, o których zmuszony jestem wspomnieć, to salwy armatnie historii, która strzela do nas. Nie sposób przedstawić w miarę serio postaci czterech sióstr O'Shaughnessy, nie wyjaśniając, skąd się wzięły i nie próbując bodaj pobieżnie opisać wydarzeń stanowiących scenerię, kulisy oraz maszynierię ich własnej historii. Polityka czy historia są, wiadomo, wszechobecne. Jak mówić o Wrońskim, od którego bierze się cała fortuna – więc i o Nicolasie, Nadii i Marie – bez osadzenia go w kontekście carskiego absolutyzmu? Jak zareagować na pojawienie się

wielkiego Verdiego, nie wspominając o roli, jaką odegrał w uzyskaniu niepodległości przez Włochy? Jak nie osadzić w ramach współczesnych im czasów Jeremiasza Finkelsteina czy Aureliana Romery? Przy tym znamienne jest to, że pod koniec XIX wieku polityka i historia odgrywają jeszcze stosunkowo ograniczoną rolę. Przynajmniej w Europie, może dlatego że przeszła już przez nią rewolucja, niepodległość Włoch, powstanie imperium brytyjskiego, pierwsze rysy na cesarstwie austro-węgierskim czy sprawa Dreyfusa we Francji oddziałują na losy jednostek jedynie pośrednio. Pomimo obecności Kościoła, na Zachodzie nadal potężnego – lub też może z jego powodu – większość ludzi ma możliwość uniknięcia presji historii i schronienia się w głąb siebie. Dopiero wraz z pierwszą wojną i rewolucją rosyjską kolejne porywy wichru historii zaczynają uderzać w ludzi wyzwolonych spod wielowiekowego ucisku, a jednocześnie wyzuty z własnej egzystencji na rzecz wielkich potworów – państwa, partii i mas.

W ostatnich latach ubiegłego wieku żyła w okolicach Guadalajary w Meksyku uboga chłopska rodzina. Zamieszana była w wielkie przemiany ubiegłego stulecia i, co raczej rzadkie w Meksyku, majątku na nich nie zrobiła. Dziadek walczył u boku Juareza z Francuzami. Potem, gdy nadeszły czasy rozwianych złudzeń i prezydentury Porfiria Diaza, wrócił do domu i do anonimowości.

Rodzina była liczna. Prześladował ją pech. Jednemu z synów dziadka udało się założyć niewielką plantację całkiem nieźle prosperującą, dopóki jeden z tych cyklonów, które przechodzą od czasu do czasu nad Meksykiem, doszczętnie jej nie zniszczył. Został więc z powrotem robotnikiem rolnym pracującym dla wielkich posiadaczy ziemskich i w rodzinie na nowo zapanowała nędza.

Bratanek owego ciężko doświadczonego przez los Meksykanina był chłopcem, którego dzieciństwo pod pewnymi względami przypomina mi dzieciństwo Jeremiasza Finkelsteina. Równie uzdolniony jak młody Żyd, bardziej smagły, nie tak żywy, może bardziej uparty, nie posiadający takich zdolności adaptacyjnych, Paco wpadł w oko miejscowemu proboszczowi. Wkrótce też wszyscy, z zainteresowanym włącznie, zadecydowali, że Paco zostanie księdzem. Przed stu laty w Meksyku, podobnie jak w renesansowych Włoszech, Kościół oferował

jedną z najbardziej pewnych dróg awansu społecznego. Niewykluczone, że później, kiedy zostanie już duchownym, proboszczem, może nawet – bo właściwie czemu nie? – biskupem, Paco Rivera będzie mógł wesprzeć najbliższych i dzięki datkom przynależnym swemu powołaniu pomoże im wydzwignąć się z nędzy.

Tego wieczoru w pałacu nad Canal Grande odbywał się bal. Niemal naprzeciwko dawnego domu Wrońskich, trochę bliżej placu Świętego Marka, książę i księżna M*** podejmowali u siebie najbogatszych i najbardziej utytułowanych ludzi w mieście. W oknach pałacu zawieszono stare, haftowane złotem kobierce, które zakrywały sporą część jego gotyckiej fasady. Pałac jarzył się tysiącem świec, odbijających się w wodach kanału. W salonach i na schodach trzymali straż postawni lokaje w niebiesko-białych liberiach; gondolierzy w tradycyjnych strojach czekali gotowi odebrać z drewnianego pomostu, tonącego w kwiatach i gęstwie zielonych roślin, gości, których gondole ustawiły się w kolejce i potrącając się, pośród nieopisanego zamieszania, próbowały zacumować przy wysokich pstrokatych kolumnach, wyglądających jak kolorowe lizaki. Nad pomostem, masztami i ciemną bramą wychodzącą nad wodę rozpostarto płócienny dach w barwach rodziny, której członkowie w czasach świetności Wenecji bywali inspektorami morskimi, podestami, wielkimi admirałami floty, członkami sądów inkwizycyjnych, a jeden był nawet dożą. Księżna, Amerykanka, młoda jeszcze, choć o szpakowatych już włosach, w towarzystwie pokojówki kończyła toaletę przed ogromnym lustrem w swojej gotowalni, kiedy nagle dało się słyszeć głośne łomotanie do drzwi.

– Czy to ty, Ricardo? – zapytała księżna, nieco zdziwiona tak gwałtowną niecierpliwością ze strony mężczyzny, którego poślubiła przede wszystkim dla jego spokojnych i cudownie układnych manier; ponieważ był Włochem, wywarły one wielkie wrażenie na purytańskiej rodzinie z Nowej Anglii.

– Signora Principessa! Signora Principessa!

I łomotanie przybrało na sile.

– To głos Vittoria – powiedziała Anna-Maria, pokojówka.

– Signora Principessa!

- Ach, cóż się tam dzieje? Po co cały ten hałas!
- Proszę szybko przyjąć, signora Principessa!

Księżna była już prawie gotowa. Poleciała Annie-Marii otworzyć drzwi i wychyliła się lekko, tak by móc zobaczyć w lustrze, co dzieje się za jej plecami. W uchylonych drzwiach oczy Vittoria, postawnego, rosłego mężczyzny o orlim nosie, zaufanego człowieka rodziny pełniącego funkcję pośrednią między zarządcą a szefem służby, sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały wypaść z orbit.

W długim liście Aureliano Romero zawiadomił matkę o swoich zaręczynach z Rositą Finkelstein. Mam jeszcze ten list w moich archiwach, dzięki którym mogę spisywać te wspomnienia. Nie spotkałem nigdy, nad czym ubolewam, Conchity Romero ani Rosity, jej najpierw znienawidzonej, a później ubóstwianej synowej. Ale byłem bardzo blisko związany z synami Aureliana i Rosity. I to właśnie oni na moje uporczywe nalegania, przy wtórze niekończących się kpin i śmiechów wręczyli mi wraz z innymi papierami przeznaczonymi do wyrzucenia, a dla mnie bezcennymi, list Aureliana znaleziony wśród dokumentów ich babki, kobiety metodycznej i uporządkowanej.

List stanowi małe arcydzieło konformistycznej i tradycyjnej literatury w stylu *belle époque*, z koloryzowaniem charakterystycznym dla hiszpańsko-amerykańskiego temperamentu. Aureliano zaczyna od uroczego zapewnienia matki o swoim przywiązaniu i szacunku. Nie uczyniłby nigdy nic niezgodnego z jej wolą; zawsze będzie słuchał jej rad i postępował zgodnie z opiniami tej najrozsądniejszej z inspiratorek. Ale oto nagle w grę wchodzi jego szczęście i przyszłość. Nieraz już wspominał matce o młodej, pięknej i czarującej Rosicie. Faktem jest, że ma ona nieszczęście nosić nazwisko Finkelstein. Jej ojciec, postać szeroko znana w kręgach amerykańskiej finansjery i interesów, blisko związany z Vanderbiltemi, pochodzi z Polski. Powiodło mu się i wszedł w posiadanie fortuny, która, choć nie zawrotna, jest już całkiem pokaźna. Jest Żydem. Aureliano wie, że matka może żywić wobec Żydów pewne obiekcje, a nawet uprzedzenia i doskonale to rozumie. Wierzy jednak, że akurat ci są lepsi od innych – a nuż przypadną jej do serca. Tak czy inaczej, zaklina ją, by nie dała się ponieść uprzedzeniom, bo to by mogło go drogo kosztować, i by osądziła tylko na podstawie tego, co sama

zobaczy.

Finkelsteinowie wyznają ściśle i surowe zasady moralne. Wszystkie informacje, jakie zebrał o tej rodzinie, zgodnie zaświadcza o szacunku i uznaniu, jakim się cieszą. Matka jest Brazylijką i gorącą katoliczką. Rosita jest również katoliczką i to pobożną. Także ich dzieci, ma się rozumieć, będą katolikami. Religia doprawdy nie stanowi tu żadnego problemu. I tylko to nazwisko... Ale czyż nazwisko Romero, rozślawione przez ukochanego i tak młodo zmarłego ojca, przez dziadka, generała i towarzysza Bolívara, przez przodków konkwistadorów, nie jest samo w sobie wystarczająco świetne?

Kilka lat temu rodzinę Finkelsteinów dotknęła tragedia. Nieznani sprawcy uprowadzili młodszego brata Rosity i niewykluczone, że zamordowali. Do dziś nie zdołano zgłębić i wyjaśnić tej tajemnicy. Finkelsteinowie stawili czoło nieszczęściu z rzadko spotykaną godnością. Matka dziewczyny ma na imię Cristina Isabel. Jest jeszcze bardzo młoda i widać, że kiedyś była piękną. Ojciec, Jeremiasz jest mężczyzną szczupłym i suchym, o rudych włosach, niezwykle mądrym, nienagannie wytwornym i o imponującej prezencji mimo niewysokiego wzrostu. Niech tylko przyjedzie, ona, jego cudowna i uwielbiana matka, niech tylko przyjedzie, a i jej udzieli się urok Rosity, która myśli i marzy wyłącznie o jednym: by zostać jej synową.

Wiesz, jak niezmiennym darzę Cię szacunkiem i gorącym przywiązaniem. Nie ma na świecie drugiej osoby, którą kochałbym bardziej od Ciebie. Szczęście moje byłoby całkowite, gdyby moje życie odtąd mogło się potoczyć między dwiema najdroższymi mi kobietami, które po równi pragnę obdarzać miłością.

Całość kończą zwyczajowe czułości. Tak jak w całym liście, jest w nich coś pompatycznego i afektowanego, wynikającego nie tyle z braku szczerości, ile z ograniczającego Aureliana niedostatku spontaniczności, a może i wyobraźni.

Nicolas wynajął pokój w pierwszym z brzegu pensjonacie i przespał piętnaście godzin. Nazajutrz rano, świeżo ogolony, przeanalizował sytuację.

Nie miał żadnego planu. Najprostszym rozwiązaniem byłoby udać się do Wrońskich. Był prawie pewny, że kiedy tylko minie pierwsze

zaskoczenie, Marie Wrońska z radością go powita. Naturalnie nie miał wątpliwości co do przyjęcia, jakie zgotuje mu Nadia. Ale upojenie myślą, że jest w Wenecji, uroda miasta, chęć wykorzystania efektu zaskoczenia, jak również to, że przyjechał bez pozwolenia i bez uprzedzenia, skłaniały go do postąpienia inaczej. Chciał pojawić się znienacka, jak w teatrze, przydając ponownemu spotkaniu z Nadią aury romantyczności, o którą cała ta sceneria aż się prosiła. Przeprowadził się przez lagunę do San Giorgio. Stamtąd ruszył na Giudekkę z nadzieją, że może uda mu się, niby przypadkowo, spotkać pannę Wrońską, kiedy będzie wychodziła z domu.

Bez trudu odnalazł dom, który jeszcze w Szwajcarii nieraz opisywały mu Marie i Nadia. Od strony ulicy nie widać było jego wewnętrznych dziedzińców i ogrodów, ale Nicolas od razu poznał budynek, chociaż nigdy go nie widział. Stał nad wodą, w miejscu, z którego mógł obserwować wąską uliczkę, od której nie odbiegały żadne przecznice, prowadzącą pod sam dom. I czekał.

Czekał długo. Minał ranek, a Nadia się nie pojawiała. W połowie dnia poczuł głód. Udał się więc do restauracji, skąd mógł nadal obserwować wylot wąskiej uliczki prowadzącej do domu Wrońskich. I tu uśmiechnęło się do niego szczęście. Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch ubranych z przesadną elegancją młodzieńców, którzy pół po włosku, pół po angielsku, z wyszukaną intonacją i z akcentem w każdym z języków właściwym dla drugiego rozmawiali o odbywającym się tego wieczoru w pałacu M*** nad Canal Grande przyjęciu, na które mieli zabrać ze sobą Nadię Wrońską.

Brian O'Shaughnessy, ledwie wylizawszy się z rany, myślał wyłącznie o jednym: dołączyć do Kitchenera w Sudanie. Przy poparciu Cecila Rhodesa dość szybko udało mu się to zrealizować i zdążył akurat na czas, by wziąć udział w bitwie pod Omdurmanem u bram Chartumu, będącej odwetem za klęskę, jaką zgotował Gordonowi Mahdi, i pośród upału i piasków pustyni stać się świadkiem rozgromienia derwiszy u zbiegu Nilu Białego z Błękitnym. W swoich listach do matki – pamiętacie, Sybil O'Shaughnessy, z domu McNeill, córki lorda Landsdowna, wnuczki maharani i żony Seana O'Shaughnessy'ego – Brian nie kryje dumy, że w tak młodym wieku jest już związany

z ludźmi tak wyjątkowymi jak Jameson, Cecil Rhodes i generał Kitchener, który w randze sirdara dowodził pod Chartumem armią anglo-egipską. Jego zachwyty na tym się nie kończyły. W kilka tygodni po przybyciu na miejsce i po bitwie o Chartum Kitchener, a w ślad za nim Brian, wkroczył na czele dwudziestu tysięcy żołnierzy do małej wioski nad Nilem, gdzie od niedawna działała naukowa stacja francuska licząca około dwustu ludzi pod dowództwem pewnego kapitana, który za cenę niewyobrażalnych trudów i znoju przedostał się tu znad zakola Nigru i Zatoki Gwinejskiej. Francuski kapitan nazywał się Marchand, a wioska – Faszoda.

Sybil O'Shaughnessy pisała do syna alarmistyczne listy o roznamiętnieniu umysłów w Anglii i Francji oraz napięciu między tymi krajami. Brian odpowiadał, że trudno by o kogoś mniej antyfrancuskiego niż Kitchener, który jako dwudziestolatek zaczynał karierę w służbie Francji i w 1870 roku walczył w armii Chanzy'ego z Prusakami. W Glangowness listy od Briana odczytywane były na głos w obecności sąsiadów, którzy wpadli na herbatę, oraz weekendowych gości. Nazwisko Kitchenera stało się w Anglii równie sławne, co Marchanda we Francji. Jeden, żołnierz francuskiej armii kolonialnej z małą bródką, który walczył z Samorym, muzułmańskim wojownikiem i okrutnym handlarzem niewolników, pokonany został bez walki i z honorem; drugi, twardy, despotyczny, lojalny, z bujnym wąsem i przedziałkiem we włosach na modłę brytyjską, kroczył od zwycięstwa do zwycięstwa.

Przydzielony do niego Brian wkrótce został jego adiutantem. Życie w angielskich koloniach w czasach Wiktorii i Edwarda VII – którego echo odnajdujemy w książkach Kiplinga i Forstera, a także w dających o nim pewne wyobrażenie filmach równie sławnych jak *Cztery pióra* czy *Życie bengalskiego lansjera* – upajało młodzieńca; w brytyjskiej armii i administracji nie tylko nawiązał znajomości i przyjaźnie, między innymi z Winstonem Churchillem, którym wierny pozostanie przez całe życie, lecz także odnalazł swoje powołanie, swoją drogę królewską. Rozkwitał w tym świecie pustyni, szabli, koni, sztandarów łopoczących na tle nieba, braterstwa między mężczyznami tego samego wykształcenia i tej samej rasy, pośród podporządkowanych im tubylców,

którzy powoli wdrażali się w styl życia imperium. Wieczorami, kiedy nad Nilem zachodziło słońce, lub pośród bezkresu pustyni, popijając alkohol w towarzystwie innych członków sztabu Kitchenera, był dumny, że jest Anglikiem.

Kończyło się stulecie. Ostatniego roku XIX wieku, który zaczynał się pod znakiem podwójnego triumfu romantyzmu i Napoleona Bonaparte, a kończył w chwale imperium brytyjskiego rozciągającego się na cały świat, Brian O'Shaughnessy w Kairze, w Aleksandrii, w Chartumie, na szlakach Górnego Egiptu zastanawiał się, dokąd zaprowadzi go los, odtąd ściśle związany z Kitchenerem. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Przed dwoma czy trzema laty, kiedy Brian leżał w szpitalu w Kapsztadzie, zelektryzowała go wieść, że armia sirdara posuwa się w górę Nilu w kierunku Chartumu. I oto tu, nad Nilem, niczym odbita echem dobiega go nowina, że na południu Afryki szaleje wojna, prawdziwa wojna. Anglia, chętna skończyć raz na zawsze z państwami burskimi, raz jeszcze powołując się na sytuację uitlanderów, zażądała od prezydenta Krügera posunięć, na które ten nie chciał się zgodzić. W październiku 1899 roku wybuchła wojna.

„Tu już nie chodzi o działania zaczepne, jak wypad Jamesona przed trzema laty – pisał Brian do matki. – Wiem od Kitchenera, że z Anglii i Australii nadciąga wojsko i amunicja. Pechowo dla mnie, tamtejsza wojna potrwa krótko. Za nic nie starczy mi czasu, żeby załatwić sobie przeniesienie z powrotem do Kapsztadu i zdążyć przed ostatecznym zwycięstwem”. Okrutnie się mylił. Wojna burska trwać będzie dwa i pół roku, Anglicy zaś zaangażują w nią blisko pół miliona ludzi, wśród których znajdzie się generał Kitchener oraz dwóch jego towarzyszy: młody Winston Churchill oraz porucznik – wkrótce awansowany na kapitana – O'Shaughnessy.

Nicolas przez całe popołudnie szukał stroju nadającego się do włożenia na findesieclowy bal maskowy. W końcu zdecydował się na mało oryginalny i niezbyt drogi kostium medyka weneckiego z czasów dzumy. Wielu zaaferowanych dostawców wspominało mu o wieczornym balu, na który zaproszona była cała Wenecja. Wkrótce po zachodzie słońca zaczął się przygotowywać. A spojrzawszy w lustro, sam był zdziwiony: w czarnym kostiumie, z dużą spiczasto zakończoną maską

jak z weneckich obrazów o mało się nie przestraszył na swój widok, ale też uznał, że prezentuje się całkiem nieźle. Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy wsiadł do gondoli i w oczekiwaniu na rozpoczęcie balu kazał się wozić po Wenecji. Gondola sunęła bezszelestnie; szmer wody przerywały jedynie okrzyki gondoliera na skrzyżowaniach kanałów. Za gettem, od strony Abbazii i kościoła Madonna dell'Orto, gdzie pochowany jest Tintoretto, mijał ubogie, niemal wyludnione dzielnice, gdzie jakieś na wpół nagie dzieci bawiły się pustymi pudełkami i kawałkami drewna. Może dlatego że jego własnemu życiu brakowało solidnego fundamentu, że rzucało nim zależnie od okoliczności, nad którymi nie miał żadnej kontroli, Nicolasa nic tak nie fascynowało, jak ludzkie przeznaczenie. Co czeka te weneckie dzieci, wzrastające pośród piękna, a zarazem nędzy? Za sprawą przypadku lub własnych talentów jedno lub dwoje wyrwie się ze swego świata, ale reszta zostanie i dalej podążać będzie tą koleiną, w którą rzucił je los. Później znów one staną się tym, kim są dziś ich rodzice, i napłódzą dzieci, które za dwadzieścia lat będą tym, kim one są teraz. On sam udaje się na bal bogaczy i utracjuszy, którzy zostali nimi również drogą dziedziczenia, by spotkać tam tę, którą kochał, jedyną być może zdolną nadać jakikolwiek sens jego życiu. Poczuł, jak wzbiera w nim czułość do Nadii, a zarazem gniew i odraza do świata, w którym na co dzień żyła, a o którym sam miał dość mgliste pojęcie. Zastanawiał się, czy to możliwe, by młoda, wyrosła wśród zbytku i uprzedzeń dziewczyna prawdziwie zainteresowała się chłopcem nieznanym nikomu, który w dodatku nie wie nic nawet o sobie. Ale mimo tych wątpliwości i rozterek jednego był pewny: że potrzebowała go w równym stopniu, co on jej. Zapadała noc. Poleciał gondolierowi zawrócić na Canal Grande, na który ściągała już nieprzebrana liczba gondoli z tureckimi sułtanami i żonami dożów, i płynął do pałacu M***.

Oczywiście w tym miejscu znów odtwarzam tylko, jak umiem, uczucia i refleksje Nicolasa. Możliwe, że myślał zupełnie inaczej, z cynizmem, z obojętnością, ze znużeniem, albo że nie myślał w ogóle o niczym. To, co robię, przypomina trochę układankę, śledztwo, policyjny raport. Na podstawie tego, co wiem, na podstawie tego, czego się domyślam, proponuję rekonstrukcję, która wydaje mi

się najbardziej ze wszystkich wiarygodna. A nawet już teraz wiem, że tu i ówdzie myślę się i że wiele szczegółów wyglądało inaczej. Obawiam się zwłaszcza, że w mojej chronologii jest trochę bałaganu. Zresztą wcale nie twierdzę, że wszystkie wydarzenia relacjonuję we właściwej kolejności. Napływają one do mnie nieco na chybił trafił, w rytm przeplatających się i wzajem sprzecznych wspomnień. Próbuję nadać im trochę klarowności, ale nie zawsze mi się to udaje. Wszyscy oczywiście wiedzą, że Faszodę i wojnę burską sytuuję właściwie. Ale wiele aspektów życia Marie, Nadii, a tym bardziej Nicolasa, słabiej niż życie Aureliana Romery, a co dopiero Briana, osadzonego w politycznych i społecznych ramach historii, pozostaje dla mnie nadal niejasnych. Z licznych rozmów z bardzo wiekowymi już Wenecjanami wnioskuje na przykład, że słynny bal u M*** miał miejsce co najmniej pięć czy sześć lat wcześniej niż przygody Briana O'Shaughnessy'ego w Afryce. Wygląda na to, że ów sławetny bal wydany został jeszcze za rządów Francesca Crispiego – niektórzy świadkowie utrzymują, że przypuszczalnie i on brał w nim udział w anonimowym przebraniu weneckiego doży – i znacznie wyprzedzał w czasie powstanie Menelika przeciw włoskiemu protektoratowi, klęskę pod Aduą oraz upadek Crispiego, zbiegający się mniej więcej z niepowodzeniem rajdu Jamesona.

Wyraźnie też widzę, że opowiadając o pierwszym dniu Nicolasa w Wenecji, niepokój księżnej na widok dostrzeżonej w lustrze twarzy Vittoria usytuować należy znacznie później. Nieważne: wszystkie te obrazy, tak często chodzące mi po głowie, napływają do mnie dość chaotycznie, a zresztą nie zamierzam zaprezentować wam kolejnego komiksu czy jednej z tych tablic chronologicznych i genealogicznych służących niegdyś pomocą działwie szkolnej w nauce historii Francji, Anglii czy Niemiec, ile raczej próbuję wskrzesić, na pewno dla własnej, zabarwionej lekką melancholią przyjemności, ale może i dla waszej, cały ten miniony świat, który we mnie nadal żyje.

Czarny medyk w spiczastej masce bez trudu przedostał się przez podwójną zaporę weneckich gondolierów i francuskich lokajów, którzy odganiaли gapiów i przepuszczali gości. Na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie królowała ogromna galowa gondola z końca XVII lub początku

XVIII wieku i skąd na wyższe kondygnacje prowadziły szerokie marmurowe schody, arcydzieło i wzór architektury renesansu, wchłonął go niezwykle i pstrokaty tłum, pośród którego tłoczyły się pasterki, marynarze, kurtyzany Carpaccia z wysmukłymi chartami i kilku świętych Jerzych prowadzących na smyczy bassety lub malutkie małpki przebrane za smoki. Pod naporem ludzkiej ciżby medyk znalazł się przy schodach i jak wszyscy zaczął po nich wchodzić na górę. Na pierwszym piętrze, w otoczeniu wspaniałych tapiserii z Flandrii i Gobelins oraz szesnastowiecznych mebli, księżna, przebrana za Esterę Veronesego, samotnie witała gości z uśmiechem i pełną gracji. Z tyłu za nią dwa czy trzy bufety uginały się pod obfitością pasztetów i owoców. Nicolas przechadzał się, gorączkowo wypatrując Nadii; wydawało mu się, że rozpoznaje ją pod każdą maską i każdym przebraniem. Kolejno brał ją za faworytę z haremu, zapłakaną Desdemonę w czarnej koronkowej maseczce, grecką wieśniaczkę. Starał się jak najszybciej obejść wszystkie salony, tak żeby jego inkwizytorskiemu oku nie uszła żadna młoda kobieta.

Wszedł na drugie piętro. Tutaj ogromne sypialnie – z oknami na Canal Grande – pozamieniano w małe saloniki, w których zamaskowane postacie wymieniały zwierzenia, komplementy, słodkości i przysięgi. Zaglądał do wszystkich po kolei, przystając to przy łożu, to przy oknie i od czasu do czasu zamieniając kilka słów, by usłyszeć głos, który może rozpozna. Zaczynał go ogarniać zawrót głowy. Cały ten blask, całe to złoto, całe to ożywienie odurzało go i budziło w nim lęk. Czuł się zagubiony, nikomu nieznany. Jakaż przepaść dzieliła go od tych ludzi, którzy śmiali się, głośno rozmawiali, pili szampana, a ich czoła i szyje zdobiły istne fortuny! Nienawidził ich, bo podejrzewał, że to wszystko znajomi Nadii, wznoszący wokół niej mur komfortu i kompromisów, przez który nigdy nie uda mu się przedrzeć. Ogarniała go rozpacz: a jeśli w tym tłumie nigdy jej nie odnajdzie? I jakże ona, która go przecież nie szuka, która nie podejrzewa nawet jego obecności na balu, rozpozna go w tym stroju i pod tą maską?

Wyobraził sobie, że z tej czy innej przyczyny nie przyszła na bal; że towarzyszy jej narzeczony, z którym zaręczyła się poprzedniego dnia albo nawet dzisiaj; że w jakimś ustronnym kąciku rozmawia

z wielbicielem. Nagle jednak zauważył przebranego za kardynała i z odkrytą twarzą jednego z młodzieńców, którzy rozmawiali w restauracji na Giudekce o balu i zamierzali towarzyszyć Nadii Wrońskiej. Nicolas postanowił, że będzie go śledził, a ten może zaprowadzi go do niej.

Mężczyzna w purpurze wchodził kolejno do kilku pomieszczeń, wychylił kieliszek w bufecie, po drodze zamieniał kilka słów z różnymi kobietami i dziewczętami, z których żadna nie była Nadią. Nicolas był już znowu bliski rozpacz, gdy nagle dostrzegł – wciąż nie spuszczać z oka kardynała i wypatrując Nadii – pewne poruszenie. Patrzył zaintrygowany. Z drzwi jednego z pokojów wychodził co jakiś czas wysoki zaafierowany lokaj i po chwili wracał z jakimś dużym przedmiotem, okrytym zgrzebnym płótnem, spod którego skapywały krople – wody? wina? a może krwi? Wychodząc z pokoju, za każdym razem zamykał go za sobą na klucz. Jego nieobecność trwała trzy, cztery minuty, po upływie których wracał ze swoim ciężarem, wyjmował klucz, otwierał drzwi i znów je za sobą zamykał na jakieś dwadzieścia minut. Nicolas widział, jak trzy razy tak wchodził i wychodził. Gdy służący wrócił po raz trzeci, Nicolas postarał się, aby po dwudziestu minutach znaleźć się pod drzwiami. I faktycznie, znów zobaczył służącego opuszczającego pokój. Ale tym razem w scenariuszu zaszła drobna zmiana. Służący zamknął drzwi na klucz i przywołał do siebie stojącą za bufetem młodą pokojówkę. Szepnąwszy jej kilka słów na ucho, wsunął w dłoń jakiś przedmiot, prawdopodobnie klucz, i zniknął. Pokojówka otworzyła kluczem drzwi i weszła do tajemniczego pomieszczenia. Coraz bardziej tym wszystkim zaintrygowany Nicolas postanowił nie spuszczać oka z drzwi. I słusznie, jak się później okazało. Po upływie kwadransa pokojówka wybiegła wyraźnie wstrząśnięta, z odwróconą twarzą. Zatrzasnęła za sobą drzwi, ale nie zamknęła ich na klucz. Ogarnięty najbardziej fantastycznymi podejrzeniami Nicolas nie wahał się ani chwili. Upewniwszy się spojrzeniem, że jest jedynym, który zauważył, co dzieje się w tej części balu, przekręcił gałkę, uchylił drzwi i mówiąc sobie, że jeśli zostanie przyłapany na gorącym uczynku, zawsze przecież będzie mógł powiedzieć, iż zrobił to przez pomyłkę lub roztargnienie, wsunął głowę do pokoju. To, co ujrzał, sprawiło, że

zmarł z zgrozy. Na łożu z lodu, między czterema wielkimi gromnicami rzucającymi na ściany chybotałe światło, spoczywał białobrody starzec o woskowej twarzy. Na podłogę skapywały powoli krople rozpuszczonego lodu w rytm kontrastujący z wiedeńskimi walcami, których stłumione echa dobiegały aż tu, do tego grobowca urządzonego naprędce pośród frywolnych rycin i poduszek z żółtego jedwabiu. Nicolas wyciągnął drżącą rękę. Mężczyzna w czerwono-czarnym stroju – prawdopodobnie Otella – był martwy i już zimny. Walcząc z ogarniającym go omdleniem, medyk z czasów zarazy szybko wybiegł z pokoju. W rozgwarze rozmów i tańców nikt nie zdawał się zwracać uwagi na chwiejny i niepewny krok mężczyzny w spiczastej masce. W połowie wielkich schodów, biegnąc przed siebie na oślep, Nicolas wpadł na Nadię. W diademie na czole, przebrana za morską boginkę, wyglądała przepięknie.

W czasie, kiedy Nicolas spotyka Nadię na balu u księżnej M*** w Wenecji, gdy Aureliano Romero, argentyński dyplomata w ojczyźnie Waszyngtona, Monroego i Abrahama Lincolna uważa się, z nieco spóźniającym się błogosławieństwem matki, za narzeczonego Rosity Finkelstein, córki polskiego Żyda i brazylijskiej Mulatki, gdy Brian O'Shaughnessy w Afryce Południowej, potem w Egipcie, potem znów w Afryce Południowej, a już wkrótce w Indiach wiąże swoje losy z sir Cecilem Rhodesem i lordem Kitchenerem, w Guadalajarze w północno-zachodnim Meksyku młody Paco Rivera podąża drogą swego przeznaczenia. Odtąd jego życie jest już przesądzone. Bogaci wybierają; biedni się podporządkowują. Paco Rivera zostanie wybitnym duchownym. W szkole, w seminarium jest spokojny i posłuszny, niekiedy tylko nagle odzywa się w nim gwałtowność przejawiająca się w ruchach i spojrzeniu. Ukrywa to, jak może. Ze wszystkich sił pragnie zostać dobrym księdzem i pasterzem dusz. niesprawiedliwość budzi w nim bunt. Przemoc – grozę. W religii katolickiej, którą jego rodzina wyznaje od prawie trzystu lat – lecz zaledwie trzystu, co jest i dużo, i niewiele – najbardziej kocha sprawiedliwość, pokój, miłość między bliźnimi. Może któregoś dnia zostanie świętym, wielkim mistykiem, apostołem, męczennikiem? Czuje w sobie żarliwość, która pozwoliłaby mu z radością oddać życie za Jezusa Chrystusa. Niekiedy jednak

oblewają go siódme poty. Uważa, że jak nic czeka go ogień piekielny. Dobiegający gdzieś z dalekiej przeszłości odwieczny zew jego azteckich, olmeckich, tolteckich przodków – tylko czy te zbiorowe wspomnienia, sięgające ledwie czterystu lat wstecz, początków renesansu, druku, reformy rzeczywiście są aż tak odległe? – przyprawia go o nagły dreszcz. A wtedy krew przestaje być już tylko tą, którą Chrystus przez miłosierdzie i miłość przelał za ludzi, lecz staje się krwią nieustannie przelewaną przez nich samych po to, by świat trwał i by nazajutrz znów zaświeciło słońce. Nawet w tych momentach zbłądzenia doktrynę Chrystusową nadal uważa za marzenie o miłości i pięknie. Ale tylko marzenie. Ziemia cierpiących ludzi i okrutnych przodków jest tu, na miejscu, ze swoją twardą rzeczywistością i swoimi wymogami. O Panie Jezu, nie opuszczaj tych, którzy cię kochają i pragną w ciebie wierzyć!

Przerażony Nicolas wyciągnął Nadię z makabrycznego balu. Czarny medyk z czasów zarazy i promienna bogini mórz popłynęli ciemną gondolą kanałami umierającego w nieskończoność miasta. Zrzuciwszy maskę Nicolas pochwyił w ramiona dziewczynę drżącą ze wzruszenia i radości w chłodzie nocy. Wśród pocałunków i czułych słówek opowiedział jej o swoim wyjeździe z Lozanny, o podróży, o tym, z jaką niecierpliwością pragnął ją znowu ujrzeć, o chęci sprawienia jej niespodzianki, o poszukiwaniach w pałacu M*** oblężonym przez maski, o swoim makabrycznym odkryciu. Podobnie jak wielu innych gości Nadia również zauważyła nieobecność księcia na balu. Ale Wenecja – i Rzym, i Mediolan, i Londyn, i Paryż – dopiero następnego dnia miały poznać oficjalną wersję o jego nagłej śmierci o brzasku, po ostatnim w życiu balu. W ciemnościach weneckiej nocy Nicolas wysuwał pospiesznie różne fantastyczne hipotezy: zbrodnia w afekcie, mord rytualny, czarna msza, tajne stowarzyszenie, obrządek inicjacji... Na nowo wezbrała w nim gwałtowna wrogość do świata oddzielającego go od Nadii. Nie powinna pozostawać z dala od niego, pośród takich niebezpieczeństw, w tym bezecnym środowisku, gdzie jedyne funkcjonujące jeszcze mechanizmy to zbrodnia, głupota, płochość i interesowność. Odmalowywał przed Nadią niebezpieczeństwa zagrażające ich miłości, z pasją powtarzając w kółko wszystkie przemyślenia, do których natchnęły go długie tygodnie i miesiące rozłąki

i samotności. Chciał z nią zamieszkać, ożenić się, mieć dzieci. Nie chciał, żeby poślubiła kogoś z tych durniów czy kryminalistów, pływających wokół trupa. Niech spojrzy – jaki piękny jest świat z dala od podłości i głupoty! Ich życie też będzie czyste i piękne. Będzie pracował, dokona wielkich rzeczy, wszystko zdoła zdziałać, mając w niej oparcie. Wie, że jest dla niego stworzona, tak jak on stworzony jest dla niej. Nadia słuchała z uniesieniem. Jej samotne marzenia urzeczywistniały się. Czowała jedność z Nicolasem. Nie trzeba było wcale makabrycznego incydentu na balu w pałacu M***, by rozniecić ich namiętność. Ale ta śmierć wśród masek i weneckiej nocy spełniła ukryte pragnienie sieroty z gór: powrócił w sposób prawdziwie widowiskowy.

Gondola sunęła po cichej wodzie. Z oddali dobiegał śpiew. Po jasno rozgwieżdżonym niebie od czasu do czasu przemykały chmury, by zaraz się rozpląnąć. Ożywienie dwojga młodych z wolna cichło, ustępując miejsca czułości. Trzymali się za ręce i wpatrywali w siebie w milczeniu. Nie mieli sobie już nic do powiedzenia. Byli razem i to im wystarczyło.

Miejsce alpejskich świerków zajęły stare pałace weneckie. Były świadkami tego, co w życiu najbardziej banalne, a zarazem najnowsze: narodzin miłości. Po tych długich dniach próby i niewidzenia się znów są razem, i to na wieczność – na tę krótką wieczność, będącą udziałem człowieka. Już nic ich nie rozdzieli. Byli dla siebie stworzeni. Jakaś nieodparta siła popychała ich sobie w ramiona. Do diabła ze światem. Kochają się.

– *Dove andiamo, signor?*

Raptownie ocknęli się z marzeń. Oprócz nich są jeszcze inni ludzie i sprawy. *Dove andiamo, signor?* Po kres swojego doczesnego żywota, a może i dłużej, Nadia słyszeć będzie te trzy tak zwykłe słowa, które przesądziły o jej losie. I czy to ważne, że ich scenerią jest Wenecja końca XIX wieku? Tym lepiej dla nich, że wybudowali ją dla nich Palladio i Longhena, i Carpaccio, i cały ród Bellinich. Tacy sami byliby na Pigalle, w Soho, na nabrzeżach Nowego Jorku, w slumsach Kalkuty. Kochają się.

– Chodźmy do twojej matki – mówi Nicolas.

– To niemożliwe – odpowiada Nadia.

– Dlaczego? – nie ustępuje Nicolas. – Mam dość szacunku i przywiązania do niej, by mieć pewność, iż darzy mnie poważaniem i przyjaźnią. Chodźmy do niej. Obudźmy ją.

– To niemożliwe – powtarza Nadia.

– Jeśli jest jeszcze na balu, to na nią poczekajmy. Jeśli wróciła, obudźmy ją.

– Niemożliwe.

– To ty tego nie chcesz!

– Ależ chcę, najdroższy, chcę! Nie pragnę nic innego. Ale matki nie ma. Wyjechała tydzień temu do Mediolanu załatwić jakieś sprawy i wraca dopiero jutro.

– Jutro! Jutro!... Nie chcę już dłużej czekać. Czekałem przez całe życie, a moje życie to teraz ty.

– Najdroższy – mówi Nadia. – Najdroższy.

Gondolier jest ledwie zauważalnym cieniem. Tylu już widział takich jak oni. Dla niego tych dwoje to widok znany na pamięć. Tyle że są młodszy i urodziwszy od tych, których zazwyczaj wozi.

– *Dove andiamo, signor?*

Ledwie go słyszą, bez reszty zaprzętnięci sobą.

– Gdzie się zatrzymałeś? – pyta Nadia.

– W pierwszej lepszej gospodzie.

– Odwiozę cię. A jutro tu przyjdiesz.

– Nie możesz wracać sama.

– Więc ty mnie odwieź. A jutro przyjdiesz.

– Na Giudekkę! – rzuca Nicolas w stronę nieporuszonego gondoliera.

I znów płyną w noc, przytuleni do siebie. Kiedy docierają na Giudekkę, nad Wenecją wschodzi słońce.

– Pozwól mi się przespać byle gdzie – błaga Nicolas – w salonie, pod twoimi drzwiami, w służbówce.

– Ale matka... – szepce Nadia. – I służba...

– Czy to ważne? Jutro będziemy...

– Ukochany – mówi Nadia.

Słowa to narkotyk, eliksir, boska trucizna. Kiedy w parze z nimi idą czyny i namiętność ciał, przesądzają o naszym losie. Dziewięć

miesiący później, w tym samym domu na Giudekce, gdzie wcześniej przyszli na świat Nicolas i Nadia, urodziła się ostatnia z Wrońskich.

Namiętność dwojga młodych była burzliwa i krótka. Rosyjska krew Nadii, włoskie korzenie Nicolasa, jedno i drugie idące w parze z indolencją i gwałtownością, i połączone więzami krwi pochodzącej od Marie wspaniale się dopełniały. Naznaczeni przez fatum – czy może raczej nieuchronność, bo cóż bardziej naturalnego od miłości brata i siostry, nieświadomych tego pokrewieństwa? – są dla mnie w całym tego słowa znaczeniu bohaterami nowoczesnej tragedii.

Marie przyjęła przyjazd Nicolasa do Wenecji z pozornym niezadowoleniem, choć tak naprawdę z radością. Kiedy młodzi wyznali, że się kochają, o czym świetnie wiedziała, oraz że chcą się pobrać, nie była zdziwiona i, powodowana sympatią i serdecznością wobec młodzieńca, nie zgłaszała już żadnych zastrzeżeń. Nicolas i Nadia przeżyli w Wenecji kilka dni wielkiego szczęścia. Marie rozmyślała o Piotrze Wasiliewiczu, o Verdim, o własnej młodości i z łagodną melancholią spoglądała na dwójkę dzieciaków wyruszających na te same przechadzki po *campi* i wzdłuż kanałów, jakie przed ćwierćwieczem ona sama odbywała, będąc w ciąży z Nadią. Nicolas napisał do mecenasa Brûlaza-Trampoliniego, zawiadamiając go o swoich zaręczynach i prosząc o usprawiedliwienie jego nieobecności w Szwajcarii przez miesiąc lub dwa. Dodał, że odwiedzi go, by wspólnie porozmawiać o przyszłości i wydać wszelkie niezbędne dyspozycje.

Marie pragnęła, żeby ślub odbył się, jak kiedyś jej własny, w San Giorgio dei Greci. Ale Nicolas był katolikiem i Nadia, choć sama wyznania prawosławnego, chciała, żeby jej dzieci wychowywane były w religii ich ojca. Wahali się, czy wybrać San Zaccaria z piękną, łączącą trzy różne style fasadą wychodzącą na uroczy plac, czy San Nicolò dei Mendicoli, królewski w swym ubóstwie, gdy na nareszcie pogodne niebo rodziny Wrońskich spadł grom: mecenas Brûlaz-Trampolini znał tajemnicę urodzenia Nicolasa.

Z radością i uniesieniem, które nawet jego samego trochę zdziwiły, Brian O'Shaughnessy spotkał się w Kapsztadzie z sirdarem armii egipskiej, generałem Kitchenerem. Sytuacja przedstawiała się nie najlepiej. Anglicy stanęli twarzą w twarz z heroicznym ludem

uzbrojonych wieśniaków. „To tak, jakby atakować Szwajcarów z Grisons albo Unterwaldu” – pisał Brian do matki. Burowie znali każde wzgórze, każdy załom terenu, każdą kępę zarośli na swojej ziemi. Wszyscy mieli strzelby i potrafili robić z nich użytek. Wszyscy mieli konie, które nie były dla nich anonimowymi, poręcznymi wierzchowcami, ale towarzyszami broni, przyjaciółmi, członkami rodziny. Konne grupy Burów nie tworzyły kawalerii z całą kojarzącą się z tym słowem, zwłaszcza w tamtych czasach, elegancją, brawurą, poczuciem kastowości, szalonymi szarżami i rwącymi oczy mundurami; były to raczej grupy centaurów lub amazoнок w ludzkiej skórze, którzy zamiast wypuszczać strzały walili z broni palnej. Była to konna piechota, w siodle wykonująca manewry tak, jakby je wykonywała pieszo, umiejąca wykorzystać na kryjówkę każdy uskok terenu, wyczyniająca co jej się podobało na swoich posłusznych i rącznych wierzchowcach, które reagowały na każde skinienie, opróżniająca w galopie magazynki karabinów tak, jak się strzela z pozycji stacjonarnej do nieruchomego celu na strzelnicy. Z karabinem w dłoni, z pistoletem zatkniętym za pas ci groźni jeźdźcy, którzy walczyli na własnej ziemi i o nią, a wieczorami wracali do domów, by ucałować żonę i dzieci, rezerwa i intendentura tej bezlitosnej wojny, posiadali swój ukryty w olstrach i pod odzieniem talizman: była nim Biblia.

Anglicy nie mieli kawalerii. Ich posiłki i amunicję trzeba było sprowadzać z bardzo daleka, co było bardzo kosztowne i czasochłonne, z Anglii i Australii. Już od samego początku wojny ponosili dotkliwe porażki. Zamiast zająć tak jak zamierzali Transwal i Państwo Orańskie, które sprzymierzyło się z Pretorią, stracili należący do nich Natal, położony na północny wschód od Kapsztadu, na południe od Transwalu i na wschód od Oranii. Niepowodzenie wypadu Jamesona, mającego z założenia znaczenie marginalne, nie przyniosło prawdziwej ujmy honorowi Korony. Inaczej rzecz się miała z odwrotem wojsk angielskich i utratą Natalu. Była to pierwsza poważna porażka, jakiej doświadczył młody Brian. Zniósł ją zupełnie nieźle. Na swą skromną miarę uosabiał on największą może i najistotniejszą z brytyjskich cnót epoki heroizmu: zimną krew w obliczu ciężkiej próby oraz wytrwały upór wobec przeciwności losu.

W umysłach co poniektórych zapanowała lekka panika. Brian zachowywał całkowity spokój, mówił niewiele, rzucał krótkie trafne powiedzonka, zdecydowany nie przyjmować do wiadomości niepowodzeń, co dla nieżyczliwego obserwatora lub po prostu kogoś z zewnątrz zakrawać mogło wręcz na głupotę.

– Powiedz no mi, mój drogi – zwrócił się głównodowodzący do swojego szefa sztabu – kim jest ten młodzieniec sprawiający wrażenie, jakby utratę Natalu uważał jedynie za dość niefortunny zwrot w meczu krykietowym na zamku?

– To porucznik O’Shaughnessy, generale.

– Irlandczyk?

– *Yes, sir*. Ale wnuk lorda Landsdowna.

– Spodziewałem się, że to ktoś tego pokroju. Zawodowy wojskowy?

– *No, sir*. Oksford lub Cambridge, już nie pamiętam.

– Tak też myślałem. Nie szkodzi; niezły. Mianujcie go kapitanem.

– Z wielką przyjemnością, panie generale.

– Lubi pan tego lalusia?

– Bardzo, panie generale. Był ze mną pod Chartumem i Faszodą.

– No, cóż, może coś z niego zrobimy, jeśli nie wzgardzi nami z powodu swoich tytułów i jeśli Burowie go nam nie zabiją.

Głównodowodzącym był lord Roberts, a jego szefem sztabu, który już wkrótce zastąpi go na tym stanowisku – lord Kitchener, oddelegowany w całej swojej glorii z Egiptu do Kapsztadu, by ratować imperium z tarapatów.

Nie, nie wolno ulegać tym diabelskim podszeptom. Trzeba odmawiać *Padre nuestro* i *Dios te salve*, pościć, modlić się, narzucać sobie ofiary i różne drobne pokuty. Z ciałem zlanym potem, z twarzą we łzach Paco Rivera leżał w swojej celi u stóp krzyża. Budziło się w nim zwątpienie. Zaciekle z nim walczył. Wszystko zdawało się przeciw niemu sprzysięgać. Trafiło mu w ręce hiszpańskie wydanie *Życia Jezusa* Renana. Nie mógł się oprzeć, by go nie przeczytać ze zgrozą i rozgorączkowaniem. Kiedy doszedł do wizji Marii Magdaleny dostrzegającej wychodzącego z grobu Chrystusa: „O boska potęgo miłości! Święte chwile, gdy namiętność majaczącej kobiety przywraca

światu wskrzeszonego Boga!” – poczuł drżenie na całym ciele. Zemdlał. Rozchorował się. Zniesiono go do infirmerii. Tam opiekowała się nim Pilar, młoda indiańska pielęgniarka, pobożna w sposób bliski szaleństwa. Patrzyła na niego wielkimi czarnymi oczami i padała przed nim na kolana, prosząc o błogosławieństwo. Kładł dłoń na jej głowie. Wpatrywała się w niego z uniesieniem. Po kilku takich nabożnych seansach podjął próbę odsunięcia jej od siebie. Czepiała się nóg młodzieńca, roniła histeryczne łzy, przytulała głowę do jego drżącego ciała. Oprócz matki, sióstr i ciotek Paco nie znał żadnych innych kobiet. Przyprawiała go mimowolnie o stan wzburzenia, podobnie jak w stan wzburzenia, choć w inny sposób, wprowadził go Renan. Widziała to, czuła to. Komedia z błogosławieństwem zmieniała się w świętokradztwo.

– Posłuchaj, Pilar... – mówił Paco głuchym głosem, odpychając ją od siebie.

Nie słuchała. Przystawała tylko ocierać o niego głowę, zamierając w bezruchu z ramionami oplecionymi wokół kolan młodego seminarzysty skamieniałego ze zgrozy, gdyż czuł wzbierające w nim pożądanie. Któregoś dnia, kiedy zamiast ją odepchnąć, nie mógł powstrzymać się, by nie przytulić jej do siebie, sprawy zaszły trochę za daleko. Myślał, że umrze z rozkoszy, udręki i wstydu.

Brakuje mi w tym miejscu co najmniej dwóch istotnych fragmentów naszej układanki. Zambrano przemówił. Dlaczego? Może dlatego, że dowiedział się o ślubie Nicolasa Cossy’ego z córką hrabiego Wrońskiego. Ale może też i dlatego, że bliski był śmierci i nie chciał zabierać ze sobą do grobu brzemienia tajemnicy. Tak czy inaczej, kierując się skrupułami wynikającymi z uczciwości, spowodować miał katastrofy o wiele większe niż zbrodnie, której w swoim mniemaniu zapobiegał. Może gdyby o niczym nie wiedzieli, Nicolas i Nadia żyliby szczęśliwie do końca swoich dni? Fatalnym zbiegiem okoliczności Zambrano zmarł na gruźlicę w niespełna dwa miesiące po przyjeździe Nicolasa do Wenecji. Dotąd zachowywał milczenie. Z jakiegoś powodu na łożu śmierci, kiedy nie mógł już z nikim rozmawiać, nagle uznał, że musi się wypowiedzieć i wyjawić tajemnicę człowiekowi, z którym pozostawał był niegdyś w kontakcie: mecenasowi Brûlazowi-Trampolinemu. Inna sprawa, o której nic nie wiem, dotyczy

dziecka, którego oczekiwała Nadia. Czy przyznała się do swojego stanu matce? Czy ślub miał z tym jakiś związek, czy też był od niego niezależny? W którymś momencie, przed lub po oficjalnych zaręczynach, przed lub po wyznaniu Zambrana, Nadia musiała przecież powiedzieć matce, że oczekuje – jak głosiła ówczesna formułka, nagle nabierająca ironicznej i gorzkiej wymowy – szczęśliwego wydarzenia. Pewne jest natomiast to, że mecenas Brûlaz-Trampolini napisał do Marie list, w stylu niezwykle wyszukany i ze zbędną oględnością, wyjawiając jej, że jak wynika z oświadczenia osobnika nazwiskiem Zambrano, z którym spotkał się był parę razy w Genewie, jej dziecko urodzone przed dwudziestoma laty nie umarło, że był to chłopiec, wychowywany w Grisons, potem w Rosey, noszący nazwisko Nicolas Cossy, i że ma on niebawem poślubić swoją siostrę Nadię, córkę Marie de Cossigny i hrabiego Piotra Wasiliewicza Wrońskiego.

Na Wrońskich spadło to jak grom z jasnego nieba. Ujawnienie, że dziecko, które dałoby tyle szczęścia hrabinie Wrońskiej, żyje, przyprawiło ją niemal o szaleństwo. Nicolas i Nadia nie śmieli nawet na siebie spojrzeć. Ich miłość była wciąż jednakowo silna, ale od tej chwili potępiona. Ślub odwołano czy też odroczone. W domu na Giudekce zapanował obłęd.

W Wenecji, we Włoszech, w Europie, a nawet w dalekiej Ameryce, za sprawą *small talk* i *gossips* rozsiewanych przez księżną M*** i jej podobne nowina ta, której nie sposób było zachować w tajemnicy, narobiła ogromnego szumu. Przez trzy czy cztery miesiące była tematem wszystkich rozmów. Ilekroć spotkały się trzy osoby z pewnego, dość wąskiego co prawda, kręgu, nie było możliwości, by rozmowa nie zeszła na temat sprawy Wrońskich. A potem, jak to zwykle bywa, górę wzięło znużenie, przyszły inne wydarzenia i cała sprawa poszła w zapomnienie.

Ale troje Wrońskich zapomnieć nie mogło. Przez długi czas próbowałem wyobrazić sobie, jak Marie przyjęła tę nowinę; jak przekazała ją obojgu swoim dzieciom. Czy zebrała ich razem i oznajmiła, że są rodzeństwem? Czy powiedziała o tym każdemu z osobna? Czy brała pod uwagę to, że mogłaby przecież wymóc na genewskim notariuszu zachowanie tajemnicy, a prawdę, upajającą

i straszną, zachować dla siebie? Zastanawiam się też, w jakim stopniu na szczęściu z powodu odnalezienia własnego dziecka zaciążyła groza, którą odczuwała na myśl i na widok syna i córki.

Nicolas próbował zbagatelizować rewelacje notariusza. Cóż, są rodzeństwem. I co z tego? Tym łatwiej zrozumieć ich miłość. A zresztą Nadia jest tylko jego przyrodnią siostrą, co już w znacznym stopniu zmniejsza ryzyko związane z małżeństwem między krewnymi, które zresztą nie zawsze i nie wszędzie było oficjalnie potępione. I znów powrócił nieunikniony wątek Egiptu faraonów i większości rodów królewskich, i Borgiów o fatalnie się kojarzącym, choć z innych powodów, nazwisku, i tylu nieznanymi rodzin chłopskich, prowadzących się wcale nie gorzej od rygorystycznych mieszczuchów. Przesady i zasady należy mieć w nosie i śmiało stawiać im czoło. Ale z przyczyn społecznych, moralnych, religijnych, z powodu niejasnych zakazów sięgających zarania dziejów, Nadia nie mogła. Marie również nie.

A dziecko? Co w takim razie zrobić z dzieckiem? Czy powinno się je usunąć, bo tak nakazuje zwyczaj, rodzinna tradycja, zapytywał Nicolas z okrutną ironią. Nadia z okrzykiem rzuciła mu się w ramiona.

– Cóż – mówił Nicolas – prawda powoli wychodzi na jaw. To ja powinienem się usunąć. Powrócić w ten niebyt, którego nie powinienem być nigdy opuszczać.

Ślub Aureliana Romery i Rosity Finkelstein w asyście licznych gości odbył się w kościele Świętego Patryka, nowej katedrze katolickiej w Nowym Jorku ukończonej przed zaledwie dwudziestoma laty. Wśród zgromadzonych znalazło się wielu przedstawicieli wielkiej finansjery nowojorskiej, dyplomaci przybyli z Waszyngtonu, kolonia argentyńska w komplecie, zwarta grupa żydowskich dostojników, sporo polskich emigrantów, niezliczone rzesze przedstawicieli świata wielkich interesów, z którymi Jeremiasz Finkelstein utrzymywał kontakty, kilku przywódców związkowych, prasa, ludzie z towarzystwa oraz tłumy gapiów. Conchita Romero odbyła długą podróż z Buenos Aires do Nowego Jorku, by uściskać głęboko wzruszonego Aureliana oraz z niejaką nieufnością przyjrzeć się matce swoich przyszłych wnuków, którą wolałaby wybrać sama. Jeremiasz Finkelstein zajmował miejsce w pierwszym rzędzie, mimo dość ciepłej pogody ubrany w jedną ze

swoich sławnych pelis. Był wyraźnie kontent z powodu szczęścia córki oraz tego małżeństwa, będącego spełnieniem jego oczekiwań. Postarzał się. Wielu z obecnych tego dnia w kościele Świętego Patryka widziało go po raz pierwszy od dłuższego czasu. W odróżnieniu od regularnych spotkań, takich jak wyścigi, uroczyste kolacje, rady nadzorcze czy bale dobroczynne, śluby i pogrzeby, czyli wydarzenia towarzyskie o charakterze z założenia niecodziennym, gromadzące ludzi, którzy od dawna stracili się z oczu, stanowią, a zwłaszcza stanowiły kiedyś, niebezpieczne punkty orientacyjne i kamienie milowe upływającego czasu. Czas ten płynął także dla bystrego i rzutkiego młodego Polaka, który z górami trzydzieści lat temu postawił stopę na nabrzeżu Nowego Jorku. Nigdy, przy pomocy żadnego magicznego zwierciadła, żadnej przepowiedni wróżki nie byłby w stanie wyobrazić sobie, że poślubi kiedyś Brazylijkę, że jedno z jego dzieci zostanie porwane, że stanie się ważną postacią najpierw początków ruchu związkowego, a później kapitalizmu przemysłowego, że w obecności ludzi reprezentujących, jak już wyżej wspomnieliśmy, grube miliony dolarów, wyda córkę za argentyńskiego dyplomatę.

Uroczystość dobiegała końca. Cristina Isabel w ogromnym kapeluszu nie miała już nawet siły płakać. Rozmyślała o swoim ojcu, o matce, o biednym małym Simonie, o szczęściu córki. Wszystkie te emocje ją przytłaczały. Zgromadzeni śpiewali hymny kościelne, gdy nagle z kąta kościoła, najpierw nieśmiało, a potem z coraz większą siłą, rozległa się stara polska pieśń ku czci Matki Boskiej Częstochowskiej. Oczy Jeremiasza, spoglądającego na córkę z dumą i poczuciem szczęścia, nagle wypełniły łzy. Był Żydem, to prawda. Oczywiście amerykańskim. Ale był także Polakiem.

Grecy z okresu klasycznego wyobrażali sobie, że delfijski omfalos jest środkiem świata. Rzymianie z pozorną słuszością uważali swoje miasto – Miasto *par excellence* – za stolicę wszechświata. Chińczycy nazywali swoje państwo Cesarstwem Środka. Niejedno prymitywne plemię uważało swoich członków za jedynych godnych miana człowieka. Weneccy dożowie z okresu największej świetności Najjaśniejszej Republiki Weneckiej z wyszukaną skromnością świątłych żeglarzy i kupców zadowalali się dodaniem do swoich niezliczonych

tytułów miana panów jednej czwartej świata romańskiego. Dziś już wszyscy wiemy, że nasza planeta – a niewykluczone, że i wszechświat – nie ma środka, i że żadna z ras nie posiada monopolu na człowieczeństwo. Ale Landsdownowie z Glangowness z uporem trwali w przekonaniu, że Wyspy Brytyjskie stanowią wzór wszelkiej cywilizacji. Robili wszystko, by zachować w stanie nienaruszonym to, co stanowiło o ich wielkości, tak by reszta świata mogła po trochu korzystać z tego blasku i rozwijać się w ich cieniu.

W tamtych czasach nietolerancja była najwyższą cnotą. Religia, ojczyzna, rodzina i nazwisko pozostawały poza wszelkim podejrzeniem. Najmniejsze nawet zwątpienie w ich niezrównaną doskonałość odebrałoby wszelki sens postępowi historii. Czas długo pozostawał zamkniętym obszarem, mającym być świadkiem ich triumfu. Pojęcie zmiany i schyłku zaczęło siać spustoszenie dopiero wraz z filozofią oświecenia, a zwłaszcza z kosmicznym dramatem Rewolucji Francuskiej. Czas przestał być sprzymierzeńcem pozostającym poza wszelkim podejrzeniem. Nie wystarczyło już tylko się nim posługiwać; trzeba było nauczyć się stawiać mu czoło. Wspomagani przez O'Shaughnessych, których irlandzka krew czyniła ludźmi drugiego planu, często rozdartymi między wzajem sprzeczne poczucie lojalności, Landsdownowie z Glangowness traktowali czas z osobliwą mieszanką nieufności i uporu.

Ich miejsce znajdowało się w samym centrum wspaniałej sieci, której oczka tkła Navy. Wszystkie odgłosy planety od Egiptu po Afrykę Południową, od Kanady po Indie, Australię, Nową Zelandię zdawały się zbiegać w ciszy prastarych sreber i antycznych mebli zgromadzonych pod wysokimi plafonami zamku Glangowness, wspaniałego i nieco komicznego wskutek neogotyckich przeróbek. Stangreci, psiarczyki, pokojówki, dzierżawcy, pastor utrzymywali mistyczne więzy z młodym Brianem, który na rubieżach imperium prowadził słuszną walkę w służbie Korony Brytyjskiej. Pustynne piaski i wichry wszystkich równin docierały do stopni kamiennych schodów, by umrzeć tu i ożyć na nowo. W budzącej lęk ciszy szkockiej prowincji każda filiżanka herbaty nabierała posmaku eposu.

Tu i ówdzie świat zaczynał się kruszyć. Z tym że raczej gdzie

indziej. Kruszył się we Francji wraz ze śmiercią Ludwika XVI, upadkiem Karola X, wygnaniem Ludwika Filipa, który schronił się w Anglii. Kruszył się w Austrii wraz z klęską pod Sadową. Nawet w Anglii nadkruszyła go wojna o niepodległość zbuntowanych kolonii amerykańskich. Lecz mimo wszystkich tych przeciwności losu imperium brytyjskie pozostawało niezwyciężone. Odradzało się z popiołów. Wciąż wytrwale produkowało wicehrabiów i baronetów, gdy tymczasem francuscy diukowie pogrążali się w smutku i jałowości. Zbuntowani Amerykanie nadal posługiwali się językiem angielskim; stali się kimś w rodzaju nieokrzesanych kuzynów skrzyżowanych z Włochami i zbijających pieniądze na handlu. Od czasu do czasu się ich naciągało, a w nagłych przypadkach i pośród prześmiejców brało ich córki za żony. W stuletniej wojnie z Francuzami, chełpliwymi i śmiesznymi, którzy mieli tylko jedną dobrą rzecz: wina, Anglia w gruncie rzeczy odnosiła same sukcesy. Prusacy, Austriacy, Rosjanie pokonywani byli pod Austerlitz, pod Jeną, pod Frydlandem, pod Wagram, którymi to nazwami ochrzczono tyle alei i mostów Paryża. Anglicy odnieśli zwycięstwo pod Trafalgarem i Waterloo. I nazwali tymi imionami skwer, most i dworzec.

Gdy we Francji Plessis-Vaudreuilowie w Reformacji, w Rewolucji Francuskiej, w umocnieniu się Republiki, w pochodzie czasu dopatrywali się wyłącznie samych katastrof i wstępu do apokalipsy, Landsdownowie bez trudu poradzili sobie z protestantyzmem, Cromwellem, systemem parlamentarnym i habeas corpus. Znakomitą ilustracją stronniczości Boga i jego sympatii dla Brytyjczyków była Faszoda. *Nearer, my God, to Thee – Być bliżej Ciebie chcę* – oznaczało, że Opatrzność wiedziała, po czyjej stronie. Oczywiście, pamiętając o tych wszystkich plebejuszach, którzy bogacili się na prawo i lewo metodami innymi niż ziemia, dzierżawy i konie i nawet nie potrafili przyzwoicie zapolować, należało mieć się na baczności przed upływającym czasem i jego korowodem bezbożników, intelektualistów i rewolucjonistów. Ale, chwała Bogu, Anglia i Szkocja, i w pewnej mierze ta nieznośna, trzymana twardą ręką Irlandia wciąż jeszcze zdolne były stawiać czoło i odpowiadać ciosem na cios, a po prawdzie też powodować i uprzedzać ataki. Cichym refrenem Plessis-Vaudreuilów było za późno oraz już nigdy. Landsdownowie natomiast, bąkając

zawsze i wciąż jeszcze, zastanawiali się, czy mimo ciężkich czasów nie nadeszła pora, by Anglia zapanowała nad światem.

Listy od ich wnuka, Briana O'Shaughnessy'ego, nadchodzące z różnych zakątków ekspansywnego imperium, tylko utwierdzały gości Glangowness w tym spokojnym i pełnym skrywanej egzaltacji przeświadczeniu.

Dla Marie, dla Nadii, dla Nicolasa kilka tygodni czy miesięcy dzielących list mecenasa Brûlaza-Trampoliniego od narodzin dziecka były czasem powolnej gehenny. Tych troje kochających się ludzi zaczęło się nienawidzić. Każde przeklinało dwoje pozostałych i przeklinało samego siebie. A potem cierpienie tamtych popychało ich ku litości, ku czułości i rozpaczy.

Wstyd powstrzymywał ich przed bywaniem w świecie. Żyli zamknięci w domu na Giudekce, nie znajdując w sobie dość siły ani żeby się kochać, ani żeby się rozstać. Wenecja zaczęła im się jawić jako miasto-monstrum. Najpierw prowadzili ze sobą wielogodzinne rozmowy, rozgrzebując przeszłość i porównując wspomnienia. Teraz milczeli, wpatrując się przez okno w odbłask złowieszczonego nieba w wodach laguny.

Marie zastanawiała się, jaką też mogła popełnić zbrodnię, by zasłużyć na tak okrutną karę. Nadia myślała o dziecku, które nosiła w łonie. Czy chciała je zachować? Ale w tym zawałającym się wokół całym jej świecie tylko ono wiązało ją jeszcze z życiem. W nocy często budziła się z krótkiego snu z krzykiem grozy i strachu. Wtedy Nicolas spieszył do niej i brał ją w ramiona. Były to rzadkie chwile wytchnienia i zapomnienia. Nadia przytulała się do brata, nie ośmielając się na niego spojrzeć i z głową przytuloną do piersi zakazanego kochanka mamrotała, nie płacząc, bo zabrakło jej już łez:

– Zostawcie mi go! Zostawcie mi go!

Wstrząśnięty Nicolas, pogrążony w milczeniu, którego już prawie wcale nie przerywał, wiedział, co powinien zrobić. Marie wszystkie swoje nadzieje pokładała we wnuku lub wnuczce, jedynej istocie wolnej od winy za wszystkie te tragedie i błędy. W gruncie rzeczy tylko Nadia musiała przekonać samą siebie. Kres swojej miłości i oczekiwanie na rozwiązanie przeżywała niczym koszmarne sen.

Jakim sposobem w ręce Paca Rivery dostał się *Manifest komunistyczny*? Nie mam pojęcia. Z lekkim poczuciem winy gorączkowo pochłonął jego francuski przekład, z którym odtąd miał się nigdy nie rozstawać. Już podczas pierwszej lektury w tym porywającym, a prostym tekście odnalazł jakby podwójne echo głuchych, sprzecznych głosów, które zawsze powodowały w nim rozdarcie: apel o sprawiedliwość i braterstwo w Ewangelii, krzyk bólu i gniewu uciemżonych Indian. Nie wszystko zrozumiał. Stosunki feudalnego despotyzmu i zarania burżuazji właściwie nic mu nie mówiły. Wiele z cech proletariatu przemysłowego, do którego manifest był adresowany, było dla niego bardzo niejasnych. Z trudem wyobrażał sobie życie niemieckiego robotnika czy górnika francuskiego z wielkich zakładów powstających w Europie w drugiej połowie XIX wieku. Nie miał zielonego pojęcia o ekonomii politycznej. Studia filozoficzne i teologiczne, w których tak celował – ale działało się to w zacofanym jeszcze wtedy Meksyku – lektura dzieł Arystotelesa, świętego Augustyna, świętego Tomasza z Akwinu, *Rozprawa o metodzie*, *Rozważania* Malebranche’a przyczyniły się do otwarcia jego żywego i zdecydowanego umysłu. Ale nigdy nie zaszedł tak daleko, by powiązać wszechświat metafizyki ze światem realnym, a społeczeństwo z filozofią. I oto za pośrednictwem druku, przez morza, dotarły do meksykańskiego seminarzysty, pół Hiszpana, pół Indianina, prorocstwa niemieckiego Żyda. Wołały, że celem i sensem myśli jest uwolnienie ludzi spod ciemną tyranii. Oczyma wyobraźni widział groźną, nieuchronną siłę, która bezładnie prac do przodu, wymiata po drodze niesprawiedliwość i korupcję: była to rewolta ubogich i ciemżonych. „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!”. Paco rozmyślał o swoich indiańskich braciach, o meksykańskich chłopach, o robotnikach rolnych z wielkich plantacji, gnębionych przez potęgę i zachłanność arystokracji ziemskiej. Oni również do stracenia mieli tylko okowy, a do wygrania – cały świat.

Początek wieku zapowiadał się nieźle. Po pierwszych porażkach i zajęciu Natalu listy Briana zaczęły przynosić do Glangowness wieści o zwycięstwach. W połowie 1900 roku w sytuacji w Afryce Południowej nastąpił zwrot: armia burska dostała się do niewoli, państwo Orańskie

przyłączono do Korony Brytyjskiej i zajęto stolicę Transwalu, Pretorię. Prezydent Krüger wyjechał do Lourenço Marques w portugalskiej Afryce Wschodniej, by stamtąd na holenderskim krążowniku popłynąć do Marsylii i Europy, skąd spodziewał się uzyskać pomoc. Kitchener zastąpił Robertsa na stanowisku głównodowodzącego.

W listach do ojca lub matki Brian z podziwem zabarwionym grozą komentuje wojnę prowadzoną przez Kitchenera oraz bezlitosne metody nowego głównodowodzącego, z którym jest ściśle związany jako jego oficer sztabowy. Wobec ogromnej przewagi Brytyjczyków w ludziach i uzbrojeniu i w obliczu ponoszonych ostatnio porażek burscy generałowie De Wet i Botha zmienili taktykę; rezygnując definitywnie z wszelkich otwartych konfrontacji, zaczęli nękać Anglików, mnożąc nagłe wypadki i przechodząc do wojny podjazdowej. Odpowiedzią Kitchenera było pustoszenie kraju, puszczanie z dymem farm i zamykanie nie tylko osób podejrzanych, lecz także niemałej części ludności cywilnej w pierwszych w historii współczesnej obozach koncentracyjnych. O tych właśnie drastycznych metodach opowiada w swoich listach Brian:

Kochana mamo!

[...] Wojna jest straszna, kiedy się ją przegrywa; jest straszna, kiedy się wygrywa. My ją wygrywamy. Nie jestem wcale taki pewny, czy mnie to cieszy. Wczorajszy dzień spędziłem w jednym z tych obozów pod nadzorem naszego przyjaciela Baden-Powella, w których zgromadzono rodziny z terenów zdobytych: to żywa ilustracja nędzy ludzkiej. Nie musisz mi mówić, że Burowie sami wymuszają na nas takie metody wojny i takie, może jeszcze gorsze, metody pacyfikacji, bo sam o tym wiem. Działając pod przymusem, odpowiadamy jednak okrucieństwem na okrucieństwo. Kiedy się to wreszcie skończy?

W obozach sieją spustoszenie tyfus, cholera i wszelkie możliwe epidemie. Byłem świadkiem wstrząsających scen: matka z martwym dzieckiem w ramionach, trzyletnie maluchy niemające już nikogo, kto by się nimi opiekował, i którym kapral czy sierżant nalewali trochę mleka, ranni z amputowanymi członkami, w niekończącej się agonii. Niestety zwyciężonych nie daje szczęścia zwycięzcom i takie widoki zniechęcają do bycia żołnierzem... Podobno gazety niemieckie

i francuskie zamieszczają straszne opisy tego, co się tutaj dzieje. Nie udało mi się żadnej zdobyć. Może któraś trafiła w Twoje ręce?

Jestem przekonany, że obrót, jaki wzięła wojna z Burami, skłonił Briana O'Shaughnessy'ego do wystąpienia o przeniesienie do Indii, które dopominały się o oficerów i agentów wywiadu, by stawić czoło manewrom Rosjan w Azji Środkowej. Na kilka miesięcy przed zawarciem pokoju w Pretorii kładącego kres wojnie, Brian wyjechał z Afryki Południowej. I tym razem tylko ubiegł Kitchenera, który wkrótce mianowany został naczelnym dowódcą wojsk indyjskich. Dziennikarzowi „Timesa” pytającemu go o plany dawny sirdar armii anglo-egipskiej, znienawidzony przez Burów głównodowodzący sił brytyjskich w Afryce Południowej, odpowiedział: „Jak zwykle – *as usual* – dołączę do kapitana O'Shaughnessy'ego”.

Urodziła się dziewczynka. Przyszła na świat w Wenecji, w ostatnich miesiącach XIX wieku, na pierwszym piętrze domu na Giudekce, gdzie urodziła się najpierw jej matka, a potem ojciec. Ostatnia z Wrońskich nie miała w sobie nawet kropli krwi Wrońskich. A przecież i jej matka, i ojciec byli Wrońskimi. Umierał jeden wiek, drugi pośród groźnych złudzeń szykował się do przyjścia na świat. Brian O'Shaughnessy był jeszcze w Afryce Południowej, Rosita Finkelstein nazywała się już Romero, a Paco Rivera w seminarium w Cuernavaca miotał się między Chrystusem a Marksem. Dziecku dano na imię Sophie. Z niewiadomych powodów – może stąd, że mądrość, jaką sugerowało to imię, nie miała doprawdy żadnego znaczenia – wszyscy nazywali ją Hélène. Wszyscy też wiedzieli, kto jest jej ojcem. Ale oficjalnie ojciec był nieznany, więc otrzymała nazwisko Wrońskich. Za sprawą cudownej ironii losu, która tej ciężko doświadczonej przez los rodzinie, a zwłaszcza Marie dała chwilę satysfakcji, było to – musiało być – było – mogło być – nazwisko jej ojca, który nazywał się co prawda Cossy, lecz nie mogąc nosić nazwiska Verdi, był również jednym z Wrońskich. Tajemniczy, choć bardzo prosty obrót wydarzeń sprawił, że oficjalne prawo przywróciło pewien porządek rzeczy. Nazwisko Cossy odchodziło w przeszłość. Odchodził również sam Nicolas. Sophie-Hélène Wrońska nigdy nie pozna swojego ojca.

W pokrytej śniegiem Wenecji Nadia i Nicolas wybrali się na swoją

ostatnią, posępłą przechadzkę. Miłości bardzo trudno jest stawić czoło ciosom, jakich nie szczędzą jej świat, społeczeństwo, mroczne knowania przypadku i nieuchronności: Nadia i Nicolas nadal się kochali, ale nie potrafili już dłużej walczyć o swoją miłość. Kiedy wiele lat później zachowanie czterech sióstr zdumiewało mnie bądź oburzało, wracałem niekiedy myślą do tej zimowej, jak z koszmarnego snu przechadzki po Wenecji. W dzisiejszych czasach niewiele rodzin spotyka los, mimo pozorów szczęścia, równie okrutny, jak los rodziny Wrońskich. Życie Nadii było zmarnowane. Życie Nicolasa nigdy nie istniało. Wszystko to, odcięte od korzeni, dryfowało w pustce, wyłaniało się z nicości. Ojciec Hélène z powrotem w nią odchodził.

Po raz ostatni szli przez niemal wymarłe miasto. Weneckie getto między pałacem Labia a Madonna dell'Orto, nieopodal zrujnowanej i opuszczonej Abbazii nawet latem często bywa wyludnione. Teraz, w środku zimy byli tu prawie sami. Spacer miłości i urazy kochanków połączonych i skazanych na rozłąkę, ostatnia rozmowa brata i siostry to wspomnienia wymazane, wykreślone z pamięci i z czasu. Ich echa docierały do mnie tylko w pewnych krótkich aluzjach hrabiny Wrońskiej, od razu ucinanych. Matka i córka niechętnie rozmawiały o tych okrutnych godzinach okrytych zasłoną milczenia i wstydu. Dla nich Wenecja przybrała nowe oblicze – czy też powróciła do dawnego, często skrywanego pod maskami zabawy, przyjemności i piękna: miasta cierpienia i śmierci.

Brat i siostra, kochanek i kochanka mówili sobie rzeczy przejmujące. Myślę, że przeklinali życie, jakie każdemu z nich zgotował los. Że mówili o fatum na modłę starożytnych Greków. Że mścili się na świecie, mówiąc, że jest okrutny. I nie mogli nawet uciec się do klasycznych słów pociechy: „Mogłoby być tak dobrze!... Bylibyśmy tacy szczęśliwi!... Jak bardzo byśmy się kochali!...”. Gdyż swoją miłością mogliby cieszyć się tylko wtedy, gdyby nie byli sobą. A gdyby nie byli sobą, to czy by się jeszcze kochali?

Czy w chwili, gdy się rozstawali, porzucając się wzajem, nie zdjęła ich pokusa, by mimo wszystko zbuntować się, zapomnieć o Wenecji i o Marie i zachowywać się tak, jakby Wroński i Verdi, i zwiastun nieszczęścia Zambrano, i posłannik przeznaczenia notariusz nigdy nie

istnieli? Nadia płakała. W drodze powrotnej, idąc wzdłuż kanałów, przez *traghetto*, mosty, pokryte śniegiem place, nie przestawała szlochać. Marzyła, by paść w objęcia mężczyzny kroczącego obok niej sztywno, z opuszczonymi rękami i wypłakać się na jego ramieniu. Kochała go i on ją kochał. Był tuż obok niej, miała z nim dziecko, a nie wolno jej było go dotknąć. Całkiem dosłownie nie mogła. Był zakazany, zadżumiony, święty, a zarazem przeklęty. Kiedy przechodzili obok pałacu Labia, zrobiło jej się słabo. Musiał ją objąć, żeby nie upadła. Była to cudowna i straszna chwila wprost nieznośnego szczęścia.

Plac Świętego Marka, podobnie jak inne place, był biały i pusty. Szli z zagubionym spojrzeniem, trzymali się za ręce. Zmierzając do gondoli, która czekała na nich przy Piazzecie, Nicolas chciał ściąć róg kolumnady biegnącej wzdłuż pałacu i przejść między ścianą a kolumną narożną. Historia czy legenda głosiła, że była to droga skazanych na śmierć. Nadia pociągnęła go za ramię i szepnęła:

– To przynosi pecha.

– No to co? – odpowiedział Nicolas.

Kiedy gondola przepływała przed Doganą, Nicolas w milczeniu ujął dłoń Nadii.

Nazajutrz o świcie, bez słowa pożegnania, nie rzuciwszy nawet okiem na uśpioną córkę, Nicolas wyjechał z Wenecji na drugi koniec świata.

Rosita Romero – z domu Finkelstein – od razu poczuła się szczęśliwa. Najprostsze nawet serca bywają bardzo skomplikowane. Rosita kochała w mężu dokładne przeciwieństwo tego, co tak bardzo kochała u swojego ojca i dziadka. Jeremiasz Finkelstein był człowiekiem niespokojnym, żywo na wszystko reagującym, niezwykle ruchliwym i o niespożytej ciekawości świata. Aureliano Romero był ugodowy i spokojny. Pewien włoski hrabia, posiadacz koni wyścigowych i bywalec Maxime'a stwierdził któregoś wieczoru w Café de Paris czy w Jockey Club, robiąc tym powiedzeniem istną furorę, że Pericles Augusto u szczytu formy i powodzenia, ze swoim ostrym akcentem i cudacznymi strojami był *effervescente e pirotecnico* – musujący i pirotechniczny. Aureliano Romero miał w sobie wszystko, czego dusza zapagnie – był człowiekiem uczciwym, czystym pod każdym

względem, zadbanym, dość przystojnym, na swój sposób inteligentnym, godnym zaufania – ale z całą pewnością nie był ani musujący, ani pirotechniczny. Co zaś do niej... Czy to z powodu swojej murzyńsko-żydowskiej krwi? Z powodu rodzinnego dramatu, który zaciążył nad jej dzieciństwem? Czarującej beztroski Cristiny Isabel czy ze strony Jeremiasza z powodu dopustów historii? Kto to może wiedzieć? Tak czy inaczej, Rosita sprawiała wrażenie spragnionej spokoju i poważania. Mimo obaw teściowej, która postanowiła spędzić w Nowym Jorku kilka miesięcy, aby przekonać się o wszystkim na własne oczy, niebawem okazało się, że jest idealną żoną dla Aureliana. A wkrótce też wszyscy stwierdzili, że i idealną matką. Conchita miękła. Jej zastrzeżenia się ulatniały. Przy synowej, będącej owocem związku murzyńsko-żydowskiego, zapominała o swoich uprzedzeniach wobec Żydów i Murzynów. Wyjechała z Nowego Jorku zachwycona wyborem syna.

Młodzi małżonkowie dużo bywali. Brali udział we wszystkich uroczystościach, wszystkich przyjęciach, wszystkich wiejskich piknikach, wszystkich dobroczynnych balach. Widywało się ich wszędzie. Byli zapraszani pospołu z francuskimi uwodzicielami, włoskimi śpiewakami, niemieckimi przemysłowcami i rosyjskimi księżętami bawiącymi przejazdem w Nowym Jorku. W kręgach waszyngtońskiej socjety końca ubiegłego wieku błyszczeli, choć nieco przyćmionym blaskiem. Jak na małżeństwo jeszcze młode, związane ze światem interesów jedynie pośrednio, uchodzili za bajecznie bogatych. I byli bogaci. Jeremiasz Finkelstein, w pewnej mierze dzięki świetnemu mariażowi córki, kontynuował, i to w coraz szybszym tempie, swój społeczny awans. Rosita otrzymała sowity posag, ponadto ojciec obsypywał ją jeszcze prezentami: a to dom, a to antyczne meble, a to obrazy lub ryciny Helleu, Boldoniego, Thomasa Eakinsa, Winsława Homera, Johna Singera Sargenta, a to podróże do Europy. A dla Aureliana sztucery i konie. Aureliano, obdarowany przez los jeszcze hojniej niż żona, sam z kolei ją obdarowywał: interesy Conchity szły lepiej niż kiedykolwiek. Pieniądze napływały drzwiami i oknami.

Sprawy bywają do tego stopnia nieprzewidziane, że niekiedy układają się niemal dokładnie tak, jak to sobie człowiek wyobrażał:

William Mac Kinley, popierany przez Jeremiasza Finkelsteina, był właśnie w trakcie zwycięskiego przeforsowywania wzorca złota, mając za przeciwnika Williama Jenningsa Bryana, orędownika bimetalizmu, a wojna hiszpańsko-amerykańska kończyła się zwycięstwem Stanów Zjednoczonych oraz niepodległością Kuby, gdy do Buenos Aires przyjechał Aureliano Romero z żoną Rositą. Conchita Romero w otoczeniu swojego sztabu, coraz liczniejszego w miarę powodzenia jej interesów, czekała na nabrzeżu. Ogromnie ją rozczulił malutki, niespełna roczny Carlos, noszący imię po dziadku, świętej pamięci pułkownika. Ledwie tylko usadowiły się w samochodzie, który miał je zawieźć do posiadłości rodzinnej na południowym zachodzie Buenos Aires, zarumieniona Rosita wyznała teściowej, że znów spodziewa się dziecka.

Indie wywołały u Briana, skądinąd pewnie stąpającego po ziemi, zawrót głowy jeszcze większy niż Egipt kedywa i Sudan Mahdiego, i południowa Afryka Jamesona i Krügera. Kiedy wysiadł na ląd w Bombaju, z siłą tornada powalił go widok nędzy hinduskiego tłumu. Chłop egipski, smętny jak szarzyzna otaczających go piasków, był biedny i pogodzony z losem. Indie przedstawiały obraz nieszczęścia wszelkiej maści, płomienia głodu i śmierci. W asyście żebraków i hałaśliwej hałastry dzieci, które bawiły go i irytowały, Brian kroczył przez Bombaj jak przez jakiś tajemniczy, całkowicie dlań niezrozumiały świat pełen podziemnych rozgałęzień i niezliczonych sekretów. Przywitał go angielski oficer, porucznik Turnbull, który umówił się z nim na lunch w czymś na podobieństwo brytyjskiego klubu dla wojskowych.

– A więc – zagaił Turnbull po kilku słowach powitania. – Jak pańskie wrażenia?

– Dalibóg – odrzekł Brian – jedno jest pewne: nie przypomina mi to nic z tego, co dotąd znałem.

– Co gorsza – powiedział Turnbull po chwili milczenia – im lepiej będzie pan poznawał ten kraj, tym bardziej wyda się on panu nieprzewidywalny i tym mniej będzie go pan rozumiał.

– Może dlatego, że gdzie indziej, w Afryce, w Oceanii, a do niedawna jeszcze nawet w Ameryce zjawialiśmy się z przeszłością i tradycjami, które można było narzucić tamtejszemu surowemu

i prostemu życiu, gdy tymczasem tutaj to my, wobec takiego bogactwa doświadczeń duchowych, sprawiamy wrażenie barbarzyńców?

– Może. Co nie zmienia faktu, że to barbarzyńcy sprawują tutaj władzę. Czyli my. Na szczęście. Powinien pan postrzegać ten kraj jako nierozzerwalny zlepek muzułmanów i hindusów, nędzy i bajecznego bogactwa, zacofanych konserwatystów i dysponujących wielką siłą rewolucjonistów.

– Czyli mieszanka wybuchowa?

– Wybuchowa? Przecież oni by się nawzajem wyrznęli, gdyby nas tu nie było! To my utrzymujemy w tym niewyobrażalnym burdelu trochę porządku, trochę pokoju, a bywa, że nawet sprawiedliwości.

– A krajowcy? – Brian powiedział: *the natives*. – Jak sądzę, mają nam to za złe.

– Na pewno woleliby się wzajem pozabijać.

W Oksfordzie, a zwłaszcza w Glangowness Brian coś tam słyszał o lordzie Dalhousie, „wielkim prokonsulu”, o rywalizacji Anglików i Rosjan w Azji Środkowej i o buncie sipajów. Turnbull, dawny wykładowca uniwersytecki, który studiował swego czasu sanskryt i mówił w językach hindi i tamilskim, wprowadził go w szczegóły najważniejszych wydarzeń na subkontynencie indyjskim na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat. W wilgotnym upale Bombaju Brian z tą satysfakcją, jaką sprawia odgrzebywanie przez długi czas uśpionych wspomnień, przypomniał sobie powszechne proroctwo z czasów bitwy pod Plassey w 1757 roku przewidujące, że okupacja brytyjska potrwa okrągły wiek. I sławną historię rozdania w 1857 roku bramińskim sipajom naboii posmarowanych krowim łojem, które ci, ku swej zgrozie, musieli rozrywać zębami.

– Ale niech się pan nie łudzi – powiedział Turnbull. – W równym stopniu, co te opowieści kumoszek i rozegzaltowanych fanatyków, decydujące były powody natury wojskowej i społecznej. Nawet tutaj tajemniczymi kanałami ludowego przekazu dotarły opowieści o szarzy Lekkiej Brygady i krwawych masakrach w czasach wojny krymskiej. Nie wyszły nam też na dobre nasze porażki w Afganistanie z Rosjanami i zajęcie przez ich oddziały Taszkientu, Samarkandy, Buchary, Chiwy, Goek Tepe i Marwu. Wie pan chyba, dlaczego się pan tutaj znalazł?

– Domyślam się – odrzekł Brian.

– Teraz Rosjanie przekomarzają się z nami na północy. W Pamirze, w Tybecie. Potrzebujemy ludzi, żeby dać im odpór i utrzymać w ryzach kraj. Czy wie pan, ilu na cały ten ogrom przypada nas, Anglików?

– Nie bardzo – przyznał Brian.

– Dwa tysiące pięciuset zuchów z Civil Service. I osiemdziesiąt tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy w armii liczącej ponad dwieście tysięcy tubylców. Pojmuje pan, w czym rzecz?

– Pojmuję – powiedział Brian.

– Może dzięki Nanie Sahibowi zacznie pan rozumieć coś z tego, co zdarzyło się w Delhi, w Lucknow, w Cawnpore... Mam trochę dokumentów dotyczących tej sprawy. Zapewniam pana, że to niezbyt wesoła lektura. Ale jeśli te historie pana interesują, zapraszam do siebie jutro wieczorem na kolację. Pokażę panu ze dwie czy trzy rzeczy.

Turnbull był młody, dość przystojny, niegłupi, nawet sympatyczny. Brian nie miał nic lepszego do roboty. Przyjął zaproszenie.

Aureliano Romero został powołany do gabinetu ministra spraw zagranicznych w Buenos Aires. Ówczesne posunięcia rządu argentyńskiego w niczym nie przypominały tego, co znamy dzisiaj. Wtedy wszystko było kwestią rodziny, znajomości, klanu. Minister, który był przyjacielem, może nawet kochankiem Conchity Romero, został na kilka lat odsunięty od władzy. Ale oto znów wrócił do gry i tworzył nowy rząd. Na prośbę Conchity, która dostrzegła nareszcie sposobność pogodzenia swoich ambicji politycznych ze sztuką bycia babką, namówił swojego ministra spraw zagranicznych, by ten zaprosił do współpracy młodego, błyskotliwego absolwenta Cambridge, władającego doskonale angielskim i francuskim, mającego już za sobą placówki w Londynie i Waszyngtonie i ożenionego z Amerykanką. Przez kilka lat Aureliano prowadził cudowne życie; piastował ważną pozycję i szalał za Rositą; sprawował władzę i łączył ją z życiem rodzinnym, do którego był stworzony.

To życie rodzinne w Argentynie na przełomie wieku miało charakter bardzo europejski, a jeszcze bardziej brytyjski. Matka Aureliana mieszkała w ogromnym domu, niemal pałacu w śródmieściu Buenos Aires. Parter przeznaczony był na pomieszczenia recepcyjne.

Dla siebie Conchita zarezerwowała pierwsze piętro. Całe drugie oddała do dyspozycji młodej pary, korzystającej ponadto z usług liczego personelu pani domu. Służba była w przeważającej mierze angielska. Rządy nad tym małym światkiem sprawował butler imieniem John. Szef służby, pan Rousseau, był Francuzem oraz, co już było szczytem snobizmu, synem kuchcika czy stajennego diuka de Morny i swego czasu pracował jako cukiernik u Maxime'a i księżnej d'Uzès. Zdumiewającym zrzędzeniem losu – sama Conchita poinformowana została o tym znacznie później, kiedy ten zupełnie przypadkowo i ze zdumieniem dowiedział się o dość skomplikowanym rodowodzie młodszej pani Romero – pan Rousseau poznał był swego czasu w Paryżu Periclesa Augusta, który roztoczył przed nim zupełnie nieprawdopodobny obraz Brazylii. Oczarowany jego opowieściami młody cukiernik nieustannie kazał się oprowadzać po Rio de Janeiro, a potem São Paulo Brazylijczykom z Paryża. Aż w końcu sam wylądował w Buenos Aires, gdzie założył dość nawet znaną cukiernię pod nazwą Duque de Morny; interes, choć tłumnie odwiedzany przez młode eleganckie damy, szybko jednak zaczął kuleć. To wtedy wyłowila go Conchita Romero. Pan Rousseau miał niemały udział w uczynieniu z domu na placu San Martin ośrodka życia towarzyskiego i kulinarnego Buenos Aires.

Pokojówki były Francuzkami lub Argentynkami. Najmłodsze przyjeżdżały ze wsi i przyuczane były na miejscu pod surowym okiem pani domu. Pokojówka, która pracowała u Romerów, mogła być pewna, że wszędzie znajdzie pracę. Policja odkryła nawet handel fałszywymi referencjami z podpisem Conchity Romero; były one w wielkiej cenie u żon dyplomatów i biznesmanów Buenos Aires. Niańka małego Carlosa była Angielką. Rosita jeszcze przed urodzeniem dziecka, po długiej wymianie listów, sprowadziła ją do Waszyngtonu z pewnej znanej szkoły pod Londynem.

W czasie gdy Conchita wydawała bale i wystawne kolacje na parterze lub na pierwszym piętrze, kiedy pośród starych mebli i lśniącej porcelany podejmowała ministrów, przemysłowców, dyplomatów i damy z towarzystwa, na drugim piętrze Aureliano z żoną, w otoczeniu swoich amerykańskich obrazów i podarków od Jeremiasza prowadzili

życie nie tyle odosobnione, ile bardziej rodzinne i stosunkowo proste. Widywali się z różnymi młodymi małżeństwami, z cudzoziemcami, z artystami. Wieczory podobnie jak w Waszyngtonie często spędzali poza domem: teatr, opera, wieczorki muzyczne, kolacje u przyjaciół, którzy zapatrzeni na Paryż, skąd pochodziły ich stroje i lektury, a jeszcze bardziej na Londyn, gdzie wychowywali swoich synów, tworzyli eleganckie towarzystwo Buenos Aires.

Latem – dla nas zimą – sceneria się zmieniała. Cała rodzina emigrowała na trzy miesiące w chłód Południa i osiadała w Arroyo Verde. Leżące nad jeziorem Nahuel Huapi Arroyo Verde dzieliło od Buenos Aires jakieś tysiąc siedemset, tysiąc osiemset kilometrów. Co roku wyjazd stawał się sprawą wagi państwowej, prawdziwą przeprowadzką. Podróż była bardzo uciążliwa, nieraz wręcz niebezpieczna. Pociąg przemierzał bezkresne równiny, na których spotykało się jeszcze Indian ocalałych z kolejnych rzezi. Trzeba było trzech dni i dwóch nocy, by dojechać do otoczonego górami jeziora. Tutaj zaczynało się inne życie. Aureliano z zachwytem odkrywał na nowo świat nie tyle dzieciństwa, bo to zostało w Paragwaju, ile swojej argentyńskiej młodości. Kąpał się w jeziorze lub w rzekach, jeździł konno, polował ze strzelbą ofiarowaną mu przez teścia, chodził na spacer z Rositą i z małym Carlosem niesionym na ramionach. Było to na nowo odnalezione szczęście. Ku wielkiej radości całej rodziny w ostatnich dniach lata pośród czułości, pieniędzy i służby urodził się w Arroyo Verde sławny Agustín.

Zdarzyło się nieszczęście: pewnego pięknego dnia Pilar stwierdziła, że jest w ciąży. Nie jest powiedziane, że to seminarzysta był ojcem dziecka. W końcu Pilar nie tylko z nim sypiała. Ale na pełne niepokoju pytania Paca Pilar tylko potrząsała głową i ze łzami w oczach z uporem odpowiadała: jest tego pewna, wie. Chciała, żeby to było dziecko Paca. Paco zaś mówił sobie, że nawet jeśli nie jest fizycznie jego ojcem, to z uwagi na intencję, na grzech, duchowo nim jest. Czuł się winny. A zarazem jakby uwolniony z pułapki, w którą dał się schwytać.

By posłużyć się może trochę zbyt modną w latach siedemdziesiątych naszego wieku formułą pewnego historyka ruchów rewolucyjnych w Ameryce Środkowej, młodość Paca odczytać można na

dwa sposoby. Pierwszy, romantyczny i emocjonalny, uznaje Pilar za decydujący czynnik przewrotnego nawrócenia młodego seminarzysty; drugi, bardziej teoretyczny, postrzega młodą egzaltowaną kobietę jako incydent bez znaczenia na drodze nieuniknionej ewolucji. Najbardziej prawdopodobne jest jednak to, że obie te przyczyny wzajem się łączą i potęgują. Do sprawy z Pilar mogło dojść tylko dlatego, że wpisana była w przygodę intelektualną. Z drugiej strony to ona przyspieszyła bunt młodego księdza.

Paco Rivera – impulsywny, gwałtowny, czasami ograniczony, zawsze przesadny w swoich reakcjach – miał wiele wad. Nie był jednak ani tchórzliwy, ani chwiejny. Stawił czoło sytuacji, w którą być może nawet nie był zamieszany. Uznał, że jest odpowiedzialny za Pilar. Nie można też wykluczyć, że skorzystał z tego pretekstu, by przyspieszyć bieg spraw i wyzwolić się ze stanu, w którym siłą rzeczy nie czuł się już swobodnie. Spotkał się ze swoimi przełożonymi. Nie mówił im o Marksie czy Engelsie. Powiedział im o Pilar. Trzeci sposób odczytania życia Rivery jest subtelniejszy niż dwa pierwsze: dobrze wiedział, że nie on jest ojcem dziecka i podejrzewał, że Pilar także wie. Ale taki sposób odejścia z Kościoła był szybszy i prostszy niż niekończące się dysputy o filozofii historii i o transcendencji. Hipotezę tę zdaje się potwierdzać zdecydowanie pośpiech, z jakim Paco uznał dziecko, którym po opuszczeniu progów seminarium prawie zupełnie się nie interesował. Tak, niewykluczone, że Pilar i mały José Maria posłużyli mu jedynie do ukrycia przed wzrokiem przełożonych *Manifestu komunistycznego*.

Paco Rivera mógł być dobrym księdzem. Rozbrat z Kościołem w niczym nie umniejszył jego gorącego przywiązania do sprawiedliwości i umiłowania maluczkich. Było tak, jak gdyby zerwanie drogich mu niegdyś więzów nałożyło na niego dodatkowy obowiązek odwagi i wyrzeczeń. Po powrocie Paca Rivery do świata niektórzy próbowali mu przypisywać pogoń za łatwizną i przyjemnościami. Nic bardziej niesłusznego. Wprawdzie swoim synem nie zajmował się w ogóle, za to nadal zajmował się innymi. Przeniósł do życia świeckiego wszelkie rygory Kościoła. Porzucając dusze zmarłych i ich zbawienie wieczne, zwrócił się ku żywym i ich doczesnemu szczęściu.

Przypuszczam, że Nadia z ulgą przyjęła wyjazd Nicolasa. Nie

wytrzymywała już tego zmęczenia, tego napięcia i przygnębienia. I oto nagle już go nie było. Żadnego listu, żadnej wieści, nikogo, kto by go widział, kto mógłby opowiedzieć, co się z nim dzieje. Znowu było tak, jak gdyby nigdy nie istniał. Pozostała tylko ta mała dziewczynka, z tajemniczą, niemal sekretną misją podtrzymywania po nim wspomnienia. Na tym świecie, gdzie wszystko przemija, miłość i smutek tak samo jak potęga i chwała, jedynym śladem, jaki po sobie zostawił, było to dziecko.

Zniknięcie Nicolasa było może bardziej bolesne dla matki niż dla córki. Nadia już dość się nacierpiała. Trzeba było położyć kres tej torturze i Nicolas musiał odejść. Dalsze ich wspólne życie było niemożliwe. Rozstanie było okrutne, lecz konieczne. Marie – odwrotnie – odnalazła syna i pośród wszystkich tych tragedii myślała tylko o tym, by go zatrzymać. Czuła podświadomy żal do Nadii, że ta z pomocą fatum w dwadzieścia lat po pierwszej spowodowała drugą śmierć Nicolasa. Gdy córka próbowała zapomnieć, matka zrobiła wszystko, by zapamiętać. Wciąż od nowa roztrząsała w myślach nieprawdopodobne koleje losu syna. Marzyła, by go znowu odnaleźć, ale już bez Nadii; by móc wreszcie nacieszyć się tą miłością, którą darowano jej dwukrotnie po to tylko, by ją odebrać.

Nadia czuła się winna wobec Nicolasa, winna wobec matki. Jedna tylko Hélène, małeńka Hélène, niosła nieco spokoju i pociechy obu udręczonym kobietom przy jej kołysce. Przynajmniej ona nic nie rozumiała. Świat z jego pułapkami i pechowcami był przed nią jeszcze zamknięty.

Nicolas chciał odjechać jak najdalej. Wahał się między dwoma krajami, których same już nazwy były synonimem obcości i oddalenia: Peru i Chinami. Wybrał, nie wiedzieć dlaczego, Chiny. Podróż trwała długie miesiące. Po drodze zatrzymał się w Genewie, gdzie po raz pierwszy i ostatni od czasu rewelacji Zambrana spotkał się w atmosferze obopólnego zakłopotania z mecenasem Brûlajem-Trampolinim. Złożył u niego kilka linijek rodzaju testamentu, ten zaś wręczył mu pieniądze i weksle wystawione na Kalkutę i Tokio. Po czym w Marsylii wsiadł na statek.

Płynął przez Suez, Aden, gdzie zatrzymał się na kilka dni, przez

Bombaj i Kalkutę. Wsiadł na ląd w Szanghaju. W Chinach wrzało. Mecenas Brûlaz-Trampolini wyposażył go w listy polecające do kilku bankierów i wielkich kupców. Nicolas spotykał mandarynów, którzy pod wpływem opium nabierali jasności umysłu i dystansu; rozumieli prawie wszystko i nie robili prawie nic. Z wieloma prowadził długie rozmowy, które wiązały go znów na trochę ze światem i życiem. Dziwnym rytuałem było to wzajemne obcowanie opium i rozpacz pod osłoną głębokiej nocy. Uliczny spektakl, palarnie, intrygi polityczne, fortuny zrodzone z dalekomorskiego handlu i kompromisów z cudzoziemcami, rojność miejskiego tłumu, którego ubóstwu daleko było do nędzy chłopów, nieodmiennie nękanych jak nie klęskami głodu, to powodziami – wszystko to wciągało Nicolasa, bawiło go, przerażało i odrywało jego myśli od własnych nieszczęść. Wciąż jeszcze nie odstępował go obraz Nadii, ale setki tysięcy Chińczyków krzątających się na wszystkie strony pośród nieopisanego zamętu wznosiły zaporę broniącą go przed demonami pamięci.

Po upływie kilku tygodni wyruszył do Pekinu, gdzie wybuchły zamieszki. Spotkany w Szanghaju włoski dziennikarz, który miał już wracać do Europy, niepoprawny gaduła i trochę mitoman, dostarczający uciechy Chińczykom swoją tuszą i nieokrzesaniem, zaproponował Nicolasowi, żeby ten pojechał rozejrzeć się, co się dzieje w stolicy Państwa Środka, i napisał kilka artykułów które, dostarczone jak najszybszą drogą do Europy, kilka tygodni lub miesięcy później można będzie, jeśli się spodobają, opublikować pod pseudonimem w prasie Mediolanu, Bolonii i Genui – w „Il Caffè”, „Il Resto del Carlino”, „Il Secolo XIX”.

Piszę, spaceruję, śpię, podejmuję przyjaciół, spożywam posiłki w towarzystwie Filippa i Manueli, którzy pośród lokalnych intryg i meczów piłki nożnej w telewizji pilnują, żebym miał spokój. Odgłosy zewnętrznego świata docierają do mnie, lecz bardzo niewyraźnie. Moje życie się skończyło. Wymieniłem je na życie innych.

Równie dobrze sam mógłbym przeżywać przygody w Chinach, w Meksyku, Afryce Południowej czy w Indiach. Opowiadam jednak o przygodach innych. Ci inni stopili się ze mną w jedno. Z pomocą pamięci i marzeń przywracam ich na nowo światu. Każdego poranka,

każdego wieczoru, siedząc przy biurku lub na tarasie w San Miniato, oczyma pamięci i wyobraźni na nowo przeżywam to, co oni przeżywali naprawdę. I spisuję to, żebyście i wy wiedzieli. To, co ich spotykało, i to, co ja wam relacjonuję, określa jedno i to samo słowo: tym słowem jest historia. Wszyscy ci Romerowie i Finkelsteinowie, Rivera i Wrońscy, O'Shaughnessy'owie i Landsdownowie mieli jakiś swój minimalny udział w tworzeniu naszej zbiorowej historii. Niesieni nurtem czasu w pewnym znikomym stopniu przyczynili się do takiego, a nie innego jej oblicza. Odeszli już lub właśnie odchodzą – a ja, nim sam umrę, opowiadam wam ich historię.

Rikszą ciągnioną przez brodatego, nieprawdopodobnie wychudzonego Hindusa, wyglądającego tak, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha, Brian przyjechał dość wcześnie do porucznika Turnbulla. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu dom okazał się bardzo przyjemny. Do budynku, w którym ogromne wachlarze ręcznie wprawiane w ruch za pomocą systemu sznurków przez dwóch przykucniętych teraz służących, zapewniały jeśli nie chłód, to w każdym razie znośną temperaturę, przylegała obszerna weranda z pomalowanego na niebiesko drewna. Kilka niebrzydkich bibelotów – dwa posążki, rzeźbiona kolumnienka – wprowadzało pewien osobisty akcent do obszernych pomieszczeń w żywych kolorach. W ogrodzie stało osłonięte moskitierą łóżko, w którym sypiał pan domu w te noce, kiedy upał stawał się nie do zniesienia. Zimny posiłek podany przez sikha w zawoju, z rozwianą brodą i włosami ukrytymi pod turbanem, z żelazną bransoletką na przegubie i kindząłem u boku był więcej niż poprawny, a tajemnicza butelka bordeaux przydawała ich uczcie przewrotnej nuty egzotyki i zbytku.

Po skończonej kolacji, pośród raptownie zapadłych ciemności obaj mężczyźni przeszli na niebieską werandę, żeby wypalić fajkę i wypić szklaneczkę alkoholu. Z oddali dobiegała jakaś melodia. W tej ciszy, nieznacznie tylko zakłóconej muzyką i nagłymi, natychmiast cichnącymi hałasami, było coś niezwykłego i jakby nieco złowieszczego.

Rozmawiali o świątyniach, o koniach, o krykiecie i polo. Porucznik Tumbull obiecał młodemu O'Shaughnessy'emu, że zabierze go do Konaraku, do Khadzuraho i Fatehpur Sikri i że wprowadzi go w tajniki

polo, w które namiętnie grywali wszyscy oficerowie. Na stoliku leżała jakaś gazeta. Brian machinalnie po nią sięgnął.

– Ach, oto proza Tilaka! – rzekł Turnbull.

– Tilaka?... – powtórzył Brian.

– To najbardziej ostry z dziennikarzy nacjonalistów. Niech mi pan da tę gazetę. Zaprezentuję panu próbkę jego możliwości.

I w świetle stojącej na stoliku lampy Turnbull zaczął głośno czytać:

– „Jedyną drogą zbawienia dla społeczeństwa niewolniczego jest rewolucja. Niechaj w każdym domu rozpoczną się przygotowania do ogólnokrajowej rewolty. Garstka policjantów i żołnierzy w żaden sposób nie zdoła powstrzymać rewolucyjnego zrywu. Jedno nasze mrugnięcie okiem...”.

– Czy wie pan, co znaczy to mrugnięcie okiem? – przerywając lekturę, zapytał Turnbull.

– Dalibóg, nie! – powiedział Brian.

– To te bomby, którymi przed kilkoma dniami ekstremistyczni fanatycy obrzucili wicekróla i grupę wysokich dostojników. Czytam dalej: „Jedno nasze mrugnięcie okiem posiało trwogę w sercu wroga. Płynicie z nową energią przez ocean przelanej krwi”.

Turnbull po chwili milczenia spytał:

– I co pan na to?

– No, cóż... – odrzekł spokojnie Brian.

– Tenże sam Tilak zamieścił w swojej gazecie pewną informację o charakterze praktycznym: „Jedynym warunkiem prenumeraty jest dostarczenie przez każdego czytelnika głowy Europejczyka”.

– Co takiego zrobiliśmy tym ludziom, że tak nas nienawidzą? – zapytał Brian.

– Już panu mówiłem: nie pozwalamy im wzajem się wymordować. Hindusom, jak większości mężczyzn, zależy głównie na tym, żeby się zabijać. To podstawowe prawo, tak jak praca i jedzenie. A nawet więcej niż jedzenie, bez którego nauczyli się obywać, i niż praca, z której nie widzą pożytku. Gdyby nas tu nie było, bramini i muzułmanie rzuciliby się do walki między sobą na śmierć i życie.

– I tylko to? To naprawdę wszystko? Jedyne klucze do dzisiejszych Indii? Wspominał pan rano o jakichś tekstach, które chciałby mi dać do

przeczytania... Przypuszczam, że nie chodzi tylko o ten szmatławiec, po który sięgnąłem przypadkiem?

Turnbull na moment się zawahał.

– Ma pan rację – powiedział w końcu. – Jest jeszcze coś. Niech pan chwilę zaczeka.

Wstał, wyszedł, niebawem wrócił z jakimiś dokumentami w ręku.

– No więc, co mi pan takiego przynosi? – spytał Brian.

– Pamięta pan naszą poranną rozmowę o buncie sipajów?

– Bardzo dobrze. Zwycięstwo pod Plassey, 1757 rok. Bunt sipajów, 1857. Ludowe prorocтва, kłopoty w Afganistanie, wojna krymska i pociski z krowim łojem.

– Bravo! Zbuntowani sipaje zajęli Delhi, Cawnpore i Lucknow. W Delhi potomka Wielkich Mogołów ogłosili cesarzem. W Cawnpore mianowali swoim przywódcą hinduskiego księcia Nanę Sahiba. Potrzebowaliśmy z górą roku, by z powrotem odzyskać te trzy miasta i spacyfikować kraj. W Cawnpore Nana Sahib zanim uciekł, zarządził rzeź. Proszę, niech pan przeczyta tę stronę. To wyjątek z raportu niejakiego pułkownika Neila.

I pokazując palcem zagiętą stronę, rzucił dokument na stolik.

Kilka tysięcy kilometrów na północny wschód od Bombaju Nicolas Cossy lub Wroński, lub Verdi – sam już nie wiedział, kim jest i jak się nazywa – wjeżdżał do Pekinu. W cesarskim mieście panowała napięta atmosfera. Po podróży częściowo pociągiem, częściowo wozem ciągniętym przez antycznego wołu po gościńcach przecinających równiny północnych Chin – gdyż tu i ówdzie chłopci pozrywali tory, żeby gwoździe podkładów kolejowych nie kaleczyły grzbietów żyjących pod ziemią smoków – Nicolasowi spieszo było zwiedzić Zakazane Miasto. Minęło czterdzieści lat, odkąd francuscy i angielscy żołnierze nazajutrz po bitwie o most na Palikao puścili z dymem Pałac Letni. Wiele jednak innych cudów przetrwało i Nicolas wyposażony w liczne listy polecające do dyplomatów i mandarynów, w które zaopatrzyli go nie tylko mecenas Brûlaz-Trampolini i włoski dziennikarz z Szanghaju, lecz także dzięki nim poznani chińscy bankierzy i biznesmeni, miał nadzieję, że jeśli nawet nie uda mu się spotkać tajemniczej cesarzowej Cixi, to przynajmniej będzie mógł pospacerować pośród kamiennych lwów

i pagód o wygiętych narożnikach, z czerwonymi kolumnami i o pokrytych laką dachówkach, o których marzył od dawna, zaznawszy w hałaśliwym Szanghaju jedynie ich przedsmaku. Było to jednak niemożliwe z uwagi na wydarzenia końca tej wiosny w Pekinie, który po lodowatym zimnie tonął teraz w słońcu. W stolicy Imperium Środka dojrzewiała rewolta.

Jeszcze w Szanghaju włoski dziennikarz skontaktował Nicolasa z pewnym starym mandarynem imieniem Yuan Sze-tszang, czy może Yuan Li-tszang, gorącym wielbicielem tajnego stowarzyszenia Tajpingów, które w połowie ubiegłego wieku po zakończeniu wojny opiumowej oraz po przyznaniu przez cesarza koncesji europejskim potęgom oskarżyło dynastię mandżurską o zdradę Chin na rzecz barbarzyńców. Dwaj synowie mandaryna, zostawszy nałogowymi palaczami, doprowadzili rodzinny majątek i interesy do ruiny, i nienawiść do siejącego coraz większe spustoszenia narkotyku nawróciła starca na skrajny nacjonalizm. Postawa Anglii budziła w nim oburzenie:

– Czy zdaje sobie pan sprawę, że Anglia chciałaby przekształcić Chiny w gigantyczny rynek opium, który okręty brytyjskie zaopatrywałyby w żywność? Kiedy wprowadzono zakaz importu opium, a gubernator Kantonu kazał zniszczyć dwadzieścia tysięcy skrzynek wyładowanych ze statków brytyjskich, jaka była pana zdaniem reakcja rządu w Londynie?

– Wyobrażam sobie – odpowiedział Nicolas – że był wściekły i zrobił wokół tego mnóstwo zamieszania...

– Wypowiedział wojnę. To właśnie była wojna opiumowa i początek wszystkich naszych nieszczęść.

– Czy Tajpingowie są jakoś z tą sprawą związani?

– Oczywiście! Protestują przeciwko porozumieniu z Nankinu, które umożliwia Europejczykom prowadzenie handlu, zwłaszcza handlu opium, w pięciu portach, między innymi w tym. *You know, my dear friend* – mandaryn i Nicolas rozmawiali po angielsku – że podobnie jak Czarne Bandery z Tonkinu prowadzące walkę z Francuzami, tak i rozbójnicy Tajpingowie byli tylko patriotami.

– Ale przecież wystąpili przeciwko własnemu rządowi!...

– To prawda! Dlatego że rząd zdradził! Bo mimo wojny opiumowej, a w kilka lat później ekspedycji francusko-angielskiej, bitwy pod Pelikao, zajęcia Pekinu i spalenia Pałacu Letniego dynastia mandżurska, sprawująca władzę i pragnąca ją zachować, dogadała się z obcymi.

– A teraz?

– Teraz to co innego. Z powodu Cy-si.

– Nie rozumiem – powiedział Nicolas. – Sądziłem, że cesarzowa jest niechętna jakimkolwiek zmianom. Sądziłem, że opowiedziała się przeciwko ruchowi Stu Dni, dążącemu do zmodernizowania Chin, by uwolnić je spod obcej opieki. Sądziłem...

– Widzi pan, Chiny to skomplikowany kraj – powiedział mandaryn. – Nie bardziej od Europy, gdzie Wielka Rewolucja Francuska, uważająca się za liberalną, doprowadziła do absolutyzmu Cesarstwa i gdzie Kościół, utworzony przez waszego Jezusa Chrystusa dla obrony biednych przeciw bogatym, popiera bogatych przeciwko biednym... W Chinach, tak samo jak gdzie indziej, trzeba spędzić kawał życia, by zacząć je wreszcie rozumieć. Cesarzowa opowiada się za tradycją i przeszłością. Ale w odróżnieniu od swoich poprzedników, nie chce, żeby Chiny padły łupem cudzoziemców.

– Tak jak Tajpingowie?

– Tajpingowie już nie istnieją. Ale na ich miejsce powstały inne stowarzyszenia. I zamiast nienawidzić, tak jak Tajpingowie, dynastii mandżurskiej, która po tylu ustępstwach uświadomiła sobie w końcu swoje powinności i przestała już zawczasu ulegać obcym, popierają ją i jej służą. W zamian za co cesarzowa udziela im swojego poparcia i protekcji.

Od mandaryna, od włoskiego dziennikarza oraz paru innych osób Nicolas uzyskał wreszcie wyjawioną półgłosem nazwę najważniejszej z owych tajnych organizacji, działających w cieniu i z pomocą nieprzejednanej i okrutnej cesarzowej: Stowarzyszenia Długich Noży.

Agitatorzy działający w Pekinie w okresie przyjazdu Nicolasa do stolicy Cesarstwa należeli do jednej z sekcji tego właśnie Stowarzyszenia. Sami siebie określali jako Pięści Sprawiedliwości. Nazywano ich bokserami.

Trzy kobiety, przedstawicielki trzech kolejnych pokoleń, żyjące samotnie w domu na Giudekce otaczała aura tajemniczości. Upływ czasu szybko zaciera wspomnienia o szczęściu i tragediach. Minęło ledwie kilka miesięcy, a obraz Nicolasa w pamięci Wenecjan stawał się coraz bardziej zamazany. Brat Nadii powrócił do swojej naturalnej postaci – widma o bliżej nieokreślonej, wręcz wątpliwej egzystencji. W kilka lat później pamiętano jak przez mgłę, że przez rodzinę Wrońskich przetoczyła się jakaś burza namiętności, ale już tylko najstarsi potrafili opowiedzieć, w sposób zresztą coraz bardziej mijający się z prawdą, o przygodach Marie, Verdiego i świętej pamięci hrabiego Wrońskiego.

Stosunki Marie i Verdiego po śmierci Wrońskiego i pojawieniu się Nicolasa spowija mgła, niewykluczone, że celowo podtrzymywana. Wielu historyków, zwłaszcza niemieckich – w szczególności Friedwangler w swojej monumentalnej *Historii uczuć w muzyce XIX wieku* – twierdzi, że Marie na nowo nawiązała serdeczne, może nawet czułe kontakty z kompozytorem u szczytu sławy na niedługo przed jego śmiercią. Cytowaliśmy już wyjątki z pamiętników Giuseppiny Strepponi, gdzie pojawia się Marie Wrońska, jak zawsze piękna i powabna. Dwie lub trzy, uchodzące za wysoce niejasne, aluzje ze strony drugiej żony Verdiego stają się zupełnie czytelne z chwilą ponownego pojawienia się na scenie postaci Marie: Marie Wrońska od dawna opiekowała się domem spokojnej starości dla artystów i muzyków, któremu Verdi, umierając, zapisał znaczną część swojego majątku. Stąd do hipotezy, że Marie znów zaczęła wywierać wpływ na autora *Traviaty*, już tylko krok – który jednak waham się uczynić. Możliwe, że Verdi i Marie w późniejszych latach ponownie nawiązali uczuciowe kontakty. Tu tylko o tym napomykam, spodziewając się, że przyszłe opracowania niechybnie rzucą więcej światła na ostatnie lata życia wielkiego człowieka.

Pewne jest natomiast to, że Marie miała na głowie inne troski. Przypominacie sobie może, jak to w Paryżu, w kilka lat po upadku Drugiego Cesarstwa, u zarania *belle époque*, w cieniu fiaków i generała Boulangera, w okresie kiedy Nicolas nie wkroczył jeszcze na dobre i złe w życie córki Marie, zdrowie Nadii dawało powody do niepokoju. Może stąd, że zgryzota podkopała i osłabiła jej siły, Nadia nie widziała już

żadnego rozwiązania swojej sytuacji moralnej, uczuciowej i towarzyskiej, ale przede wszystkim może dlatego, że chciała umrzeć, powrócił jej kaszel.

Na nowo zaczęło się chodzenie po lekarzach. W domu na Giudekce, który tak kochała i w którym, jak jej się nagle wydało, zaznała niekończącego się cierpienia, Marie wysłuchiwała profesorów, z powagą tłumaczących jej, że obecny stan Nadii budzi niepokój. Nad wodami laguny, gdzie przez tak długi czas panowała dżuma, pojawiło się słowo gruźlica.

Czas nie zawsze płynie z taką samą szybkością. Bywają długie letnie lub jesienne wieczory, kiedy wydaje się, że stanął niemal w miejscu. Są chwile szczęścia mijające tak szybko, że ma się wrażenie, iż w swoim zapamiętłym biegu ledwie je musnął. W ostatnich latach życia Nadii czas upływał jak sen.

Na przełomie wieku matka i córka znów miały okazję, by otulone w woale i futra wyruszyć razem w jedną z tych eskapad po Europie, które odbywały już przed piętnastoma czy dwudziestoma laty, kiedy matka miała niewiele więcej lat niż dzisiaj córka. Wtedy, mimo smutków, których nigdy nie brak, przyszłość była jeszcze przed nimi. Teraz wiedziały, i córka lepiej od matki, że w ten czy w inny sposób, mimo młodości pierwszej i sukcesów drugiej, dotarły do kresu drogi. Nie brakowało im ani odwagi, ani pogody, ani elegancji pod każdym względem; często jeszcze zdarzało im się śmiać. Ale śmiech ten następował po okresach głębokiej depresji, kiedy to matka żywiła do córki ukryty żal o rozłąkę z synem, córka zaś obwiniała matkę o to, że wydała na świat i ją, i jej brata. Znajomi świeższej lub starszej daty z ich otoczenia, niejednokrotnie uderzający w konkury do tych dwóch samotnych i urodziwych kobiet – wszystkie bowiem opowieści dają fałszywy obraz życia, przedstawiając swoich bohaterów w oderwaniu, a przecież utrzymują oni więzy z tłumem figurantów – składali na karb rosyjskiej krwi, której kto jak kto, ale Marie nie posiadała nawet kropli, zmienne nastroje to beztroski, to melancholii obu dam, które miały wiele innych powodów, by cieszyć się życiem i by nad nim ubolewać. Spotykano je w Szwajcarii, w Londynie, w Paryżu, gdzie kupowały suknie, już bez krynoliny, za to z gorsetem i o prostym kroju, u Paquina

i Wortha – mam przed sobą rachunek za suknię dzienną Marie, nabytą u Wortha: tysiąc pięćset franków, czyli mniej więcej trzydzieści tysięcy franków dzisiejszych, nieco powyżej przeciętnej rocznej zarobków ówczesnego robotnika – dwa muślinowe negliże z koronkami i satynowymi wstążkami od Douceta z rue de la Paix oraz by zabrać ze sobą to wszystko do Wenecji, wielkie kufry podróżne u Vuittona. Z okien hotelu Meurice, w którym znów się zatrzymały, mogły obrzucić rozbawionym spojrzeniem gigantyczny bankiet wydany przez prezydenta Loubeta w ogrodach Tuileries dla dwudziestu tysięcy republikańskich merów. Epilog sprawy Dreyfusa sięgał apogeum, ich jednak nie interesował los kapitana sztabu i nie bardzo się mogły połapać, o co w niej chodzi. Ważne wydarzenia dokonujące się w głębinach historii – rosnący niepowstrzymanie w siłę socjalizm i dwa jego rywalizujące ze sobą trendy Jaurès’a i Guesde’a – naturalnie całkowicie uchodziły ich uwagi. Znacznie bardziej interesowała je śmierć prezydenta Félix’a Faure’a w ramionach pani Steinheil albo to, że baron de Christiani – uroczy bałwan, który podejmował je kolacją u Maxime’a – na wyścigach w Auteuil zdzielił laską prezydenta Loubeta w cylinder. Ale tym, co ukryte pod kwiatami, haftami, plotkami z wielkiego świata oraz rozmaitymi innymi formami życia towarzyskiego absorbowało je najbardziej, była choroba i śmierć Nadii.

Zgasała w pierwszych latach naszego wieku w domu na Giudekce, bez żadnych wieści od Nicolasa. Umarła z uśmiechem na ustach: śmierć nie była dla niej tak trudna jak życie. Wyruszała do świata, gdzie połączy się z ukochanym i gdzie wolno jej będzie go kochać. Marie utraciła kolejno córkę i syna, którego odnalazła, by w kilka zaledwie miesięcy później znów go stracić. Została jej tylko wnuczka, Hélène, utrzymywane niemal w sekrecie, kompromitujące i uwielbiane dziecko brata i siostry – podwójnie krew z jej krwi, ciało z jej ciała.

Zakazane Miasto spodobałoby się Nicolasowi, gdyby tylko mógł się do niego dostać i poznać jego skarby. Przeszkodziło mu w tym jednak nieopisane zamieszanie: stolica Cy-si, którą opanowały i przemierzały wzdłuż i wszerz bandy uzbrojonych Chińczyków, znajdowała się w stanie wrzenia.

Zaraz po przyjeździe Nicolas udał się do konsulatu włoskiego,

gdzie oczekiwano już na jego przybycie, zapowiedziane przez dziennikarza z Szanghaju. Konsul, bardzo poruszony ostatnimi wydarzeniami, był florentyńczykiem w dość podeszłym wieku, dawnym towarzyszem Garibaldiego, który spędził trzydzieści lat na Dalekim Wschodzie. W konwencjonalnej rozmowie, której nieuniknionym motywem przewodnim był Marco Polo, jego *Opisanie świata*, weneckie fety i sztuczne ognie, mieszał Konfucjusza i Ponte Vecchio, Benvenuto Celliniego i Tao Te-Kinga, wzbudzając podziw u bawiących przejazdem w Pekinie podróżnych. Owdowiały od piętnastu lat konsul miał córkę imieniem Gabriella, która ze swoimi czarnymi włosami, owalną twarzą, podłużnymi oczami koloru szaroniebieskiego była maskotką całego korpusu dyplomatycznego. W Pekinie Gabriella nie miała wielu okazji do mówienia po włosku. Nicolas był młody, chmurny, przystojny i jeśli przy tych wszystkich ciężących na nim tragediach zachował jeszcze związek z jakimś krajem, to były nim Włochy. Z towarzyszącą mu nawet w Chinach niejasną aurą jeśli nie skandalu, to w każdym razie tajemnicy, przedstawiał sobą nareszcie jakąś nowość w zastygłym powietrzu poselstw i koncesji. Gabriella z całą niewinnością i naiwnością rzuciła się na niego. Był spragniony uwagi, czułości i zapomnienia. Nie opierał się.

W mieście roiło się od pogłosek i uzbrojonych mężczyzn. Po jednym czy dwóch dniach spędzonych wśród dyplomatów i biznesmanów na omawianiu przyczyn i rozwoju obecnych wydarzeń, roli cesarzowej Cy-si i mikada Mutsuhito z okresu Meiji, traktatu z Shimonoseki między Chinami a Japonią, porażki ruchu reform i okresu Stu Dni, Gabriella zaproponowała Nicolasowi zmianę tematu oraz spacer. Dziewczyna prawdopodobnie szukała przede wszystkim sposobności uwolnienia się od aż nazbyt dobrze znanych sobie twarzy i znalezienia się sam na sam z przybyszem z Europy. Konsul i jego koledzy żywo odradzali młodemu zbliżanie się do Cesarskiego Miasta, po którym włóczyły się już bandy wicherzycieli. Najlepiej byłoby po prostu wyjechać poza miasto. Konsul wybierał się właśnie na krótką inspekcję swoich agentów konsularnych, będących być może zwykłymi informatorami i szpiegami. Zaproponował młodemu, że ich ze sobą zabierze. Któregoś poranka o wczesnej porze, w asyście czterech

strażników pełniących zarazem rolę eskorty, ochrony i przyzwoitek, konsul, jego córka oraz młody cudzoziemiec, wszyscy troje marni jeźdźcy, wyruszyli konno do San Ho, pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Pekinu. Stare mury obronne z pięknymi bramami pokrytymi dachówką z laki, o wygiętych w górę, układających się warstwowo dachach wystających nad każdym z pięter, im wyżej, tym bardziej cofniętych, podtrzymujących pomalowane na ciemnoczerwono drewniane kolumny, stanowiły dobry przykład chińskiej architektury wojskowej.

W San Ho, spokojnym mimo zamieszek w niedalekiej stolicy, w której w najlepsze trwało powstanie bokserów, dwoje młodych spędziło trzy cudowne dni. W 1900 roku, w samym sercu wtedy jeszcze bardzo odległych Chin, w przeddzień krwawych wydarzeń ta chwila szczęścia, ten ostatni moment odroczenia darowany dwojgu jeszcze osiem dni temu nieznanym się ludziom przez los, który już wkrótce znowu ich rozdzieli, ma w sobie coś dziwnego i wruszającego.

Po powrocie pośród niewyobrażalnego zamętu do Pekinu konsul i dwoje młodych dowiedzieli się, że bokserzy zamordowali właśnie posła niemieckiego.

– To wojna – powiedział konsul.

I, ku wielkiemu niezadowoleniu Gabrielli, która obawiała się, że ojciec ośmieszy się w oczach Nicolasa, znów zaczął opowiadać o jakimś epizodzie z życia Marco Polo, który nie omieszkał stworzyć precedensu dla obecnych dramatycznych wydarzeń.

Brian wziął dokument, który podawał mu Turnbull. Był to opis masakry w Cawnpore. Przed ucieczką z zaatakowanego przez Anglików miasta Nana Sahib kazał poderżnąć gardła blisko dwustu więźniom. Brian zaczął głośno czytać:

– „Niektórzy byli dosłownie poszatkowani na kawałki. Potem wszystkie ciała wrzucono do pobliskiej studni. Obejrzałem dom zbrodni; wały się tu trzewiki, strzępy sukni lub halek, kosmyki włosów; podłoga cała przesiąknięta była krwią...”. Horror! – zawołał Brian, przerywając lekturę i odrzucając dokument.

– Cierpliwości! – powiedział Turnbull. – Proszę tak szybko nie rezygnować. Jeśli chce pan zrozumieć, co dzieje się w tym kraju, nie

pora teraz tchórzyc. Może pan pominąć resztę opisu masakry. Niewiele to panu da. Ale powinien się pan dowiedzieć, jak wyglądał odwet pułkownika Neila. Przekona się pan, że my również, jak już się za coś zabieramy...

– Dzięki – powiedział Brian. – Wielkie dzięki. Widziałem już nasze obozy w Afryce Południowej. Nie zależy mi wcale na tym, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób odpowiedzieliśmy terrorem na terror.

– Cóż, zatem ja – powiedział Turnbull – wprowadzę pana w nieodparte uroki naszych rodaków.

I zaczął czytać fragment, w którym pułkownik Neil wspomina rozkazy, jakie wydał nazajutrz po odzyskaniu Cawnpore z rąk rozbitych oddziałów Nany Sahiba:

– „Domu i pokoi, w których dokonano masakry, nie będą czyścili ani bielili rodacy ofiar. Brygadier żąda, aby każda kropla niewinnej krwi została zmyta lub wylizana językiem skazanych, nim zostaną straceni, w części proporcjonalnej do ich pozycji w kaście oraz ich własnego udziału w masakrze. Wobec tego po wysłuchaniu wyroku śmierci każdy skazaniec zaprowadzony zostanie do domu zbrodni i zmuszony do czyszczenia określonego fragmentu podłogi. Dołoży się wszelkich starań, by zadanie to uczynić jak najbardziej raniącym dla odczuć religijnych skazanego, przy czym oficer nadzorujący, jeśli zajdzie potrzeba, nie będzie żałował bata. Zakończywszy pracę, skazany zostanie stracony na szubienicy wzniesionej nieopodal domu”. I co pan na to? – zapytał Turnbull cichym głosem po długiej chwili milczenia.

W gęstych ciemnościach nocy ledwie rozproszonych światłem lampy rzucającej fantastyczne, migotliwe cienie na kolumny z niebieskiego drewna Brian O'Shaughnessy nie odpowiadał. Nagle poczuł na ramionach dłonie porucznika Turnbulla.

Skaczę, przeskakuję. Do głowy napływa mi moc wspomnień o tym, czego nie znałem. Czy w ogóle cokolwiek znaczą? Skaczę, przeskakuję. Zattere i Giudecca w Wenecji, suknie od Paquina, Nicolas w samym centrum powstania bokserów, ambiwalentne stosunki dwóch oficerów brytyjskich w Bombaju, emigracja żydowsko-polska w Nowym Jorku, wielka burżuazja finansowa w Argentynie w pierwszych latach naszego stulecia, stare, lekko kiczowate zamczysko w zapadłej Szkocji –

często wydaje mi się, że skoro machina raz ruszyła, nie ma powodu, by się zatrzymywać, i że każda minuta życia wymaga godziny relacji.

Skaczę, przeskakuję: poronienie Rosity, królewska wizyta w Glangowness, garnizonowe życie Turnbulla i O'Shaughnessy'ego w Indiach i ich zażyłość, o którą pewnego dnia stanie się zazdrosny sam Kitchener, rosnący majątek Jeremiasza Finkelsteina, życie małej bogaczki Hélène Wrońskiej w Wenecji, w Paryżu, w Londynie. Na drugim końcu świata Rosita, po Carlosie i Agustynie, znów oczekuje dziecka. Niespodzianka, cud: urodziły się bliźniaki. Jeden otrzyma imię Javier, drugi Luis Miguel. Skaczę, przeskakuję. Powiem wam tylko, że Hélène Wrońska wyrosła na mądrą dziewczynkę, którą nagle zaczął zastanawiać brak mężczyzn w jej otoczeniu, że czterej bracia Romero w wielkim domu w Buenos Aires i w drugim w Arroyo Verde przyprawiali o ból głowy zasnęła miss Prism, ich starą angielską *nanny*, i że w pałącym słońcu, na czele niezwykle malowniczych oddziałów, w asyście koni, kóz, psów, niedźwiedzi, dwóch wielbłądów, mnóstwa małych i wicekróla Indii, lorda Curzona, lord Kitchener, głównodowodzący armii indyjskiej, odznaczył kapitana O'Shaughnessy'ego orderem Victoria Cross czy też Distinguished Service Order za jego waleczną postawę – *very gallant behaviour* – w walkach o Tybet podczas wyprawy zorganizowanej przeciwko zakusom rosyjskim na północnych rubieżach imperium.

Paco Rivera powoli stawał się zawodowym rewolucjonistą. W zdominowanym przez Kościół i właścicieli ziemskich Meksyku w początkach wieku zdobył sobie wśród prostych ludzi, i w stosunkowo wąskim jeszcze kręgu, sławę i nazwisko. Nazywano go Profesorem lub Księżulkiem. Około 1908 czy 1910 roku w ruchu wiejskiej biedoty, na którego czele już wkrótce staną Pancho Villa i Zapata, jest właściwie jedynym, który zna Marksa i Engelsa i może powiedzieć o sobie, że jest marksistą. Nie chwali się zresztą swoimi lekturami i przekonaniem. Wystarcza mu walka słowem – a wkrótce też i orężem. Służy sprawie buntów chłopów oraz ich dążeniu do bodaj odrobiny dobrobytu. Spotkać go można przemierzającego nędzne wsie i gospodarstwa rolne, siejącego ziarno rewolty i rzucającego wyzwania władzom, które zaczynają go coraz lepiej poznawać i mieć się przed nim na baczności. Wielokrotnie

ledwie o włos udaje mu się uniknąć aresztowania. Otacza się zuchami, z którymi nie ma żartów, uciekinierami z więzień, recydywistami, uchodzącymi przed sprawiedliwością zabójcami, oszustami. Nie tylko tworzy z nich posłuszną sobie, pozbawioną wszelkiej hierarchii bandę, działającą w skali całych prowincji, lecz przywraca im także godność, wiarę w siebie i nadzieję na lepsze jutro, tłumacząc, że wbrew pozorom sprawiedliwość i słusność są po ich stronie. Z aspołecznego marginesu i zaszczutych bandytów czyni obrońców uciśnionych i nieznanych jeszcze twórców nowego porządku, w którym znajdą dla siebie miejsce. Odwraca skalę wartości, obala hierarchie, wysuwa naprzód tych, którzy ciągnęli się na szarym końcu. Paco Rivera, Profesor, Księżulek staje się postacią w pewien sposób mityczną, czasami wręcz nierzeczywistą, kimś z nieokreślonego pogranicza misjonarstwa i bandytyzmu. Ukrytych śladów jego obecności domyślić się można w napadach na pociągi lub banki, w egzekucjach na znienawidzonych przez własnych chłopów właścicielach ziemskich, w porwaniach poborców podatkowych lub sprzedających sędziów. Bardziej indiański niż hiszpański, wróg wszelkiej brutalności, jest Robin Hoodem o czarnych oczach i śniadej twarzy, jest pierwowzorem Zorro wielkich meksykańskich posiadłości ziemskich i *sierras*.

Od czasu do czasu zapuszcza się aż na sporne terytoria Stanów Zjednoczonych Ameryki. W trakcie jednej z takich karno-dydaktycznych ekspedycji do Teksasu czy Nowego Meksyku – gdyż przemoc idzie u niego zawsze w parze z elokwencją i dydaktyką – spotyka młodego amerykańskiego Mulata, który do niego dołącza; odtąd działać będą razem. Paco nadaje mu przydomek Brzdąc. Profesor i Brzdąc, Księżulek i Brzdąc stają się nierozłączni. Niektórzy z najpoważniejszych historyków filmu zapewniają, że to właśnie od kompana Paca Rivery wiele lat później Chaplin zapożyczy imię dla najmłodszego i najślawniejszego ze swych bohaterów: Brzdąca.

Zaledwie kilka godzin po powrocie do Pekinu konsula włoskiego, jego córkę Gabriellę oraz naszego, a obecnie ich przyjaciela Nicolasa porwał wir wydarzeń.

Po zabójstwie posła niemieckiego akredytowani w Pekinie dyplomaci, poczuwszy zagrożenie, chcieli się ze sobą skontaktować

celem wymiany wrażeń. Dla większości z nich było już za późno; tłumy Chińczyków, porwane przez bokserów, blokowały poselstwa. Konsulowi włoskiemu w towarzystwie córki i Nicolasa udało się przedrzeć przez rozpasaną tłuszcę do poselstwa Stanów Zjednoczonych w pobliżu Zakazanego Miasta. Zostawiwszy tam młodych, konsul mimo rad i ostrzeżeń uparł się, że przedostanie się do poselstwa Anglii, by spotkać się z posłem brytyjskim, który chętnie wysłuchiwał jego elukubracji na temat jedwabnego szlaku i który nagle stał mu się bardzo bliski. Gabriella z niepokojem patrzyła, jak znika między grupami coraz bardziej podekscytowanych Chińczyków.

W miarę upływu godzin oblężenie poselstwa Stanów Zjednoczonych coraz bardziej się zacieśniało. Wszelka łączność ze światem zewnętrznym została zerwana. Wrzeszczący żółty tłum pod wodzą kilku chwatów, których krótkie rozkazy znajdowały natychmiastowy posłuch, okupował wszystkie bramy i zaczął dobijać się do bram poselstwa.

Posel amerykański w asyście najbliższych współpracowników starał się zaprowadzić trochę spokoju wśród tłoczących się wokół niego urzędników i ich zapłakanych żon. Z wielkim trudem udawało mu się ukryć własny niepokój.

– Jest całkiem oczywiste – przemówił donośnym głosem, tak żeby go wszyscy słyszeli – że rząd chiński nie zamierza nawet kiwnąć palcem, żeby pospieszyć nam z pomocą. Tak więc jesteśmy zdani na własne siły. Przetrzymamy jednak tak długo, jak długo będzie trzeba. Mocarstwa nie opuszczą nas w biedzie.

– A Cy-si? – zakrzyknął jakiś kobiecy głos.

– Cy-si? Współdziała z bokserami. Bez niej nie zdołaliby niczego zorganizować. Toleruje to, co się dzieje, jeśli wręcz do tego nie zachęca.

– Na ile dni wystarczy nam żywności i amunicji? – pytał młody mężczyzna.

– Wszelkie dyspozycje zostały już wydane. Musimy się poważnie ograniczać. Nie wezmą nas ani siłą, ani na wyczerpanie.

– Co więc mamy robić? – pytał dalej ten sam głos.

– Każdy z was otrzyma konkretne zadanie. Zorganizujemy strażę, sporządzimy wykaz zapasów, określimy funkcje wszystkich mężczyzn

i kobiet. A teraz – dodał poseł – powołamy sztab kryzysowy. W ciągu najbliższej godziny chciałbym otrzymać listę wszystkich obecnych w poselstwie mężczyzn, kobiet, dzieci, z zaznaczeniem ich stanowiska i wieku. W ciągu najbliższej godziny, w moim gabinecie.

Idąc po schodach do gabinetu, dyplomata zrzucił nagle maskę pewności siebie i opanowania, okazywanych na użytek publiczny. Twarz jego wyrażała zwątpienie i wyczerpanie.

– No to mamy spory problem – powiedział do swojego prywatnego sekretarza, Toma Timkinsona, zwanego Tim Tomem.

– Czy może mi pan powiedzieć... – zaczął Tim Tom z wahaniem.

– Śmiało, chłopcze!

– A co by się stało, gdybyśmy otworzyli bramy poselstwa przed tłumem albo gdybyśmy spokojnie wyszli z nimi porozmawiać?

– To pan nie wie? – zapytał poseł.

– Jestem tu dopiero od czterech miesięcy – wyjaśnił Tim Tom płaczliwym, nieco komicznym tonem.

– No to powiem ci, chłopcze, z wyżyn moich dwudziestu sześciu lat spędzonych w Chinach i na Dalekim Wschodzie, co by się stało. Wymordowaliby nas. Ot, co. Czy mógłby mi pan przynieść filiżankę herbaty?

Nicolas nie odstępował Gabrielli. Trzymał ją za rękę jak dziecko. Od czasu do czasu spoglądała na niego z miną pytającą i ufną, która go wzruszała. Tak długo zależny był od innych: oto wreszcie ktoś, kto wydaje się zależny od niego. Stali oboje u podestu schodów, odprowadzając spojrzeniem grupkę mężczyzn idącą na górę do gabinetu posła i usłyszeli tych kilka słów, które ci między sobą wymienili. Znałem dobrze Tim Toma. Siwe włosy z przedziałką pośrodku, mały wąsik, nieśmiertelna muszka – przyjechał do San Miniato w okresie, kiedy osiągnął wiek kanoniczny, żył w kulcie Jamesa Joyce'a i był amerykańskim konsulem honorowym w Trieście. To od niego pochodzi ten obrazek dwojga młodych, którzy stojąc u podnóża schodów, słyszą, jak poseł Stanów Zjednoczonych w Pekinie napomyka o ewentualności wymordowania cudzoziemców przez rozpasanych bokserów.

– Wciąż ich jeszcze widzę – mówił, sącząc trzecią whisky na tarasie, który powoli okrywał zmrok – u podestu tych przeklętych

schodów, na których ja sam najadłem się takiego strachu. Wyglądali jak jakiś alegoryczny i dość konwencjonalny posąg miłości. Znałem ją, oczywiście; w Pekinie wszyscy – to znaczy, ma się rozumieć, biali – znali się ze wszystkimi. Była czarująca i nudziła się przy ojcu, który uważał się za toskańskie wcielenie Marco Polo. Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. Trochę się do niej zalecałem, ale ona wciąż tylko się śmiała. Mówiła, sam nie wiem dlaczego, że nie dość wycierpiałem. Czasami się zastanawiam, czy aby nie przyniosła nam pecha. Nie ma pan pojęcia, czym były te dwa miesiące. Czy wyobraża pan sobie, jak to jest, kiedy pod oknami wyją tysiące Chińczyków, Mandżurów i Mongołów? A potem nagle milkną: to było jeszcze gorsze. I wszystkie te historie, jakie sobie opowiadano o torturowanych misjonarzach i kupcach pomordowanych podczas niekończących się zamieszek... Było w tym sporo przesady, to pewne. Ale włoski konsul, powiernik Marco Polo i ojciec Gabrielli, przepadł jak kamień w wodę. Wolę nawet nie myśleć, co się z nim stało... A poseł niemiecki... nikt przecież tego nie wymyślił. Dowiedziawszy się, że został zamordowany, poczuliśmy się, jakby nagle runął cały świat. Poseł niemiecki! Wyobraża pan sobie? Każdego ranka budząc się, każdego wieczoru kładąc się spać – a przez te dwa miesiące niewiele sypialiśmy – powtarzaliśmy sobie, że teraz to już koniec, że zaleje nas żółty potop. Panował straszliwy upał, był środek lata, wydawało się, że to jakiś koszmarny sen, z którego nie można się ocknąć ani wybudzić. Mógłbym dostać jeszcze odrobinę whisky? Dopiero teraz widzę, że opowiadając panu o tych horrorach, wszystko wypilem.

– A Nicolas? – zapytałem, podążając za tokiem własnych myśli.

– Nicolas?... A, tak, ten młodzieniec... Jego oczywiście nie znałem. Wydawał się sympatyczny. I straszliwie posępny. Może właśnie dlatego Gabriella tak do niego przylgnęła: ten przynajmniej wyglądał na takiego, co cierpiał. Ciekawe natomiast było to, że jego, tak niespokojnego, oblężenie poselstw zdawało się raczej bawić. A im dłużej trwało zagrożenie, tym mniej wydawał się spięty. Może uważał masakry za rozrywkę? Pamiętam, że pośród tych dramatów, w sytuacji kiedy wszyscy ryzykowaliśmy życie, trochę mnie irytowała – jeszcze kropelkę, jeśli łaska... i, jeśli to nie kłopot, kostkę lodu – nagła namiętność, jaką zapalała do tego chłopaka, który kpił sobie ze śmierci... Kochała go, to

pewne... Zastanawiam się, czy aby nie z powodu całej tej sytuacji... Byliśmy zgubieni, trzeba się było czegoś uchwycić. Bo widzi pan, kiedy człowiek mówi sobie, że może za godzinę rozerwą go na strzępy, zarzną, zakatują, zaczyna trochę innym okiem spoglądać na życie.

Przypuszczam, że to właśnie rzuciło ich sobie w ramiona.

– Zapewne – zgodziłem się uprzejmie. – Bo równie dobrze mógł to być pan.

– Zamordowany, *you mean*? Zarżnięty, rozszarpany? Na ławie tortur?

– Ach, nie. Chciałem powiedzieć, że w ramionach Gabrielli.

– *Ah, yes...* Rozumiem... Tak, niewykluczone... Wystarczyło znaleźć się na miejscu w odpowiednim momencie. Nie sposób jednak być wszędzie naraz. On trzymał się ręki Gabrielli. Ja – mojego posła. W chwili, kiedy poseł mówił właśnie o wszystkich tych potwornościach, popatrzyłem ze szczytu schodów i ujrzałem Gabriellę w ramionach młodzieńca. Ona również musiała mieć porządnego stracha. Opierała głowę na jego ramieniu.

Co mogę wam powiedzieć o życiu Hélène Wrońskiej w Wenecji, w Londynie czy Paryżu? Była dziewczynką pięcio-, siedmio-, jedenastoletnią. Uroczą małą dziewczynką. Jasnokasztanowe włosy, wysokie kości policzkowe po babce, być może dodatkowo zaakcentowane odrobiną rosyjskiej krwi po matce, wielkie zielone oczy, lekko podłużne i zawsze zdziwione; miała w sobie talent, a możliwe, że i geniusz wszystkich małych dziewczynek i małych chłopców. W miarę nabywania rozumu i wykształcenia dzieci psują się i głupieją, chcąc jak najszybciej upodobnić się do dorosłych. „Wszystkie dzieci są genialne – stwierdził okrutnie Cocteau – z wyjątkiem Minou Drouet”. Minou Drouet była cudownym dzieckiem, które w latach pięćdziesiątych w wieku lat siedmiu pisało wiersze. Hélène Wrońska nie pisała wierszy. Wystarczyło jej to, że była bardzo ładna i bardzo poważna i uwielbiała swoją babkę. Zresztą nawet gdyby chciała pokochać kogoś innego, nie bardzo miała wybór: w jej otoczeniu nie było nikogo z wyjątkiem lalek, pokojówek i sprzedawców balonów i lodów, których była wierną klientką. Celowo lub bezwiednie babka, która ją ubóstwiała, wytworzyła wokół wnuczki pustkę, by jak najlepiej ją „wysiedzieć”.

Może z powodu swoich okropnych wspomnień o ludziach, którym zaufała przy narodzinach syna, Marie Wrońska odsunęła od siebie i wnuczki niemal wszystkich. Rodziny siłą rzeczy już nie miały. Zredukowała do minimum liczbę służby i pośredników. Sama zajmowała się dzieckiem, nie pozwalała nikomu ubierać jej, karmić czy bawić. Kochała w Hélène utraconego syna, a zarazem córkę, którą znienawidziła, nigdy nie przestając jej kochać. Wnuczka była dla niej ukoronowaniem i rozwiązaniem wszystkich konfliktów jej własnego życia. Dziecko było samym sercem dramatu, jego owocem, jego żywym wspomnieniem – oraz promiennym obrazem pojednania.

Dla wszystkich, którzy pamiętali Marie w towarzystwie Nadii, często branej za jej siostrę – w pierwszych latach naszego wieku i w okresie poprzedzającym pierwszą wojnę niezwykle widok przedstawiała ta wciąż jeszcze urodziwa i niesłychanie wytworna dama o posiwiałych włosach, zawsze w towarzystwie dziewczynki ubranej z wyszukaną starannością, a przy tym bardzo naturalnej i bezpośredniej. Sławne stały się różne powiedzonka Hélène, bez końca powtarzane przez babkę. Kiedy Marie usiłowała wytłumaczyć wnuczce, że ukrzyżowany Jezus odkupił grzechy świata, ta zapytała: „To wcześniej je kupił czy jak?”. Kiedy babka przymierzała właśnie suknię u Wortha, mała, nagle ocknąwszy się z zamyślenia, pociągnęła ją za rękę i szybko wyszeptła: „Najwyżej jest papież, trochę niżej kardynałowie i arcybiskupi, ale na dole już nie pamiętam: harcerze czy ministranci?”. Taka bliskość z babką mogła doprowadzić do kryzysu lub odrzucenia. Tymczasem nie, na ich stosunkach nigdy nie zaciążył żaden cień. Przyjacielowi babki, który zapytał Hélène, co robi z główną wygraną w tomboli na cele dobroczynne, na którą kupiła kilka losów, dziecko odpowiedziało: „Wybiorę się w podróż dookoła świata i zabiorę ze sobą babcię”. Ta podróż dookoła świata stała się stałym tematem żartów między babką i wnuczką. Kiedy dziewczynka miała trzynaście czy czternaście lat, wielokrotnie rozważały, czyby się w nią nie wybrać. Ale projekt nie doczekał się realizacji. Z przyczyny najprostszej z możliwych: kiedy Hélène Wrońska skończyła piętnaście lat, poznała w Paryżu pewnego szalenie brytyjskiego kapitana, który wkrótce miał zostać majorem, dobre ćwierć wieku starszego od niej. Nazywał się on... Zgadnijcie!

Sześć miesięcy później wyszła za niego za mąż.

Był to ostatni wielki bal przed wybuchem wojny. Wiem, co mówię, bo wszyscy Plessis-Vaudreuilowie jak jeden mąż się na nim stawili, z moim dziadkiem na czele. Ale bardziej niż na wyglądającą niezwykle dziecinnie pannę młodą, bardziej niż na pana młodego, przystojnego, płowowłosego chwata w znakomicie skrojonym mundurze, bardziej niż na świadka – *the best man* – pana młodego, którym był lord Kitchener, oczy wszystkich skierowane były na berbecia przebranego za pazia w kostiumiku z niebieskiej satyny z koronkowym żabotem. Ubranko to wszyscy obecni uparli się uważać za nieodparcie urocze, ale samo dziecko wstydziło się go tak okropnie, że roniło gorzkie łzy do mieszka z haftowanego aksamitu ściągniętego rzemykiem i przeznaczonego na kwestę: tym dzieckiem byłem ja.

Jedni się kochają, inni umierają: takie już jest życie. Jedni są bogaci i potężni, inni zawsze pozostaną biedni. Bywa też i tak, że biedni próbują zabijać bogatych i sami stać się potężnymi. Czasem im się to udaje, czasem nie. Taka już jest historia i takie jest życie.

Paco Rivera z nieodstępnym Brzdącem sprzymierzył się z pewnym zadziwiającym osobnikiem, którego gwałtowność i malowniczość kontrastowała z chłodem i powściągliwością byłego seminarzysty. Ta siła natury, ta karykatura Meksykanina nazywała się Pancho Villa. Paco Rivera stał się ascetycznym cieniem Pancha Villi. A żywy, lekkomyślny, kędzierzawy, niemal roztańczony Brzdąc o śniadej skórze i pogodnym usposobieniu był cieniem cienia.

Nie zamierzam tu opowiadać historii Pancha Villi, stapiającej się w jedno z historią Meksyku. Ani historii Zapaty, stapiającej się w jedno z historią Pancha Villi. To nieśmiertelna, podniosła, szalona i okrutna historia buntu uciemienionych. Zapata został zabity. I Villa został zabity. Oni sami zabili wielu innych. Prezydent Madero, wcielenie sprawiedliwości i umiaru, wyniesiony do władzy przez rewolucję, uosabiał porządek i prawo. I jak inni, i przed innymi, on też został zabity.

Przez kilka lat Paco i Brzdąc żyją wielką epopeją chłopskiej rewolucji. Na swoich pociągowych szkapach, które zaczynają przechodzić w galop, wzbijają tumany kurzu na meksykańskich drogach. Są jednym z ogniw łańcucha miłosierdzia i nieprzejednanej ambicji, który od Spartakusa po Lenina, od anabaptystów i Savonaroli po Héberta, Marata, Saint-Justa, od Beli Kuna po Fidela Castro nieustannie rwie się i zawiązuje na nowo. Karmią marzenia nędzarzy i wyrosłą z przemocy legendę złotego wieku nieczystą krwią i absurdalnymi nadziejami. Otacza ich ognisty krąg zapалу i nienawiści. Piekielne eskadrony wypadają z lasów i ze *sierras*. Dziki odgłos galopady rebeliantów rozbrzmiewa na równinach i we wsiach, w sercach spragnionej odwetu biedoty i przerażonych tyranów, docierając nawet do pałaców rządzących i do bogatych, pełnych dywanów i obrazów salonów miasta. Szerzy się terror, a jednocześnie świta nadzieja. Rivera i Brzdąc

bez mrugnięcia okiem uczestniczą w masowych egzekucjach, w torturowaniu zdrajców lub donosicieli, w zakopywaniu w ziemi żywych jeszcze rywali lub wrogów, których twarze posmarowane miodem wystają z ziemi, wydane na pastwę palącego słońca, czerwonych mrówek i końskich kopyt.

W tych skrajnościach Paco Rivera upatruje zemstę Niebios. Niezależnie od samej przygody i jej wcieleń – kalkuluje, rozważa, zastanawia się nad władzą. Brzdąc ma świetną zabawę. Inne wyrostki w jego wieku kradną torebki i rowery albo wieczorami napadają na birbantów wychodzących z teatru. On morduje, kiedy jest potrzeba, wrogów klasowych i bogatych chłopów, nie tracąc dobrego samopoczucia i z uśmiechem na ustach. Przed lub po potyczkach, w przerwach między wyprawami i naradami wojennymi Profesor i Brzdąc z zamyśloną miną grywają ze sobą w szachy lub karty.

Inni obserwują tę parę z pełnym zdziwieniem i szacunkiem bliskim uwielbienia. Starszy jest uczony, młodszy niebezpieczny. Biedni wieśniacy to w większości poczciwi, doprowadzeni do ostateczności ludziska, którym spieszo wracać do domów. Ale, patrzcie, ci dwaj sprawiają wrażenie, jakby radował ich ten przelew krwi, jakby Meksyk był dla nich tylko polem na szachownicy, pionkiem na olbrzymiej mapie. Nawet Pancho Villa spogląda na nich z niepokojem. Nie ufa marksiście, tak samo jak nie ufa Murzynowi. Nigdy ich ze sobą nie zabiera, kiedy zabawia się z dziewczętami w którejś ze zdobytych wiosek u podnóża gór lub na plaży przy ognisku, na którym piecze się ryba.

Słusznie wyobrażacie sobie, że w tym tempie, w jakim posuwamy się do przodu, czterech braci Romero zdążyło już podrosnąć. Teraz to już duzi chłopcy. Są mniej więcej w wieku – może trochę starsi – Aureliana w Paragwaju. Prosta i dość zabawna definicja życia, a może i historii mówi, że dzieci i tak w końcu osiągną wiek rodziców, muszą tylko przeżyć. Starzenie się to jedyny sposób na nieumieranie. W rodzinie Romero nikt nie umierał: Conchita wciąż jednakowo krzepka trwała na posterunku, podobnie jak po drugiej stronie Jeremiasz Finkelstein, coraz bogatszy i coraz bardziej wrażliwy na zimno, i Cristina Isabel, wieczne dziecko dotknięte starością, rodzaj emerytki zawodowej młodości. Stary rabin z Polski i jego czcigodna żona,

pułkownik Romero, sławna Florinda i niezwykle, nieodżałowany Pericles Augusto odchodzili we wspomnienie – czyli w zapomnienie. Mały Agustín musiał przyznać, wzbudzając tym smutek matki oraz trochę udawany, zabarwiony lekkim rozbawieniem gniew ojca, że nie ma najmniejszego pojęcia o swoich pradziadkach. Oczywiście uwielbiał babkę Conchitę (której prawdę mówiąc trochę się bał), słyszał o swoim świętej pamięci dziadku pułkowniku i, z drugiej strony, o rodzicach matki – „Jest Żydem, prawda? A ona Murzynką?”, rzucił kiedyś Javier, żeby się popisać, a głęboka cisza sprawiła, że zaczerwienił się i wetknął nos w talerz – ale już imię Periclesa Augusta nic mu nie mówiło, a Florindy jeszcze mniej. Rabin Isaak z sztetlu pod Lublinem był dla niego kimś kompletnie nieznanym. Podobnie jak pozostałym trzem jego braciom. Nie jestem wcale pewny, czy Conchita Romero zrobiła wszystko, co w jej mocy, by podtrzymać we wnukach pamięć o rabinie, Murzynce z Bahii czy ich ekscentrycznym pradziadku.

Argentyński, a w jeszcze większej mierze anglosaski konformizm, wyznawany przez Aureliana i popierany przez Conchitę, w pełni dochodzi do głosu w młodszym pokoleniu. Wszyscy mówią po angielsku równie dobrze jak po hiszpańsku, a niedzielne pogaduszki rodzinne lub rozmowy przy stole między matką Amerykanką a ojcem dyplomatą w Anglii i Stanach Zjednoczonych toczą się naturalnie w języku miss Prism, która nie rozumie ani słowa w żadnym obcym żargonie, a hiszpański uważa za rodzaj zacofanej, papistycznej gwary. Cały ten mały świątek, dla podtrzymania swojej pozycji w konformistycznym i anglofilskim towarzystwie Buenos Aires, jeździ konno, gra w tenisa lub badmintona, kąpie się w morzu lub w jeziorze Nahuel Huapi, wytwornie się ubiera oraz z nabożeństwem czytuje, z miesięcznym opóźnieniem, „Timesa” oraz powieści Dickensa, Stevensona i Rudyarda Kiplinga.

Ciągnie ich do Stanów Zjednoczonych. Ale fascynuje ich Europa. Europa! Podróż z Buenos Aires do Southampton, do Bordeaux, do Genui jednym z tych luksusowych transatlantyków, które służą za salon wystawowy i propagandowy wielkim potęgom morskim, gdzie pod Krzyżem Południa lub w dusznej szarości stref gęstej mgły dyplomacji i ludzie interesu nawiązują romanse z damami z towarzystwa lub sławnymi kokotami w diademach i wieczorowych sukniach, zajmuje

około trzech tygodni. Z Arroyo Verde do Paryża lub Londynu trzeba liczyć z górą miesiąc. Są to nie byle jakie wyprawy, których nie podejmuje się lekką ręką. W podróż zabiera się olbrzymie kufry-szafy, bieliznę na wiele miesięcy, naczynia stołowe, często meble, a na nabrzeżach słycać łkania tych, którzy zostali i wiedzą, że może już nigdy więcej nie ujrzą wyruszających w drogę podróżników. Nie nadeszły jeszcze czasy swobodnego kursowania tam i z powrotem. Wtedy wyjazd jeszcze naprawdę coś znaczył.

Leżąca u kresu wyczerpującej i wciąż jeszcze trochę niebezpiecznej podróży Europa to odwieczne marzenie. Dla wszystkich, niezależnie od tego, jak dawne łączą ich korzenie z San Martinem, z Boliviarem czy wojną o Chaco, przepłynięcie Atlantyku stanowi w pewnym sensie powrót do kraju. I to jakiego kraju! Zachwycającego i cudownego, pełnego pamiątek po przeszłości, czegoś w rodzaju skansenu wygasłych tradycji czy stałej ekspozycji muzealnej. Na avenida Alvear czy Plaza San Martín ludzie marzą o Salamance, o Sewilli, o Grenadzie, o Brugii i o wygnanych mistrzach. Marzą o Wenecji i Wiedniu, o Londynie i Paryżu. Rewolucja Francuska to skarbnica – oraz niejake zagrożenie. Ze swoimi grzechami i socjalistami, swoimi myślicielami i filozofami, ze swoimi przybytkami nocy – Europa urzeka, a zarazem niepokoi. W porównaniu z argentyńską przyrodą i pampą ze stadami wołów, gauczami w skórkach i wielkimi ogniskami płonącymi nocą – ma w sobie urok zatracenia i wszystkie zagrożenia postępu.

Conchita Romero nie zapomniała o swoich europejskich ambicjach. Jest przekonana, że przyszłość dzieci leży po drugiej stronie Atlantyku. Bo jakże wychowywać chłopców gdzie indziej niż w Oksfordzie czy École Polytechnique? Zrozumiała jest jej troska o ich naukę, ale naturalnie śmieszne byłoby już teraz myśleć o tym, gdzie wylądują i z kim się ożenią. Co nie zmienia faktu, że oczyma wyobraźni Conchita widzi już na tle rozpaczliwie płaskiej argentyńskiej pampy zamki w Turenii, palladiańskie wille, bale w Hofburgu i cień Balmoralu. Po tamtej stronie transatlantyckich podróży znajduje się Izba Lordów, podwójna monarchia, główny sztab niemiecki, pałac Dożów w Wenecji. Znajduje się Republika Francuska, gdzie w cieniu Maxime'a i Akademii

Medycznej, nocy na Montmartrze i w Dzielnicy Łacińskiej współlistnieją – cud prawdziwy! – sprawiedliwość dla Dreyfusa oraz księżna d’Uzès.

Do końca lata było jeszcze daleko, kiedy wysłana przez wielkie mocarstwa międzynarodowa armia pod wodzą niemieckiego generała von Waldersee’ego uwolniła poselstwa oblegane przez bokserów. Oblężenie trwało dwa miesiące. Mężczyźni, kobiety i dzieci przeżyli koszmar i znajdowali się u kresu sił. Po kilku dniach blokady do Gabrielli tajemniczymi kanałami dotarła wiadomość, że wśród ofiar znalazł się jej ojciec. Nicolas nie opuszczał jej nawet na chwilę, podtrzymywał na duchu w tej godzinie próby, pocieszał, jak umiał. Zdawać by się mogło, że znają się od zawsze, że jest jej dawnym przyjacielem lub starszym bratem, troskliwym i serdecznym. Była wzruszona tą wielką, nieoczekiwaną przyjaźnią. Wydał jej się czarujący, kiedy wkroczył w jej życie; do niespodzianki zgotowanej przez przypadek i nagłej zażyłości doszła wdzięczność w nieszczęściu. Straciła dla niego głowę.

Już samo to, że tych dwoje spotkało się i pokochało, wystarcza, by mnie zachwycić i osłodzić mi tę przeciętność i trywialność, która nas tak często otacza. Pośród wielu innych wspomnień, owe dwa miesiące ich niedoli w targanym zamieszkami Pekinie, w San Miniato napawają mnie szczęściem – ponieważ się kochają i dzielą ze sobą wszystko, również strach i łzy. Wyobrażam sobie ich w tym poselstwie oblężonym przez wyjący tłum, odrażający jak każdy tłum ogarnięty fanatyzmem i skory do przemocy. Jakie to szczęście, że w tych czasach niepokoju i smutku oni się spotkali!

Tim Tom nie był wtajemniczony w tę nagłą namiętność, którą nawet najbardziej surowi traktowali z wyrozumiałością i sympatią, gdyż byli przekonani, że i tak wszyscy zginą. Był jej nieświadom i opowiedział mi tylko o tym, o czym wszyscy wiedzieli. Przez blisko sześćdziesiąt dni Gabriella i Nicolas z konieczności, ale także z własnego wyboru nie rozstawali się nawet na chwilę. Zamknięci w jednym miejscu, choć przecież ledwie co się znali, bawili się we dwoje w coś w rodzaju miłości za zamkniętymi drzwiami. Kiedy Nicolas stał na straży, Gabriella sadowiła się jak najbliżej, nie spuszczać z niego oczu. Aż w końcu z wycieńczenia i lęku się rozchorowała.

Nicolas nie odstępował jej wezglowia, wcielając się w rolę pielęgniarza z oddaniem wprawiającym w rozmarzenie wszystkie obecne kobiety. Oczywiście niebezpieczeństwo tylko potęgowało ich miłość.

W obliczu zagrożenia, w nieszczęściu Nicolas znów stawał się tym, kim być może był, choć nigdy nie miał sposobności tego ujawnić: wesołym, beztroskim, skłonnym do żartów towarzyszem. Ta chłopięca strona jego charakteru, tak mnie zaskakująca przez kontrast z jego chmurnym obejściem, które rzucało się w oczy wszystkim świadkom jego życia w Europie i Szanghaju, szła u niego w parze z troskliwością i czułością wobec Gabrielli. Przypuszczam, że nie bał się śmierci tak, jak reszta jego otoczenia. Zniknięcie, kres wszystkiego, śmierć – po to w gruncie rzeczy przyjechał do Chin. Miłość Gabrielli ofiarowana mu została niejako ponadplanowo. Oto dlaczego on, tak zawsze niespokojny, w obliczu niebezpieczeństwa wykazał nagle tyle delikatności, a zarazem niefrasobliwości. Życie niewiele sobie robi z naszych życzeń i zamiarów. Miesza ze sobą niepodzielnie najlepsze z najgorszym, często posługując się jednym dla uzyskania drugiego. Pewnego pięknego dnia w sierpniu do Pekinu wkroczyły wojska generała von Waldersee'ego.

Zwycięstwo Pancha Villi, a jeszcze bardziej Madera wprawiły Paca Riverę – a tym samym i Brzdąca – w rozterkę i rozczarowanie. W końcu walczyli nie dla pięknych oczu burżuazyjnej republiki. Podejrzewam, że każdy pokój trochę by ich rozczarował. A ten wzbudził w nich dosłownie obrzydzenie. Nie tylko oni czuli się nieswojo. Osiągnąwszy materialny komfort i moralną powagę urzędu prezydenckiego, Francisco Madero, już i tak zaniepokojony wyskokami Zapaty i Pancho Villi, nie bardzo wiedział, co począć z Profesorem i jego kompanem. Tłumaczono mu, że to dwaj niebezpieczni ekstremiści, przy czym można się było upierać, oraz mordercy, co było absolutną prawdą. Zaraz też dodawano, że aktywnie przyczynili się do sukcesu rewolucji, co również nie było nieprawdą. Nie bardzo wiedząc, do kogo zwrócić się o pomoc ani jaką podjąć decyzję – odznaczyć Profesora? kazać go zgładzić? – Madero, człowiek uczciwy, nie krył przed swoimi współpracownikami, że cała ta sprawa to dla niego prawdziwy krzyż pański.

– Powiedzcie mi, Joaquim (czy Luis Antonio, czy Pablo, czy

Jesús), ten Ribera...

– Rivera, panie prezydencie.

– Niech będzie, Rivera, co o nim myślicie?

– Hmm... Bezsprzecznie to człowiek bardzo inteligentny, panie prezydencie.

– Ale ilu zamordował ludzi?

– Ach... To człowiek bez wątpienia bardzo okrutny, panie prezydencie.

– A ta jego panienska?

– Jego panienska? Jaka panienska, panie prezydencie?

– Ejże, dobrze wiecie... Ile macie lat?

– Dwadzieścia, panie prezydencie.

– No, jego przyjaciółka, jego kochanka, jego...

– To młody mężczyzna, panie prezydencie.

– Młody mężczyzna, patrzcie państwo!

– Murzyn, panie prezydencie. Albo Mulat... Ale...

– Ale co?

– Niewiele o nim wiadomo, panie prezydencie... Prawie nic...

– No to dużo teraz mądrzejszy! Niewiele mi pomogliście, Joaquim (albo Pablo czy Luis Antonio, czy Jesús). Mimo wszystko nie mogę kazać go rozstrzelać, tego Ribery...

– Rivery, panie prezydencie.

– Przestańcie mi wciąż przerywać!... Mimo wszystko nie mogę kazać rozstrzelać tego Rivery tylko dlatego, że sypia z Murzynom.

– A i to nie takie pewne, panie prezydencie.

– No, cóż...

– Ale zamordował wielu ludzi, panie prezydencie.

– Zapewne! Zapewne! Za dwie minuty powiecie też, że jest bardzo inteligentny i że walnie dopomógł naszej sprawie. Widzicie, Joaquim (albo Jesús czy Luis Antonio, czy Pablo), w tym właśnie punkcie dotykacie bezpośrednio tak dwuznacznych stosunków polityki i moralności.

Gdyby prezydent Madero mógł usłyszeć rozmowy, które prowadzili ze sobą Profesor i jego Brzdąc – w tamtych czasach władza nie korzystała jednak z podsłuchu telefonicznego, bo nie było jeszcze

telefonów – byłyby zbudowane. Paco Rivera miał głęboko w nosie dwuznaczne stosunki polityki i moralności. Do walki społecznej pchnęły go chrześcijańskie miłosierdzie oraz miłość bliźniego. Ale codzienna działalność zatarła nawet wspomnienie o tej pierwotnej motywacji i tym wyjściowym bodźcu. Z jego chrześcijańskiej przeszłości ostało się jedynie pojęcie dobra, tak silne, tak przemożne, że podporządkowane było mu wszystko; by dobro mogło zatriumfować, dozwolone było posługiwanie się złem. W służbę dobra wprzęgnięte zostały kłamstwo, przemoc, nienawiść. Złem było to wszystko, co stawiało opór dobru. To, co szkodziło złu, stawało się częścią dobra. A wszelkie pozory dobra, w jakie przystrajało się zło, były jeszcze gorsze od samego zła. Tym sposobem Paco Rivera powoli doszedł do swego rodzaju manicheizmu na opak: żelazo i ogień były narzędziami dobra, a dobroć, łagodność, cierpliwość były niczym innym, jak tylko maskami przywdziewanymi przez zło dla zmydlenia oczu słabym i naiwnym.

Kiedy Profesor dowiedział się o zabójstwie Madera, zapowiadającym przyszłe zabójstwa Emiliana Zapaty i Pancha Villi, wybuchnął gromkim śmiechem. Oto ten, który chciał go zlikwidować, pierwszy został zlikwidowany. Dla wystraszonych mieszczuchów Meksyk stawał się zdecydowanie niebezpieczny. Dla Paca Rivery, kiedy zabrakło w nim walk i prawdziwej rewolucji, stawał się przede wszystkim nudny. Pewnej pięknej bezksiężycowej nocy Profesor z nieodłącznym Brzdącem przekroczyli granicę między Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi. O takim rozwiązaniu nie pomyśleli ani prezydent, ani jego doradca Joaquim (albo Pablo, albo Jesús czy Luis Antonio).

– Widzisz, mały – rzekł Rivera do Brzdąca, kiedy stanęli na ziemi wielkiej demokracji – oni nie wiedzą, że przynosimy im zarazę.

Przypuszczam – choć jest to sprawa, o której ledwie napomknąłem – że kapitan O'Shaughnessy wahał się, czy wyjechać z Indii. Przywiązał się do tego kraju. W towarzystwie porucznika Turnbulla przemierzył go wzdłuż i wszerz, od ośnieżonych gór Tybetu i Nepalu po pyliste równiny i Ghaty na południu. Grywał w polo, walczył na północnej i zachodniej granicy, nauczył się kochać pełną rezygnacji odwagę i żarliwy fatalizm ubogiego ludu. Przeżywał chwile szczęścia w cieniu wielkich

czerwonych fortów i nad rzekami, w których kąpali się wierni.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Madero, Villa, Zapata oraz Rivera ze swoim Brzdącem podburzali meksykańskich chłopów przeciwko reżimowi Porfiria Diaza, w burzliwym życiu Kitchenera nastąpił kolejny zwrot: rząd w Londynie wzywał go ponownie do Afryki, mianując go przedstawicielem brytyjskim w Egipcie. Wielki człowiek bezzwłocznie zażyczył sobie, by mu towarzyszył kapitan O'Shaughnessy. Kilka lat wcześniej Brian pospieszyłby za nim z zapalem. Ale teraz trudniej mu było podjąć decyzję. Zgodził się przez rozsądek. Marząc o jeziorze w Udajpurze, o skarbach Lahauru, o *house boats* z Śrinagaru, o Przełęczy Chajberskiej, o wspaniałych reliktach Fatehpur Sikri, o Shimli i o Majsurze, gdzie zostawił jakąś część samego siebie, bez entuzjazmu witał znowu przepych Egiptu, kapryśne brzegi Nilu, tajemniczą i opuszczoną Aleksandrię, Kair, gdzie kedyw i partia nacjonalistyczna z coraz większą niechęcią odnosiły się do brytyjskiej dominacji, nasilonej i pogłębionej przez władcze maniery lorda Kitchenera. W tym jednak rzecz: tu był on, Kitchener ze swoim prestiżem, swoim niesamowitym autorytetem. Brian pogodził się z opuszczeniem Indii.

Mąż Rosity piastował wysokie stanowisko w argentyńskim ministerstwie spraw zagranicznych, gdy w jego spokojnym życiu nastąpił nowy wstrząs: Casa Rosada postanowiła mianować go posłem Argentyny w Paryżu. Była to jedna z najbardziej upragnionych placówek w karierze dyplomaty. Marzenia Conchity nabierały konkretnego kształtu. Nie ma jednak rzeczy okrutniejszej nad spełniające się marzenia. Aureliano przygotowywał się do wyjazdu z wielką satysfakcją i odrobiną melancholii: oto musi rozstać się z Buenos Aires, ze swoimi przyzwyczajeniami, z niemal codziennym kontaktem z interesami rodzinnymi – ale przede wszystkim z Arroyo Verde i starzejącą się matką.

Conchita Romero obiecała, że przyjedzie do Francji, kiedy tylko młodzi – którzy już wcale nie byli tacy młodzi – skończą się urządzać. Ze ściśniętym sercem Aureliano Romero wybrał się na objazd Arroyo Verde. Przemierzał w siodle te bezkresne przestrzenie, które kochał nade wszystko w świecie. Gdy dojeżdżał z powrotem do wielkiego domu,

w którym czekała na niego Rosita z dziećmi, zachodziło słońce. W oddali, w cieniu otaczających go gór lśniło jezioro Nahuel Huapi. Słychać było dzwoneczki powracających stad. Szły tymi samymi szlakami, którymi on sam podążał tyle razy, przez wyschłe strumienie i rzadkie skupiska drzew. Jak okiem sięgnąć, ziemia miała kolor żółci i ochry, a nierówności terenu, wzgórze i góry Bariloche w oddali tworzyły wspaniałą kontrast z niewzruszonymi przestrzeniami pampy, przez które z Buenos Aires jechało się długie godziny i całe dni. Region Bariloche i jeziora Nahuel Huapi był jednym z najpiękniejszych w tym bogatym kraju, który nauczył się kochać. Pośród tej surowej i monumentalnej scenerii stał niedawno wzniesiony, przytulny i wygodny dom rodzinny. Conchita Romero zamieszkała w nim wkrótce po wyjeździe z Paragwaju. Rosita go zaakceptowała i dzieci, jak niegdyś on sam, spędzały w nim czarowne dni dzieciństwa, najpiękniejsze w życiu. Przekraczając próg domu, obrzucając po raz ostatni spojrzeniem czerwieniejące niebo, słysząc okrzyki czatujących na jego powrót bliźniaków, Aureliano przez moment zadał sobie pytanie, czy warto zostawiać to wszystko. Szybko jednak wziął się w garść. Kochał swoją pracę, Rositę ogromnie ekscytowała już sama myśl o Paryżu, pojedzie z nimi czworo dzieci, oczywiście razem z miss Prism. Wszyscy oni zabiorą do Paryża – Paryża! – ten blask i to ciepło, które potrafili sobie stworzyć w kraju wielkich przestrzeni, stad bydła, gauczów i zboża. Wszedł do domu, gdzie czekała na niego Rosita.

Gdy przyjechali, w Paryżu panowało lodowate zimno. W Lasku Bulońskim jeździły na łyżwach panie w futrzanych kapeluszach, obute w skórzane buciki zakrywające kostki i zachodzące wysoko na łydkę, w spódnicach nareszcie prostych, choć chwala Bogu wciąż jeszcze długich. Poincare zastępował właśnie na czele Republiki prezydenta ze szpakowatą bródką, Fallieres'a. Był rok 1913. Wszystko układało się pomyślnie. Aureliano zabierał Rositę do teatrów, do opery, do Maxime'a, na wielkie bulwary. Byli majętni i czarujący. Przyjmowano ich wszędzie. Jedli kolację z młodym, wtedy jeszcze prawie nieznanym Cocteau, z Eifflem, z Monetem, który rozmawiał z nimi o Clemenceau i trochę ich zgorszył opowieściami o wizytach Toulouse-Lautreca we wszystkich burdelach Paryża, z Debussym, z Anatolem France'em,

a także u Roberta de Montesquiou w towarzystwie żydowskiej i męskiej odaliski o wielkich czarnych oczach, zda się żywcem wyjętej z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, niezwykle miłej i wielkiej snobki, która pisywała do „Le Figaro” i nazywała się Marcel Proust. Wiosną spędzili kilka dni w Plessis-lez-Vaudreuil. Rosita nie posiadała się ze szczęścia.

Prawie piętnaście lat wcześniej do Pekinu wkroczyła armia generała von Waldersee’ego i uwolniła poselstwa oblegane przez bokserów. Nie sądźcie, że pośród wszystkich tych sukcesów Romerów i O’Shaughnessych zapomniałem o tamtych zawieruchach. Dałem się tylko trochę porwać szczęściu, i tyle. Nieszczęście zawsze zdąży nas dogonić. Poza tym, jak wiecie, obrazy napływają do mnie dość chaotycznie: wciąż jeszcze jesteśmy z Brianem w Egipcie, tymczasem kilka stron wcześniej i kilka lat później zdążył się on już ożenić z Hélène Wrońską. I Pandora już nie żyje – a tymczasem jeszcze się nie urodziła.

Jeden z oddziałów międzynarodowych dotarł w pobliże poselstwa Stanów Zjednoczonych, gdzie po panującym przez długie dni strachu zapanowała ulga i niecierpliwość. Kiedy poseł, u kresu sił, lecz dzielnie trzymający fason, przygotowywał się już do godnego powitania wybawców, a Tim Tom z maniacką starannością szczotkował podarty i nienadający się do włożenia garnitur, grupa bokserów zablokowanych między poselstwem a czołówką przybywającego na odsiecz oddziału z desperacką odwagą podjęła próbę schronienia się w jednym z budynków służących jako stajnia i wozownia. Natychmiast podniesiono alarm.

Tim Tom ze szczotką w jednej ręce, z pistoletem w drugiej nadbiega jednocześnie z Nicolasem, który nie czekając, otwiera ogień do napastników. Zwabiona strzelaniną, widząc Nicolasa w trakcie wymiany ognia z Chińczykami, których sylwetek ledwie się można domyślić za drewnianymi skrzyniami ustawionymi w charakterze barykady, spieszy Gabriella. Ledwie kilka kroków od Nicolasa, przeciskając zaciśnięte dłonie do ust, bezsilna przez chwilę obserwuje toczącą się walkę. Nagle Tim Tom słyszy jej krzyk. Podnosi oczy. Widzi przerażoną Gabriellę wpatrzoną w górę, a jednocześnie, podążając za jej wzrokiem, wielkiego Chińczyka w czarnym stroju, który wspiąwszy się na dach wozowni, składa się teraz do strzału w zgromadzonych na dziedzińcu obrońców.

Ogłuszony walką, pochłonięty swoim zajęciem Nicolas nadal strzela, niestrudzenie ładując dwie rozpalone strzelby, których używa przemiennie.

Gabriella znów krzyczy coś, czego Nicolas nie słyszy. Do Tim Toma w ułamku sekundy dociera, że jest już za późno. Chińczyk opuszcza broń i powoli mierzy w Nicolasa, który leży między dwiema kolumnami podtrzymującymi rodzaj daszku, w odległości jakichś trzydziestu metrów od Tim Toma. Z kolei Tim Tom, nie tyle, by ostrzec Nicolasa, bo jego los jest już przesądzony, ile by dać upust własnemu strachowi i rozpacz, zaczyna wrzeszczeć i wtedy widzi dokonującą się w ułamku sekundy rzecz cudowną i potworną, której nigdy nie zapomni: Gabriella jednym susem rzuca się naprzód, osłania swym szczupłym ciałem strzelającego Nicolasa i dostaje prosto w głowę kulę przeznaczoną dla młodzieńca, który upuszcza broń i chwytą martwą w ramiona.

Często siedząc na tarasie, z którego rozciąga się widok na Toskanię, czuję ogarniające mnie zwątpienie. Czy wiernie realizuję swój zamiar wskrzeszenia Pandory? Raz wydaje mi się, że ujmuję sprawy ze zbyt dużej perspektywy i że słusznie zrobiłem, cofając się do jej rodziców, jej dziadków, pradziadków i różnych osób z ich otoczenia po to, by dać wam wyobrażenie o jej miejscu w czasach, w których żyła. Innym razem wyrzucam sobie, że przeciwnie, jestem zbyt oschły, zbyt zwięzły, zbyt oszczędny i że niewiele pokazuję wam ze świata, w którym wyrosła.

A może, by go wyjaśnić, należałoby odwołać się do któregoś z tych systemów, jakie zdominowały nasze stulecie? Odkrycie przez Freuda, mniej więcej w tym okresie, którym zajmowaliśmy się dotąd, podświadomości i jej otchłani, jej podstępów i jej paradoksów uważane jest, i słusznie, za jedno z najdonioślejszych wydarzeń naszych czasów. Kilka lat przed Freudem Marks wytłumaczył nam, że w znacznie większym stopniu niż życie seksualne i podświadomość o wszystkim decydują warunki ekonomiczne i bytowe. To również niezły i uroczy pomysł. Ale żadna teoria, choćby nie wiem jak kusząca, nie zdoła zamknąć raz na zawsze w określonych ramach świata i ludzi. To, o czym nie wie, i to, co przemilcza, jest zawsze ważniejsze od tego, co odkrywa

i ujawnia. Prawda znajduje się zawsze trochę dalej, poza granicą słów. Nic, oczywiście, nie zdoła wskrzesić Pandory i przywrócić nam jej takiej, jaka była.

Życie każdego z nas zdaje się w kółko powtarzać; niezależnie od sukcesu czy porażki zawsze i tak z powrotem trafiamy w te same koleiny naszej egzystencji, będące niczym innym, jak nami samymi, sumą naszych wad i zalet. Po raz drugi, po raz trzeci Nicolas Cossy czy Wroński, czy Verdi, znika. Nie ma już Tim Toma, by mi posłużył za przewodnika po labiryncie zmiennych kolei jego losu i jego zniknięć. Mogę zrobić tylko to, co i wy: wyobrazić sobie Nicolasa po tragicznej śmierci Gabrielli. Wiemy, czym było w pierwszych latach naszego wieku uwolnienie przedstawicielstw dyplomatycznych w Pekinie obleganych przez bokserów. Przybycie wojsk generała – niedługo potem mianowanego marszałkiem – hrabiego von Waldersee’ego, ulga obłączonych, okupacja Pekinu, negocjacje z Cy-si, klauzule do zawartego porozumienia oraz skutki kryzysu. Ale o losie Nicolasa nie wiem nic. Ślad po nim zatracą się pośród historii niczym strużka wody w bezmiarze oceanu.

W tym więc miejscu urwałyby się jego dzieje, gdybym wskutek zbiegu okoliczności, nieistotnych, nad którymi nie będę się rozwodził – związanego z moimi badaniami nad pozostałymi w Rosji członkami rodu Wrońskich – nie natknął się przypadkiem i całkiem niedawno na pewną ciekawą postać.

W kilka zaledwie lat po powstaniu bokserów na Dalekim Wschodzie wybucha wojna japońsko-rosyjska. Schyłek Chin wyzwolił podwójne apetyty Rosji i Japonii. Jedna okupowała Mandzurię, druga łakomie zerkała na Koreę. Oba drapieżne imperia mogły być dojść do porozumienia za plecami Państwa Środka grzęznącego w dekadencji. Ale Japonia dusiła się na swoich wyspach i płonęła z niecierpliwości, by rzucić na kontynent próżnujących potomków dajmio i samurajów. Przede wszystkim jednak car niedorzecznie wyobrażał sobie, że sukcesy zagraniczne, a w razie potrzeby również militarne, rozwiążą sytuację wewnętrzną kraju, wyglądającą zgoła niewesoło. W ciągu kilku lat na Syberii wzdłuż wielkiego, tak drogiego Michałowi Strogowowi szlaku komunikacyjnego łączącego Rosję z Pacyfikiem – Traktu – osiedlono

ponad milion chłopów. Trakt niedawno zastąpiła linia kolejowa długości sześciu czy siedmiu tysięcy kilometrów – Kolej Transsyberyjska.

A nowo powstała Linia Transmandżurska miała połączyć linię Transsyberyjską ze wspianą redą w Port Artur u wejścia do zatoki Petchili, ostatniej zdobyczy rosyjskiego ekspansjonizmu. W przypadku Rosjan wycofanie się nie wchodziło w grę. Mikołaj II przeciągał negocjacje z Japonią. Na początku 1904 roku torpedowce japońskie zniszczyły rosyjską flotę stojącą na redzie w Port Artur.

Oblężenie Port Artur przez Japończyków pod wodzą marszałka Oyamy trzymało w napięciu całą Europę. Po raz pierwszy od wieków wielkie mocarstwo europejskie doznało porażki od narodu nienależącego do białej rasy. Centrum planety, które już wcześniej przesunęło się z nad Morza Śródziemnego nad Atlantyk, teraz grawitowało w kierunku Pacyfiku. Świat drżał w posadach.

Wśród oddziałów rosyjskich broniących Port Artur natknąłem się na ślady dwóch hrabiów Wrońskich. Byli to bratankowie naszego Piotra Wasiliewicza, synowie tego brata, który mieszkał kiedyś – pamiętacie? – w domu na Giudekce. Obydwaj polegli w oblężonym mieście, a tym samym na skraju przylądka w dalekiej Azji wygasł ród Wrońskich. Istotne jednak jest to, że szukając, nigdy nie znajduje się tego, czego się szuka: znajduje się co innego. W niektórych dokumentach natknąłem się na krótkie wzmianki o pewnym powieściowym, legendarnym niemal bohaterze noszącym piękne, otoczone nimbem tajemnicy imię kapitana Nicolasa.

Nicolas, po rosyjsku Mikołaj, to jedno z najbardziej pospolitych imion w Rosji. Ale mnie momentalnie uderzyło, że ów kapitan Nicolas, samozwańczy oficer, niekwestionowany dowódca garstki partyzantów, głównie chińskich, a przy tym bandytów, który przeszedł do legendy za sprawą swojej straceńczej brawury oraz pogardy dla śmierci, zdumiewającej nawet Japończyków, wielkich amatorów samobójstwa, uchodził za Włocha.

Na horyzoncie szykowało się coś potwornego. Niejednokrotnie już podnoszono alarm. Od kanonierki do napięcia stosunków, od rywalizacji kolonialnej po konflikt bałkański – ryzyko zamieniało się w fatum.

Rozprawiano o tym w kancelariach, na oficjalnych bankietach, w prasie,

w salonach, na ulicy. Wszyscy obawiali się dramatu – i wielu na niego liczyło. Wskutek rywalizujących ze sobą ambicji i sprzecznych interesów, a także wskutek lekkomyślności, któregoś dnia zdarzyło się najgorsze. Wybuchła wojna światowa.

Początek jej dało wydarzenie niewiele istotniejsze od sentymentalnego melodramatu w Mayerlingu: zabójstwo arcyksięcia i arcyksiężnej, których pozbyciem się, zupełnie jak w filmie Hitchcocka lub w książce Agaty Christie, zainteresowani byli wszyscy: Serbowie z racji swojej namiętności do partyzantki i umiłowania wolności, Austriacy z racji upodobania do intryg dworskich oraz z przyczyn tak błahych, jak nieufność wobec morganatycznego małżeństwa. Gdy tylko piekielna machina puszczona zostaje w ruch, Rosjanie, Niemcy i Francuzi momentalnie dostrzegają okazję do realizacji swych nienasyconych ambicji odwetowych bądź ekspansjonistycznych. Wszyscy pozwalają – może nawet mimowolnie i pod szacownymi pozorami patriotyzmu i solidarności – porwać się zbrodniczemu szaleństwu. Leży przede mną fotografia arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony Zofii Chotek zrobiona w chwili, gdy opuszczają Rathaus w Sarajewie. Niedawno uniknęli pierwszego zamachu: w ich odkryty kabriolet rzucono granat. Za chwilę zginą w drugim, zastrzeleni z rewolweru przez młodego Principa. Zabójstwo tej młodej kobiety w kapeluszu i w jasnej sukni z paskiem w talii oraz wygalowanego zucha w pióropuszu, kroczącego u jej boku między dwoma szpalerami Bośniaków z cylindrami w rękach, w fezach lub turbanach na głowach, odcisnie piętno na całym stuleciu.

Pośród uniesienia zaślepiającego tyle narodów, które wzorem Péguy'ego oraz wielu innych wyobrażają sobie, że wyruszają „na ostatnią z wojen i po powszechne rozbrowienie”, tylko kilku nielicznych indywidualistów obawia się wojny domowej, która ogarnie całą Europę: należy do nich z pół tuzina członków międzynarodowej arystokracji, którzy, jako że przynależą jednocześnie do wielu różnych i odmiennych kultur, nie czują się związani z żadnym narodem; niewielka liczba artystów i intelektualistów momentalnie uznanych przez opinię publiczną za zdrajców oraz garstka socjalistów wiernych Jeanowi Jaurèsowi, zamordowanemu w przeddzień powszechnej mobilizacji.

Rosita Romero, jak wszyscy przejęta lawiną złych wieści i rozgorączkowaniem umysłów, wybrała się w okolice Montmartre'u z wizytą do swojej złożonej chorobą krawcowej. Po drodze przechodziła obok lokalu, na którego nazwę mimo woli zwróciła uwagę: Café du Croissant. Nagle usłyszała strzały i z daleka ujrzała przechodniów podbiegających do brodatego, tęgiego mężczyzny, który osunął się na ziemię. Wróciła do domu wzburzona. Dopiero późnym wieczorem zobaczyła się z Aurelianem, który wiedział już o zabójstwie Jaurès'a. By zdobyć jakieś wieści, opuścił swoje kółko – którego bywalcy rozprawiali głównie o uniewinnieniu pani Caillaux, zabójczynie Calmette'a, naczelnego „Le Figaro”, oraz o sławnym powiedzeniu Bernsteina na temat wojny, na której własna żona człowieka nie zastąpi i samemu trzeba będzie strzelać – i pospiesznie udał się do ministerstwa spraw zagranicznych oraz kilku ambasad i poselstw, gdzie miał przyjaciół. Pokrótce wyjaśnił żonie, kim był Jaurès i dlaczego został zastrzelony przez skrajnie prawicowego nacjonalistę. Rosita, wciąż bardzo przejęta, opowiedziała mu o swojej przygodzie.

– Po arcyksięciu Jaurès, po Principie Villain... – mruknął Aureliano Romero, próbując uspokoić żonę. – Oto kilka wystrzałów i trzech zabitych, którzy zapowiadają wielu następnych.

Kapitan Nicolas należał do bohaterów oblężenia Port Artur. Kiedy w samym środku mroźnej zimy miasto skapitulowało, był jednym z niewielu, którym udało się przedrzeć przez kleszcze japońskich wojsk i dołączyć do oddziałów rosyjskich naczelnego wodza Kuropatkina.

Kilka tygodni później, nadal w pełni zimy, marszałek Oyama, pozbywszy się wreszcie tego jęczącego wrzodu, jakim było oblężenie Port Artur, skierował wszystkie swoje siły przeciwko Kuropatkinowi. Wielka bitwa pod Mukdenem trwała blisko tydzień. Zakończyła się klęską Rosjan i stała się jedną z odległych przyczyn rewolucji komunistycznej. Zwycięstwo Japończyków rozniosło się szerokim echem po Azji i Europie. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu Japonia – ze swoim gnuśnym mikado wygnanym do Kioto oraz legendarnym szogunem, sprawującym rządy w Yedo nad feudalną hierarchią, swoimi dajmio, swoimi samurajami w kolczugach i z dwoma mieczami u pasa – kultywowała z niewzruszonym pietyzmem mentalność i obrządki rodem

z dziewiątego lub jedenastego wieku. W ciągu pięćdziesięciu lat przeskoczyła za jednym zamachem dobrych dziesięć stuleci.

Wśród stu tysięcy poległych w bitwie pod Mukdenem znajdowały się też zwłoki kapitana Nicolasa. Jedno ze źródeł, z których czerpię, opowiadając jego dzieje, wspomina, że na ściętej lodem twarzy samozwańczego oficera błąkał się uśmiech; leżąc na śniegu poznaczonym czerwonymi smugami żołnierskiej krwi, sprawiał wrażenie szczęśliwego.

Obawiam się, że z rozpędu, porwany zdolnością pamięci do spowalniania, a potem nadmiernego przyspieszania czasu, trochę zbyt skrótowo potraktowałem ślub Briana i Hélène. Córka Nadii Wrońskiej była jeszcze dzieckiem o długich lokach i wielkich, zdziwionych oczach, którą babka w pierwszych latach naszego stulecia obwoziła z sobą po luksusowych hotelach całej Europy. Małą, grzeczną dziewczynkę nie tylko czekało objęcie w przyszłości całkiem okazałej fortuny; ona już ją posiadała, nic o tym oczywiście nie wiedząc. Jej babka nie miała nic, ale hrabia Wroński, jej domniemany i prawowity dziadek, zapisał córce Marie cały swój majątek. Nieuszczipiony nawet o sumy przekazywane niegdyś świętej pamięci mecenasowi Brûlazowi-Trampoliniemu na utrzymanie Nicolasa, gdyż ojciec Hélène przed wyjazdem do Chin, dokąd zabrał z sobą tylko trochę złota i kilka weksli wystawionych między innymi na Szanghaj, przepisał wszystko z powrotem na własną córkę. Często mnie pytano, jakiego rzędu majątek mogła posiadać Hélène Wrońska w chwili ślubu z Brianem O'Shaughnessym. Otóż oceniam go na jakieś sześćset tysięcy franków w złocie, czyli równowartość – o ile takie przeliczanie w ogóle ma jakikolwiek sens – dwunastu milionów franków z 1985 roku. Na początku wieku dochody tego rzędu oznaczały kapitał w wysokości dwustu czterdziestu, dwustu pięćdziesięciu milionów obecnych franków. Tak w przybliżeniu – może nieco więcej, może trochę mniej – przedstawiała się fortuna hrabiego Wrońskiego w chwili jego śmierci.

Nawet w przypadku osób nieżyjących uzyskanie tego typu informacji jest niełatwe. Podpytywałem oczywiście, najdyskretniej jak umiałem, panny O'Shaughnessy, jak również ich matkę. Posunąłem swoją śmiałość nawet do tego, że zadawałem im pytania, które hrabinie

Wrońskiej, znającej moje wielkie zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło jej najbliższych, mogłyby wydać się niestosowne. Za zgodą rodziny pisałem do banków we Włoszech, w Niemczech, w Szwajcarii, we Francji i Anglii, w których hrabia Wroński zdeponował swój majątek. Za każdym razem wyjaśniałem, że piszę książkę o Wrońskich, i dołączałem poświadczoną kopię listu hrabiny Wrońskiej, która mnie upoważnia i zachęca do podjęcia takiej pracy. Ale sami wiecie, jakie są banki i bankierzy: dane, które od nich uzyskiwałem, najczęściej były bardzo mętne i niekompletne. Dopiero na podstawie szacunków, hipotez oraz weryfikacji zebranych informacji doszedłem do sum, o których wspominałem wyżej.

Oczywiście hrabia Wroński posiadał dobra ziemskie w Rosji. Wygląda na to, że przed śmiercią wszystkie zdążył spieniężyć. Umierając, był właścicielem pałacu nad Canal Grande – który Marie wkrótce potem sprzedała – domu na Giudekce, nieruchomości w Zurychu i Genewie, sklepów w Niemczech i w Londynie, ziemi lub lasów też w Niemczech, w Anglii i we Francji. Jego weneckie domy zdobiło trochę pięknych przedmiotów, mebli, dywanów i obrazów. Reszta majątku ulokowana była w papierach wartościowych (koleje austro-węgierskie, francuskie obligacje, rosyjska pożyczka) lub w złocie.

Piotr Wasiliewicz łożył znaczne sumy na organizacje liberalne, czasami i rewolucyjne. To on częściowo finansował wydawane przez Hercena w Londynie sławne pismo piętnujące nadużycia carskiego totalitaryzmu „Kołokoł”. Mówiło się, choć brak na to dowodów, że finansował też kilka zamachów na cara. Osobiście mocno wątpię w udział – nawet tylko pośredni – Wrońskiego w zabójstwie Aleksandra II. Na pewno natomiast utrzymywał w młodości kontakty z Karakozowem, który bez powodzenia strzelał do cara, a przede wszystkim z Wierą Zasulicz, swoją daleką kuzynką, która raniwszy strzałem z rewolweru prefekta policji w Sankt Petersburgu, została przez sąd przysięgłych triumfalnie uniewinniona. Pod koniec życia mniej uwagi poświęcał polityce, a więcej własnemu zdrowiu. Myślę, że na walkę ze starzeniem się wydał mniej pieniędzy niż na walkę z absolutyzmem.

Tak czy inaczej, mimo niepowodzeń, o których niewiele mi

wiadomo, oraz częstej rozrzutności Hélène Wrońska na początku wieku była dziewczynką niebotycznie bogatą. Jej babka, Marie Wrońska, miała dość rozsądku, by sprawami finansowymi, które ją przerastały i zupełnie nie interesowały, zajmować się jak najmniej. Wydawała tyle, ile trzeba na dziecko i na siebie. Całość majątku powierzyła ludziom interesu, którzy bez wątpienia okradali ją, ale kosztowali mniej, niż kosztowałyby ją własna niekompetencja. Piętnastoletnia Hélène nie miała najmniejszego pojęcia o swoim majątku. Nie przypuszczała nawet, że jest bogata. Jej najbardziej ujmującą, a przy tym dogłębnie arystokratyczną cechą była bezpretensjonalność.

Mimo tego majątku sytuacja Marie i Hélène w Rzymie, w Mediolanie, w Paryżu, w Londynie – i oczywiście w Wenecji – przedstawiała się raczej dość niezręcznie. W ówczesnych tak zagorzale konformistycznych kręgach towarzyskich kolejne skandale w rodzinie Wrońskich nie przeszły bez śladu. Już małżeństwo Piotra Wasiliewicza z Marie de Cossigny – córką skromnego szlachcica, ale też damą do towarzystwa i lektorką w Sankt Petersburgu, a możliwe, że i awanturnicą – oraz zdecydowanie przedwczesne przyjście na świat Nadii kwitowało wymowne uniesienie brwi ze strony niemałej liczby moralistów i konserwatystów. Romans z Verdim, choć dyskretny, wręcz utrzymywany w tajemnicy, był szeroko komentowany na salonach. Nieprawdopodobne przygody Nicolasa, jego zniknięcie, jego powrót, a już zwłaszcza godny mitu Edypa związek dwojga młodych, nieświadomych, że są rodzeństwem, dopełniły miary skandalu. Świetnie pamiętam stosunek mojej babki do Marie i Hélène Wrońskich, a nawet dziadka, który żywił skądinąd wiele serdeczności dla nich obu. Należały one do jednego z najbardziej wyklętych kręgów towarzyskiego piekła owej epoki: osób zdeklasowanych. Moja babka nigdy nie przyjęłaby u siebie hrabiny Wrońskiej ani jej Bogu ducha winnej wnuczki: była dzieckiem grzechu. Otaczała ją aura skandalu. Dziadek był wprawdzie obecny na ślubie Hélène, ale nie zniósłby, żeby poślubił ją któryś z jego synów. Nie dziwiło go, że została żoną Anglo-Irlandczyka; doceniał jego odwagę, elegancję, urok oraz, naturalnie, niezmiernie stary rodowód, ale uważał, podobnie jak wszystkich jego bliskich, za oryginała i niemal szaleńca. Marie – w pełni tego świadoma – oraz niedomyślająca się

niczego H el ene by y zadzumi one.

H el ene dopiero w dniu swojego  lubu dowiedzia a si e,  e jej rodzice byli rodze stwem. My l e,  e nigdy nie przypuszcza a, jak wielki posiada maj tek. Ale z typowym dla dzieci wycuciem, rozwini tym niczym w ech u zwierz t, bardzo szybko zorientowa a si e,  e co  jest nie tak. Nieobecno c Nicolasa zastanowi a j  do c p zno; wcze niej nie zadawa a sobie pyta , poniewa  nigdy nie pozna a swojego ojca, nigdy nawet nie s ysza a najdrobniejszej wzmianki o jego istnieniu.  mierc Nadii, mimo  e tak okrutna, u latwia a pewne sprawy: nie ma obojga rodziców, i to wszystko. Babka wype nia a te luki i potrzeby. Dopiero oczywi cie inni, kole anki szkolne, c rki przyjaci lek matki, przypadkowi znajomi otworzyli jej oczy na dziwn  szczup o c jej rodzinnego kr gu. Mimo  e babka i wnuczka wiod y  ywot odizolowany, niemal pustelniczy, pewnej liczby kontakt w, a nawet znajomo ci unikna c nie mog y. Kiedy H el ene mia a osiem czy dziewi c lat, powodowana bezwiednie jak s dziwn  ciekawo ci  zastanowi a si e i zapyta a babk , dlaczego w odr zniczeniu od wielu innych dziewczynek nikt z ni  nigdy nie rozmawia o ojcu.

– Bo on umar , kochanie – odpar a Marie.

– Przed czy po mamie?

– Och, na d ugo przed. Mia a s zaledwie kilka dni, jak umar .

– A na co umar , babciu?

– Na cholere – odpowiedzia a kr tko Marie.

H el ene nie okaza a ani zdziwienia, ani nieufno ci. Ale kilka miesi cy p zniej zn w przyst pi a do ataku. Marie kompletnie zapomni a o cholercze.

– Babciu, powiedz mi, na co umar a mama?

– Na suchoty, kochanie. Kt rego  dnia si e zazi bi a, nigdy tak naprawd  nie wydobrza a i nied ugo po urodzeniu ciebie umar a.

– A tatu ?

– Zgina  na morzu, podczas podr zy.

– Ale wtedy powiedzia a s,  e umar  na cholere!

– Ach, tak... prawda... No, c z... W a nie! Rozchorowa  si e na cholere w czasie morskiej podr zy, a potem statek zatona .

H el ene by a doskonale wychowana. Niczym nie zdradzi a swoich

uczuć. Jeszcze wiele lat potem Marie nie wiedziała, czy dziewczynka uwierzyła w to, co jej wtedy powiedziała.

Było mało prawdopodobne, by Hélène usłyszała od kogokolwiek o swoim ojcu. Jedni nic o nim nie wiedzieli, a inni, ci, którzy go znali, wiedzieli, że nie należy wspominać o nim przy córce. Wszystko to sprawiło, że na ten temat panowało głębokie milczenie. Wiele lat później Hélène O'Shaughnessy mówiła mi często, że z dzieciństwa pozostało jej wrażenie pustyni i tajemnicy. Ona, dziedziczka ogromnej fortuny, nosząca sławne rosyjskie nazwisko, we wczesnej młodości żyła niczym córka jakiejś starzejącej się kurtyzany, porzuconej faworyty królewskiej czy szukającej pokuty kryminalistki – z dala od świata i bliźnich.

W takiej to atmosferze, rozrzedzonej wskutek smutków i dramatów, pojawia się wracający z Egiptu przystojny, choć nie pierwszej już młodości kapitan O'Shaughnessy.

Już wtedy, gdy Javier powiadomił mnie o śmierci Pandory, od dawna chodziła mi po głowie myśl, by kilka lat mojej samotni w San Miniato poświęcić na spisanie tych wspomnień, gdzie główne miejsce przypada rodzinie, która z różnych powodów odegrała ogromną rolę w moim życiu. Już od lat po maniaczku kolekcjonowałem listy, fotografie i przedmioty znaczące etapy tej historii. Niestrudzenie wypytywałem bohaterów i świadków licznych przygód, które się na nią składały. Aż wreszcie w rodzinach Romerów i O'Shaughnessych zacząłem uchodzić za życzliwego nudziarza, bez końca wypytyującego o strój Marie Wrońskiej na ślubie wnuczki, o pierwsze spotkanie Briana O'Shaughnessy'ego z Aurelianem Romerą nad Tamizą, o stosunki Verdiego z Piotrem Wasiliewiczem, o kolejne etapy bogacenia się Jeremiasza Finkelsteina, o ekstrawagancje Periclesa Augusta. By pocieszyć się po kpinach Pandory czy Agustína Romery, z całą skromnością przypominałem sobie niestrudzone indagowanie przez Saint-Simona pokojowych w Wersalu, poszukiwania Flauberta, śmieszne i subtelne bileciki, za których pośrednictwem Marcel Proust próbował zdobyć od swoich wysoko postawionych znajomych informacje o balu u pani de Chevigné czy kolacji, kiedy to Robert de Montesquiou odczytał na głos swój list do jednego z Rothschildów, który niechętnie wypożyczył mu na dobroczynny wieczór dość marne kamienie, szumnie

uchodzące za rodowe klejnoty: „Nie wiedziałem, drogi przyjacielu, że posiada pan rodzinę, ale nie ukrywam, że liczyłem, iż posiada pan klejnoty”.

O’Shaughnessy’owie ze swoimi licznymi bocznymi liniami i tym szczególnym zwyczajem uczestniczenia, jakby mimochodem, w wielu ważnych wydarzeniach naszych czasów, mnie fascynowali. Jak ze wszystkim, co nas prawdziwie interesuje, miałem wrażenie, że nieustannie spotykam na swojej drodze nie tylko Pandorę, lecz także duchy Wrońskich, Finkelsteinów, Romerów. Natykałem się na nich co krok, aż w końcu dowiedziałem się wszystkiego o Florindzie z Bahii, o rabinie z Polski, o Conchicie Romero w Paragwaju lub w Arroyo Verde, a od spotkanego przypadkowo w Toskanii Tim Toma o śmierci Gabrielli w Chinach podczas powstania bokserów. W cieniu jednej rodziny upłynął mi kawał życia, aż wreszcie któregoś dnia, dowiedziawszy się o śmierci tego z jej członków, który był mi najdroższy, zostałem jej kronikarzem. Niewykluczone, że dane mi było żyć tylko poprzez osoby trzecie.

Nie wiem – bo byłem za młody – czy współcześni dzielali to uczucie, czy dopiero po fakcie zaczęliśmy je przypisywać bohaterom żyjącym w pierwszych latach naszego wieku, ale ma się wrażenie, że już lata poprzedzające pierwszą wojnę naznaczone były i jakby naelektryzowane jej nieuchronnym wybuchem. Może po prostu dlatego, że wojna wszystko przerywa i niszczy, wszystko wydaje się jakby z góry układać pod kątem jej nadejścia.

W miesiącach poprzedzających zamach w Sarajewie i zabójstwo Jaurèsa Pablo Rivera i Brzdąc, przeprowadziwszy szereg pomyślnych operacji na zlecenie pracodawców, związków zawodowych, mafii bądź na własne konto w podejrzanych dzielnicach San Francisco, Chicago i na *waterfront* Nowego Jorku, znajdują się w Zurychu. W dość tajemniczych okolicznościach, których nie udało mi się wyjaśnić, spotykają tam pewnego pochodzącego z drobnej szlachty Rosjanina z czarną bródką i wąsami, o włosach mocno przerzedzonych nad czołem i kałmuckich rysach twarzy. Jest on synem radcy stanu. Jakieś trzydzieści lat temu jeden z jego braci został aresztowany i – mimo licznych interwencji hrabiego Wrońskiego, z którym się przyjaźnił – stracony. Jego samego

zesłano na Syberię, a następnie zwolniono. Mężczyzna nazywa się Włodzimierz Iljicz. Zna Marksa i Engelsa nawet lepiej niż Profesor. Nie ma jednak takiego jak on doświadczenia w walce w terenie. Przez wiele dni dzieli się wiedzą i wrażeniami. Brzdąc słucha z ustami rozdziawionymi ze zdumienia.

Kilka dni przed zabójstwem Jaurèsa i paskudną gripą – a może to była wietrzna ospa? – krawcowej Rosity, Aureliano Romero postanawia zabrać żonę i dwóch starszych synów do restauracji. Po krótkich wahaniach wybierają w końcu Larue na place de la Madeleine. Tego dnia przypada gonitwa o Grand Prix w Longchamps. Kilka sąsiednich stolików zajmują obstawiający konie lub ich właściciele. Rozmawiają o szansach Sardanapale i La Fariny. Pierwszy należy do barona Edouarda de Rothschilda, drugi do barona Maurice'a. Tydzień wcześniej w gonitwie o nagrodę Jockey Clubu w Chantilly La Farina przyszedł pierwszy, Sardanapale drugi. Teraz robiono zakłady o bieg mający rozegrać się za chwilę: La Farina czy Sardanapale? Sardanapale czy La Farina? Carlos i Agustín słuchali tego chciwie z oczami wielkimi jak te spodki, które kelnerzy ustawiali właśnie na stole razem z filiżankami kawy.

– Jakże by to wszystko bawiło moją matkę! – westchnął Aureliano, rozglądając się w koło.

– Trzeba ją namówić, żeby jak najszybciej przyjechała – powiedziała miękko Rosita.

– Na jesieni. Lub najpóźniej wiosną.

Rosita Romero zapytała chłopców, czy ucieszą się, że znów zobaczą babcię. Och, oczywiście, bardzo się ucieszą. Ale uwagę Carlosa i Agustína przyciągnęło już co innego. Ojciec poprosił o rachunek. Szef sali przyniósł go. Wtedy Aureliano sięgnął do sakiewki i wyjął złotego ludwika. Chłopcy zapragnęli go obejrzeć i zaczęli go obrać na wszystkie strony.

– Nie za duży – stwierdził Carlos.

– Ale dużo warty – powiedział Agustín, który już wtedy znał się na pieniądzach.

I jakby dla potwierdzenia jego słów szef sali, który ceremonialnie oddalił się ze złotym ludwikiem, takim małym, a takim ciężkim,

w chwilę potem na srebrnej tacy, trzymanej niczym cyborium, przyniósł cały stos monet.

Nagle w drzwiach wejściowych pojawiła się nieco zaaferowana twarz miss Prism, w której rudych włosach lśniło kilka siwych nitek. Przyszła po dzieci. Rosita obsypała je pocałunkami, zupełnie jakby wybierały się do Afryki. Przypuszczalnie ze względu na matkę przybrały zasmucone miny. Niemniej, mimo tego, co mogłyby powiedzieć i mimo ich poważnego wieku, bynajmniej nie martwiła ich perspektywa obejrzenia w Tuileries niedawno odkrytych marionetek oraz spotkania nowych przyjaciół.

Na place de la Madeleine oczekiwały na gości jednocześnie i dorożki, i automobile. Jak te kobiety, które same już nie wiedzą, na czym stoją, historia znalazła się w pół drogi między dwiema epokami. Wybierający się do Longchamps Aureliano i Rosita znów się wahali, co wybrać: konny powóz czy którąś z tych maszyn wyposażonych w silnik i pneumatyczne ogumienie, coraz liczniejszych na paryskich ulicach. Zdecydowali się na automobil, którego kierowca sprawiał przyzwoite wrażenie i nie czytał „L’Humanité”.

– Szofer! – zawołał Aureliano z cygarem w ustach, dobrze wiedząc, że Rosita nie ma nic przeciwko temu. – Szofer! Do Longchamps!

– Robi się, książę! – odpowiedział szofer, który mówił sobie w duchu, że sądząc z wyglądu gościa, jak nic jest on Rosjaninem, ewentualnie Brazylijczykiem, i że może się spodziewać sutego napiwku w zamian za swoje lekko ironiczne komplementy i krasomówstwo.

W Longchamps tłumy. Konie i dżokeje należą do tych detali, które w ciągu ostatnich trzech ćwierćwieczy najmniej się zmieniły. Środki transportu dowożące ludzi na wyścigi, widok miasta oglądanego podczas drogi, stroje publiczności, a nawet jej sposób mówienia przez siedemdziesiąt lat uległy głębokim przeobrażeniom. Niebo i konie pozostały takie same. W odległości kilku kroków od Romerów stoi grupka paryżan, a wśród nich kilku obcokrajowców przyprowadzonych przez przyjaciół. Najlepiej zorientowani z kronikarzy „Le Gaulois” czy „Le Figaro” rozpoznają wśród nich starszą damę o siwych włosach i łagodnej twarzy, nagle tężejącej jakby pod wpływem jakiegś

wewnętrznej, szybko opanowanej emocji: to hrabina Wrońska, pół Włoszka, pół Rosjanka, Francuzka z pochodzenia. Towarzyszy jej wnuczka, młoda osóbką piętnasto-, może szesnastoletnia. Obie prowadzą ożywioną rozmowę z wnukiem lorda Landsdowna, Anglo-Irlandczykiem z najwyższych sfer, który służył w Indiach i Egipcie u boku lorda Kitchenera, nowego brytyjskiego ministra wojny. Czeka go bez wątpienia wspaniała przyszłość. Nazywa się Brian O'Shaughnessy. Wtajemniczeni szepcą, że jest zaręczony z młodą osóbką, którą otacza atencją i która wpatruje się w niego czułym wzrokiem.

Na moment wzrok Aureliana Romery krzyżuje się ze spojrzeniem Briana. Żaden z nich nie rozpoznaje w drugim kompana, z którym pewnego wieczoru nad Tamizą, po zakończeniu innych zawodów, stoczył walkę, która mogła źle się skończyć, lecz w towarzystwie dwóch dziewcząt skończyła się piwem i śmiechami – lat temu... Boże mój!... Jak ten czas szybko leci... Ale oto bomba poszła w górę. Konie ruszyły z kopyta. Śledzą je tysiące par oczu. Ściska w gardłach. Zapiera dech. Serca biją tylko dla nich. Cały ten nieprzebrany stojący tłum widzi tylko wdzięk i potęgę bohaterów biegu. Szale fortuny wciąż jeszcze się wazą: różowa bluza i czarna dżokejka, niebieska bluza i żółta dżokejka... Z piersi, gwałtownie wyzwolonej od nieżnośnej i cudownej niepewności, wyrывa się krzyk: pierwszy Sardanapale, drugi La Farina. Longchamps odwraca kolejność z Chantilly i baron Edouard – surdut i cylinder – bierze rewanż na baronie Maurice – cylinder i surdut.

W czasie wazenia dżokejów przy wyjściu wśród rozpraszającego się tłumy rozchodzi się pogłoska: jakiś austriacki arcyksiążę – może nawet, zważcie, wcale by mnie to nie zdziwiło, następca tronu dwugłowej monarchii – został zamordowany gdzieś pod Sarajewem. Gdzie? W Sarajewie czy coś podobnego. A gdzie leży ta miejscina? W Austrii, na Węgrzech, w Serbii, w Bułgarii, może w Bośni albo Hercegowinie? To dopiero niesłychane! W Bośni i Hercegowinie! Dobry Boże! Widział to kto? To coś poważnego, ta historia z Bośnią? Cóż, to zależy. Spróbujemy coś z tym zrobić. Ale najpierw chodźmy pogratulować baronowi.

W drodze z Egiptu do Glangowness Brian O'Shaughnessy zatrzymał się na kilka dni w Paryżu. Nie bardzo znał tutejszy wielki

świat, ale w Paryżu wszyscy – to znaczy pięćset, może tysiąc pięćset osób – znali nazwiska McNeillów, Landsdownów i O’Shaughnessych. Brian nie zamierzał dać się zniewolić tym znajomościom, a niekiedy koneksjom rodzinnym. Była późna wiosna, w Paryżu panowała piękna pogoda i kapitan – wkrótce, o czym wiedział, mający zostać majorem – przechadzał się samotnie i w odurzeniu po nadsekwańskich bulwarach i Polach Elizejskich.

Minął właśnie Łuk Triumfalny i zamierzał iść dalej avenue du Bois, kiedy natknął się na swojego ojca. Ojciec co najmniej dwukrotnie, przed wyjazdem Briana do Afryki, a potem do Indii, towarzyszył dziadkowi podczas jego wizyt w Glangowness i pamiętnych polowań na lisa czy cietrzewie. Momentalnie rozpoznał młodego O’Shaughnessy’ego, swojego rówieśnika, czy może starszego o kilka lat; wydało mu się, że trochę zmężniał, poza tym jednak niewiele się zmienił. Brian potrzebował kilku sekund, by skojarzyć nazwisko z twarzą rozmówcy.

– Brian O’Shaughnessy! W Paryżu! Cóż za spotkanie!

– Pan jest... chwileczkę!... pan...

– Plessis-Vaudreuil – odpowiedział ojciec.

– Ach! Oczywiście!... Był pan w Glangowness z pańskim szanownym ojcem, jakieś szesnaście czy siedemnaście lat temu...

– A pan był świeżo po Oksfordzie czy Cambridge... Pamięta pan? Chyba po Oksfordzie...

– *Yes*. Oksford – przytaknął Brian nieco zaszokowany przypuszczeniem, że ktoś, nawet tylko na chwilę, mógł go posłać do Cambridge zamiast do Oksfordu.

– A potem?

– *Well!* Rutyna: Afryka Południowa, *you know*... Indie... Egipt...

– Wymienia pan to takim tonem, jak ja Maxime’a, Deauville, górną Sarthe czy Plessis-lez-Vaudreuil.

I ojciec roześmiał się, zachwycony spotkaniem towarzysza z dawnych lat, którego mile wspominał, a który teraz przemierzał świat i imperium brytyjskie.

Przez następne pół godziny spacerowali aleją Lasku Bulońskiego, opowiadając o swoim życiu. Kiedy ojciec dowiedział się już prawie

wszystkiego o wojnie z Krügerem, podchodach Rosjan w Pamirze oraz karierze Kitchenera, zaczął wymieniać na użytek cudzoziemca, zupełnie jakby go oprowadzał po jakiejś posiadłości ziemskiej czy kolekcji, sławne osobistości oraz piękne kobiety przemierzające w obie strony aleję konno, w powozach, w eleganckich tilbury, a niekiedy na tylnym siedzeniu odkrytych automobili, posuwających się pośród ogłuszającego hałasu z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę.

– Pani Greffulhe, pani de Chevigné, Liane de Pougy, moja kuzynka Gramont, Emilienne d’Alençon, mój wuj Montesquieu, Louisa de Mornand, diuszesa de Mortemart... – recytował ojciec z nabożeństwem niczym litanie, unosząc jednocześnie kapelusz za każdym mijanym i wymienianym nazwiskiem.

– A tamte dwie? – zapytał nagle Brian ściszone głosem, ściskając mojego ojca za ramię.

Tamte dwie, młodziutka dziewczyna, jeszcze prawie dziecko, i starsza siwowłosa dama, szły pieszo, trzymając się pod rękę. Ojciec natychmiast je rozpoznał: była to hrabina Wrońska i jej wnuczka Hélène.

Ojciec uklonił im się. Przystanęły. Brian się przedstawił. Panie pod parasolkami, którymi kręciły na ramieniu, panowie z odkrytymi głowami i kapeluszami w ręku wymienili kilka słów. Dziesięć dni później Brian O’Shaughnessy, który zdążył dowiedzieć się już wszystkiego o Piotrze Wasiliewiczu i młodym Nicolasie, był na obiedzie u moich rodziców w towarzystwie Marie i Hélène Wrońskich.

Moja babka z wybornym taktem postanowiła spędzić dwa tygodnie w Lourdes. Ojciec bezzwłocznie wykorzystał ten przewrotny cud i tę pobożną nieobecność i zaprosił obie, otoczone tak zachwycającą aurą skandalu panie Wrońskie na kilka dni do Plessis-lez-Vaudreuil. Nie zabrakło też oczywiście Briana O’Shaughnessy’ego: przez pamięć na polowania w Glangowness dziadek i ojciec winni mu byli tę uprzejmość. Mimo podwójnej różnicy religii i wieku, która niedługo im przeszkadzała, a zwłaszcza mimo plotek o skandalu, które wnuk Landsdownów zbył z lekceważeniem i niemal uciechą, Brian i Hélène pod wiekowymi lipami przy kamiennym stole oficjalnie się zaręczyli.

Zbliżało się lato. Zaraz po Grand Prix w Longchamps z przykładową jednoczesnością zaczęto zamykać paryskie apartamenty, berżery

Ludwika XV znikwały pod pokrowcami, sławne kokoty i diuszesy urządziły się tak, by nikt ich, broń Boże, nie zobaczył w mieście, najwięksi eleganci wkładali żółte trzewiki i słomiane kapelusze i rozjeżdżali się do Deauville lub zamków w Sarthe, Turenii i Anjou. Wraz z latem, z wyjazdami i zniknięciami nadchodziło co innego, coś od dawna oczekiwanego i często wspomnianego: wojna.

Czym była ta wojna – najstraszliwsza masakra od czasów potopu i wielkiej zarazy, od klęsk głodu w Chinach i Indiach i od napoleońskich kampanii; czym była ta wojna, misternie dopracowana próba generalna tego, co miało się zdarzyć i dokonać dzieła ledwie dwadzieścia lat później – opowiadać wam nie muszę. Znacie to wszyscy na pamięć. Barbusse, Dorgélès, Genevoix i Jules Romains, Remarque i Salomon, Hemingway, Martin du Gard czy Drieu La Rochelle powiedzieli wam o niej właściwie niemal wszystko, co było do powiedzenia. Druga wojna światowa to czarno-czerwona plama, rosnąca w nieskończoność, by potem się skurczyć, rana, otwierająca się, by potem się zabiżnić, przyływ i idący w ślad za nim odpływ. Pierwsza to zwanie wręcz, które osiągnąwszy swój stan równowagi, obwarowuje się w okopach i w bezruchu uśmierca w nieskończoność. Bezustannie waży się szala zwycięstwa. Wielokrotnie obóz zwyciężonych dzieli tylko krok od stania się obozem zwycięzców. Jeszcze na początku lata 1918 Ludendorff zapytany, czy jest pewny zwycięstwa, oświadcza: „Odpowiadam na to pytanie kategorią tak”. Jednym z kluczy do drugiej wojny jest to, że o zwycięstwie w pierwszej zdecydował szczęśliwy traf, niemal przypadek, że zostało wydarte siłą. Żadna z armii nie była gorsza. Tę krwawą partię szachów, tę strategiczną przepychankę mógł wygrać którykolwiek z przeciwników, kurczowo uczepionych swoich włazów i zasieków. Przy jednakowej waleczności i uporze o różnicy raz jeszcze zdecydował ślepy traf.

Wojna, pewnie po to, by przypodobać się swoim apologetom, przyczynia się zawsze w ogromnym stopniu do postępu techniki. Oczywiście, elektryczność, telefon, samochody i lotnictwo istniały już przed 1914 rokiem. Ale wojna wymusza na nich nadzwyczajne usprawnienia i otwiera przed nimi przyszłość. Stulecia liczą sobie zawsze mniej więcej około stu lat. XVIII wiek jest krótki: zaczyna się

śmiercią Ludwika XIV w 1715 roku, kończy zaś 14 lipca 1789 zdobyciem Bastylji. Po trwającym dwadzieścia pięć lat międzywieczu – nienależącym ani do epoki błogości życia, ani upragnionych burz, ani do filozofów, ani do romantyków – wiek XIX zaczyna się upadkiem Napoleona pod Waterloo 18 czerwca 1815 roku, kończy zaś w sierpniu 1914 roku. Przy wtórze trąbek pierwsza wojna światowa inauguruje stulecie zdominowane wybuchem drugiej i strachem przed trzecią. I wprowadza je w nowy świat, w którym gadaninę starego zagłuszają bomby.

Wojna, barbarzyńskie narzędzie postępu naukowego i technicznego, posiada również właściwości integracyjne, nie do pomyślenia w czasach pokoju. W ogniu walki mieszają się obce sobie klasy społeczne. Stykają się i kontaktują jednostki, które normalnie nigdy by się nie spotkały. W przypadku zwycięstwa owe wybuchowe mieszanki stwarzają podatny grunt pod skrajny nacjonalizm, w przypadku przegranej – pod rewolucję. Po rozpoczęciu działań wojennych Aureliano Romero – za namową matki, która z daleka wyobraża sobie wojnę jako odpowiednik kampanii San Martina czy bitwy pod Ayacucho, tyle że na większą skalę – decyduje się na krok nie tyle bezprzykładny, ile niezmiernie rzadko odnotowywany w annałach dyplomacji: mimo że jego status stawia go poza zasięgiem burzy, podejmuje starania o przystąpienie do walki w szeregach aliantów, a konkretnie Anglików, z którymi łączy go tak liczne więzy. Jako dyplomata i Argentyńczyk na każdym kroku napotyka przeszkody administracyjne, które go niezmiernie irytują. W końcu zaopatrzony w fałszywe dokumenty, za co po zwycięstwie zostanie i ukarany, i odznaczony, zaciąga się do wojska jako francuski emigrant z Argentyny, Aurélien Romier. A że po angielsku mówi świetnie, lepiej niż po francusku, za cichą i dość niechętną zgodą władz argentyńskich, starym zwyczajem manipulowanych przez z wiekiem coraz bardziej apodyktyczną Conchitę Romero, ląduje na dość niezwykłym i nieokreślonym stanowisku tłumacza i doradcy przy sztabie wojsk brytyjskich w Pikardii i Ypres. Tam to dostrzega z daleka brytyjskiego oficera, majora Briana O'Shaughnessy'ego, którego nie rozpoznaje, mimo że zetknął się z nim już dwukrotnie, najpierw nad brzegiem

Tamizy, a potem na wyścigach w Longchamps, i z którym pisane mu będzie spotykać się jeszcze nieraz w przeróżnych okolicznościach.

Brian O'Shaughnessy uczestniczy we wszystkich cięgach, jakie bierze armia brytyjska. Ze swą zwykłą, bliską nonszalancji dystynkcją, która irytuje Francuzów, oraz wytrwałością, która ich zdumiewa, zdąża od porażki do porażki, aż po końcowe zwycięstwo. Po jatkach we Flandrii, na wniosek swego przyjaciela Winstona Churchilla, obecnie pierwszego lorda admiralicji, odgrywa niezwykle ważną i więcej niż zaszczytną rolę w krwawych porażkach pod Gallipoli i Dardanelami. Nazwisko jego widnieje też oczywiście na liście pasażerów storpedowanego czy trafionego miną okrętu, którym płynie do Rosji lord Kitchener, i tylko swojej młodości oraz odporności zawdzięcza, że jest jednym z nielicznych ocalałych z katastrofy na wysokości Orkadów, w której zginął naczelny dowódca, a potem minister wojny. Na wieść o tym, że jedną z ofiar jest Kitchener, któremu tak wiele zawdzięczał i którego podziwiał bardziej niż kogokolwiek innego na świecie, Brian po raz pierwszy w życiu popłakał się jak dziecko. Osobliwy paralelizm, któremu w przyszłości – dzięki potędze wspomnień – zawdzięczać będą zacieśnienie wzajemnych więzów, sprawi, że Brian O'Shaughnessy i Aureliano Romero powitają koniec wojny jako piloci myśliwców w dwóch różnych eskadrach. Rozpieszczany w dzieciństwie Aureliano zawsze interesował się silnikami i mechaniką; z kolei Brian szybko zorientował się, że przyszłość, czy to w czasie wojny, czy w czasie pokoju, kryje się w przestworzach. Na początku kwietnia 1918 roku podczas niemieckiego ataku na Lys i wzgórze Kemmel, Aureliano Romero zostaje zestrzelony przez nieprzyjacielski myśliwiec. Cudem udaje mu się wylądować za brytyjskimi liniami frontu. Poważnie poparzony, ewakuowany, skazany na wielomiesięczny pobyt w szpitalu – jest tym samym uratowany: śmierć, zawsze tak bliska, nareszcie go odstępiała. Nie jest ona też pisana Brianowi O'Shaughnessy'emu: deklamując Kiplinga, naciera on na nieprzyjaciela z myśliwską strzelbą, kawaleryjskim karabinkiem, a potem karabinem maszynowym, który strzela – istny cud techniki – poprzez śmigło. Kończy działania wojenne w stopniu pułkownika. W ciągu czterech lat wojny mąż Héléne Wrońskiej czterokrotnie przyjeżdżał do domu na przepustkę. Narodziny

czterech jego córek przypadają na lata 1915–1919, z niewyjaśnioną przerwą w roku wojny podwodnej, rewolucji rosyjskiej oraz Caporetto. Nie wiem, dlaczego w niemal rokrocznym, matematycznie wręcz regularnym pojawianiu się czterech panien O'Shaughnessy na naszym skąpanym we łzach świecie oszczędzony został i pominięty rok 1917.

Na zakończenie, jakże prowizoryczne, wojny oraz tych stronic – by wszystko uporządkować jak należy – przekazuję wam garść informacji o naszych przyjaciółach rozsianych po świecie. Pierwszeństwo należy się nieżyjącym: Cristina Isabel zmarła w czasie wojny na kilka miesięcy przed zestrzeleniem przez Rittmeistera Manfreda von Richthoffena, gdzieś pomiędzy Arras i Amiens, samolotu zięcia, którego ledwie знаła. Jeremiasz Finkelstein, niepokieszony wdowiec, jest bogaty jak zawsze, a niewykluczone, że coraz bogatszy. Uważa, że ruch związkowy nie jest już tym, czym był w dawnych dobrych czasach jego trudnej, pięknej młodości. Conchita Romero, której również niczego nie brakuje, zamierza wiosną lub jesienią 1919 roku odbyć planowaną w 1914 roku podróż do Francji: to już pięć długich lat, odkąd nie widziała Aureliana oraz czworga swoich wnuków. Jej zachłanna czułość i despotyzm pilnie domagają się wzięcia ich znów pod swoje skrzydła. Aureliano ma się już znacznie lepiej. Skazany za fałszerstwo dokumentów na jeden dzień więzienia w zawieszeniu, zarumieniony przyjmował gratulacje ławy przysięgłych. Jest kawalerem Legii Honorowej. Mówi się – ale o tym sza! – że ma zostać ambasadorem Argentyny w Anglii. Połączone fortuny Finkelsteinów i Romerów mogłyby na takiej placówce zdziałać cuda. Marie Wrońska i jej wnuczka Hélène natomiast poniosły pewne straty: wielki zawód sprawiły im koleje austro-węgierskie; trzeba też pożegnać się na dobre – przez bolszewików – z wielkimi nadziejami wiązanyymi z rosyjską pożyczką. Wszelako to, co pozostało z majątku Piotra Wasiliewicza, to wciąż nie bagatela: dziewczynki mają być zapewnione. Ja zaś – i winien jestem wam wdzięczność za zainteresowanie moją osobą – kontynuuję na moim tarasie to dzieło zda się bez końca, w które się zaangażowałem. Daje mi ono wiele szczęścia zabarwionego lekką melancholią. Jeślibyście mieli dla mnie jakieś informacje bądź też – nigdy nie wiadomo, nie ma ludzi nieomylnych – chcielibyście zaproponować jakieś poprawki, jeśli przypadkowo

zdarzyło wam się spotkać któregokolwiek z bohaterów tej wziętej z życia kroniki – na przykład hrabinę Wrońską, sędziwego Jeremiasza Finkelsteina, kogoś z rodziny Romero, jedną z sióstr O’Shaughnessy – bez wahania napiszcie do mnie do San Miniato w Montepulciano (Toskania). Dziękuję. Jeśli idzie z kolei o tych najuboższych i ofiary, nieświadome jeszcze tego, że same zamieniają się w katów, to Paco Rivera gości właśnie na Kremlu, dokąd serdecznie zaprosił go na kilka dni sam Lenin pamiętający o Zurychu. Rosjanin ma pewne plany w związku z osobą Księżulka. Brzdąc walczył we Francji w oddziałach amerykańskich, swoją odwagą i okrucieństwem wzbudzając w innych zdumienie – a potem zgrozę i sprzeciw. Nigdy nie przepuścił okazji zgłoszenia się na ochotnika do akcji czyszczenia nieprzyjacielskich okopów; w walce na białą broń dokonywał cudów. Zaprzyjaźnił się z Brianem O’Shaughnessym, dla którego pośród mżawki nad Sommą przez pięć czy sześć miesięcy – by nieco odsapnąć po tak intensywnym zabijaniu – pracował jako mechanik. Wieczorami w barze eskadry popijając whisky, opowiadali sobie różne zdumiewające historie, które przez długi czas jednego i drugiego pobudzały do snucia zgoła odmiennych marzeń. Obiecali sobie, że kiedy wreszcie ustanie deszcz pocisków i szrapneli, spotkają się w Londynie, a może nawet – właściwie czemu nie? – może nawet w Glangowness, gdzie śniadoskóry zabójca będzie mógł spotkać księżną Kentu lub Devonshire i sir Winstona Churchilla, i gdzie Hélène O’Shaughnessy, przyszła lady Landsdown, z czterema swoimi, już wtedy nieznośnymi, córkami cierpliwie czeka na powrót bohatera. Rzecz w tym, że Brian O’Shaughnessy, którego – na szczęście – pieniądze niespecjalnie interesują i niezbyt wzrusza krach pożyczki rosyjskiej, jest więcej niż usatysfakcjonowany: w uznaniu zasług i na pośmiertny wniosek testamentu lorda Kitchenera – powiedzmy sobie, że w pewnym stopniu też i dlatego, iż pochodzi on z niezmiernie starego i niezmiernie wybitnego rodu bliskiego wygaśnięcia – król Jerzy V, następca Edwarda VII, będącego z kolei następcą wielkiej i chlubnej pamięci królowej Wiktorii, w swej nieskończonej dobroci zezwolił mu na przejęcie tytułu lorda Landsdowna po śmierci dziadka, który przez wiele lat przebywał już jedną nogą na tamtym świecie. Z Anglikami tak już jest, że nazwisko

Landsdownów, ponownie zagrożone, nie przeżyje Briana: w odróżnieniu i na podobieństwo dawnych Landsdownów, będących McNeillami, cztery córki lorda Landsdowna nazywać się będą O'Shaughnessy. Pandora, Atalanta, Vanessa i Jessica O'Shaughnessy. Wywodzą się one ze świata, w którym – mimo miłosnych cierpień ich nieznannej babki po kądzieli oraz poprzedzających je zbrodni we Włoszech i Indiach, mimo stryja Edmunda i tajemnic otaczających postać ich dziadka ze strony matki, i tylu wielkich dramatów na wszystkich kontynentach, mimo Indian Godolphina i tylu drobnych tragedii podobnego pokroju i podobnej wagi, mimo przygód ich ojca we wszystkich zakątkach imperium utożsamianego z całą planetą – działo się niewiele, by nie powiedzieć: prawie nic. Przez żelazną i ognistą bramę wojny wkraczają w świat, w którym królują nowi bogowie: jazz, kino, samochód, komunizm...

Świat tworzy dzieci, dzieci tworzą świat. Cztery bracia Romero wkraczają w ten nieokreślony wiek, kiedy dzieci stają się mężczyznami. W przeddzień najskuteczniejszej rzezi w dziejach ludzkości przekonani są, że spiszą się lepiej od starszych. Nie domyślają się jeszcze, jak tragicznej wymowy nabierze owo sformułowanie. Czatuja na nich nowoczesne mity. Na Wschodzie jaśnieje wielka luna. Europę trawi gorączka. W wibracjach rozkoszy, w rozprężeniu zmysłów dojrzewa wielki kryzys. Przyszłość wabi ich pieniędzmi, szybkością, władzą mas, obaleniem wszystkich wartości głoszonych przez poetów i filozofów. Draży ich okrutna niecierpliwość, by spróbować nowego. Zafascynowani, upojeni nadzieją pozwalają się zaciągnąć do świątyni faszyzmu i komunizmu. A kiedy otworzą oczy, ujrzą wokół siebie rzeki krwi i łez.

Nie zabraknie też szczęścia, wesołości, czułości. W Glangowness najstarsza z siostr O'Shaughnessy pochyla się nad kołyską najmłodszej. Najstarsza ma na imię Pandora. Ma pięć lat, oczy barwy wahającej się między zielenią a błękitem, jasne włosy Nicolasa i Nadii Wrońskich. Umie śmiać się i płakać. Już wtedy kocha tajemnicę i szaleją za nią wszyscy mężczyźni. Przypomina Marie Wrońską z czasów Sankt Petersburga i Wenecji. Najmłodsza to Jessica. Będzie brunetką. Niewykluczone, że w ramach dalekiego spadku po maharani Chittorgarh

już teraz przejawia niezły charakter. O średnich, Atalancie i Vanessie, mówi się, że pierwsza bardzo przypomina McDuffów, bardzo McNeillów, bardzo Landsdownów, a druga jest bardzo irlandzka. Brian słysząc, że w jego córkach ozywają wszystkie uroki Cossignych i Landsdownów, O'Shaughnessych i Wrońskich, odpowiada z uśmiechem:

– Cóż, przynajmniej jest wesoło.

Znaleźliśmy się w miejscu zetknięcia przeszłości z przyszłością. Cztery siostry O'Shaughnessy są jeszcze dziećmi: cała przyszłość przed nimi. Są już kobietami: świat z jego marzeniami i namiętnościami należy do nich.

NOTY BIOGRAFICZNE O GŁÓWNYCH BOHATERACH

Anna-Maria. Pokojówka księżnej M***.

Asunción. Urodzona w Maubeuge. Bywalczyni Folies--Bergère. Wpada w oko dyktatorowi. Jedzie za nim do Paragwaju. Ulokowana w Villarica, potem w Encarnación. Żądna wybicia się. Zatrzuwa życie kochankowi. Wychodzi za niego za mąż. Narzuca korpusowi dyplomatycznemu zdumiewający protokół. Staje się przyczyną konfliktu między Paragwajem i Anglią.

Baden-Powell. Robert Stephenson Smyth, baron. Angielski generał. Zamyka Burów w obozach.

Baer, żona Huberta Baera. Angielska przyjaciółka Marie Wrońskiej.

Bokserzy. Członkowie tajnego stowarzyszenia chińskiego. Oblegają poselstwa zagraniczne w Pekinie.

Brûlaz-Trampolini (mecenasy). Notariusz genewski o nieco wątpliwej reputacji. W myśl instrukcji hrabiego Wrońskiego najęty przez Zambrana do opieki nad Nicolasem. Regularnie posyła mu pieniądze. Przywiązuje się do młodzieńca. Piszze do hrabiny Wrońskiej list napęłniający ją szczęściem i rozpaczą.

Brzdąc. Młody Mulat. Lekkomyślny, błyskotliwy, okrutny. Przyjaciel Rivery. Towarzyszy mu w karnych – często krwawych – akcjach meksykańskiej rewolucji. Podąża za nim do Stanów Zjednoczonych. W Zurychu spotyka Lenina. Podczas pierwszej wojny światowej zaciąga się do armii brytyjskiej. Czyściciel okopów. Mechanik Briana O'Shaughnessy'ego. Zaprzyjaźnia się z nim. Obiecuje, że po wojnie odwiedzi go w zamku Glangowness.

Carpaccio Vittore. Autor *Legendy świętej Urszuli* oraz cyklu *Scuola degli Schiavoni*. Ulubiony malarz Marie Wrońskiej.

Chińczyk (wielki). Wdrapuje się na dach poselstwa Stanów Zjednoczonych w Pekinie. Strzela do Nicolasa. Trafia i zabija Gabriellę.

Churchill Winston. Brytyjski arystokrata. Mierny uczeń w Harrow. Korespondent wojenny w Egipcie i Afryce Południowej. Przyjaciel Briana O'Shaughnessy'ego. Minister wojny. Kanclerz skarbu.

Pierwszy lord admiralicji. Premier.

Cocteau Jean. Młody nieznajomy. Je kolację z państwem Romero.

Cossigny Marie de. Córka ubogiego szlachetki z Charentes i siostrzenicy arcybiskupa. Blondynka o zielonych oczach. Lektorka w rodzinie Naryszkinów w Sankt Petersburgu. Sieje w niej zamęt. Spodziewa się dziecka. W Wiedniu goszczą ją Herbignacowie. Hrabia Wroński uwozi ją do Wenecji i tam poślubia. Matka Nadii. Kochanka Verdiego. Dowiaduje się o śmierci swojego drugiego dziecka. Zrywa z Verdim. Wyjeżdża do Paryża z Nadią. Z daleka uczestniczy w pogrzebie Victora Hugo. Osiada z córką w Szwajcarii. Poznaje Nicolasa. Aprobuje, choć z pewną rezerwą, uczucia dwojga młodych. Szczęśliwa i zrozpaczona dowiaduje się, że jej drugie dziecko nie umarło. Traci syna po raz drugi. Oraz córkę. Wychowuje wnuczkę Hélène. Staje się sędziwą damą o siwych włosach. Zaprzyjaźnia się z narratorem.

Cossy Nicolas. Patrz: Nicolas.

Cristina Isabel. Córka Periclesa Augusta i Florindy. Robi sobie zdjęcie na jarmarku w Bahii. Dorasta w pewnym zbytku. Sprzedaje bilety na loterię przygodnemu cudzoziemcowi. Pisze do niego do Buenos Aires. Wychodzi za niego za mąż. Zamieszkuje w Nowym Jorku. Gości u siebie ojca. Matka Rosity i Simona. Rozpacza po porwaniu syna. Umiera podczas pierwszej wojny.

Cy-si. Chińska cesarzowa. Potajemnie wspiera rewoltę bokserów.

Czas. Główny bohater życia i literatury.

Debussy Claude. Kompozytor. Je kolację z państwem Romero.

Disraeli Benjamin. Angielski pisarz i dandys pochodzenia żydowskiego. Postępowy konserwatysta. Minister spraw zagranicznych. Wróg Gladstone'a. Ulubiony premier królowej Wiktorii. Robi ją cesarzową Indii. Ona robi go lordem Beaconsfieldem.

Dołgoruka Anna. Siostra Olgi. Matka wuja Konstanina Siergiejewicza.

Dołgoruka Olga. Patrz: Wrońska (hrabina).

Duchaussoy de Charmeilles Hippolyte. Wicekonsul w Cetinje. Jego syn wyprzedaje państwowe mienie dla pięknych oczu pewnej aktorki. Nazywany przez swoich drogich kolegów „Samemu będąc

ojcem”. Francuski konsul w Paragwaju. Bez większych ceregieli podporządkowuje się dyktatorskim zachciankom.

Dyktator Paragwaju. Sprawuje despotyczne rządy. Liberalne przekonania rezerwuje dla Europy. W Folies-Bergère spotyka Mado z Maubeuge. Zabiera ją ze sobą na statek. Przeżywa męki zazdrości. Żeni się z nią. Popada w konflikt z królową Wiktorią. Prześladowuje swoimi umizgami Conchitę Romero. Pociesza się w ramionach siostry konsula pruskiego.

Eiffel Gustave. Inżynier. Je kolację z państwem Romero.

Faure (żona barona Philipe’a). Francuska przyjaciółka Marie Wrońskiej.

Finkelsteinowie

Izaak. Polski rabin. Uosobienie dumy i pokory. Mąż Sary.

Sara. Żona Izaaka.

Jeremiasz. Czwarty syn Izaaka. Wzorowy uczeń. Po zakończeniu lekcji uwozi go żona naczelnika policji. Ma z nią romans, który wywołuje skandal. Wyjeżdża do Warszawy, potem do Berlina. Rozbudza nową namiętność. Emigruje do Stanów Zjednoczonych. Zdobywa czołową pozycję w środowisku związków zawodowych, a potem w świecie biznesu. Zwraca na niego uwagę Vanderbilt. Odrzuca awanse Margaret Vanderbilt. Na loterii w Bahii wygrywa koziołka. Żeni się z Cristiną Isabel. Ojciec Rosity i Simona. Senator. Daje dowód wielkiej odwagi podczas porwania syna. Odgrywa pierwszoplanową rolę w świecie amerykańskiego kapitalizmu.

Cristina Isabel. Patrz: Cristina Isabel.

Rosita. Córka Jeremiasza i Cristiny Isabel. Chodzi do cyrku i na wyścigi z Periclesem Augustem. Rozpacza po jego śmierci. Bierze ślub z Aurelianem Romerą w katedrze Świętego Patryka w Nowym Jorku.

Simon. Brat Rosity. Ofiara porwania. Znika bez śladu.

X. Bratanek Jeremiasza. Członek plutonu egzekucyjnego, który strzela do pani Putyfary.

Fioravanti Benvenuto. *Maître d’hôtel* oraz zaufany człowiek starej hrabiny Wrońskiej.

Florinda. Czarna niewolnica w Bahii. Wyzwolona przez swoich panów. Spotyka Periclesa Augusta. Tańczy z nim w obecności tłumu

widzów. Okropnie się boi, że Pericles Augusto nie wróci. Wychodzi za niego za mąż. Matka Cristiny Isabel. Umiera na tyfus albo na żółtą febrę.

France Anatol. Powieściopisarz. Je kolację z państwem Romero.

Gabriella. Córka konsula włoskiego w Pekinie. Poznaje Nicolasa. Zwiedzają razem San Ho. Zakochuje się w nim. Wspólnie przeżywają oblężenie poselstwa Stanów Zjednoczonych podczas powstania bokserów. Ginie osłaniając go własnym ciałem.

Glangowness. Zamek w Szkocji. Przesadnie odnowiony. Gniazdo rodowe McDuffów, siedziba Landsdownów.

Hélène. Córka Nadii i Nicolasa. Najpierw ma na imię Sophie. Wychowywana przez babkę, hrabinę Wrońską. W Paryżu podczas spaceru spotyka Briana O'Shaughnessy'ego. Wychodzi za niego za mąż. Osiada w Glangowness. Zostaje lady Landsdown. Matka czterech dziewczynek.

Herbignac Gustave. Urodzony w Niort za panowania Ludwika XVIII. Zbija fortunę na koniaku. Handluje portem w Lizbonie i Londynie. Osiada w Wiedniu. Austriaccy amatorzy koniaku, portu i szampana schlebiają mu, ale traktują go z góry. Mąż Hortense.

Herbignac Hortense. Żona Gustave'a. Kochanka hrabiego Wrońskiego. Krewna i przyjaciółka Marie de Cossigny. Gości ją u siebie. Przedstawia jej swego kochanka. Nie odpowiada na listy Marie. Dziesięć czy piętnaście lat później pisze list, który Marie na łożu śmierci nakazuje wrzucić w ogień.

Hugo Victor. Poeta. Marie Wrońska i jej córka uczestniczą z daleka w jego pogrzebie.

Indian Godolphin. Koń. Wspaniała kariera. Ginie w okolicznościach strasznych i romantycznych.

Jameson, sir Leander Starr. Lekarz w Edynburgu. Zaprzyjaźniony z Landsdownami, agent Brytyjskiego Towarzystwa Południowoafrykańskiego. Pomysłodawca rajdu przeciwko prezydentowi Krügerowi. Premier Kolonii Przylądkowej.

Jaurès Jean. Socjalista. Zamordowany przez Raoula Villaina w Café du Croissant 31 lipca 1914 roku.

Joaquim (lub Luis Antonio, lub Pablo, lub Jesús). Sekretarz i zaufany współpracownik prezydenta Madero.

Kipling Rudyard. Pisarz i poeta imperium brytyjskiego. Czytany i uwielbiany przez Briana O'Shaughnessy'ego.

Kitchener Horatio Herbert (hrabia Chartumu i Aspell). Marszałek brytyjski. W 1870 roku ochotnik w armii francuskiej. Sirdar wojsk egipskich. Pokonuje Marchanda w Faszodzie. Zwraca uwagę na Briana O'Shaughnessy'ego i przydziela go do swojego sztabu. Dowódca sztabu głównego, następnie głównodowodzący wojsk angielskich w Afryce Południowej. Nieustępliwy. Głównodowodzący armii brytyjskiej w Indiach. Minister wojny. Świadek na ślubie Briana O'Shaughnessy'ego. W pobliżu Orkad okręt, którym płynie do Rosji, zostaje storpedowany, a on ginie.

Konsul włoski w Pekinie. Toskańczyk z pochodzenia. Towarzysz Garibaldi'ego. Wielbiciel Marco Polo. Wdowiec. Ojciec Gabrielli. Zaginiony w czasie powstania bokserów.

Krüger Paul. Z pochodzenia berlińczyk. Prezydent Republiki Transwalu. Dusza oporu Burów przeciwko ekspansjonizmowi brytyjskiemu.

Kuropatkin Aleksiej Nikołajewicz. Głównodowodzący wojsk rosyjskich. Pokonany przez Japończyków pod Mukdenem.

La Bigne Valtesse de. Pierwowzór Nany. Kochanka Periclesa Augusta w Paryżu.

Landsdownowie

George McNeill, lord. Najstarszy z rodu McNeillów. Generał armii brytyjskiej w Indiach. Traci pierwszą żonę. Jego drugą żoną zostaje Hinduska. Mówi bełkotliwie.

Lady. Hinduska z pochodzenia. Rani Chittorgarh. Posiadaczka olbrzymiej fortuny oraz legendarnych szmaragdów. Prawdopodobnie z jej nakazu sikhowie zgładzili pierwszą żonę lorda Landsdowna. Poślubia wdowca.

Henry McNeill, lord. Syn lorda George'a i Hinduski. Poślubia Szkotkę. Mówi bełkotliwie.

Lady. Z domu Georgina McDuff. Z pochodzenia Szkotka. Wychodzi za mąż za Henry'ego McNeilla. Wnosi mu w wianie Glangowness.

Lenin Włodzimierz Iljicz. Rosyjski szlachcic i rewolucjonista.

Kałmuckie rysy twarzy. Hrabia Wroński interweniuje w sprawie jednego z jego braci. Spotyka się w Zurychu z Pakiem Riverą i Brzdącem.

Liebermann Karl-Hans. Żyd z pochodzenia. Filozof i ateista. Socjalista. Miłośnik muzyki operowej. Berliński księgarz. Przygarnia Jeremiasza Finkelsteina. Chętnie widziałby go w roli swojego zięcia. Pożycza mu pieniądze na wyjazd do Nowego Jorku.

Liebermann Lili. Córka Karla-Hansa. Wielka, krótkowzroczna, brzydka, urocza. Zakochuje się w Jeremiaszu Finkelsteinie. Przygląda się, kiedy ten śpi. Zazdrosna. Rozpacza po jego wyjeździe.

Loubet Emile. Prezydent Republiki Francuskiej. W ogrodach Tuileries wydaje olbrzymi bankiet dla dwudziestu tysięcy republikańskich merów. W Auteuil zostaje zdzielony łaską w cylinder.

Ludmiła. Ukraińska babuszka hrabiego Wrońskiego. Oddana swojemu panu nawet w zbrodni.

M*** (książę Ricardo). Potomek starego weneckiego rodu. Żeni się z Amerykanką. Umiera wieczorem w dniu balu, który wraz z żoną wydaje w swoim weneckim pałacu. Przechowywany na lodowym łożu.

M*** (księżna). Żona księcia Ricardo. Kiedy ubiera się na bal, jej *maître d'hôtel* przynosi wstrząsającą nowinę. Uosobienie wytrwałego uporu Amerykanek w Europie.

Madero Francisco. Prezydent Republiki Meksykańskiej. Zamordowany.

Mado (z Maubeuge). Patrz: Asunción.

Marchand Jean-Baptiste. Francuski kapitan. Brodacz. Zwycięzca Samory'ego. Wyparty z Faszody przez generała Kitchenera.

Marks Karol. Niemiecki filozof. Czytują go Jeremiasz Finkelstein i Paco Rivera.

Maureen. Nieślubna córka Kevina O'Shaughnessy'ego. Kochanka Brentona. Wspólnie oddają się rozpuście. Słuch o niej ginie.

McNeill. Rodowe nazwisko Landsdownów. Sięga czasów Ryszarda Lwie Serce, a może nawet króla Artura.

McNeill Sybil. Córka lorda i lady Landsdown z domu Georginy McDuff. Dorasta w Glangowness. Jeździ na Indian Godolphinie. Wychodzi za mąż za Seana O'Shaughnessy'ego. Matka Briana, z którym prowadzi czułą i żywą korespondencję.

Mikołaj II. Car Wszechrosji. Pokonany przez Japończyków.
Monet Claude. Malarz. Je kolację z państwem Romero.
Montesquiou, Robert de. Hrabia. Światowiec. Je kolację z państwem Romero.

Mummy. Szwajcarska piastunka Nicolasa.

Nadia. Córka Marie de Cossigny i rosyjskiego ogrodnika. Uznana przez hrabiego Wrońskiego za własną córkę. Oświadcza jej się liczni włóscy książęta. Wyjeżdża z matką do Paryża. Wielbicielka Napoleona. Chora. Pobyt w Szwajcarii. Czyta Stendhala. Spaceruje po okolicznych wsiach. Przed drzwiami hotelu, w którym mieszka, a potem na poczcie spotyka Nicolasa. Zakochuje się w nim. Spotykają się ponownie w Wenecji. Poznawszy straszną prawdę, rozstaje się z nim. Matka Hélène. W wieku dwudziestu kilku lat umiera ze smutku i rozpacz.

Narrator. Pochodzi z rodziny Plessis-lez-Vaudreuil. Żyje w samotni swojego domu w San Miniato w Toskanii.

Naryszkinowie

Księżna. Z domu Orłow. Sucha a zarazem krągła. Oskarża Marie de Cossigny o deprawowanie jej rodziny.

Wuj. Kocha się w Marie de Cossigny.

Siostrzeniec. Porucznik w Priebrażeńskim Pułku. Kocha się w Marie de Cossigny.

Nicolas. Syn Marie Wrońskiej i Verdiego. Zaraz po urodzeniu uprowadzony przez swojego domniemanego ojca. Nauka w Szwajcarii pod nazwiskiem Cossy. Odkrywa muzykę. W Gstaad zakochuje się w Nadii. Nazywany górskim sierotą. Przyjeżdża do niej do Wenecji. Spacer z Nadią w stanie najwyższej rozterki. Opuszcza ją. Wyjeżdża do Azji. Ujęty młodością i wdziękiem córki konsula. Uczestniczy w powstaniu bokserów w Pekinie. O włos unika śmierci. Znow znika. Dowódca ochotniczego oddziału w carskiej armii podczas wojny z Japończykami. Ucieka z oblężonego Port Artur. Ginie w bitwie pod Mukdenem. Ojciec Hélène.

O'Shaughnessy

Kevin. Potomek władców Irlandii. Opój. Gwałci córkę szynkarzy. Nieślubny ojciec Maureen.

Brenton. Syn Kevina. Potomek władców Irlandii. Opój. Bierze sobie za kochankę nieślubną córkę ojca. Uprawia z nią wyuzdaną rozpustę. Zamordowany.

Sean I. Wnuk i prawnuk Brentona i Kevina. Potomek władców Irlandii. Bardzo poprawny. Ojciec Briana i Edmunda.

Brian I. Starszy syn Seana I. Chrześniak O'Connella. Eton. Oksford. Związany z rodziną królewską. Błyskotliwa kariera na służbie Korony Brytyjskiej. Ambasador Anglii.

Edmund. Brat Briana I. Chrześniak McNeilla. W jego ramionach umiera irlandzki bojówkarz. Utrzymuje kontakty z irlandzkimi rewolucjonistami. Prowadzi buntownicze i zbyt koczownicze życie. Kieruje najbardziej nieprzejednaną frakcją irlandzkiego ruchu oporu.

Sean II. Syn Briana I. Ledwie unika strasznego wypadku. Żeni się z Sybil McNeill, córką lorda Landsdowna. Poseł z ramienia unionistów u boku Josepha Chamberlaina. Ojciec Briana II.

Brian II. Syn Seana II i Sybil z domu McNeill. Eton. Oksford. Wielbiciel Kiplinga. Stacza walkę nad Tamizą ze studentem z Cambridge. W Sudanie z Kitchenerem. W Afryce Południowej z Kitchenerem. Przyjaźni się z Winstonem Churchillem. Armia indyjska. Przyjaźni się z porucznikiem, a następnie kapitanem Turnbullem. Spotyka w Paryżu Hélène Wrońską. Żeni się z nią w 1914 roku. Walczy nad Izerą i Sommą. Przyjaźni się z Mulatem. Rodzą mu się kolejno cztery córki. Król Jerzy V upoważnia go do przejęcia tytułu lorda Landsdowna po śmierci dziadka.

Pandora. Najstarsza córka Briana i Hélène Wrońskiej. Przekazuje narratorowi rodzinne dokumenty. Bohaterka następnego tomu.

Atalanta. Druga córka Briana i Hélène Wrońskiej. Bohaterka następnego tomu.

Vanessa. Siostra Pandory i Atalanty. Pije. Bohaterka następnego tomu.

Jessica. Siostra Pandory, Atalanty i Vanessy. Bohaterka następnego tomu.

Oyama Iwao (markiz). Marszałek japoński. Pogromca Rosjan w Port Artur. Ponownie pokonuje ich pod Mukdenem.

Paryski lekarz. Łysy, z czarną brodą i monoklem. Mieszka

niedaleko Madeleine. Kobieciarz. Oślučuje Nadię. Wysyła ją do Szwajcarii.

Pericles Augusto. Wędrowny handlarz pochodzenia włosko-portugalskiego. Osiadły w Olindzie. Na ulicy w Bahii spotyka Florindę. Razem tańczą. Żeni się z nią. Opuszcza Olindę i przenosi się do Bahii. Ojciec Cristiny Isabel. Awansuje w hierarchii społecznej. Przenosi się do Nowego Jorku do swojego zięcia Jeremiasza Finkelsteina. Nosi cudaczne stroje. Bierze udział w kolonizacji Oklahomy. Często odwiedza Europę. Zdobywa opinię oryginała i niemal eleganta. Pewien włoski hrabia określił go jako musującego i pirotechnicznego.

Piastunka małego Simona Finkelsteina. Związana i zakneblowana przez porywaczy dziecka. Podejrzewana przez nowojorską policję, następnie zwolniona.

Pilar. Meksykańska pielęgniarka. Przejawia symptomy hysterii. Zakochuje się w Pacu Riverze. W ciąży.

Posel Stanów Zjednoczonych w Pekinie. Próbuje dodać otuchy Amerykanom i Europejczykom, którzy schronili się w jego poselstwie. W rozmowie z Tim Tomem nie kryje obaw.

Prism (miss Evangeline). Sprowadzona przez Rositę Romero z eleganckiej szkoły pod Londynem. Guwernantka braci Romero. Jedzie razem z nimi do Europy.

Proust Marcel. Prowadzi kronikę towarzyską w „Le Figaro”. Je kolację z państwem Romero.

Putyfara (pani). Przewisko żony naczelnika policji okręgu Lublina. Podczas uroczystości szkolnej ma na głowie kapelusz z dwoma piórami: niebieskim i zielonym. Zakochuje się w młodym Jeremiaszu Finkelsteinie. Po zakończeniu lekcji przyjeżdża po niego powozem. Przeżywają burzliwy romans. Ginie z rąk bolszewików.

Reginald (sir). Posel brytyjski w Paragwaju. Gładzi wąż, kiedy się nad czymś zastanawia. Odmawia pocałowania stopy Mado z Maubeuge. Rozebrany do naga i poprowadzony na ośle ulicami stolicy. Z jego powodu Paragwaj pod koniec XIX wieku zostaje skreślony z angielskich map.

Rhodes, Cecil (sir). Genialny awanturnik i człowiek czynu.

Poszukiwacz diamentów. Premier Kolonii Przylądkowej. Buduje kolej łączącą Aleksandrię z Kapsztadem.

Rivera Paco. Z rodziny ubogich meksykańskich wieśniaków. Wstępuje do seminarium. Czyta Marksa i Renana. Przygoda z Pilar. Występuje z seminarium. Wiąże się z Zapatą i Panchem Villą. Bierze aktywny udział w rewolucji meksykańskiej. Nazywany Profesorem lub Księżulkiem. Słynie z okrucieństwa. Zaprzyjaźnia się z Brzdącem. Po wyborze Madera na prezydenta Meksyku wynosi się do Stanów Zjednoczonych. Spotyka w Zurychu Lenina.

Roberts Frederick Bleigh (lord). Marszałek angielski. Głównodowodzący w wojnie z Burami. Zwraca uwagę na Briana O'Shaughnessy'ego. Ustępuje stanowiska Kitchenerowi.

Romerowie

José Antonio. Generał południowoamerykański. Przyjaciel Mirandy, potem Bolívara. Uczestniczy w utworzeniu Wielkiej Kolumbii, potem Paragwaju. Ojciec Carlosa.

Carlos. Syn Joségo Antonia. Pułkownik wojsk paragwajskich. Attaché wojskowy w wielu krajach Europy. Współdziała w zaprowadzeniu dyktatury, po czym zaraz z nią zrywa. Mąż Conchity. Ojciec Aureliana.

Conchita. Żona Carlosa. Matka Aureliana. Jest obiektem umizgów dyktatora Paragwaju. Nie ulega mu. Dostaje w prezencie futro z białych nerek oraz wiele słoików konfitur. Nadal mu nie ulega. Otrzymuje zawołowane pogróżki. Zmuszona jest opuścić kraj. Osiedla się w Argentynie. Nabywa posiadłość nad jeziorem Nahuel Huapi. Znacznie pomnaża swój majątek. Kochanka argentyńskiego ministra spraw zagranicznych. Posiada wpływy polityczne w Buenos Aires. Dla syna marzy jej się Europa.

Aureliano. Syn Carlosa i Conchity. Dzieciństwo w Paragwaju. Młodość w Argentynie. Szczególnym sentymentem darzy okolice jeziora Nahuel Huapi. Studia w Cambridge. Stacza walkę nad Tamizą ze studentem Oksfordu. Attaché ambasady w Londynie. Sekretarz ambasady w Waszyngtonie. Nie grzeszy wyobraźnią. Żeni się z Rositą Finkelstein. Obawia się reakcji matki. Pisze do niej pełne emfazy listy. Otrzymuje stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych. Przenosi

się do Buenos Aires. Czterech synów. W przededniu pierwszej wojny mianowany posłem w Paryżu. Zaciąga się do oddziałów francuskich jako Aurélien Romier. Lotnik. Ranny. Liczy, że zostanie ambasadorem Argentyny w Londynie.

Carlos. Najstarszy syn Aureliana i Rosity. W 1914 roku, w dniu gonitwy o Grand Prix w Longchamp, rodzice zabierają go do Larue. Bohater następnego tomu.

Agustín. Brat Carlosa. Towarzyszy mu u Larue. Bohater następnego tomu.

Javier. Brat Carlosa i Agustína. Od niego narrator dowiaduje się o śmierci Pandory. Przechadzają się razem po tokańskich drogach. Bohater następnego tomu.

Luis Miguel. Bliźniaczy brat Javiera. Bohater następnego tomu.

Rosyjski ogrodnik. Pierwszy kochanek Marie de Cossigny. Ojciec Nadii. Konspirator. Zesłany na Syberię.

Rousseau M. Cukiernik u Maxime'a. Za radą Periclesa Augusta wyjeżdża do Brazylii. W Buenos Aires otwiera cukiernię pod nazwą Duque de Morny. Kucharz u Conchity Romero. Okropny snob.

Stendhal (Henri Beyle, zwany Stendhalem). Pisarz francuski. Czytany i uwielbiany przez Marie Wrońską i jej córkę.

Strepponi Giuseppina. Kochanka, a później żona Verdiego. Rywalka Marie Wrońskiej.

Szwajcarski lekarz. Osłuchuje Nadię. Doradza jej przede wszystkim, żeby była szczęśliwa.

Tim Tom. Przewisko Toma Timkinsona. Sekretarz amerykańskiego posła w Pekinie. Świadek oblężenia poselstwa. Wielbiciel Jamesa Joyce'a. Amerykański konsul honorowy w Trieście. Odwiedza narratora w San Miniato i opowiada mu o miłości Nicolasa i Gabrielli w Pekinie podczas powstania bokserów.

Turnbull (porucznik, potem kapitan). Oficer armii indyjskiej. Podejmuje w Bombaju Briana O'Shauglinessy'ego. Darzy go przywiązaniem, a niewykluczone, że czymś więcej.

Verdi Giuseppe. Syn szynkarza. Genialny kompozytor. Patriotą włoski. Twórca oper *Nabucco*, *Trubadur*, *Traviata*, *Bal maskowy*, *Siła przeznaczenia*, *Aida*, *Otello*. Kochanek, a następnie mąż Giuseppiny

Strepponi. Kochanek Marie Wrońskiej. Ojciec Nicolasa.

Villa Pancho. Meksykański rewolucjonista. Zamordowany.

Vittorio. *Maître d'hôtel* u księżnej M***, która dostrzega w lustrze jego wstrząśniętą minę.

Waldersee Alfred (generał, potem marszałek, hrabia von). Dowódca oddziałów międzynarodowych wysłanych do Pekinu celem oswobodzenia poselstw obleganych przez bokserów.

Wenecja. Marzenie z kamienia i wody. Triumf kultury. Między Wschodem a Zachodem, jedno z centrów świata.

Wiktoria. Królowa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, cesarzowa Indii. Darzy wielką sympatią swojego premiera Disraeliego, któremu nadaje tytuł lorda Beaconsfielda. Żona Alberta Sachsen-Coburga. Matka Edwarda VII, którego potępia za nadmierną słabość do Francuzów i Francuzek.

Wilde Oscar. Angielski pisarz pochodzenia irlandzkiego. Wyznaje dziennikarzowi, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby być Aurelianem Romerą.

Władimir Pawłowicz. Mąż aktorki z teatru La Fenice. Hazardzista. Tonie w długach. Właściciel pałacu nad Canal Grande. Bez chwili wahania sprzedaje go Piotrowi Wasiliewiczowi.

Włoski dziennikarz. Gaduła. Mitoman. W Szanghaju spotyka Nicolasa. Proponuje mu pisanie artykułów do gazet w Mediolanie lub Genui.

Wrońscy

Fiodor Pietrowicz, hrabia. Mąż Jakietieriny Wołkońskiej. Ambasador Rosji w Teheranie i Londynie.

Aleksander Fiodorowicz, hrabia. Syn Fiodora Pietrowicza. Zabity pod Borodino lub Moskwą.

Wasilij Fiodorowicz, hrabia. Brat Aleksandra Fiodorowicza. Mąż Olgi Dołgorukiej. Uczestnik powstania dekabrystów przeciwko Mikołajowi I. Zesłany na Syberię.

Hrabina. Z domu Dołgoruka. Siostra matki wuja Konstantina Siergiejewicza. Żona hrabiego Wasilija Fiodorowicza. Bardzo bogata. Właścicielka posiadłości na Krymie. Często bywa w Wenecji, gdzie w hotelu Danieli wynajmuje trzy piętra. Pyta swojego *maître d'hôtel*, czy

ten przypadkiem nie bierze jej za korzeń estragonu. Dwóch synów. Zaborcza i toksyczna matka Piotra Wasiliewicza.

Aleksiej Wasiliewicz, hrabia. Syn hrabiny i hrabiego Wasilija Fiodorowicza. Rewolucjonista i hulaka. Na wygnaniu. Bywalec kurortów. Mieszka z dwoma swoimi synami w domu na Giudekce, użyczonym mu przez Piotra Wasiliewicza.

Piotr Wasiliewicz, hrabia. Brat Aleksieja Wasiliewicza. Liberal. Przemierza wzdłuż i wszerz Europę. Wielbiciel i przyjaciel Verdiego. Pomawiany o impotencję bądź homoseksualizm. W Wiedniu ma romans z Hortense Herbignac. Uwozi Marie de Cossigny do Wenecji i tam ją poślubia. Uznaje Nadię za swoją córkę. Nabywa pałac nad Canal Grande. Poleca usunąć Nicolasa. Składa mu krótkie wizyty w wiosce w Grisons. Odbiera sobie życie w Bawarii.

Hrabina. Żona Piotra Wasiliewicza. Patrz: Cossigny Marie de.

Fiodor Aleksiejewicz, hrabia. Syn Aleksieja Wasiliewicza. Oficer carskiej armii. Ginie podczas oblężenia Port Artur.

Siergiej Aleksiejewicz, hrabia. Brat Fiodora Aleksiejewicza. Oficer carskiej armii. Ginie podczas oblężenia Port Artur.

Yuan Sze-tszang lub **Yuan Li-tszang**. Chiński mandaryn. Wielbiciel Tajpingów. Jego synowie palą opium. W Szanghaju spotyka Nicolasa i prowadzi z nim rozmowy.

Zambrano. Wenecki totumfacki hrabiego Wrońskiego. Z polecenia swojego pana uprowadza Nicolasa. Utrzymuje kontakt z mecenasem Brûlazem-Trampolinim. Na łożu śmierci wyjawia mu tajemnicę narodzin Nicolasa.

Zapata Emiliano. Meksykański rewolucjonista. Zamordowany.

Zasulicz Wiera. Rosyjska arystokratka i rewolucjonistka, kuzynka Wrońskiego. Strzela do naczelnika policji w Sankt Petersburgu. Uniewinniona.

PRZYPISY

[1] Po hiszpańsku: Asunción.

[2] Przeł. Hanna Igalson-Tygielska

